

Magdalena Wala

Przypadki  
pewnej  
**desperatki**



seria z babeczką





**Przypadki  
pewnej  
desperatki**



*Magdalena Wala*



**Przypadki  
pewnej  
desperatki**



Copyright © Magdalena Wala, 2015

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie, 2015

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow-Jopek

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Klaudia Kumala

Projekt okładki: Design Partners ([www.designpartners.pl](http://www.designpartners.pl))

Fotografia na okładce: [www.depositphotos.com/konradbak](http://www.depositphotos.com/konradbak)

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7976-318-4

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

## CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

## 1

Obyś cudze dzieci uczył – to przekleństwo nigdy nie miało dla mnie większego sensu... aż do chwili, w której rozpoczęłam swoją pierwszą w życiu pracę. Oczywiście w szkole. Tak naprawdę nigdy nie zastanawiałam się, co to będzie oznaczać dla mnie – studentki historii. Po praktykach w czasie studiów licencjackich uważałam, że być nauczycielem to nic trudnego. Wchodzisz na lekcję i robisz swoje, potem zapominasz o wszystkim, co się wydarzyło, i żyjesz sobie spokojnie dalej.

Niestety nie da się zapomnieć. Już pierwszy dzień w pracy pozbawił mnie części złudzeń. Kiedy weszłam do klasy, rozkrzyczane dzieciaki nagle ucichły. Poczułam ich wzrok, lustrujący mnie z góry na dół, w tę i z powrotem, a potem jeden młodociany zapytał:

– Gdzie pani Jastrzębska? – Zamrugał oczami. – Słonica w końcu urodziła? – dodał po chwili.

Całkowicie mnie zatkało; po raz pierwszy w życiu nie wiedziałam, co powiedzieć. Ze swoich szkolnych lat pamiętam respekt przed nauczycielem. Żadne z nas nie odważyłoby się tak odezwać, a już na pewno nie przy kimś nowym, zupełnie nieznanym, no i oczywiście niesprawdzonym. Na widok mojej zszokowanej miny po klasie przebiegł śmiech. Odliczyłam w myślach do dziesięciu i usiłując zachować kamienną twarz, ruszyłam w stronę biurka, dzierżąc pod pachą dziennik i pocieszając się, że później będzie lepiej.

Nie wiedziałam jeszcze, co powiem, ale jednego byłem pewna – bez względu na wszystko muszę utrzymać kontrolę nad tymi... potworami. Inaczej jestem spalona na starcie i następne pół roku będzie jednym niekończącym się koszmarem. Brr.

– Dzień dobry – przywitałam się. – Nazywam się Julia Mężyk i w zastępstwie za panią Jastrzębską będę was uczyć historii. – Znowu nerwowe chichoty. – Odpowiadając na wcześniej zadane pytanie... Tak, pani Jastrzębska już urodziła.

– Chłopak czy dziewczyna? – chciał wiedzieć blondynek z pierwszej ławki.

– Syn – odparłam, modląc się, by na tym zainteresowanie klasy się skończyło.

– Dzięki Bogu! Może teraz znormalnieje, choć szanse są raczej małe – powiedział po chwili zastanowienia, sadowiąc się wygodniej na krześle. – Przez ostatnie miesiące była po prostu wkurzająca. – Popatrzył na mnie sceptycznie – Mam nadzieję, że pani nie jest w ciąży?

Uśmiechnęłam się, odetchnęłam głęboko i wykrztusiłam:

– Nie ma szans! A teraz przejdźmy do moich wymagań... – Moją tajemną bronią było tzw. wejście smoka. Jeden z moich przyjaciół, świeżo po psychologii, poradził przerazić uczniów śmiertelne na dzień dobry, a potem stopniowo odpuszczać.

– To jest wojna, kotek – zapewniał. – Jak chcesz przetrwać i nie przypominać po pół roku pracy chorych psychicznie z Bedlam, to musisz być u władzy. Oni szanują siłę i w zasadzie to wszystko, co szanują. Inne rzeczy mają w dupie.

W efekcie tydzień poprzedzający moje wielkie *entrée* spędziłam, planując strategię, jak nie przymierzając zdesperowany generał przed ostateczną bitwą. Rezultat nastrajał dość optymistycznie – reszta lekcji minęła w miarę spokojnie, pomijając wykrzykniki kochanej młodzieży typu „O Jezu!” lub „Czy pani jest sadystką?!”

Po lekcji stwierdziłam, że za dużo to oni nie wiedzą i będę musiała w pocie czoła nadrabiać braki i co gorsza, pracować nad dyscypliną. Okazało się bowiem, że pani Jastrzębska pozwalała „tym słodkim dzieciom” robić i mówić, co im się żywnie podobało. Efekt zdążyłam zaobserwować w momencie wejścia do klasy. Z ulgą powitałam dzwonek i zapewniając blondynka z pierwszej ławki, że nie jestem upiorem, który zstąpił na ziemię, aby dręczyć biedne dzieci, wyszłam z klasy. Oparłam się o drzwi i po raz pierwszy pomyślałam: dlaczego ja?

Po lekcji okazało się, że mam dyżur. Dyżur polega na tym, że ofiara losu, czyli nauczyciel – w tym wypadku ja – stoi na korytarzu i pilnuje, aby dzieciaki się nie pozabijały, a przynajmniej nie wtedy, gdy są w szkole. Potem dowiedziałam się w pokoju nauczycielskim, że większość szanownego grona modli się o to, by co

niektórzy dokonali tego dzieła. Po lekcjach oczywiście.

Po przeżyciu, chyba tylko cudem, pierwszego dnia pracy, z ulgą pojechałam na uczelnię. Prawdę powiedziawszy, po raz pierwszy inny budynek kojarzył mi się gorzej. A mijając postrach studentów – profesora Umajeckiego – posłałam mu taki uśmiech, że staruszek aż się obejrzał. Ze zdziwienia pewnie, tak myślę.

Zeszłam schodami w dół do chlewa (coś w rodzaju baru) w poszukiwaniu Emilki. Emilka to dziwny typ – rozrywkowy kujon. Z nas wszystkich zdobywa najlepsze stopnie, jednocześnie prowadząc najbardziej imprezowy tryb życia. Pojęcia nie mam, kiedy znajduje czas na naukę, skoro wiecznie planuje jakieś spotkania.

Zobaczyła mnie gdzieś zza dymu papierosów i natychmiast zaczęła machać ręką. Rude włosy spadały jej na oczy, więc odgarnęła je z czoła, nie przestając wymachiwać. Gdy przepchałam się przez większe towarzystwo, próbujące właśnie za wszelką cenę dostać raka płuc, zawołała:

– Halo Julka! Planuję świetną imprezę. Oczywiście przyjdiesz z Pawełkiem. Początek punkt ósma. – Emilka w końcu przestała machać i spojrzała na mnie z nadzieją.

No cóż. Wygląda na to, że zamiast wkuwać do egzaminu, czeka mnie upojny wieczór z Pawłem, Emilką i setką innych osób. W zasadzie nie miałam nic przeciw temu, ale teraz ta praca... Miałam nadzieję, że nie przypomni sobie o niej.

– Słuchaj – pochyliła się w moją stronę, szybko niszcząc moje marzenia. – A jak tam pierwszy dzień w pracy? Fajnie było?

Dałam radę tylko wymownie jęknąć, co starczyło za cały komentarz. Emilka spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Aż tak źle? – Poklepała mnie po ręce. – Zobaczysz, później będzie lepiej – dodała optymistycznie. – W tej sytuacji najlepiej będzie, jak się rozerwiesz. Poza tym, dziewczyno, ty przestajesz wychodzić z domu. Jak w tych warunkach może rozwijać się twój związek, co?

Wiedziałam, że Emilka wróci do Pawła. Zasadniczo to przez nią właśnie miałam teraz kłopoty. Przez dwa lata bolała nad tym, że nie umiem sobie nikogo znaleźć, a tu nagle złapał mnie taki Paweł – istne cudo. W ogóle całą sytuację zawdzięczam również jej i opatrności, która chyba w pewnym momencie przestała mnie lubić. Przez te dwa lata Emilka ciągnęła mnie na wszystkie imprezy i przedstawiała niezliczonej chmarze swoich znajomych. Sama w tym czasie zdążyła zakochać i odkochać się chyba z tuzin razy. A może i więcej.

– Tak więc – kontynuowała – zadzwoniłam do Pawełka i powiedziałam mu o imprezie. Strasznie się ucieszył, że przyjdiesz, ostatnio skarżył mi się, że nie masz dla niego czasu. Na twoim miejscu nie postępowałabym tak z zakochanym facetem. A jak się odkocha?



Niestety nie zanosi się, żebym miała tyle szczęścia. Gdy Paweł raz się na coś uprze, to musi rzecz doprowadzić do końca. Tym razem tą niezłatwioną sprawą byłam ja. Z doświadczenia wiedziałam, że z Emilką w bojowym nastroju nie wygram, więc skapitulowałam od razu.

– W porządku. Punkt dwudziesta jestem u ciebie. – Usiadłam w końcu na krześle i przywitałam się z dziewczynami, które słuchając kazania Emilki, płakały ze śmiechu. Oczywiście każda z nich, włączając naszą głównodowodzącą, wiedziała, że ostatnio psuje się pomiędzy mną i Pawłem. Nie wiedziały tylko dlaczego.

– Z Pawłem – upewniła się.

– Z Pawłem – zgodziłam się.

– Okay. O imprezie to już wszystko, teraz opowiadaj, jak było w pracy.

– Od ognia, wojny i gimnazjalistów zachowaj nas panie! Oceniając tragedię pracy w szkole w skali od 1 do 10, dałabym 100. Już po pierwszym dniu mam ochotę się zwolnić.

– Ale tego nie zrobisz – uzupełniła Aga. – Brak funduszy.

– Gdybyś mnie posłuchała i więcej wyciągała od Pawła, nie byłoby to konieczne – musiała wtrącić Emilka.

– Zasadniczo, dobry facet to hojny facet – skończyłyśmy wszystkie jej motto życiowe.

– Owszem, ale nie należy zapominać, że liczą się też inne sprawy – dodała Emilka.

– Jak na przykład stałość – dorzuciła ponuro Kasia.

Spojrzałyśmy na nią ze szczerym współczuciem. Wpadła gdzieś w okolicach lipca, więc zastanawiała się nad zorganizowaniem błyskawicznego ślubu cywilnego. Plany upadły, ponieważ jej chłopak nalegał, by poczekali do czasu, gdy urodzi się dziecko. Podobno dlatego, by mogła zmieścić się w swojej wymarzonej sukni księżniczki, do ubrania której koniecznym warunkiem była smukła talia. I żeby mogli od razu wziąć ślub kościelny. Wraz z upływającymi miesiącami okazało się, że Kasia dalej musi mieszkać z rodzicami, bo Andrzeja nie stać było na mieszkanie. Zaczął się coraz rzadziej u niej pojawiać, twierdząc, że humory ciężarnych działają na niego dołująco. Na comiesięczne wizyty u lekarza również nie raczył się zjawiać, bo przecież nie był tam do niczego potrzebny. On już zrobił swoje.

– Przydałby się choćby do ubierania mi butów – żaliła się często Kasia. – Ja już nie jestem w stanie dojrzeć swoich stóp.

Wierzyłyśmy bez zastrzeżeń. Kasia obecnie przypominała dużego pająka. Dwie chude nogi, olbrzymi brzuch i dwie chude ręce. Dziecko wysysało z niej wszystko, co tylko się dało. Bardzo mi się nie podobał taki rozwój wydarzeń. Sama jestem w związku z facetem, który twierdzi, że uwielbia dzieci. Dokładnie tak, jak

wcześniej Andrzej. A co jeśli...

Ocknęłam się z zamyślenia, bo Ewa spojrzała na zegarek i jęknęła:

– Spóźnimy się na historię historiografii!

Na każdy inny przedmiot poszłybyśmy z godnością, powoli i dystygowanie, ale nie na ten. Zajęcia prowadził doktor Opaliński, przez studentów zwany Wampirem. Zasadniczo nie był bardzo groźny, ale miał fioła na punkcie punktualności. Student, który raz się spóźnił, miał przechłapane do końca semestru, ponieważ Wampir odznaczał się doskonałą pamięcią. Naszemu koledze zdarzyło się to w październiku, a Opaliński wspomina o tym na każdych zajęciach przy czytaniu listy. Żeby tylko ograniczył się do wypominania, ale nie – biedny Rafał jest odpytywany przy byle okazji. Ostatnio wspominał, że zaprosi mnie na uroczyste palenie podręcznika, jak tylko uwolnimy się od pana W. Niedawno zdobył skądś jego zdjęcie, więc myślę, że także i je rytualnie spali lub będzie rzucał w nie rzutkami: czoło dziesięć punktów, oko pięć, czubek nosa dwadzieścia i tak dalej.

Na zajęcia zdążyłyśmy ledwo, ledwo. A konkretnie wbiłyśmy się przed Wampira, który właśnie wchodził do sali. Jeszcze chwilę później... Z sercem walącym w tempie dwieście na minutę, usiadłam w ławce. Co nie znaczy, że moje serce przestało walić. Teraz bowiem Wampir mógł mnie zapytać – a brak odpowiedzi na którekolwiek z jego pytań równało się rytualnemu seppuku, zwłaszcza na krótko przed zaliczeniem. Ja zaś nie umiałam dosłownie nic. Fortuna jednak się do mnie uśmiechnęła, bo Wampir chciał nam puścić film, miałam więc pół godziny spokoju. Oddałam się wspomnieniom, usiłując dojść do tego, jak znalazłam się w takich kłopotach.

Pawła spotkałam przez przypadek pół roku wcześniej. Zdecydował o tym mój pech. Jechałam właśnie na pięćset dwudziestą dziewiątą imprezę u Emilki. Nie chciało mi się, bo po pierwsze jestem zadeklarowanym domatorem, a po wtóre potwornie lało. Sam deszcz nie byłby wielkim problemem, gdybym była zmotoryzowana. Ponieważ jednak nie miałam samochodu ani faceta z samochodem (czy raczej samochodu z facetem), musiałam się trzy razy przesiadać, za każdym razem moknąc na przystankach. Pod koniec podróży przypomielałam podtopioną sierotkę Marysię. Autobus właśnie dojeżdżał na przystanek docelowy, więc zaczęłam gramolić się w kierunku najbliższych drzwi. Zapomniałam tylko o jednym drobiazgu, mianowicie o parasolce, którą miałam powieszoną na ręce. Autobus zahamował, ja usiłując utrzymać się w pozycji mniej więcej pionowej, podniosłam ręce w poszukiwaniu najbliższego uchwytu; i wtedy moja parasolka, popychana siłą odśrodkową (lub dośrodkową – zawsze byłam kiepska z fizyki), walnęła jakiegoś bruneta w tors. Na szczęście trafiło na osobnika typu szafa, inaczej oberwałby prosto w twarz. Ów spojrzał na mnie z wyrzutem, a ja po chwili

zaczęłam przeproszać. Jak na złość facet akurat był w moim typie! Nie miałam czasu kajać się dalej, bo trzeba było wysiadać, więc rzuciłam ostatnie przepraszające spojrzenie w kierunku ideału i wypadłam z autobusu. Prosto na lejący mi na głowę deszcz, bo zapomniałam rozłożyć parasolkę. W efekcie dotarłam do Em mocno spóźniona i w niezbyt imprezowym nastroju. Po dwóch godzinach, podczas których z pomocą Em zdołałam doprowadzić się do jakiegoś porządku, rozgrzać i zapomnieć o tym, jaką idiotkę z siebie zrobiłam, zeszałam na dół. Mój pech działał dalej, bo pierwszą osobą, na którą wpadłam, był mój znajomy z autobusu. Nie było szans, żeby nie skojarzył kretynki, która najpierw zaatakowała go parasolką, a później zamiast natychmiast przeprosić, wpatrywała się w niego z zachwytem. Na szczęście okazało się, że miał spore poczucie humoru. Ten wieczór spędziliśmy razem. Następny zresztą też. W taki oto sposób zdobyłam Pawła.

Nasz związek rozwijał się powoli. Aż tu nagle, jakieś dwa miesiące temu, w środku jednej z kolejnych imprez Emilki chyba... mi się oświadczył. Potem przez jakiś czas wmawiałam sobie, że to pod wpływem procentów doznałam omamów słuchowych. Bo przecież nie odstawił całej tej szopki z klękaniem, kwiatkami i pierścieniem. Byłam pod wpływem, ale nie aż tak, by zapomnieć Pawła na kolanach! Poza tym impreza studencka to nie jest właściwe miejsce na podejmowanie jakichkolwiek ważnych decyzji, prawda?

Jednak potem pojawiły się niewinne wtrącenia typu: „po ślubie zamieszkamy”, „wolałbym, byś po naszym ślubie zmieniła nazwisko”, „nasze dzieci”. Tak jakby wszystko było już ustalone, a moja zgoda tylko formalnością.

Gwałtownie oderwałam się od wspomnień, bo film właśnie się skończył, a Wampir zaczął się złośliwie uśmiechać. Niedobrze, tragicznie wręcz, bo patrzył właśnie na mnie.

– Widziałem, że oglądała pani z ogromnym zainteresowaniem – zwrócił się do mnie, a ja struchlałam. – Może nakreśli pani sylwetkę Joachima Lelewela?

Zdębiałam i nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Na szczęście uszczyplnięcie Ewy przywołało mnie do porządku. Myśl, kobieto, bo wylecisz i będziesz musiała zaliczać te zajęcia... i wszystkie następne.

– Joachim Lelewel był bez wątpienia jednym z najwybitniejszych historyków XIX wieku – zaczęłam w końcu.

– Ależ odkrywczе – ironizował Wampir. – I tego dowiedziała się pani z półgodzinnego filmu? Jako studentka studiów magisterskich powinna pani przyjść na te zajęcia z jakąś wstępną wiedzą. Ale proszę kontynuować, może dojdzie pani jeszcze do innych fascynujących wniosków.

W tym momencie zaczęłam prosić wszystkich świętych oraz mojego Anioła Stróża o pomoc, solennie przyrzekając, że jeśli uda mi się wyjść z tego cało, przez tydzień nie tknę czekolady. Co tam tydzień, dwa tygodnie! Widocznie przekupstwo

pomogło, bo w momencie, w którym chciałam przyznać się do swojej niewiedzy (milczenie było bardziej niebezpieczne), do sali wszedł Anioł Pański pod postacią mojego promotora, profesora Werberta. Poprosił Wampira na zewnątrz, a w tym czasie Em zaczęła uzupełniać luki w moich wiadomościach.

Wróciwszy, Wampir spojrzął na mnie znacząco, a ja zaczęłam recytować wszystko, czego dowiedziałam się w ciągu trzech minionych minut, obficie uzupełniając to „wodą”. Upiór z Transylwanii stracił zainteresowanie i zajął się nową ofiarą. Męczył ją „Słownikiem biograficznym”, który mieliśmy przewertować. Odetchnęłam z ulgą. Istniała spora szansa, że na ten dzień Opaliński już da mi spokój. Mój pech przestał działać. Na razie!

Pośpieszyłam się z tą nadzieją. Pierwszą osobą, którą zobaczyłam po wyjściu z sali, był Paweł. Ujrawszy mnie, uśmiechnął się, podszedł, objął w pasie, przyciągnął do siebie i cmoknął.

Szarpnęłam się lekko i pocałunek wyśladował w okolicach mojego ucha. Zawsze gdy widzę znajomą parę, która w większym towarzystwie przez dłuższy czas wymienia pocałunki, nie bardzo wiem, jak się zachować. Nie lubię patrzeć w ich kierunku, żeby nie wyjść na wścibską. Z drugiej strony całkowite ignorowanie i odwracanie wzroku też nie wygląda dobrze. Dlatego wielokrotnie prosiłam Pawła, by unikał okazywania mi czułości w miejscach publicznych. Nie chcę wprawiać w takie zakłopotanie moich przyjaciół!

Paweł jednak puszczał to mimo uszu, traktując jak moją kolejną babską fanaberię.

– Puszczaj! – wykrztusiłam na wpół przyduszona jego torsem. – Umówiliśmy się przecież, że witamy się bez zagrywek neandertalczyka.

– Ależ kochanie! – uśmiechnął się do mnie. – Ja? Neandertalczyk? Myślałam, że skończyłaś już zajęcia. Dawno się nie widzieliśmy – dodał z wyrzutem.

Poczułam wyrzuty sumienia. Od jakiegoś czasu dość drastycznie ograniczałam nasze spotkania, między innymi z powodu zaborczego zachowania mojego mężczyzny. Myślałam naiwnie, że jako inteligentny w końcu samiec domyśli się, że coś jest nie tak. I... może postara się dowiedzieć co? Wyglądało jednak, że trzeba będzie mu o tym powiedzieć wprost. Niestety to nie była odpowiednia chwila, więc tylko wzruszyłam ramionami i odsunęłam się pośpiesznie. Jednak nie dość szybko – zdążył mnie znowu złapać.

Zapowiadał się ciężki wieczór. Wyczarowując na ustach najśłodszy uśmiech, na jaki było mnie w tym momencie stać, przekazałam zaproszenie Emilki.

– Em do mnie dzwoniła wczoraj. Czyżby ci nie ufała, kochanie? – zapytał, machając jednocześnie ręką do przyczyny moich wszystkich nieszczęść. – Cześć, piękna – przywitał się z Em.

Emilka stanęła przy nas.

– Dziś o ósmej. Zaprosiłam całą grupę z ich drugimi połówkami. Nie zapomnijcie, bardzo was proszę.

Auc. Cała grupa oznaczała niemiłosierny tłok. I obecność Aśki Karpackiej, chyba że stanie się cud i nie przyjdzie.

– Oczywiście. Ja nie mógłbym. Jeśli zaś chodzi o Julkę, to nie martw się, przywlokę. Chyba że znajdzie mi jakieś ciekawsze zajęcie. – Paweł mrugnął do Emilki.

No tak. I tu dochodzimy do kolejnej cechy, która doprowadzała mnie do szału. Ciągłe aluzje do naszego życia intymnego. To, że uwielbiałam być z nim sam na sam, doprowadzało do ciągłego wzrostu testosteronu w jego organizmie. Efekt – puszył się przy każdej nadarzającej się okazji. Miałam dość! Trzeba z Pawłem zrobić porządek. Teraz.

– Emilko, przepraszam cię bardzo, ale muszę pilnie porozmawiać z moim kochaniem – wycedziłam. – Natychmiast – rzuciłam w kierunku Pawła. – Oczywiście, na imprezie będziemy, nie planuję innych atrakcji. Ktoś nie zasłużył!

– Wbijasz mi sztylet prosto w... serce – Paweł wcale nie przejął się moim tonem, choć sugerował nadchodzące szybko kłopoty.

– Uważaj, bo wbiję ci go gdzie indziej. I na pewno nie będzie to serce. – Boże! Widzisz i nie grzmisz? Już nawet zaczęłam mówić tak jak on.

Emilka zaczęła się śmiać, widząc komicznie nieszczęśliwą minę, którą zaprezentował Paweł. To był najlepszy moment na szybką ewakuację. Jeśli Em z Pawłem utworzą koalicję, dzisiejszy wieczór będzie niekończącym się koszmarem.

– Paweł. Idziemy – rzuciłam i chciałam ruszyć w kierunku schodów. Zapomniałam o tym, że mnie trzymał, więc tkwiłam nadal przyklejona do niego.

– Zauważyłaś, Emilko – przytrzymał mnie mocniej, żebym się nie wyrwała. – Dopiero co zaczęła pracę w szkole, a już nabrała belferskich nawyków. Źle to wróży na przyszłość. Strach pomyśleć, jaka będzie za tydzień...

– No, nie jest z nią jeszcze tak źle – podjęła temat Emilka. – To wszystko się da wyprostować, ale na pewno będziesz w tym zakresie potrzebował pomocy.

Tak oto moja najlepsza przyjaciółka przeszła do obozu wroga.

– Emila! – zaprotestowałam, ale po chwili dodałam zrezygnowana: – Pogadamy później.

Udało mi się w końcu wywinąć. Powtórzyłam: „Paweł. Idziemy!”, po czym ruszyłam w stronę drzwi. Chcąc nie chcąc, mój mężczyzna skończył przekomarzać się z Em i pośpieszył za mną.

– Coś ty dziś taka zła? – zaczął, dogoniwszy mnie. – Trudny dzień?

– Mógł być lepszy – jęknęłam. – Mam wrażenie, że wszyscy się dziś na mnie uwzięli, na dodatek ta impreza. A jestem taka skonana.

– Odwiozę cię do domu, dopilnuję, żebyś coś zjadła, odświeżyła się i zrobiła na bóstwo.

Moja wcześniejsza niechęć do niego trochę zmaląła. Prócz cech wybitnie mnie irytujących miał również kilka takich, za które dałabym się posiekać. Umiał doskonale wsłuchiwać się w mój nastrój i był bardzo opiekuńczy. I właściwie gdyby nie jego ostatni genialny pomysł, wcale nie rozważałabym zerwania.

Wsiadłam do jego punto i zaczęłam się zastanawiać, kiedy nawiąże do tematu. Nie musiałam długo czekać.

– I na co ci to było? – zaczął tyradę. – Przemęczysz się, a to dopiero pierwszy dzień. Gdybyś przeprowadziła się do mnie, praca nie byłaby ci potrzebna. Mogłabyś w spokoju sobie studiować i mielibyśmy więcej czasu dla siebie.

Westchnęłam boleśnie. Czy on nie mógł w końcu zrozumieć, że to było dla mnie za wcześnie, że chciałam być choć trochę niezależna? Owszem, wygodniej byłoby przyssać się do niego jak jakaś pijawka i tylko brać kasę. Nie należałam jednak do kobiet, które wykorzystują finansowo swoich mężczyzn. Mógł mi postawić raz na jakiś czas obiad czy kino, ale nie będzie mnie przecież utrzymywał! No i fajnie będzie wpisać jakieś doświadczenie zawodowe do CV po zakończeniu studiów. Ale moje argumenty na niego nie działały, więc wyciągnęłam koronny, w postaci mamusi.

– Paweł, dyskutowaliśmy już o tym. Na razie nie ma na to szans, bo matka już by się do mnie nie odezwała. Na wysłuchanie marsza Mendelssohna też nie jestem jeszcze gotowa.

Paweł w odpowiedzi tylko się skrzywił. Był dziwnym przedstawicielem swojego gatunku. Miał wszystko: pracę, mieszkanie, dziewczynę (chwilowo byłam to ja), było nam razem dobrze – a jemu zachciało się żenić lub przynajmniej doprowadzić do tego, bym u niego zamieszkała. To ostatnie mogę jeszcze zrozumieć – miałby praczkę, sprzątaczkę i kochankę w jednej osobie, na stałe, a na dodatek za darmo! Ale po co mu ślub? Na miłość boską, miał zaledwie dwadzieścia sześć lat i dużo czasu na stabilizację. W każdym razie ja miałam. Gdybym ustąpiła, pewnie góra rok później szukałabym w supermarkecie pieluszek pampers i odżywki dla niemowląt. Brrr. Na dziecko byłam stanowczo za młoda. A do tego kiedy sobie przypominałam nieletnie monstra w mojej szkole...

Z drugiej jednak strony zależało mi na Pawle i chciałam, by był szczęśliwy. Gdyby tylko dał sobie pewne rzeczy wytłumaczyć... Ale jak grochem o ścianę – prędzej odbije się od twardego podłoża i wpadnie ci w oko, niż stanie się z nim coś pożytecznego. Nagle zza mgły kłębiących się myśli dotarł do mnie głos Pawła.

– Mam cię wynieść? Czy wysiądziesz sama? Stoimy tu już pięć minut, a ty nie reagujesz.

No cóż, trzeba się przygotować do imprezy. Rozmowę z Pawłem zostawię sobie na później.

Paweł pojawił się punktualnie – jak zwykle. A ja nie byłam gotowa – jak zawsze. Kiedy przyjechał, kładłam tapetę na twarz i wyglądałam jak kosmita: jedno oko zrobione, drugie załzawione, nie wspominając o resztkach zielonej maseczki w okolicach szyi. Moje kochanie weszło, rzuciło na mnie okiem i poszło do kuchni, aby zrobić sobie herbatę. W tym czasie skończyłam łazienkowe perypetie i wreszcie wyglądałam jak człowiek – zmordowany co prawda, ale człowiek.

– Kochanie, możemy już jechać – rzuciłam. Wyszliśmy i zapakowaliśmy się do samochodu.

Na imprezę dojechaliśmy spóźnieni, czego nikt nie zauważył. Rozejrzałam się w poszukiwaniu znajomych twarzy. Emilka w centrum flirtowała z trzema nieborakami naraz, mieli bardzo oszołomione miny. Ewa kłóciła się z obcym mi facecikiem w okularkach, bliźniacy w tandemie podrywali jakąś blondynkę, Rafał obgadywał z Adasiem Wampira i zbliżający się egzamin u Kazia (aż strach pomyśleć, że to już za dwa tygodnie), zaś przy stole w przejściu siedział Łukasz z Aśką Karpacką na kolanach; najwyraźniej uprawiali grę wstępną. Publiczność im nie przeszkadzała. Jak znam życie, Aśka zejdzie mu z kolan dopiero rano. Wolałabym, żeby znaleźli sobie jakiś odosobniony kącik i tam zrobili, co trzeba. Łukasz tak na oko był blisko stanu „Show me Heaven”.

Czeka mnie urooooooczny wieczór!

Wieczór rzeczywiście był zniewalający, ale inaczej. Pawełek stał przy mnie, siadał i kuczał obok, pilnował niczym jakiś Arab swojego haremu! Marsową miną odstraszał wszystkich facetów, którzy mieli czelność zbliżyć się do mnie. Z wyjątkiem Adasia i Rafała, bo szczęśliwie związani, i bliźniaków, których uznał za nieszkodliwych seksoholików gawędziarzy. W efekcie sama byłam przez pięć minut – w ubikacji. Chciałam pogadać na różne babskie tematy z Em lub z Ewą, ale nie było mi to pisane. Nie przy moim aniele stróżu. Co prawda tłumaczyłam mu, żeby poszukał sobie na pół godziny jakiegoś męskiego towarzystwa, bo nie będę o podpaskach przy nim dyskutować, ale nie zareagował. Znów mu się włączył Tarzan. Jedno tylko mu mogę zapisać na plus. Na moje kategoryczne „przestań” – odkleił się od moich cycków w kuchni. Jeszcze by ktoś sobie pomyślał, że ze mnie druga Aśka!

Okolo trzeciej potężnie zachciało mi się spać, ale Paweł dobrze się bawił, więc nie chciał wychodzić. On w końcu nie wstawał rano do pracy! Usiłowałam się zdrzemnąć w sypialni Emilki. Hałas był jednak taki, że pomimo ogólnego wyczerpania kręciłam się przez jakieś dwie godziny z boku na bok, a potem wstałam, poszłam do Pawła i kategorycznie zażądałam, żeby odwiózł mnie do domu. Widząc moją minę, bez gadania wstał, pożegnał towarzystwo i udaliśmy się razem do jego auta. Korzystając z błogosławionej ciszy, natychmiast zasnęłam.

Obudziłam się rano, a właściwie obudził mnie Paweł. Po otwarciu szczypiących oczu szybko ustaliłam kilka rzeczy. Po pierwsze nie dotarłam do domu – Paweł zawiózł mnie do siebie. Po drugie była dziewiąta, a ja za pół godziny miałam się znaleźć w szkole. Po trzecie... szkoła była we Wrocławiu Pilczycach, a Paweł mieszkał na drugim końcu miasta. Po czwarte nie miałam u niego żadnych ciuchów poza wydekoltowaną sukienką, w której byłam na imprezie, a która w żaden sposób nie nadawała się do pracy – zwłaszcza w szkole! Dojście do jednego logicznego wniosku zajęło mi pięć sekund. SPÓŹNIĘ SIĘ!

Armagedon. Paweł, będący w połowie porannej kawy, został zmuszony do włożenia spodni, butów oraz kurtki (zapomniałam o koszuli) i zagnany do samochodu. Nie zdążył nawet uczesać swoich potarganych, ciemnych włosów. Spieszył się tak, że włożył buty nie do pary i nawet tego nie zauważył. Miałam nadzieję, że nabawi się odcisków, bo o skarpetkach również zapomniał. Pełen poczucia winy nawet nie protestował. W samochodzie dałam mu jedną jasną instrukcję:

– Milcz i jedź, ale tak, żebym za dziesięć minut była w domu.

Zajechaliśmy dokładnie dziewięć i pół minuty później. Paweł usłyszał tylko:

– Zostań! – i przestał wysiadać z samochodu.

Wbiegłam do domu, w międzyczasie dziękując wszystkim świętym, że moja matka towarzyszy ojcu w domu w górach. W przeciwnym razie nie obyłoby się bez wściekłej awantury. Dlaczego wracam dopiero rano i dlaczego, na miłość boską, nie zadzwoniłam. Szukając ciuchów, w których mogłabym się pokazać ludziom na oczy, natrafiłam w kuchni na ślady świadczące o tym, iż moja młodsza siostra, słusznie rozumując, że nie ma szans na mój powrót do domu o uczciwej porze, sama wyprawiła się do szkoły. Inteligentne dziecko! Ubrawszy się i w biegu zmywszy wczorajszy makijaż, zdążyłam się tylko maznąć szminką i tuszem, złapać w biegu torbę (przewidując spakowałam się przed imprezą) i już wylatywałam z mieszkania.

Widząc mnie w drzwiach klatki, Paweł natychmiast zapuścił silnik i po chwili jechaliśmy w kierunku szkoły. Nim wysiadłam, poinformowałam go grobowym głosem, żeby się stawił po pracy na rozmowę u mnie, cmoknęłam go w policzek i już wchodziłam do budynku. W tym momencie zadzwonił dzwonek na lekcję. Przywołując na twarzy uśmiech, stwierdziłam, że po takim ranku może być już tylko lepiej.

Myliłam się. Mój pech, który wczoraj sięgał okolic Krakowa, radośnie opuścił granice naszego państwa. Po pierwszej lekcji, na której moi uczniowie przez dziesięć minut zastanawiali się nad moim stanem cywilnym („Proszę pani, kim był ten pan, który przywiózł panią do szkoły? Pani mąż?”), zostałam wezwana na dywanik do pani dyrektor. Ponieważ zdarzyło się to w drugim dniu pracy,



pobiłam swoisty rekord! W gabinecie zostałam poinformowana, żebym przeczytała plan dyżurów (miałam dyżur przed dziewiątą trzydzieści i to byłoby na tyle, jeśli chodzi o moje punktualne przybycie), żebym nie przychodziła równo z dzwonkiem, bo spóźniłam się w ten sposób dwie minuty na lekcję (musiałam pójść do pokoju nauczycielskiego, żeby w biegu ściągnąć kurtkę i zabrać dziennik). Pani dyrektor wykazała również niestosowność mojego postępowania w innych kwestiach.

– Nie może pani wypuszczać uczniów z klasy w czasie lekcji, bo uczniowi może się w tym czasie coś stać, lub też, niepilnowany, może coś zdemolować. Ubikację na przykład.

Udało mi się wykrztusić tylko, że uczeń pilnie musiał wyjść do tejże ubikacji. Bynajmniej nie w celu zdemolowania jej.

– Od tego mamy przerwę – usłyszałam.

Cóż miałam zrobić? Przeprosiłam i wyszłam. W pokoju nauczycielskim dowiedziałam się, że mam się nie przejmować, bo nasza pani dyrektor jest wyjątkowo wredna i każda z belferek już nie raz była na dywaniku.

Dziewczyny, z którymi pracuję, sprawiają sympatyczne wrażenie. Zresztą dwie z nich dopiero co skończyły studia magisterskie, są niewiele starsze ode mnie. Pożyjemy, zobaczymy.

Miałam mieć jeszcze trzy lekcje i dwa dyżury. Dyżurów zresztą miałam w sumie sto minut, jak później policzyłam. Przy pracy na pół etatu wydało mi się to liczbą dość dużą. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że suma dyżurów moich koleżanek waha się od stu czterdziestu do stu sześćdziesięciu minut. Pani dyrektor miała obsesję na punkcie bezpieczeństwa uczniów na przerwach. Do pewnego stopnia mogłam ją zrozumieć, ale... trzech nauczycieli na małym korytarzu podczas jednej przerwy? Belfrzy jednak nie narzekali, zawsze była to możliwość pogadania z koleżanką – oczywiście tylko kiedy pani dyrektor nie było w zasięgu wzroku. Gdy się pojawiała, każdy był bardzo zajęty pilnowaniem, by kochanym dzieciątkom nic przypadkiem się nie stało!

Czasem dzieci mają dziwne pomysły. Na przykład na moim drugim dyżurze niejaki Artur Słomka zeskakiwał ze schodów pierwszego piętra przez poręcz! Rozpędzał się na pierwszym piętrze, wykonywał skok wzwyż, przeskakiwał poręcz, po czym lądował na schodach prawie na parterze! Jak to zobaczyłam, myślałam, że dostanę zawału na miejscu. Idiota, mógł się zabić! Rzuciłam dziennik mojej koleżance i zaczęłam go gonić, a gdy go w końcu złapałam, usłyszałam, że mam się nie wtrącać, bo go nie uczę! Wyrrywającego się zaprowadziłam do pani dyrektor, żeby zrobiła z gagatkiem porządek. W sekretariacie zdumiona dowiedziałam się, że po pierwsze nie powinnam opuszczać miejsca dyżuru, bo w ten sposób narażam uczniów na niebezpieczeństwo. Po drugie, nie mogę wobec ucznia używać siły, bo deprecjuję w ten sposób jego godność osobistą. Po trzecie,

należało go *grzecznie poprosić*, by się udał do gabinetu. A Artur jest troszeczkę nadpobudliwy i ma orzeczenie z poradni o specjalnych potrzebach edukacyjnych, w związku z tym nie powinnam go narażać na dodatkowy stres. A po czwarte, dlaczego jeszcze nie zapoznałam się z całą dokumentacją dotyczącą moich uczniów? Trzeba było zostać poprzedniego dnia po lekcjach i przewertować parę skoroszytów, zamiast śpieszyć się nie wiadomo gdzie i po co.

Chłopak natomiast został zaproszony do gabinetu pani dyrektor, gdzie uprzejmie go poproszono, by raczył nie skakać, bo może sobie przez przypadek zrobić krzywdę. I to był koniec! Ja dostałam ochrzan w sekretariacie, przy innych nauczycielach, sekretarce i grupie zaciekawionych uczniów, a jego poproszono o w miarę normalne zachowanie przy zamkniętych drzwiach, w gabinecie. W pokoju nauczycielskim dowiedziałam się, że to normalna reakcja pani dyrektor. Uczniowie w szkole mają prawa, rodzice uczniów mają prawa, a jedynymi osobami, które traktuje się jak śmieci, są nauczyciele. Boże, ratuj, przez przypadek trafiłam do piekła.

## 2

Po trzech godzinach wróciłam do domu i znów skoczyło mi ciśnienie, bo w skrzynce na listy zastałam najlepsze pozdrowienia od mojego byłego banku. Monit. Wkurzona od progu, władowałam się do pokoju siostry, która korzystając z nieobecności rodziców, zamiast się uczyć, puszczała metal na cały regulator. Chyba Iron Maiden. A może Blind Guardian?

– Andria, wyłącz natychmiast te wrzaski! – Od progu postawiłam na stanowczość w działaniu. Skoro chcę, żeby słuchały mnie obce dzieci w szkole, trening mogę zacząć od własnej siostry.

Andria siedziała w Internecie i dyskutowała na jakimś czacie, ale szybko wyłączyła monitor. Z tego, co mi mignęło, nim ekran stał się czarny, jakiś facet dopominał się, żeby określiła bliżej wielkość swego biustu...

– Jakiego biustu? – zapytałam z ironią. – Jeszcze ci nawet nie zaczął pączkować.

– Ładnie tak czytać cudzą korespondencję? – oburzyła się. – Łamiesz moje prawa.

Młodsze rodzeństwo! Najpierw początek upiornego dnia w pracy, a teraz muszę matkować upierdliwej siostrzyczce, która właśnie weszła w okres buntu.

– Dobra, dobra... – Dzieciaki ciągle mówią o swoich prawach. A obowiązki to co? Pies, którego można olać? – Zadanie zrobione?

– Jeszcze nie.

– To na co czekasz, na oklaski? Do roboty!  
– Jezu! – zajęczała. – Nie bądź taka. Przecież muszę najpierw zlasować mózg, żeby mi mata wchodziła. Ty mi nie pomożesz!  
Fakt, byłam geometryczno-arytmetycznym zerem.  
– Okaż serce... – Spojrzała wzrokiem skrzywdzonej niewinności.  
– No dobra, tylko błagam, przycisz ten metal. I nie rozmawiaj ze zboczkami na czacie.

– Tak à propos zboczków – zainteresowała się Andria. – Ładnie to tak zostawiać młodszą siostrę na noc samą w domu? Nie, żeby narzekać, ale jak się mama dowie...

– Mama się nie dowie, chyba że wypapłasz.

Moja siostra miała wiele wad, ale jeśli chodzi o uszczęśliwianie rodziców brakiem wiedzy o wydarzeniach, które miały miejsce podczas ich nieobecności, obie byłyśmy zgodne. Siostrzana solidarność. A im rodzice mniej wiedzieli, tym mniej mieli siwych włosów.

– I co? – kontynuowała. – Warto było?

– O czym ty mówisz?

– O tobie! O Pawle! O seksie, oczywiście!

– Andria! – zdenerwowałam się; tym razem moja mała siostrzyczka zdecydowanie przegięła. – Moje życie intymne lub jego brak nie powinien cię interesować!

Na nieszczęście moja siostra przechodziła okres chorobliwego zainteresowania seksem. Może nawet i udałoby się mi jej wmówić, że między mną a Pawełkiem do niczego takiego jak seks nie dochodzi, ale gdy rodziców nie było, często praktycznie się do nas wprowadzał. Efekt był taki, że Aleksandra miała okazję obserwować nas w wielu różnych życiowych sytuacjach. Nigdy nie kochaliśmy się, gdy była w domu, ale i tak jakoś doszła do jednoznacznych wniosków.

– Jasne, jasne. A słońce wstaje na zachodzie – mruknęła. – To o której przyjeżdża?

– Myślę, że koło ósmej.

– Okay – mruknęła i straciła zainteresowanie tematem.

– Tylko nie zapomnij o matmie – rzuciłam na odchodnym i poszłam poszukać się w kuchni.

Za każdym razem, kiedy wchodzę do tego pomieszczenia, cierpię. Może dlatego, że jestem zupełnym antytalentem, jeśli chodzi o gotowanie. Ale opieka zobowiązuje. Musiałam upichcić coś sobie, siostrze i Pawłowi, więc skończyłam moją popisową potrawę: spaghetti z sosem Knorra. Co prawda makaron był lekko przypalony wskutek wygotowania się wody, ale nie śmierdział, więc był zjadliwy. Jak mówi moja mama, potrzebny mi mąż z grubszym portfelem, tak żeby było go

stać na obiady w restauracji lub prywatną kucharkę. To jedyna nadzieja na szczęśliwą przyszłość mojego związku!

Paweł ostatnio odgrażał się, że w wakacje wyśle mnie na kurs gospodarstwa domowego. Na swój koszt oczywiście. Życie pokaże, czy to już desperacja...

Przybył punktualnie. Kiedy tylko otworzyłam mu drzwi, zasłonił się różą jak tarczą.

– Jestem winny, ale nie wykonuj wyroku.

Trochę odtajałam. Kilka godzin spędzonych w domu w absolutnym spokoju spowodowało, że trochę poprawił mi się humor. Paweł z wroga publicznego numer jeden stał się zaledwie drobnym winowajcą. Na dodatek teraz miałam inny problem – bankowy.

– Co się stało? – spytał, widząc moją skwaszoną minę.

– Bank mi się stał. Pamiętasz, jak likwidowałam w październiku konto? Niestety okazuje się, że założyć konto nic trudnego, gorzej w drugą stronę – rozpoczęłam moje zale. Poszłam do banku, wypełniłam, co miałam wypełnić, wypłaciłam resztę kasy i uzyskałam zapewnienie, że sprawa została załatwiona.

– Pewnie, że pamiętam. No to dlaczego cię nosi?

– Dziś dostałam monit; mam do zapłaty sześćdziesiąt złotych z tytułu opłaty za prowadzenie zlikwidowanego przeze mnie konta – odpowiedziałam, siląc się na spokój.

Paweł uniósł brwi.

– Będę musiała jutro lecieć do banku, żeby wyjaśnić całą sprawę. Dziś już nie miałam na to siły. Jesteś głodny? – spytałam, zmieniając temat.

– A co na kolację? – zainteresował się.

– Makaron z sosem. Może być? – starałam się być uprzejma.

– Jasne. Kto gotował? Ty czy siostra? – dopytywał się.

– Ja. Pasuje? – Mój ton stawiał sprawę jasno. Albo zje bez gadania, albo nie dostanie nic. Albo ewentualnie różą...

Paweł wołał mnie już dziś nie denerwować.

– Ależ oczywiście, kochanie – zapewnił, po czym ruszył w kierunku kuchni.

W kuchni zastał koniec świata. Nie zdążyłam pomyć po gotowaniu i jedzeniu.

– Jesteś pewna, że to tylko makaron? – Spojrzał wymownie na zlew pełen garnków, sztućców, talerzy itp.

– Andria miała wczoraj pomyć. – To zdanie tłumaczyło wszystko. Moja siostra co prawda odziedziczyła cały talent kucharski po przodkach, ale zawsze trzymała się jak najdalej od zlewu. Niestety nasza zmywarka przeszła na wcześniejszą emeryturę, a mama nadal nie zdecydowała, czy kupić samą zmywarkę, czy zrobić remont generalny kuchni i wymienić wszystkie sprzęty,

najlepiej pod zabudowę.

– I znalazła sobie lepsze zajęcie? – kontynuował temat Paweł.

– Owszem. Z dwiema koleżankami zrobiła sobie prywatny babski wieczór.

– No cóż, skoro ty mogłaś się wczoraj bawić, to jej się też coś od życia należy.

No tak: Paweł i Andria uwielbiali się. Czasami miałam wrażenie, że gdyby moja siostrzyczka mogła, toby mi go odbiła. Z powodu różnicy wieku jednak...

Paweł, widząc moją całkowitą obojętność w stosunku do brudów w zlewie, ściągnął marynarkę, złożył ją równo i przewiesił przez taboret, a następnie zakasał rękawy koszuli i zabrał się do likwidacji problemu. Po piętnastu minutach zlew lśnił. Ja w tym czasie odgrzałam mu trochę przyschnięty makaron w mikrofalówce.

Paweł udał się do saloniku, usiadł, nabrał makaronu na widelec i włożył do ust.

– Przypaliłaś – westchnął z rezygnacją.

– Przepraszam...

Było mi głupio, że nawet makaron mi nie wychodzi. Miałam zbyt bujną wyobraźnię i często nie umiałam się skupić na wykonywaniu prozaicznych czynności (jak na przykład na odcedzeniu makaronu na czas). Miałam przy tym romantyczną naturę i przykładowo lubiłam sobie wyobrazać, że jestem księżniczką uwięzioną w wieży, której na ratunek spieszy rycerz na srokatym koniu (biały był zbyt oklepany). Niestety, kiedy moje fantazje zbliżały się do punktu kulminacyjnego, przerywała je jakaś katastrofa. Zazwyczaj zapach spalonych kotletów lub kukusianiec znajomego, którego nie zauważyłam na ulicy.

W tej chwili do pokoju weszła moja siostra, ściskając w dłoni nieco już zmarnowaną różę.

– Zostawiłaś to w przedpokoju. To tak się dba o dowody uczucia ze strony swojego faceta? – dodała złośliwie.

Paweł spojrzał na mnie z wyrzutem jasnozielonych oczu.

– Chciałam cię jak najszybciej nakarmić – wybąkałam usprawiedliwienie z nadzieją, że przewinienie ujdzie mi na sucho. Usiadłam mu na kolanach, cmoknęłam go w policzek i zrobiłam minę nieszczęśliwego mopsa.

– No, już dobrze. – Nigdy nie był odporny na spojrzenie moich maślanych oczu. – Nic takiego się nie stało.

Zesłam z jego kolan, by zająć się kwiatkiem. Poszłam do łazienki, nalałam wody do wazonika, włożyłam do niego różę i postawiłam na honorowym miejscu w pokoju. Usiadłam obok mojego mena i zgodnie z psychologiczną zasadą „szczęśliwy facet to doceniony facet” zaczęłam wypytywać, jak było w pracy. W czasie jego monologu na temat szalunków i uziemień starałam się wyrazić swój podziw dla jego zawodowych dokonań. Po kilku miesiącach naszego związku miałam już w tym niezłą praktykę! Nagła zmiana tematu wyprowadziła mnie więc

z równowagi. Paweł o pracy mógł gadać godzinami, bez przerwy. Zaczęłam więc uważnie słuchać.

– Wiesz, że rodzice starali się o zwrot majątku, który moja rodzina straciła po II wojnie światowej?

– Zgadza się. I co? Jest już orzeczenie sądu? – zainteresowałam się.

– W tamtym tygodniu zapadła decyzja na naszą korzyść.

– Ależ Paweł! – wykrzyknęłam – to cudowne! Trzeba to uczcić! – Zerwałam się z kanapy, na której z nim siedziałam, podeszłam do barku i wyciągnęłam butelkę mojej ukochanej sangrii, którą przywiozłam sobie w charakterze pamiątki z Hiszpanii. Zaczęłam przekopywać barek w poszukiwaniu kieliszków.

Byłam strasznie ciekawa, co to za majątek: ziemia, może jakiś dom? Oczywiście moja ciekawość musiała zostać zaspokojona. Najlepiej natychmiast.

– Mów! – poleciłam i podałam mu butelkę. Faceci nadają się do otwierania butelek. Sama nigdy nie opanowałam tej sztuki.

Nader sprawnie otworzył wino, nalał do kieliszków i podał mi jeden. Usiadłam obok niego i raz jeszcze go ponagliłam.

– Dwór i park w Lubiczy – powiedział, delektując się winem. – Jakies dwadzieścia kilometrów na południe od Kielc.

– Super. Nie przypuszczałam, że twoja rodzina posiadała dwory – zaśmiałam się. – Z ciebie będzie teraz właściciel ziemski pełną gębą. W jakim jest stanie?

Podczas moich podróży po Polsce nierzadko widywałam zniszczone pałace i dwory. Po czterdziestym piątym były one dewastowane przez „braterską” Armię Czerwoną i łupione przez okoliczną ludność, nie wspominając już o wcześniejszych zniszczeniach wojennych. Niejeden polski pałac obrócił się w tym czasie w ruinę, a wiele dzieł sztuki zostało bezpowrotnie utraconych.

– W dworku jeszcze dwa lata temu był dom dziecka. Został zamknięty, a dzieciaki przeniesiono. Wiadomo, brak funduszy.

– No tak – zdenerwowałam się. – Na rozbijanie się drogimi samochodami zawsze pieniądze się znajdują, ale na oświatę pieniądze niepotrzebne. – Przytuliłam się do niego mocniej. – Powiedz mi, dlaczego tak się dzieje?

To oczywiście było tylko pytanie retoryczne. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z realiów życia w naszym kraju. Bez pieniędzy i znajomości tak naprawdę nie było szansy na godne życie.

– Dobra, skończmy ten temat, bo widzę, że się denerwujesz. – Paweł dokładnie wiedział, w jakich okolicznościach podskakiwało mi ciśnienie. Na przykład podczas rozmów o polityce naszego rządu.

– To opowiadaj dalej – poprosiłam i pociągnęłam następny łyk z kieliszka.

– Jest szansa, że nie jest zbyt zdewastowany. Zamierzamy pojechać tam w weekend i zobaczyć na miejscu, jak to wygląda.

– Dobry pomysł. Co twoi rodzice zamierzają z nim zrobić?

– Zastanawialiśmy się nad tym. – Przeciągnął się i ułożył swoje wielgachne cielsko w wygodniejszej dla mnie pozycji. – Jeśli będzie w dobrym stanie, można otworzyć tam hotel, zwłaszcza że udało się również odzyskać sporą część mebli, porozrzucanych po różnych muzeach. Dwór jest w pięknej okolicy, przez park przepływa rzeka, blisko do lasu i jeziora. Trzeba tylko trochę zainwestować.

– A jeśli nie? Jeśli jest zniszczony? – wypytywałam dalej.

– To zależy od skali zniszczeń. Jeśli nie będzie się opłacało remontować, można go wyburzyć i postawić dom. Choć szkoda, bo dworek ma przeszło dwieście lat i od pokoleń znajduje się w mojej rodzinie... a konkretnie w rodzinie mojej mamy.

– Nikt poza wami nie ma do niego praw? – Paweł ma dość dużą rodzinę, zdziwiłam się, że cały czas wspominał tylko o swoich rodzicach.

– Widzisz – zaczął tłumaczyć – mama dziedziczyła prawa do niego po swojej mamie, a wszyscy krewni babci Anielki zostali zamordowani przez hitlerowców w Oświęcimiu.

– Och! – Zrobiło mi się głupio. – Przykro mi.

– Nie przejmuj się. – Paweł oczywiście wysondował moje samopoczucie. – To było dawno, a poza tym ta rodzina nie była aż taka wielka. A ta ze strony ojca jest po prostu okropna.

Paweł był w stanie permanentnej wojny z ciotkami i szlag go trafiał, kiedy o nich myślał. Spojrzał na mnie, wstał i dolał mi wina.

– Pij. – Wrócił na kanapę i posadził mnie znów na kolanach. Czasami wołałam, by pracował trochę mniej fizycznie. Miał strasznie twarde mięśnie. – Miałaś ciężki dzień. Należy ci się chwila relaksu.

Wzięłam łyk wina i przymrużyłam oczy.

– Jak dobrze – wymruczałam, usiłując przybrać jak najwygodniejszą pozycję. W końcu mi się udało. – Wino, śnieg za oknem i ktoś, kto grzeje moje zmęczone kości. Ale, ale – wróciłam do poprzedniego tematu – kiedy jedziecie?

– Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, w piątek około drugiej.

Nagle zrobił się poważny i uroczysty. Jezu, co on knuje? Chyba nie kolejne oświadczenia? A tym razem jestem trzeźwa! Moje serce zaczęło głośno walić, bo wyciągnął mi z ręki kieliszek z niedopitym winem i wraz ze swoim odłożył na stolik. Nagle poczułam, że ciśnie mnie golf, a serce zaczęło mi walić jak młotem. Ułożył mnie wygodniej i spojrzał w oczy. W tym momencie mogłam zobaczyć w nich swoje odbicie: wystraszonej dziewczyny o niebieskich oczach i ciemnych długich lokach.

– Julciu – zaczął, a ja poczułam nagłą ochotę sprawdzić, co robią szynszyle mojej siostry. – Mam do ciebie prośbę. Pojechałybyś z nami?

Przełknęłam głośno ślinę.

Ulga spłynęła na mnie z siłą wodospadu Niagara. Nagle poczułam szaloną



ochotę, by wyjechać z nim i zobaczyć ten dworek. Może ma piwnice i strych? Zawsze uważałam, że to najciekawsze miejsca w starych budynkach. Zazwyczaj na strychu można znaleźć jakieś interesujące papiery. Moja mama zawsze mówiła, że odziedziczyłam cały talent plastyczny po tatusiu. I faktycznie, kiedyś podczas myszkowania na strychu domu dziadków znalazłam jego bohomazy. Innym razem znalazłam świadectwa mamusi. I wtedy padł mit o jej genialnych wynikach w nauce. I o tym, jak bardzo poświęciła się dla rodziny, nie idąc na studia, a następnie do pracy, tylko zajmując się domem. Z maturą zdaną na niedostateczny i samymi trójczynami (bo dopuszczających wtedy jeszcze nie wprowadzono), nie sądzę, by przyjęli ją na jakiegokolwiek studia.

Lochy również były interesujące – głównie ze względu na panującą tam atmosferę.

Nagle jednak przypomniałam sobie o obowiązkach wobec Andrii. Wbiłam więc w Pawła wzrok smutnego bernardyna i zaczęłam:

– Paweł, nawet nie wiesz, jak strasznie bym chciała...

– Wiem, wiem – uśmiechnął się – a na pewno wiedzą moje nogi.

No tak, Paweł znał tę moją namiętność. Podczas wakacji ciągnęłam go do wszystkich miejscowości, w których mogłam znaleźć zamek, pałac, dwór albo nawet jakieś ruiny. Czasami zwłaszcza ruiny. W tej sekundzie przyszło mi do głowy, że zrobił mi to specjalnie. Wiedział, drań jeden, że nie mogę zostawić siostry samej.

– ...ale nie mogę z tobą jechać! – Ton mojego głosu pod wpływem nowego odkrycia zmienił się z przeproszającego na wyrzucająco-wściekły. – Muszę zostać z Aleksandrą.

– Gdzie widzisz problem? Weźmiemy ją ze sobą.

Wszelkie moje negatywne uczucia wobec Pawełka natychmiast wyparowały. Czulałam tylko dziką radość z powodu planowanego wyjazdu.

– Naprawdę weźmiesz ją sobie na kark? – Złapałam go za rękę i mocno ścisnęłam. – Nie będzie wam przeszkadzać?

– No coś ty? – Paweł natychmiast skorzystał z okazji i mojej radości, i mnie pocałował. Gdy po dłuższej chwili oderwał się, dodał tylko: – Ja naprawdę lubię Andrię. A moi rodzice będą zachwyceni. Już od jakiegoś czasu molestują mnie o wnuka, a twoja siostrzyczka będzie niezłym substytutem.

Prawie czułam niebezpieczeństwo wiszące w powietrzu, więc zerwałam się z jego kolan i wychodząc z pokoju, rzuciłam tylko przez ramię:

– Lepiej sprawdzę, co robi obiekt naszej dyskusji.

Uff. Uciekłam.

Moja kochana siostrzyczka oczywiście nie robiła tego, co jej kazano, a dokładnie to, czego robić absolutnie nie powinna. Po otwarciu drzwi znalazłam ją

w dziwnej pozie przy ścianie, z uchem przytulonym do dna szklanki. Aby, jak później bezczelnie oświadczyła, było nas lepiej słyszeć. Słuch rzeczywiście miała niezły, bo po wejściu do pokoju i wygodnym umoszczeniu się na fotelu wypaliła z uśmiechem:

– To z ilu lekcji piszesz mi zwolnienie?

– Jakie zwolnienie?

– Z lekcji. Jeśli mam jechać z wami, to musisz mnie zwolnić. On chce jechać o drugiej, a ja kończę lekcje o piętnastej piętnaście.

Przez chwilę miałam wrażenie, że Aleksandra traktuje mnie jak dziecko. Miała jednak rację...

– Myślę że wystarczy dwunasta trzydzieści. Zdążysz przyjść, spakować się i coś zjeść.

– Dobra, a co z Magiem i Gagiem?

Następna komplikacja. Co zrobić z szynszylami? Zwierzątka mogły zostać same góra do soboty, ale my mieliśmy wrócić w niedzielę.

– Weźmiemy ze sobą – zdecydowałam. Dwa gryzonie nie mogły być powodem, dla którego nie zobaczę dworku. Poza tym miałam coraz silniejsze przeczucie, że będzie tam strych. A przynajmniej fajna piwnica, w której będzie można pomyszkować! – Złóżysz tę dużą klatkę, a w czasie drogi będziesz je trzymać przy sobie w transporterze. Klatkę Paweł wsadzi do bagażnika.

– Zapowiada się fajna podróż. – Dowiedziawszy się wszystkiego, co ją interesowało, siostra postanowiła się zmyć. – Dobra, idę spać – oświadczyła, zrywając się z fotela. – Możecie się migdalić dalej. Tylko... Paweł – tu zrobiła komicznie surową minę – pamiętaj, że jestem stanowczo za młoda, by zostać ciocią. A ona – popatrzyła w moim kierunku – jest zbyt roztrzepana, żeby być matką. – I wyszła, zostawiając mnie w absolutnym szoku.

– Ja... ja... – czułam, że po raz kolejny w tak krótkim czasie autentycznie mnie zamurowało. Paweł tymczasem związał się ze śmiechu na kanapie.

– Nie przejmuj się – udało mu się w końcu wykrztusić. – Według mnie będziesz świetną matką.

– I to cię tak cieszy!?! – W końcu odzyskałam zdolność logicznego myślenia i co za tym idzie, głos. – Ja sama stwierdzam, że jestem stanowczo za młoda na bycie matką. ALE TO NIE UPOWAŻNIA SMARKATEJ DO TAKICH RAD! – Chyba zdenerwowałam się dość mocno, bo Pawełek w odpowiedzi na moje wrzaski lekko się skrzywił i przestał się śmiać.

– Nie denerwuj się, złość piękności szkodzi.

Zaczął iść, a właściwie skradać się w moim kierunku. Czując się lekko niepewnie, cofałam się, aż wpadłam na kanapę. Po chwili nad sobą miałam Pawła. Położyłam głowę na oparciu i patrzyłam mu w oczy. Jego dłonie spoczywały obok moich boków, więc czułam się trochę jak w potrzasku. Obserwowałam w ciszy, jak

na jego twarzy pojawia się cwany uśmieszek. Pochylił głowę i oddalony o centymetry ode mnie szepnął:

- Poza tym... mogłabyś w jednej sprawie posłuchać młodszej siostry.
- CO? – Usiłowałam go odepchnąć, ale z takim efektem, jakbym palcami próbowała przesunąć ścianę.
- Wyszła, więc możemy się znów migdalić – stwierdził, nim ostatecznie mnie pocałował.

Resztę wieczoru pozostawiam bez komentarza. Mężczyźni!!!

Z mężczyzn jest jednak pewien pożytek. Paweł odwiózł mnie do banku, w którym, z monitem zaciśniętym w ręce, odstałam godzinę w kolejce do konsultanta. Po tym, jak dorwałam osobę odpowiedzialną za obsługę klienta, okazało się, że zniknęły jakieś papiery, więc czekałam kolejną godzinę. Kiedy w końcu się znalazły, pani konsultantka stwierdziła, że poprzedni konsultant czegoś tam nie dopatrywał, że bardzo przeprasza, konto zostało zamknięte, a monit jest nieaktualny. I nie muszę nic płacić, co było dla mnie najważniejsze. Pani coś poklikała, monit poszedł do kosza, a właściwie do niszcarki, a ja wyszłam z oddziału w stanie lekkiej euforii. I z mocnym postanowieniem, że już tam nie wrócę.

Moje bankowe perypetie zajęły mi więcej czasu, niż przypuszczałam, więc prawie się spóźniłam na ostatnie w tym semestrze ćwiczenia z historii powszechnej do 1918 roku. Na wydziale spotkałam się z Emilką. Najprawdopodobniej rozmawiała z naszą paczką na dominujący ostatnio temat, czyli zbliżający się egzamin u Kazia. U wszystkich moich kolegów z roku, u siebie niestety też, zdążyłam zauważyć syndrom Koźmińskiego. Nadmierna nerwowość, drżenie rąk, wzrost agresywności (ja go zabiję), depresja (ja się zabiję), pesymizm (on na pewno mnie obleje) i inne stany nietypowe u studentów. Ja na przykład zaczęłam się uczyć w wannie, doszedłszy do wniosku, że jeśli nawet obleję, to po godzinach spędzonych w gorącej kąpieli będę przynajmniej zrelaksowana. Ponieważ u Kazia mieliśmy dwa egzaminy, a na jednym oblewał przeciętnie jakieś siedemdziesiąt procent roku, rozmowy dotyczyły szans na zaliczenie chociaż jednego w pierwszym terminie oraz skali dziwnych pytań, które mogą paść w sali egzaminacyjnej. Optymizmem nie napawał też fakt, że sam prowadzący na wykładach, uśmiechając się sardonicznie, stwierdzał z zadziwiającą regularnością: „Uczcie się, bo z tego będzie dużo dwój”. Niestety, corocznie miał rację! Sama miałam jeszcze tylko strzępki złudzeń, że może coś zdam za pierwszym podejściem. Zbyt wiele ostatnio mi się nagromadziło. Obowiązki wobec Andrii, Pawełek i, oczywiście, nowa praca. Drugi termin mi w zupełności wystarczy. A poza tym student bez oblanego egzaminu jest jak żołnierz bez karabinu!

No dobra, bardzo chciałabym mieć Kazia z głowy jak najszybciej.

Zdążyłam tylko rzucić dziewczynom krótkie „Cześć”, kiedy na horyzoncie pojawiła się Aśka Karpacka – nasza „ulubiona” koleżanka. W tym samym momencie zza rogu wyszedł Kazio i jak nie wrzasnął, sepleniąc:

– ZDRAJCYNI! – darł się, wygrażając przy tym palcem Aśce.

Wszystkie rozmowy nagle się urwały, Kazio, zadowolony z efektu, jaki wywołał, pokuśtykał w kierunku swojej kanciapy, a Aśka stała cała czerwona na środku korytarza.

Byłam tak zdziwiona, że nawet nie powiedziałam Kaziowi „dzień dobry”. A jemu co odbiło? I to jeszcze przed samym egzaminem!

Nim zmaterializował się asystent Kazia, nazywany przez nas (z powodu swoich wąsów) Kocurkiem, zdążyłam tylko usłyszeć chichot Emilki. W porównaniu ze swoim zwierzchnikiem, przez którego cierpieliśmy mękę i mieliśmy fioła w styczniu, wydawał się istotą niebiańską. Usiedliśmy w ławkach, a następnie Kocurek kazał nam wyciągnąć indeksy i zabrał się do wpisywania ocen. Po ćwiczeniach odśpiewaliśmy chórem „Już tylko Kaziu” i gromadnie poszliśmy do „chlewu” czekać na ćwiczenia z historii Śląska.

W chlewie rozsiadliśmy się wokół stolika, zamówiliśmy kawę i rozpoczęliśmy ploteczki, zajęła nas zwłaszcza wcześniejsza sytuacja. Niezbędnych wyjaśnień udzieliła Emilka.

– Okazało się, że poszła do Kazia na zerówkę, zaliczyła oba egzaminy, po czym zmieniła promotora na mojego.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się Ewa.

– Od Adasia Cichockiego.

Adaś był naszym grupowym geniuszem informatyczno-historycznym. Mądry, zawsze chętny do pomocy i na dodatek z poczuciem humoru. Charakter miał o wiele lepszy niż większość facetów, włączając mojego. Wszystkie dziewczyny go uwielbiały, mimo że urodą nie grzeszył. Oczywiście *wszystkie* poza Aśką, co trafnie obrazuje jej głupotę.

– I co – zapytałam. – Józio zgodził się?

– Niestety tak. I teraz będę ją widywać jeszcze na seminariach. A miałam taką fajną grupę! – jęknęła Em.

– A miało być tak pięęęęknieeeeeee! – zawyła Ewa i uchylła się przed kuksańcem Emilki.

– A co walnęło Józiovi, że ją przyjął w połowie roku? – byłam zdecydowana wyjaśnić sprawę do końca.

– Adaś powiedział, że wmówiła profesorowi zbyt późno odkrytą miłość do starożytnych Rzymian. Poza tym miała jeszcze dwa argumenty. Oba doskonale widoczne i dość okrągłe.

– Niestety, Józio – odezwała się Aga, która uczęszczała na to samo

seminarium – jest na tym punkcie bardzo wrażliwy. Stary erotoman! – dodała zniesmaczona.

Musiałam przyznać jej rację. Z egzaminu pamiętałam, że dziewczyny, które przyszły na tę ciężką próbę w mini, zazwyczaj zdawały. Ja sama – pomyślałam z dumą – byłam w spodniach i też zdałam. Do dziś pamiętam te dwa tygodnie kucia... Gdyby jednak taki chwyt działał na Kazia, sama pożyczylabym od Andrii mini, byle tylko zdać jeden egzamin w pierwszym terminie! Jezu, źle ze mną, stwierdziłam, desperacja aż bije po oczach!

Historia Śląska była „lajtowa”, czyli: „dzień dobry państwu, proszę wyciągnąć indeksy, wpiszemy oceny”. Zasadniczo Rozwiany też był spoko przez cały semestr, poza pewnymi wyjątkami. Same zajęcia nie należały do najciekawszych, bo oparte były na referatach, w które Rozwiany wrobił się na własne życzenie, przez co nie mógł przeprowadzić porządnie ani jednych ćwiczeń. Dlaczego? Sprawa była prosta. Na ćwiczenia trzeba się przygotowywać. Rozwiany nie odstawał na tle innych prowadzących – z tego, co wiedzieliśmy od innych grup – pytał. Jednocześnie zażyczył sobie trzech referatów na zajęcia. My zaś bardzo chętnie je pisaliśmy, wychodząc z założenia, że:

1) ćwiczenia trwają półtorej godziny,

2) referaty są trzy,

i konkluzji:

3) przeczytanie każdego referatu zatem powinno zająć trzydzieści minut.

W ten oto sposób mielibyśmy przez semestr przedmiot z głowy, nie licząc napisania jednego referatu. Ja swojego zresztą nawet nie raczyłam stworzyć, wzięłam od koleżanki z poprzedniej grupy i chamsko przeczytałam na zajęciach jako własny. To, co piękne, nie może jednak trwać wiecznie. Pewnego dnia jedna z referentek nie stawiła się. Nie muszę chyba dodawać, że tak w jajo to mogła nas zrobić tylko Aśka? Nie raczyła nawet przesłać referatu, aby ktoś z nas go przeczytał! Pełni straszliwych przeczuc co do zajęć (Jezu! Zostanie Rozwianemu pół godziny!), postanowiliśmy się ratować i wykorzystać Marcina, który jest niezwykle flegmatyczny i dokładny. Otrzymał następujące zadanie: czytać swój referat najdłużej jak się da i nie dopuścić Rozwianego do głosu. Wywiązał się celująco. W torbie zamknął gotowy, napisany już referat, i tworzył go z kserówek artykułów skopiowanych w celu jego napisania – pięćdziesiąt minut. Gubiły mu się kartki, spokojnie więc ich szukał, tracił wątek... Rozwiany po czterdziestu minutach był czerwony ze złości i zapytał Marcina, czy już kończy. Marcin na to, że wkrótce, na razie jednak musi jeszcze poruszyć pewne kwestie i prosi, by mu nie przeszkadzano, bo się będzie mylił. Em również stanęła na wysokości zadania i przeciągała, jak mogła. Upiekło się nam.

Drugim powodem załamania nerwowego Rozwianego było kolokwium.

Nieopatrznie przed nim zaznaczył, że nie jest ono potrzebne do zaliczenia. Efekt wiadomy – nikt się nie nauczył. Sama oddałam kartkę z zapisanymi pytaniami, bez choćby próby odpowiedzi. Rozwiany przyszedł na następne zajęcia bardziej rozwiany niż zwykle (czyli do rozchełstanej koszuli, skarpetek w różnych kolorach i włosów sterczących na wszystkie strony doszedł jeszcze obłąd w oczach). Po przyjściu trzasnął o stolik naszymi kolosami i stwierdził, że wolałby żyć w nieświadomości co do stanu naszych umysłów. Pomruk, jaki rozszedł się po sali, oznajmił mu, że współczujemy, ale niestety nic nie możemy poradzić. Dziś przyszedł dzień nagrody. Rozwiany kazał nam się ustawić w kolejce według listy. Do sceny doszło przy Kasi, która prawie słała się po półgodzinnym oczekiwaniu. Rozwiany popatrzył na listę, na nazwisko w indeksie i stwierdził:

– To nie pani grupa, proszę przyjść ze swoją. Następny!

Kasia nie ruszyła się z miejsca. Emilka, przewidując, co będzie dalej, podsunęła jej krzesło, by biedaczka usiadła i odciążyla spuchnięte nogi. Kasia podziękowała jej wzrokiem i rozpoczęła wyjaśnienia:

– Chodziłam z tą grupą przez cały semestr, prócz pierwszych zajęć. Gdy na początku semestru chciałam się przepisać, to pan doktor stwierdził, że to niepotrzebne.

– To proszę na koniec kolejki. – Rozwiany zaczynał się niecierpliwic i słynna żyłka zaczęła pulsować mu na skroni. Poza tym uważał chyba, że ciąża nie choroba i ciężarnym nie należą się z tego tytułu żadne przywileje.

Jednak trafił na Kasię, która uznała, że naczekała się wystarczająco długo. I wypadałoby się położyć z nogami do góry.

– Naprawdę źle się czuję. Proszę wpisać teraz – powiedziała, podsuwając mu znów indeks.

Rozwianego zatkało.

– Ale cała sprawa się przeciągnie, muszę poszukać pani w tych papierach. – Tu wskazał ręką na ich cały plik, leżący przed nim na biurku. – Pani koledzy będą z pani powodu dłużej czekać.

Koledzy pomrukiem dali znać, że nie mają nic przeciwko dalszemu czekaniu i solidaryzują się z cierpiącą koleżanką.

– Będziemy dłużej czekać z powodu bałaganu, który pan doktor ma w papierach – odezwała się stojąca z tyłu Emilka.

Nie protestował dłużej. Westchnął i zabrał się za przekopywanie papierzysek. Znalazł właściwy i wpisał Kasi zaliczenie.

Natomiast gdy podawał indeks Emilce, oświadczył tylko:

– Mogła pani tego nie mówić.

Em uśmiechnęła się, rzuciła tylko „mogłam” i wyszła. Mamy jak w banku, że Rozwiany długo będzie pamiętał naszą grupę.

Po wyjściu na korytarzu przed salą natknęliśmy się na oddychającą ciężko

Kasię.

– Chyba nie dostałaś skurczów przez Rozwianego? – zaniepokoiła się Em.

– Przez Rozwianego chyba nie – wykrztusiła Kasia. – Dostałam właśnie wiadomość od Andrzeja. Poinformował mnie, że wchodzi na pokład samolotu do Londynu. Leci zarobić na mieszkanie i postara się wrócić przed terminem porodu. Ale nie obiecuje. Jak będzie miał nowy numer, to się odezwie.

– Coś jeszcze? – spytałam.

– Tak – dodała ponuro Kasia. – Głos w komórce, który twierdzi, że wybrany numer nie jest teraz dostępny. Czy on właśnie mnie rzucił? – jęknęła i złapała się za brzuch.

– Adaś! – ryknęła Emilka w stronę oddalających się pleców naszego kolegi. Adam zatrzymał się i widząc skurczoną Kasię, natychmiast podbiegł. – Trzeba ją odwieźć do szpitala. Chyba zaczęła rodzić.

Podtrzymując Kasię, ruszyliśmy w stronę wyjścia na parking. Po tym, jak dojechaliśmy do szpitala i oddaliśmy koleżankę w ręce lekarzy, postanowiłyśmy zawiadomić jej rodziców. Godzinę później mogłyśmy zawiadomić jej spanikowanego brata, że lekarzom udało się opanować sytuację i do przedwczesnego porodu jednak nie dojdzie. Kasia musi jednak zostać w szpitalu, bo ciąża jest zagrożona.

– Wykastruję skurwysyna! – obiecał, zaciskając zęby, po wysłuchaniu pełnej relacji.

Podaliśmy mu jeszcze namiary na siebie i po krótkich odwiedzinach u bladej jak ściana koleżanki wróciłyśmy do domu. Ja po to, by się błyskawicznie spakować.

Nazajutrz po pracy miałam jechać do Lubiczy!

### 3

Cóż, musiałam jeszcze jakoś przeżyć dzień w szkole. Całe trzy godziny i dodatkowo, na moje nieszczęście, zastępstwo. O tym ostatnim dowiedziałam się w piątek. Miałam iść do klasy III b na biologię. Konkretnie miałam nauczyć dzieci pierwszego prawa Mendla, o którym oczywiście nie miałam zielonego pojęcia. O możliwościach klasy również dowiedziałam się w momencie wejścia. Przywitał mnie niebagatelny wrzask! A prócz tego zdanko jakiegoś młodocianego z dredami:

– Co, kotku, robimy wolną lekcję?

Od razu zabrałam się za wyprowadzanie klasy z błędu i wprowadzanie porządku. Bezskutecznie. Z uszami jak balony z powodu mnóstwa decybeli, które ładowały się do mojej głowy, nie usłyszałam jednego dodatkowego głosu. Mojej dyrektorki. Natychmiast zrobiła się cisza. Dyrekcja chciała wiedzieć, dlaczego nie prowadzę lekcji i dlaczego klasa tak wrzeszczy. Klasa zgodnie stwierdziła, że im pozwoliłam, bo nie chciało mi się przeprowadzić biologii, którą oni uwielbiają. Zbaraniałam. Dyra wyszła, prosząc, bym robiła to, za co mi płacą, a klasę poprosiła o wyrozumiałość dla mnie. Po jej wyjściu chłopcy stwierdzili, że potrzebują trochę rozrywki i zabrali się za urządzenie pogrzebu ołówkowi. Wykonali mu trumnę z kartonu, włożyli do środka grzebany przedmiot i przy wtórze marsza pogrzebowego w wykonaniu beku dziewcząt, wyrzucili uroczyście do kosza.

– Jak już się pobawiliście, to teraz bardzo proszę otworzyć podręczniki na stronie sto trzydziestej drugiej – postanowiłam zainterweniować i jednak



przeprowadzić tę lekcję.

Klasa raczyła na mnie spojrzeć z politowaniem i dalej zajmowała się własnymi sprawami. Tym razem postawili na wykonywanie selfie.

– Okay. To zrobię wam wolną lekcję – uśmiechnęłam się.

– Widzi pani, w końcu pani mądrze mówi. Trzeba tak było od początku – skomentował dryblas w rozciągniętej bluzie z napisem „Śląsk Wrocław Furiaci”.

Nie odpowiedziałam, tylko otworzyłam dziennik.

– Bartek Tomeczko do odpowiedzi.

Klasa na chwilę zamarła. Zaraz potem rozległ się pełen oburzenia wrzask.

– Nie ma pani prawa! Poza tym obiecała pani wolną lekcję!

– I słowa dotrzymam. Będzie wolna lekcja, dla wszystkich z wyjątkiem pytanych. Ale też tylko przez chwilę, bo potem ich miejsce zajmą kolejni uczniowie. A co do tego, czy mam prawo, czy też nie, to logicznie rzecz ujmując: jestem nauczycielem, mam dziennik, jest lekcja i mogę sprawdzić wasze wiadomości z poprzednich tematów. A jeśli ktoś będzie chciał weryfikacji wystawionej przeze mnie oceny, to zawsze mogę poprosić pana Wójcika o zrobienie wam kartkówki – uśmiechnęłam się do nich jeszcze słodziej.

W całym moim monologu pominęłam tylko drobny szczegół, a mianowicie to, że byłam historykiem, a nie biologiem, więc wystawione przez mnie oceny nie byłyby warte funta kłaków.

– To my już nie chcemy wolnej lekcji – oświadczył dryblas. I otworzył podręcznik na wskazanej przeze mnie stronie. Kolejni uczniowie z jękiem zawodu wracali do ławek i otwierali książki.

W ten oto sposób przetrwałam do dzwonka. Byłam wolna i mogłam iść do domu!

No, niezupełnie byłam wolna. Dyrekcja uszczęśliwiła mnie dodatkowym dyżurem. Na przerwie stałam wśród kłębiącego się i wrzeszczącego tłumu dzieciaków, gdy nagle usłyszałam wrzask:

– Uwaga!!! Leci...

Zacząłam się rozglądać w celu namierzenia niezidentyfikowanego obiektu latającego i zobaczyłam szybko zbliżającego się w moim kierunku potężnie zbudowanego ucznia z klasy III c. Uczeń biegł tyłem do mnie, chcąc złapać opadającą piłkę. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wojtek wyskoczył, złapał przedmiot w powietrzu i zaczął opadać. Niestety znajdowałam się tam, gdzie się znajdowałam, więc doszło do kolizji. Niegroźnej dla niego. Ja dostałam łokciem w żołądek i straciłam równowagę. Od nader bolesnego zetknięcia z podłożem uratowała mnie błyskawiczna reakcja innego ucznia. Wskutek ciosu Wojtka byłam zbyt zszokowana i obolała, żeby sama zamortyzować upadek.

Niestety w chwili gdy znajdowałam się praktycznie w objęciach ucznia

(któremu chyba było na imię Michał), nadeszła dyrektorka. Zobaczywszy mnie, podbiegła truchcikiem i zaczęła wrzeszczeć. Oczywiście na mnie.

– Pani Julio! – Jej głos oscylował gdzieś w granicach wysokiego C, co raniło uszy. – Jak pani może?! To porządna szkoła, a pani uprawia tu jakieś amory z uczniem.

– Pani dyrektor... – zaczął Michał, który pomógł mi przyjąć pozycję pionową.

– Cicho! – Pani D kontynuowała opieprzanie mnie. – Zdaję sobie sprawę, że jest pani niewiele od nich starsza, ale takie spoufalanie się z uczniem jest niedopuszczalne!

– Pani dyrektor... – tym razem ja usiłowałam wtrącić swoje trzy grosze.

– Potem będzie się pani tłumaczyć – dyrekcja wyraźnie się rozkręcała. – To skandal, żeby pani pozwalała, aby uczniowie panią przytulali. I to w...

– Pani dyrektor! – Zdenerwowałam się. To upierdliwe babsko nie będzie mną pomiatać. – Czy w końcu mogłaby pani dopuścić mnie do słowa!? Uczeń po prostu ratował mnie przed upadkiem, rozbiciem sobie głowy, złamaniem ręki i być może jeszcze stratowaniem przez tego osiłka tutaj. – Wskazałam na Wojtka trzymającego piłkę i patrzącego z przerażeniem na efekty swojej działalności.

Babę zatkalo.

– Uczeń biegł, nie widział mnie i przez przypadek popchnął. To wszystko. A pani myślała, że co? Uprawiam na środku korytarza romanse z nieletnimi, których nawet jeszcze nie znam?

Babsko szybko jednak odzyskało rezon.

– Gdyby pani dobrze wykonywała swoje obowiązki i pilnowała, żeby uczniowie nie biegali na przerwie, cała ta sytuacja nie miałaby miejsca. Jeśli chce pani tu pracować, musi się pani jeszcze wiele nauczyć – rzuciła na koniec, po czym rozwinęła żagle i z godnością odpłynęła w stronę swojej kancelarii.

Ręce mi opadły.

W domu czekała mnie kolejna „miła niespodzianka” – moja jeszcze niespakowana siostra.

– Andria! – wrzasnęłam. – Przecież my za godzinę wyjeżdżamy!

Na młodej nie zrobiło to wrażenia.

– No to się zaraz spakuję – oświadczyła tonem „znowu starsza się czepia”. – Po co te nerwy? Paweł cię kocha, a jak kocha, to poczeka.

– Czy ja wiem, czy kocha? – zaczęłam głośno rozważać tę kwestię. – Chwilami tego nie widzę – westchnęłam i udałam się do kuchni, by przygotować jakieś żarcie na drogę.

Po zrobieniu kanapek wróciłam do pokoju, aby wrzucić jakieś moje ciuchy do torby Andrii, i zdębiałam. Moja siostrzyczka stała w samym środku kolorowego

miszmaszu. Otaczały ją sukienki, bluzeczki, spodnie i bielizna. Boże, nie wiedziałam, że moja mała siostrzyczka ma koronkową bieliznę! Moja własna, skonstatowałam, to raczej sprana bawełna – a przecież to ja mam faceta. Coś jest na pewno nie w porządku!

– Andria! – rzuciłam. – Dziecko, czy ty wybierasz się na jakąś randkę?

– Nie – odpowiedziała – ale muszę jakoś tam wyglądać.

– Jak? – koniecznie chciałam się dowiedzieć.

– No modnie – stwierdziła, po czym zabrała się za rozbebeszenie kolejnej szafy z ciuchami. Tym razem w ruch poszły piżamy. – Umarłabym, gdyby mnie ktoś zobaczył w starych majtach.

Moje były prawie wyłącznie stare.

– Kto na przykład? – zainteresowałam się.

– Paweł na przykład.

– Czy ty zamierzasz przed Pawłem paradować w tym? – Podniosłam palcem koronkowe stringi.

– No nie. – Moja siostra odrobinę się speszyła. – Ale jak ma mnie zobaczyć w majtkach, to niech przynajmniej będą ładne!

– Andria – zaczęłam wykład. – Po pierwsze, moja czternastoletnia siostra nie będzie przed żadnym facetem, włączając mojego, paradować w stringach...

– Jezu, zaczyna się – jęknęła.

– ...przez najbliższe cztery albo i więcej lat – kontynuowałam niezrażona. – Po drugie, kotku, nie wybieramy się na piknik i nie będziemy bawić się w „Scarlett O’Hara wychodzi z domu”. Jedziemy do zapuszczonego starego dworku, który będziemy myć, pucować i doprowadzać do połysku. A zatem potrzebne ci będą stare dżinsy, a na zmianę, jak jedne wybrudzisz, drugie stare dżinsy. Najlepiej totalnie wyciorane, żeby można je było od razu wywalić i nie męczyć się praniem. Po trzecie, mój tamtejszy priorytet to piwnica i strych, a w tych okolicznościach nie będą ci potrzebne żadne sukienki i koronki. Proszę natychmiast tu zrobić porządek i spakować odpowiednie ciuchy. Nie zapomnij o swetrze. I flanelowych majtach. Może być chłodno – dodałam na odchodnym.

Moja siostra zaniemówiła.

Oby na stałe – marzyć zawsze można!

Paweł jak zwykle przyjechał po nas punktualnie co do minuty. Wraz z jego przybyciem rozpoczęła się szopka z załadowaniem do samochodu nas, bagaży i, oczywiście, szynszyli. Okazało się bowiem, że w bagażniku już znajdują się torba Pawła – sztuk jeden, torba ojca Pawła – sztuk jeden, i bagaże mamy Pawła – sztuk trzy. Na moje zdziwione spojrzenie mój facet wzruszył ramionami i stwierdził, że matka musi mieć rzeczy na każdą okazję. Andria w wersji pięćdziesiąt plus. Lubiłam Ewę, ale ilość zabranego przez nią bagażu napawała

mnie przerażeniem. Paweł nie jeździł przecież dostawczakiem!

Problem po półgodzinie został rozwiązany dzięki temu, że nasza torba z ciuchami znalazła się pod moimi nogami z przodu, a Andria siedziała z tyłu z rodzicami Pawła z transporterem z gryzoniami na kolanach. Bagaż tych miłych stworzonek (klatka, wióry, żarcie, siano, budka, poidełka, pył kąpielowy) cudem tylko zmieściły się w bagażniku. Mój anioł stróż jednak musi mnie kochać i nie jest zbyt złośliwy.

Mój anioł stróż mnie nie kocha i jest wyjątkowo wredny! Przez dwie godziny jazdy moje kochanie na zmianę zamiast na drogę gapiło się na mój biust, moje nogi (nawet ich dotykał pod pretekstem zmiany biegów) i opowiadało, jakie to będzie szczęśliwe, kiedy to ustątkuje się z odpowiednią kobietą. Byłam tak zajęta sprawdzaniem, czy naprawdę pruje stową, i upewnianiem się, że skok równałby się samobójstwu, że nie zwróciłam uwagi na to, co robi moja siostra. Gdy po raz dziesiąty już zrzuciłam rękę Pawła z mojego uda, nagle rozległ się wrzask Andrii:

- Pitnął mi!
- Co?! – Gwałtownie odwróciłam się do tyłu.
- Otworzyłam na chwilę klatkę, żeby miały trochę świeżego powietrza, i Mag mi pitnął – oświadczyła.
- I gdzie jest? – zapytałam, jeszcze bardzo spokojnie.
- Nie wiem. – Moja siostra wrzuciła ramionami. – Gdzieś w samochodzie.
- To go zlokalizuj. Ale już!
- Jezu! – krzyknął nagle Paweł.

Spojrzałam w jego stronę. Nasza zguba bezczelnie siedziała mu na głowie i majtała ogonem przed oczami. Następnie zeskoczyła na uda.

- Siedz spokojnie, cholero jedna...

Przygotowywałam się do złapania Jasia Wędrowniczka i wpakowania go tam, gdzie jego miejsce – czyli do transportera. Wyciągnęłam ręce, chcąc złapać zwierzaka, ale on był szybszy. Zeskoczył Pawłowi z kolan i pobiegł w niewiadomym kierunku. Ja, niestety, nie jestem taka szybka, nie wyhamowałam na czas i uderzyłam Pawła prosto w klejnoty. W efekcie zgiął się wpół i zawył. Złapał się za obolałe miejsce. Niekontrolowany przez nikogo samochód zjechał na drugi pas i pędził wprost na spotkanie z ciężarówką.

– Paweł, zrób coś! – wrzasnęłam i złapałam za kierownicę. Gwałtowny ruch wystarczył, by auto wróciło na właściwy pas. Niestety na tym nie poprzestało: opuściło drogę i tym razem toczyło się na spotkanie z drzewem, brzożą konkretnie, co zauważyłam później.

– Hamuj!!! – wrzasnęłam znów i zakryłam oczy rękami, pewna, że zaraz wpakujemy się na drzewo.

Nic takiego się nie stało. W ostatniej chwili punto zatrzymało się kilka centymetrów od drzewa.

– Gdzie ta bestia? – Po pięciu minutach, kiedy już ochłonęłam, uspokoiłam serce i upewniłam się, że jeszcze żyję, zaczęłam szukać wzrokiem sprawcy naszych wszystkich nieszczęść.

– Uciekł do mnie – powiedziała moja siostra, tuląc do siebie szynszylę. Popatrzyła na mnie z wyrzutem. – On nie lubi wrzasków, zwłaszcza twoich.

Andria powoli odzyskiwała rezon. Ja jeszcze miałam przed oczami tę ciężarówkę.

– Zdajesz sobie sprawę, do czego mogła doprowadzić twoja bezmyślność?

Andria zamrugła.

– O co ci chodzi? – zdziwiła się. – Przecież to nie ja prawie pozbawiłam tych miłych państwa nadziei na przyszłe wnuki. – Wskazała na nieruchomych, niemal zielonych, oddychających powoli rodziców Pawła.

– Ale to ty wypuściłaś to zwierzę i od tego się zaczęło.

– On nie jest „to zwierzę” – zaprotestowała. – Ma swoje imię i się ciebie boi, bo jesteś wredna. A poza tym chyba obie mamy spóźniony refleks.

Doszłam do wniosku, że moja siostra jak zwykle jaja sobie robi, a przecież mało brakowało, byśmy wszyscy wachali kwiatki od spodu.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Paweł jęczy. Obowiązek przede wszystkim. Siostrą zajmę się później, obiecałam sobie z morderczą satysfakcją.

Reszta drogi minęła bardzo spokojnie. Prowadził Józek, ojciec Pawła, bo moje kochanie nie było w stanie. Szok plus obolałe delikatne części ciała zrobiły swoje. Siedziałam z nim na tylnym siedzeniu i pocieszałam. Kiedy zauważyłam, że zamiast patrzeć mi w oczy, zaczyna wzrokiem schodzić niżej, stwierdziłam, że natychmiastowa pomoc lekarska nie będzie niezbędna.

Do Lubicy dojechaliśmy około siódmej. Ponieważ było już ciemno, udaliśmy się prosto do naszego pensjonatu, zwiedzanie dworku zostawiając sobie na dzień następny. Rozgościliśmy się w pokojach. Szybko stwierdziłam, że jestem wściekle głodna. Najwyraźniej niebezpieczeństwo gwałtownej śmierci potęguje apetyt. Paweł dostał zadanie zamówić mi i siostrze kolację z dostawą do pokoju.

Po zjedzeniu postanowiłam iść spać, zwłaszcza że pobudkę zarządziłam na szóstą. Miałam dość wrażeń na jeden dzień.

Następny ranek, jak na styczeń, był ciepły. Zero stopni. Andria wciąż była na mnie wściekła, bo przed wyjściem sprawdziłam, czy ciepło się ubrała. Oskarżyła mnie, że wciąż traktuję ją jak małe dziecko, na szczęście później na dłuższy czas zamilkła. Wpakowaliśmy się do samochodu; prowadził Paweł, który zdążył odsapnąć po wczorajszych przejściach i był w bardzo dobrym humorze. Było to

dziwne, zważywszy na to, że dzień zaczynał się dla niego nieciekawie; nie cierpiał wszystkiego, co łączyłoby się ze wzmożonym wysiłkiem fizycznym w soboty. Mogło to oznaczać tylko jedno: ewidentnie coś knuł. Jego zachowanie przestało mnie jednak zastanawiać, kiedy tylko dojechaliśmy na miejsce przeznaczenia. Punto zatrzymało się przed żelazną bramą. Pawełek spojrzął na nią z niesmakiem, a następnie mężnie sięgnął do kieszeni kurtki po klucz i wysiadł z samochodu. Otworzywszy zardzewiałą bramę, wsiadł z powrotem do samochodu i zaczął jechać wiodącą do dworku aleją. Po obu jej stronach rosły jakieś drzewa. Jakie, nie wiem, nie miały liści, a nawet gdyby miały, to w końcu jestem historykiem, a nie botanikiem. Po minucie zza drzew wyłonił się dwór, a ja po raz pierwszy pomyślałam sobie, że dla tej chwili było warto znosić Pawła, Andrię, szynszyle i całą tę upiorną podróż.

Dworek otaczały drzewa. Pewnie wraz z wiosną zrobi się tu zielono i kolorowo od kwiatów. Sam dwór był dużym, szerokim budynkiem w kremowym kolorze, krytym brązową dachówką. Składał się z piętra i parteru i miał maleńkie okienka nad piętrem, co oznaczało strych. Wejście ocienione dachem opierającym się na kolumnach, okna przykrywały brązowe okiennice. Miejscami farba złaźiła ze ścian, tworząc nieładne łaty, które na szczęście nie były bardzo widoczne. Podeszłam bliżej. Miałam wrażenie, że coś szepcze do mnie: „nareszcie”. Tak długo czekał... I jesteśmy – my, mieszkańcy. Ojciec Pawła podszedł do brązowych drewnianych drzwi, włożył klucz do zamka i przekręcił go. Chwyciwszy za klamkę, pchnął masywne odrzwia, które otworzyły się z niemiłym dla ucha skrzypieniem. Ciarki przebiegły mi po plecach. Co zastanę w środku?

Weszłam zaraz za Józkiem. Wewnątrz było ciemno, tylko wpadające przez otwarte drzwi światło oświetliło część pomieszczenia, które najprawdopodobniej było holem. Widoczna była również część schodów wiodących na górę. Cienie malowały na ścianach jakieś mefistofeliczne pejzaże. Widząc, że odważyłam się wejść do środka, reszta ruszyła za mną. Wkrótce staliśmy w mroku, w ciszy napawając się atmosferą tego miejsca. Nie przypadła ona jednak do gustu mojej siostrze.

– Czy ktoś mógłby zapalić jakieś światło? – jej głos zabrzmiał w tej ciszy jak wystrzał. – Mam wrażenie, że zaraz napadnie nas jakaś mumia. Brr...

– Młoda – upomniałam ją stanowczo – to nie Egipt! Tu mumie nie spacerują. Najwyżej spotkasz jakiegoś miłego utopca lub straszącego, rozkładającego się i śmierdzącego nieziemsko upiora.

Andria, która profilaktycznie przysunęła się bliżej mnie i przestała udawać niemowę, rzuciła mi spojrzenie pełne wyrzutu.

– Ty to umiesz człowieka pocieszyć! Ja nic nie chcę mówić, ale tu jest trochę niesamowicie... – jej głos odbijał się od pustych ścian.

– Masz rację! – Wróciła mi ochota do działania. – Paweł – zakomenderowałam – niech się stanie jasność.

– Amen – podsumowała sytuację Ewa.

Nasi panowie zaczęli kolejno otwierać okiennice i wpuszczać światło do ciemnych pokoi. My, w roli pań dziedziczek, szłyśmy za nimi. Kiedy przemierzali wszystkie pomieszczenia, mieliśmy dość dobry ogląd sytuacji: dwór okazał się niezbyt zniszczony, pozbawiony wszelkich mebli i dość brudny. Domagał się też malowania. Na szczęście parkiet po wyczyszczeniu będzie się nadawał do użytku. Nasi panowie postanowili kupić potrzebne narzędzia i wraz z nadejściem wiosny zabrać się za remont. Paweł, który pracował w firmie budowlanej i miał znajomości wśród najróżniejszych fachowców, stwierdził, że pół roku wystarczy. Sprzątanie zdecydowanie nie miało teraz sensu, zwłaszcza że część pomieszczeń wymagała przebudowy.

– Zobaczyłeś wszystko, co chciałeś? – zwróciłam się do Pawła.

– No... tak. – Spojrzał na mnie dziwnie.

– A ja jeszcze nie. Strych i piwnica. Prowadź.

Wzniósł oczy do góry i tylko pokręcił głową.

– Z normalną kobietą można iść na zakupy, a jej tylko strychy w głowie! – Przcisnął mnie do siebie na znak, że moja nieszkodliwa mania mu nie przeszkadza.

– Jeśli chcesz, możesz iść na zakupy ze mną. – Moja siostra, z której barków zdjęta została groza wielogodzinnego sprzątania, odzyskała rezon i postanowiła skorzystać z okazji.

– Znajdź sobie własną krowę do dojenia. – Musiałam stanowczo bronić mojego terytorium i portfela Pawła. – Ta została już spętana i oznakowana.

Rzeczony zwierz postanowił włączyć się do naszej dyskusji.

– Byk, jeśli można; nie krowa! – Spojrzał na mnie z prośbą w oczach.

– W porządku: byk. – Okazałam miłosierdzie. – Bardzo byczy byk.

Nagle zatrzymał się i obrócił do rodziców.

– Właściwie nie macie tu już nic więcej do roboty. Dzień jest ładny. Może przejdziecie się do parku? – zasugerował.

– Pójdziemy już do pensjonatu. To niedaleko – zdecydował Józek.

– Czy moglibyście wziąć ze sobą...? – Tu spojrzał wymownie na Andrieę.

– Jasne – zaśmiał się jego ojciec. – Tylko pamiętaj, synu, w budynku jest mimo wszystko zimno i dość brudno. No i – kontynuował – brak odpowiednich mebli.

Spiekłam raka, w końcu mogliby się chociaż przy nieletniej powstrzymać, zaś Pawełek tylko wzruszył ramionami.

– Dla chcącego...

– Zapomnij – przerwałam mu. – Będiesz zbyt zajęty innymi sprawami.

Andria, bądź grzeczna.

– Przecież jestem. Zawsze! – zapewniła i potrząsając włosami spiętymi w kucyk, wyszła z dworku. Ja zaś zaczęłam wdrapywać się na schody wiodące na pierwsze piętro.

Schody prowadzące na strych znajdowały się na początku korytarza na pierwszym piętrze, ukryte za niepozornymi brązowymi drzwiami. Drzwi otworzyłam bez problemu, choć oczywiście musiały zaskrzypieć, gdy tylko je uchyliłam. Popatrzyłam w górę; było ciemno jak w tyłku Saracena.

– Paweł! – wrzasnęłam w kierunku parteru. – Chodź tu i zrób coś, żeby na tych schodach było jasno.

Stałam przy otwartych drzwiach i czekałam. Chwilę potem Paweł wyłonił się zza rogu, ze świeczką w ręce. Popatrzyłam na niego z politowaniem.

– Nie umiałeś znaleźć czegoś bardziej nowoczesnego? Lampki oliwnej na przykład? – zakpiłam.

– Sorry. Muszę znaleźć tam kontakt, a nie wziąłem latarki. A poza tym myślałem, że zależy ci, żeby jak najszybciej znaleźć się na górze!

Mężczyźni! I ich stosunek do świata... oraz do moich priorytetów. Westchnęłam ciężko.

– Już dobrze. Prowadź.

Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że miałam nosa, puszczając go przodem. Pierwsze, co zrobiła moja prywatna ofiara losu, to zaplątała się w pajęczyny. Gdy weszłam na stopnie, te zaczęły okropnie skrzypieć, poza tym odniosłam wrażenie, że trochę zbutwiały, bo chyba uginały się pod mną. Niewiadomego (w ciemności) koloru, pokryte grubą warstwą kurzu, wydawały mi się jednak najwspanialsze na świecie. Z każdym krokiem bowiem zbliżałam się do tego, o czym myślałam od kilku dni. Strychu w starym dworku. Byłam pewna, że znajdę tam coś interesującego. Zawsze znajdowałam.

Paweł zatrzymał się przed drzwiami i nacisnął kłamkę. Słyszałam moje serce walące w tempie dwustu uderzeń na minutę, „to już, to już”, a te cholerne drzwi ani drgnęły! Były zamknięte na klucz. Tego w swoim scenariuszu wydarzeń nie przewidziałam. Andria chyba umrze ze śmiechu, jak jej powiem, że nie weszłam na strych z powodu zamkniętych drzwi. Moja desperacja osiągnęła zenit, zaś ten mój prywatny bałwan oczywiście nic nie robił, tylko się gapił! Postanowiłam troszeczkę nim pokierować.

– Nie interesuje mnie – zaczęłam poirytowana i zdesperowana tonem, który sugerował „lepiej rób, co mówię, bo inaczej stanę się nieobliczalna” – co zrobisz, żeby to diabelstwo wpuściło mnie na górę. Możesz je wyważyć, porąbać, a nawet spalić za pomocą tej świeczki, bylebym znalazła się tam – wskazałam wymownym ruchem na górę.

– Spoko. – Uśmiechnął się tylko, zachowując stoicki spokój w obliczu



rozhisteryzowanej niewiasty. – Mam tu jeszcze jakieś klucze.

Podał mi świeczkę, po czym kolejno zaczął je wyciągać i dopasowywać do zamka. Zaczęłam wykonywać ćwiczenia oddechowe w celu wyciszenia się, bo tak naprawdę nie cierpię odgrywać roli sekutnicy, która ze mnie wyłazi w stresujących sytuacjach. Przy dziewiątym kluczu z kolei zamek zazgrzytał i drzwi otworzyły się. Liczenie oddechów w celu opanowania szalejących emocji przestało być konieczne. Bo czyż mój mężczyzna nie jest najcudowniejszy i najmądrzejszy na świecie?

Trzymając się blisko jego pleców (tak na wszelki wypadek, a nuż tam są pająki?) weszłam na górę. Spojrzałam i już wiedziałam. Istne eldorado! Strych rozciągający się na całej wielkości budynku prezentował się dokładnie tak, jak powinien. Niesamowicie do potęgi entej. Było ciemno. Nawet bardzo, bo nieliczne okienka były malutkie i na dodatek bardzo zakurzone. Mimo to rzucały to tu, to tam snopy światła, oświetlając meble stłoczone na części powierzchni. Widocznie częściowo zostały już odzyskane i przywiezione. Były przykryte jakimiś płótnami lub pokrowcami, a światło, wydobywając je z ciemności, rysowało na nich upiorne kształty. Reszta kryła się w cieniu. Przechodząc, ocieraliśmy się o płótna, a one falowały, wzbijając kurz, który wirował w powietrzu, a potem osiadał z powrotem na podłodze, meblach i, oczywiście, na nas. Widocznie nikt nie pomyślał, żeby posprzątać przed sprowadzeniem tu mebli. Wchodząc pomiędzy nie, szybko zorientowałam się, że tworzą istny labirynt. Orientacji nie poprawiał brak światła... A moja ciekawość domagała się natychmiastowego zaspokojenia.

– Może spróbujemy ściągnąć kilka tych pokrowców i zobaczymy, co kryje się pod nimi? – zasugerowałam.

– Dobra. – Paweł chwycił za pokrowiec i pociągnął. Płachta zsunęła się, wzniecając tumany kurzu. Zaczęłam mocno kaszleć, z oczu zaś pociekły mi łzy.

– Nie tak gwałtownie! – zaprotestowałam, gdy odzyskałam zdolność mowy.  
– Chcesz nas udusić?

– Przepraszam – wykrztusił Paweł i zaczął przyglądać się szafie, którą odsłonił. Bardzo hmmm, antycznej, zachowanej w dobrym stanie szafie, o ile mogłam ocenić w tym świetle.

– No i macie problem z głowy. Pokoje będziecie mogli umeblować antykami. Brak następnych wydatków.

– Cóż... – zastanowił się. – Trochę szkoda...

– Szkoda, nie szkoda. Nie traćmy czasu. Otwieraj – poleciłam.

– Co?

– Jak to: co? – Pokręciłam w myślach głową. Mężczyźni są tacy niedomyślni! – Szafę, skarbie. Może coś jest w środku. – Mój świeży zapach poszukiwacza skarbów rósł w miarę upływu czasu.

Polecenie zostało wydane. Paweł bez gadania zabrał się za otwieranie

zabytku.

– Tylko ostrożnie – upomniałam. – Żebyś jej nie zniszczył.

– Dobra, dobra – mruknął, po czym delikatnie odemknął drzwi. Zajrzałam do środka i... rozczarowanie – szafa była pusta.

– A szło tak dobrze... – jęknęłam. Paweł spojrział na mnie z politowaniem.

– Tak to jest, jak się dostało palec, a chce się całej ręki. Czego się spodziewałaś? Że muzeum doda jeszcze jakiś bonus, w ramach przeprosin za bezprawne przetrzymywanie i ekspozycję? I tak sporo zachodu kosztowało, żeby w ogóle raczyli oddać... – skarcił mnie. – Dochodzi czwarta – mruknął, zbliżywszy świeczkę do lewej ręki. – Zaraz będzie ciemno, a ja już jestem głodny. Musimy iść.

– Teraz? – zawyłam. – Dopiero co tu weszliśmy, tyle tu do oglądania... A ty już chcesz iść?!

Nie wzruszyło go moje widoczne niezadowolenie.

– Słuchaj, to nie pora, żeby się bawić w Indianę Jonesa. Gdy przyjdzie wiosna, będzie jasno, wtedy przyjedziesz i będziesz mogła tu jeszcze pokopać.

– Wcześniej wszystko poruszacie i już nie będzie tak samo – pociągnęłam nosem, robiąc duże, mokre oczy.

– Coś ty! – Moje widoczne zmartwienie go poruszyło. – Nikt tu w niczym nie będzie grzebać bez ciebie – obiecał.

– Przrzekasz? – Podeszłam do niego i popatrzyłam w jego zielone oczy. – Naprawdę?

– No jasne. – Odłożył na chwilę świeczkę i mnie przytulił. – Będziesz mogła tu sobie grzebać do woli. A ja będę pilnować, by jakiś strychowy dziadek mi cię nie ukraść.

Uszczęśliwiona, obróciłam głowę, by wygodnie ułożyć się na jego ramieniu. I dzięki Bogu, że to zrobiłam. Nasz płomyk ze świeczki postanowił w tym momencie rozszerzyć zakres swojej działalności na płachty, meble i (w perspektywie) cały dworek.

– Pali się! – wrzasnęłam jak głupia, zamiast od razu gasić.

Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że kompletnie straciłam zdrowy rozsądek. Paweł na szczęście zachował trzeźwość umysłu. Zerwał z jakiegoś niskiego mebla płachtę i zaczął dusić ogień. Po minucie było po wszystkim. Tylko my staliśmy w prawie egipskich ciemnościach, zastanawiając się, jak u licha znajdziemy wyjście z tego labiryntu. I to po ciemku!

Nagle jakiś zabłąkany promień słońca oświetlił odsłonięty przez Pawła mebel. Była to skrzynia. Jak w transie, popychana jakimś dziwnym przecuciem, zbliżyłam się do niej i pociągnęłam za wieko. Zaczęło dźwigać się w górę z suchym trzaskiem. Jeszcze jeden wysiłek i odskoczyło. A w środku papiery!!!

– Eureka! – zakrzyknęłam jak Archimedes. – Patrz.

Paweł posłusznie spojrział. Uśmiechnął się do mnie. Byłam w tym momencie

najszczęśliwszą kobietą na świecie. Wiedziałam, że nie dam rady zabrać tego wszystkiego, ale te papiery poczekają. Tymczasem wzięłam do ręki jeden z zeszytów leżących na samej górze, podeszłam do okienka, otworzyłam go i zaczęłam mozolnie czytać przy ostatnich blaskach zachodzącego słońca.

*Maj roku pańskiego 1805*

*Jutro wyjeżdżam do Puław. Moja matka, pułkownikowa Zbarczańska, oświadczyła po śmierci mego ojca i dziadka, że nie mamy, biedne dusze, gdzie się podziąć. Napisała przeto do księżnej jenerałowej, którą znała jeszcze z warszawskich balów w Pałacu Błękitnym. Księżna na list matki uprzejmie odpowiedziała, zapraszając mnie do siebie. Podobno już kilka panien zacnych rodów u niej gości, przeto matka moja uznała, że i mnie będzie tam dobrze...*

Więcej przeczytać nie zdążyłam. Paweł zabrał mi zeszyt z ręki.

– W pensjonacie – powiedział cicho. – Teraz musimy już iść.

Rozejrzałam się po strychu, ciemniejącym z każdą chwilą. Posmutniałam; czułam, że będzie jeszcze długo na mnie czekał. Ale na pewno tu wrócę. Z tym postanowieniem ruszyłam za Pawłem, poszukującym drogi wśród labiryntu mebli. Tuliłam do siebie swój skarb – nowo odkryty pamiętnik.

Do pensjonatu dotarliśmy po piątej, ponieważ głodny Paweł zabrał mnie na obiad. Zresztą dzięki Bogu, bo kiedy wyszłam z dworku, również poczułam silne burczenie w brzuchu. Stanowczo przesadziłam i moje ciało postanowiło dać mi to wyraźnie do zrozumienia. Zasadniczo byłam więc Pawłowi wdzięczna. Do czasu jednak. Kiedy weszłam do pokoju, moja siostra spojrzała na mnie znacząco i zakaszła.

– Jesteś głodna? – zainteresowała się.

– Nie, Paweł wziął mnie do knajpy na obiad.

Moja siostra zrobiła dziwną minę.

– Smakował ci aby?

– Owszem, a dlaczego pytasz? – Co ona mogła knuć?

– To cieszę się. Przynajmniej tyle – zachichotała.

Spojrzałam na moją siostrę jak na ufoludka. Niedługo będę mogła sprzedawać bilety na prywatne pokazy. Nawet jest szansa, że na tym zarobię – taki z niej okaz, lepszy niż w zoo! Ściągnęłam kurtkę i dodatkowy sweter, po czym udałam się do łazienki wziąć prysznic. Weszłam, spojrzałam w lustro i zrozumiałam.

– Aaaaaaaa! Paweł!!!

Przedstawiałam obraz nędzy i rozpaczy. Pajęczyna w resztkach fryzury Baby Jagi. Już nawet nie było widać, że mam ciemne włosy! Cztery brudne smugi na policzku, jedna na nosie i rozmyty makijaż. Obserwowałam, jak moje oczy pod wpływem szoku coraz bardziej ciemnieją. Jak on mógł! Wściekłość podobno dodaje skrzydeł, a mnie na pewno dodała energii. Wypadłam z pokoju i zaczęłam walić w jego drzwi. Paweł z twarzą pokrytą pianą zareagował prawidłowo: otworzył. Na mój widok uniósł brwi.

– Chodź – wyrzuciłam z siebie, władowałam się do jego pokoju, a potem prosto do łazienki.

– Popatrz na mnie – rozkazałam.

– Patrę – potwierdził Paweł.

– I co widzisz? – zapytał słodko. Na jego twarzy zauważyłam pierwszą oznakę niepokoju.

– Ciebie – odkrył Amerykę!

– A konkretnie?

– Nie rozumiem. O co ci chodzi? – zapytał tonem „znów głupia baba odstawia jakieś fochy”.

– O to! – wskazałam na jedną ze smug – i o to, i o to, i o to!!!

– Jak ci to przeszkadza, to, na miłość boską, się umyj. Możesz nawet w mojej łazience – zaproponował chytrze. – A jeśli jesteś na mnie wściekła o tę odrobinę kurzu, to nie trzeba było się upierać i włączyć na strych.

– Nie jestem zła, że jestem brudna – zaczęłam mu tłumaczyć jak małemu dziecku. – Jestem wściekła, że mi o tym nie powiedziałeś i w takim stanie zabrałeś mnie do knajpy.

– Nie zauważyłem – obruszył się.

Nie zauważył! Święci pańscy. Ręce mi opadły. Boże, dlaczego tak mnie karzesz!?

– To kup sobie okulary! – Kpi sobie czy co?

– Przecież byłaś w łazience umyć ręce, nim pojechaliśmy. Mogłaś przetrzeć też twarz, jeśli ci to przeszkadzało – pouczył mnie.

– A było tam lustro? – zapytałam słodko.

Zmarszczył czoło. Prawie słyszałam, jak obracają się trybiki w jego głowie.

– No nie – stwierdził z wahaniem.

– No właśnie! I dlatego trzeba było mi powiedzieć, że jestem usmarowana na twarzy. Albo nie brać w miejsce publiczne, póki się nie umyję.

– Byłem głodny. – Popatrzył na mnie żałośnie. No tak, bierze mnie na litość.

– A poza tym... nie oburzaj się tak. Dla mnie zawsze wyglądasz pięknie.

I jak tu takiego nie kochać?

– I co? Weźmiemy razem prysznic?

## Mężczyźni!

Gdy już udało mi się szczęśliwie wrócić do pokoju, stwierdziłam, że mam ochotę tylko na własne towarzystwo i ewentualnie autorki zapisków, które znalazłam na strychu. Pamiętnik leżał porzucony przeze mnie na łóżku. Odsunawszy kołdrę, siadłam na tapczanie, otworzyłam znalezisko na pierwszej stronie i kontynuowałam lekturę.

*Nie chcę być nieposłuszną córką, ale uważam, że najlepiej będzie mi przy rodzonej matce. A moja wybiera się w świat, pozbywając się jedyne dziecko jak niepotrzebne nikomu tłumoka. Tłumaczyła mi „Agneto, ja muszę w świat, do ludzi, może tam mi się poszczęści?” Moja matuś rzeczywiście jak kwiat rozkwita wśród liczne towarzystwa, dlatego za pieniądze, które dziadzio jej zostawił, wybiera się do Paryża. W Paryżu moja matka, która mimo wieku dalej jest piękna i pełna wdzięku, zabłysnąć ma nadzieję i być może znaleźć sobie adoratora, a może nawet i męża. Lecz na wyjazd nas dwóch pieniędzy nie starczy, same bowiem toalety matki będą kosztować tam majątek.*

*Moja matka dziś prowadzi ostatnią kurację wybielenia cery. Jest to konieczne, bo nie może na dworze cesarskim pokazać się opalona jak murzynka. Radziła się różnych pań w tym względzie. Jedna radziła kwaśne mleko, druga poziomki rozdużone, a trzecia ogórek w plastrach. Matka, nie mając czasu na próbowanie po kolei tych ingrediencji, zrobiła więc mieszaninę z tego wszystkiego i przykładała przed snem na twarz i ramiona. Pomogło – zastanawiam się tylko, które z nich. Ja dzień spędziłam na pakowaniu moich nielicznych sukien. Stryj Ksawery wczoraj dał mi parę monet, tak żebym na miejscu w Puławach mogła sobie kupić jakąś modną suknię. Poza tym obiecywał, że w miarę swoich możliwości jakieś pieniądze mi przyśle za miesiąc lub dwa.*

*Od wczoraj jestem w Puławach. Dojechałam szczęśliwie, aczkolwiek z przygodami. Podczas jazdy osie kocza, w którym podróżowałam, zaczęły się palić. Woźnica zatrzymał więc powóz w zajeździe „Pod królem Michałem”. Dało to chwilę wytchnienia mnie i mojej guwernantce. Po lekkim posiłku poszłam popatrzeć, co robią z osiami. Ku mojemu zdziwieniu gospodyni ubiła pianę z białek i tą pianą smarowała osie. Zaraz za mną wyszła panna Jadzia, która miała mi za złe takie wypatrywanie. Uważa, że piętnastoletniej, prawie dorosłej pannie takie rzeczy nie uchodzą. Poza tym nie wywodzę się z pospólstwa. Wykład trwałby czas dłuższy, lecz woźnica zawołał, że można jechać. Doprawdy, za panną Jadzią i jej*

*wykładami, co w świecie uchodzi, a co nie, nie będę tęsknić w Puławach.*

*Do pałacu zajechaliśmy późnym wieczorem. W drzwiach powitała mnie panna Januszevska, która z polecenia księżnej sprawuje pieczę nad pensją dla panien. W pałacu jest sporo panien z rodzin niespokrewnionych z Czartoryskimi. Panny respektowe księżnej, pensjonarki i wysoko urodzone, które księżna przygarnia, tak jak przygarnęła mnie. Podobno pierwszymi były córki generała Madalińskiego, tegoż samego, co pod Naczelnikiem w powstaniu walczył. Nie poznałam ich jeszcze, bo bawią od wczoraj na wycieczce. Samej księżnej również nie ma w Puławach. Wraz z córką Zofią Zamoyską bawi w uzdrowiskach w Lubieniu i nie wiadomo, kiedy powróci. Na razie panna Januszevska się mną zajmie i wprowadzi w tutejsze życie.*

*Pokój dzielę z dwoma innymi pannami: Niedziałkowską i Gnostkowską. Zrobiły na mnie dziś nader sympatyczne wrażenie. Zwłaszcza panna Konstancja Gnostkowska, która jest rok starsza ode mnie. Poznałam swój rozkład zajęć i inne pensjonariuszki. Dzień spędziłam, zwiedzając pałac i park ze wspaniałą Świątynią Pamięci. W pałacu najbardziej podobały mi się sala muzyczna na pierwszym piętrze, ze stiukami przedstawiającymi instrumenty muzyczne, i salon chiński. W tym salonie podobno bawi się młodzież, jak wspominała panna Januszevska. Myślę, że będzie mi tu dobrze.*

Oderwałam się od pamiętnika. Wprawdzie ciekawiło mnie, co będzie dalej, ale była to dość męcząca lektura. Atrament wyblakł, pewnych słów nie dało się odczytać, a panna Agneta miała naprawdę fatalne pismo. Jednakże początek dziewiętnastego wieku widziany oczami wychowanki księżnej Izabeli Czartoryskiej robił arcyciekawe wrażenie.

Zorientowałam się, że mojej siostrzyczki od dawna nie było w pokoju. Wypadalo wstać, ubrać się i poszukać smarkatej. Wyszłam więc i udałam się do rodziców Pawła. Nikogo nie zastałam. Zapukałam też do niego samego, ani żywej duszy. Gdzie ta Andria mogła się zawieruszyć? Zeszłam do baru. Moja siostrzyczka w swojej mini właśnie czarowała jakiegoś wiejskiego przystojniaka. Już się zaczęłam przeciskać w jej kierunku, aby natrzeć nieletniej uszu, gdy coś mnie zastopowało.

Co? Oczywiście mężczyzna – mój w dodatku! Ja grzecznie na górze pamiętnik sobie czytam, a on na dole podrywa jakąś rudą! Nadzwyczaj

zainteresowany wgapiął się w jej pięknie wyeksponowany biust. Ja też mam! Mały co prawda, ale jak dotąd nie narzekał, a nawet okazywał zachwyt, więc powinien mu wystarczyć! Kierowana pierwszym odruchem, chciałam podejść i zrobić mu piekielną awanturę. I w tym momencie przyszło ocalenie boskie pod postacią przyływu zdrowego rozsądku. Wycofałam się do kąta i zaczęłam analizę sytuacji. Przecież byłam zwyczajnie zazdrosna. Ależ szok! I pomyśleć, że tak się wściekałam z powodu scen zazdrości, które do tej pory mi robił. Zupełnie bezpodstawnie w dodatku. Po wściekłych awanturach przychodziły ciche dni. Nie rozumiałam go, ponieważ sama nigdy nie przejawiałam żadnych morderczych instynktów w stosunku do jakiegokolwiek przedstawicielki płci pięknej. Czyżby zaczynało mi na tym patałachu coraz bardziej zależeć? Niedobrze, Julka, niedobrze.

Uczucie to rodziło też nowe, niezbadane możliwości. Mój związek z Pawłem wchodził w nowy etap. Będę go wychowywać, postanowiłam. I zacznę natychmiast!

Cicho wycofałam się do mojego pokoju i zaczęłam przeszukiwać bagaże mojej siostry. Podejrzywałam (a znam ją bardzo dobrze), że zabrała jakieś fajne ciuszki (może nawet moje), pomimo wyraźnego zakazu.

Oczywiście miałam rację!

Mini, bluzeczka typu „jestem, ale mnie nie ma” i na koniec gwóźdź programu, czyli makijaż. Porządny i widoczny. Em byłaby ze mnie dumna. Do tego szpilki mojej siostry (te dzieciaki mają coraz większe nogi, więc się zmieściłam. Swoją drogą, matka naprawdę nie powinna jej kupować takich butów!) i zesłałam na dół. Nie do pana P., to byłoby zbyt oczywiste. Usiadłam przy barze, zamówiłam drinka (chyba był to Sex on the beach) i uśmiechnęłam się zachęcająco do jakiegoś faceta obok mnie. Zareagował natychmiast – chętny i gotowy. Zasugerowałam, żebyśmy poszli potańczyć. Gamoń od razu przystał – pewnie liczył na coś więcej, więc w niedalekiej przyszłości miał się gorzko rozczarować. Pokierowałam nim tak, by znaleźć się jak najbliżej rudej z Pawłem. Zaśmiałam się delikatnie przy jego stoliku i czekałam na reakcję. I tu się przeliczyłam! Był tak zaabsorbowany rudą, że nawet mnie nie zauważył. O ty...

Pora na plan B. Uśmiechnęłam się do gamonia – Marek mu było na imię – i mocniej się do niego przytuliłam. Niestety, na jego reakcję nie musiałam czekać, bo jego ręce trochę zjechały w dół. Wydałam z siebie całkiem przekonujący chichot i udałam, że tracę równowagę. Oparłam się oczywiście o stół Pawła. Para spojrzała na mój tył. Marek tymczasem wywindował mnie do pozycji pionowej.

– Przepraszam za moją laskę. – Mrugnął do Pawła, który tymczasem kontemplował kolejno moje nogi, brzuch i biust. Coś mu zaczęło świtać, bo gdy doszedł do twarzy, minę miał cudownie wściekłą. JEST! Udało się! Jestem wielka. – Chyba się trochę ten tego...

– *Twoją laskę!*? – wyrzucił z siebie Paweł; mimo ciemności widziałam pulsującą żyłę na jego skroni. – To moja dziewczyna, a nie jakaś tam laska! Łapy precz!

Paweł naprawdę wyglądał na mocno wściekłego, więc Marek rozpoczął strategiczny odwrót. I dobrze, bo mój facet, który tymczasem podniósł się z miejsca, był od niego o głowę wyższy i znacznie cięższy.

– Eee... To wam nie przeszkadzam. Miłej zabawy – wykrztusił i uciekł.

Mój mężczyzna, pozbawiony celu numer jeden, postanowił zająć się mną. Zapomniawszy zupełnie o nowej znajomej, chwycił mnie za rękę i wyciągnął z baru, po czym wpakował do swojego pokoju.

– Czy mogłabyś wyjaśnić mi łaskawie, co robiłaś na dole prawie naga? – wycedził. – Z obcym facetem?

Zbliżył się do mnie i chyba postanowił zastraszyć posturą.

Zadarłam głowę, by popatrzeć mu w oczy. Po chwili rozboleła mnie szyja, bo jest ode mnie jakieś trzydzieści centymetrów wyższy.

– Zwracałam na siebie twoją uwagę. – Zawsze mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, jeśli można wyciągnąć z tego jakąś korzyść.

– Moją co???

Jego wściekłość przerodziła się w osłupienie. Pora na akt drugi.

– Nie zauważyłeś mnie za pierwszym razem, gdy zeszałam. Byłeś... zajęty. Uznałam więc, że skoro podobają ci się *tego* rodzaju kobiety, to trochę upodobnię się do twojej towarzyszki. Niezadowolony?

Paweł stracił wątek. Postanowiłam ruszyć do ataku.

– Chodzi mi tylko o dobro naszego związku. Ja tu w pokoju na ciebie czekam i nudzę się śmiertelnie – Boże, wybac mi to cygaństwo! – a ty tam na dole podrywasz jakieś kobiety.

Druga runda moja, pora przejść do trzeciej.

– Myślałam, że mnie kochasz! – rzuciłam i udało mi się nawet uronić jakąś łzę.

Gem, set i mecz mój.



## 4

Droga powrotna minęła jak najbardziej nudno i spokojnie. W poniedziałek nie szłam do pracy, musiałam tylko skoczyć na uniwersytet po zaliczenie z angola. I miałam w zasadzie wolne, żeby w spokoju przygotować się do egzaminów. Co za szczęście! Ten tydzień był również ostatnim przed feriami, więc po dwóch tygodniach pracy będę miała kolejne dwa tygodnie wolnego. Tego dnia miałam w planach również sprawdzenie, kiedy Kazio uszczęśliwi nas egzaminami, bo Kazio, zamiast iść z duchem czasu, z uporem maniaka wywieszał terminy w gablotce. Nawet siła wyższa pod postacią dziekana nie była w stanie go zmusić do zmiany przyzwyczajień. Trzeba było się na uniwersytecie pofatygować osobiście. Nim dotarłam do tablicy ogłoszeń, zobaczyłam zmierzającą w moją stronę Emilkę.

– Hej! Jak leci? – przywitała się, a następnie od razu wystrzeliła pociski informacyjne: – Polskę mamy w przyszły piątek, powszechną za trzy tygodnie, też w piątek.

No ładnie. Akurat piątki mam w pracy. Jak tu zakuwać rewolucję francuską oraz inne bzdety i w tym samym czasie tłumaczyć moim tłukom różnice między unią personalną a realną? Zawsze jest drugi termin, przecież biorę pod uwagę drugi termin, szybko odzyskałam wrodzony optymizm.

– Zawsze mogło być gorzej. – Moje stwierdzenie starczyło za cały komentarz. – Jest już Rusałka?

Rusałka to pieszczotliwe określenie naszej babeczki od angielskiego.

Drobniutka blondynka zazwyczaj sprawiała wrażenie, jakby zajmowały ją sprawy z innego świata. Poza tym wiecznie spóźniała się na nasze zajęcia. W związku z tym zaraz po przyjściu na zajęcia grupa przygotowywała listę obecnych, by po piętnastu minutach zostawić ją przyklejoną taśmą do drzwi sali, w której powinny się one odbywać. Biedna Rusałka szukała nas wtedy po całym budynku wydziału. I rzadko kiedy udawało jej się nas znaleźć. Dziś sytuacja była inna, dawała zaliczenia, więc trzeba było czekać do oporu. Na szczęście Rusałka przybyła punktualnie i szybko wykonała, co do niej należało. Z indeksami w dłoniach zeszyliśmy z dziewczynami do chlewa, by chwilę poplotkować. Następna okazja dopiero pod salą Kazia, a sytuacja nie będzie nas nastrojać do lekkich pogaduszek...

– Co z Kasią?

Podczas emocjonującego weekendu zapomniałam o naszej koleżance.

– Dalej leży na podtrzymaniu – poinformowała Emil-ka. – Odwiedziłam ją wczoraj i mówiła, że wypiszą ją przed egzaminem u Kazia. Potem weźmie urlop dziekański. Lekarze zabronili jej chodzić, więc ma po zajęciach. Będzie tylko na egzaminach. Na dodatek dostała jakiegoś paskudnego zapalenia krtani i praktycznie nie mówi, więc przez komórkę z nią nie pogadasz.

– A Andrzej? Odezwał się może?

Emilka tylko spojrzała na mnie z politowaniem.

– A jak myślisz?

No to kanał.

Siedziałyśmy w chlewie dobre dwie godziny, obficie racząc się ploteczkami, popijając kawę i odprężając się, gdy nagle Ewa trąciła mnie łokciem w bok.

– Skoro już jesteśmy przy facetach... – podjęła i wskazała na wejście.

Oczywiście stał tam, rozglądając się, mój jedyny. Dojrzał nasze małe zgromadzenie i stanowczym krokiem ruszył do naszego stolika, z marsową miną. Co, u diaska, mu się stało?

Ups, no to mam kłopotek.

– Zapomniałaś – powiedział z wyrzutem, sadowiąc się na wolnym plastikowym krześle.

– Zapomniałam – potwierdziłam, starając się wyglądać na skruszoną.

– I co mam z tobą zrobić? – spytał z westchnieniem.

– Jak to: co? – zaśmiała się Em. – Kochać, oczywiście.

Popatrzyłam na nią. Emilka najwidoczniej nie rozumiała, że miałam z nim wystarczająco wiele roboty i bez tego typu projektów. Pawła nie trzeba było nigdy specjalnie zachęcać.

– Długo czekałeś? – spytałam.

Przejechał ręką po mokrych włosach, najwidoczniej znów padał śnieg. Miał

też mocno czerwone uszy.

– Czterdzieści pięć – stwierdził ponuro.

Auc. Tym razem przeciągnęłam strunę. Miałam nadzieję, że co najwyżej dwadzieścia minut. Postanowiłam zmienić temat na bardziej neutralny. I tak mi się dostanie, na osobności, na szczęście.

– Jak mnie tu znalazłeś? – Łudziłam się, że pół godziny wykładu na temat własnej inteligencji może poprawi mu humor i nie będzie potem gderał jak stara baba.

Niestety. W odpowiedzi cztery pary oczu popatrzyły na mnie z politowaniem. No tak, a gdzie indziej mogłabym siedzieć...? Postanowiłam być dzielna i nie odkładać nieuniknionego.

– Dziewczyny, przykro mi, ale musimy już lecieć. – Ściągnęłam z oparcia płaszcz i zaczęłam go wkładać. Paweł również wstał.

– Gdzie się tak spieszycie? Dopiero pierwsza! – zaprotestowała Aga.

– Pawełek ma teraz wolne, do pracy idzie na piątą, a obiecał mojej siostrze zawieźć ją do stadniny. Andria za... – tu spojrzałam na zegarek – pięć minut kończy lekcje. Jesteśmy już spóźnieni – jęknęłam.

– Ja nie plotkowałem w czasie, gdy mieliśmy po nią jechać – zaznaczył.

– Dobrze, już dobrze! Wstrętna plotkara jestem, ale chodź! – Pociągnęłam go za rękaw kurtki. – Dziewczyny, wszystko wam opowiem po Kaziu! – rzuciłam i ruszyłam w stronę wejścia. Paweł posłusznie ruszył za mną. Pomachałam jeszcze towarzystwu ręką i zwróciłam całą moją uwagę na niego. – Tak swoją drogą – stwierdziłam, oceniwszy jednym rzutem oka stan jego kurtki – mógłbyś się pokazywać między ludźmi trochę lepiej ubrany.

– Między ludźmi czy twoimi przyjaciółkami?

– No dobra. Nie chcę, by pomyślały, że mój facet jest niechlujem. Ta kurtka dawno powinna znaleźć się w koszu. Ma dziurę i jakieś plamy od smaru. No i śmierdzi – zakończyłam.

– I jest idealna na dzisiejszą okazję. – Puścił oko.

– Co? – Trochę mnie przytknęło.

– Kotku, skoro twoja siostra uparła się, że chce jeździć konno, a ja lubię ją na tyle, aby jej to umożliwić, to też chcę coś z tego mieć.

– Co takiego? – Doszliśmy już do samochodu i Paweł otworzył drzwi. Wsiadłam, zapięłam pasy. Paweł zapuścił silnik i włączył się w ruch. Spojrzał na mnie.

– Oczywiście zamierzam trochę pojeździć. Co innego można robić w stadninie?

Imbecyl ze mnie. Co innego można robić. Popatrzeć na konie i obserwować, jak Andria się tłucze. Po tym, jak mu to zaproponowałam, przedstawił kontrpropozycję.

– A może sama spróbujesz wsiąść na konia? – Przesunął wzrokiem po mojej sylwetce. – Trochę ruchu ci nie zaszkodzi, bo ostatnio jakby odrobinę sflaczałaś. Za dużo siedzenia i nicnierobienia – kontynuował, złośliwie się uśmiechając.

Siedziałam w pełnym szoku i absolutnego potępienia milczeniu; czułam się ciężko obrażona. Sflaczałam! Też coś! Nigdy przedtem się nie skarżyłam, a tu nagle taka konkluzja... Pawłkowi najwyraźniej moje fochy nie przeszkadzały. Dopiero się rozkręcał.

– Teraz przejdźmy do twojej punktualności...  
Zapowiadała się długa jazda!

Gdy dotarliśmy pod szkołę Andrii moje uszy przypominały kolorem dojrzałe pomidory. Paweł zrobił wykład na temat odpowiedzialności i liczenia się z drugim człowiekiem oraz jego uczuciami. Słuchałam w milczeniu, bo zgadzałam się z wszystkim, o czym mówił. Przypominało to moje rozmowy z Andrią. A jeśli chodzi o młodszą...

– Jezu! Czekam już dziesięć minut. Gdzie, do diabła, byliście?! – Rzuciła podejrzliwe spojrzenie w kierunku Pawła, po czym wgramoliła się na tylne siedzenie. – Pewnie wam się zebrało na amory gdzieś po drodze. – Spojrzała wymownie na moje czerwone uszy i dodała triumfalnie: – Miałam rację. Paweł, wstydź się. Ja tak zmarzłam!

Otrząsnęła się teatralnie. Miało to znaczyć, że Paweł musi odpokutować, najlepiej finansowo, za jej krzywdy. Postanowiłam do tego nie dopuścić.

– My wcale nie... – zaczęłam nieskładnie – to ja... – w tym momencie poczułam jego rękę ściskającą moje kolano. Gdy na niego spojrzałam, uśmiechnął się tylko i pokręcił lekko głową.

– Nie musimy niczego tłumaczyć – orzekł. – Zatrzymały nas ważne sprawy, a tobie, smarkata, nic do tego. Za spóźnienie przepraszamy. Następnym razem będziemy punktualnie.

Rzuciłam mu długie spojrzenie. Wyjeżdżał właśnie ze szkolnego parkingu; jak wszystkiemu, co robił, poświęcał całą uwagę. Nic dziwnego, bo to blokowisko było rajem dla rajdowców i bez sporej dozy rozwagi nietrudno tu o wypadek. Dzięki jego szybkiej reakcji nie straciłam twarzy przed młodą. Gdyby wszystko było w naszym związku takie proste, jasne i oczywiste. Wybaczyłam mu nawet ten kawałek o sflaczeniu, bo rzeczywiście miał rację. A prawda, niestety, w oczy kole.

Do stadniny dojechaliśmy przed drugą. Zostawiliśmy auto przed bramą i dalej szliśmy śladem kopyt. Wkrótce dotarliśmy do stajen i padoku. Moja siostra biegiem dopadła do płotu okalającego padok.

– Patrz! – zawołała – Patataje!

Kilka koni pasło się na łące, a na padoku jakiś gość siedział na łaciatym

perszeronie. Na drugim usadowiła się babka w stroju do jazdy konnej. Gdy podeszliśmy, okazało się, że wydaje polecenia temu facetowi. Pewnie instruktorka.

– No dalej. Koń musi cię słuchać, więc zmusz go do kłusa.

Facet na koniu kopnął kilka razy zwierzę w boki i zaczął uderzać bacikiem w zad. Wałach ze stępa przeszedł do stania. Facet spurpurowiał i się wściekł.

– No rusz się, głupie bydle! – krzyknął i zaczął go wa---lić coraz mocniej po zadzie.

Koń ani drgnął. Szarpnął łbem, pokazał wszystkie zęby i zarżał. Miałam wrażenie, że śmieje się z jeźdźca. I wcale mu się nie dziwiłam. Gdyby ktoś mnie tak walił bez opamiętania, też pewnie miałabym go głęboko w...

Instruktorka pokręciła tylko głową.

– Dobra. Koniec na dzisiaj. W przyszłym tygodniu będziemy kontynuować.

Facet zsiadł z konia. Chwycił za wodze i pociągnął, a zwierzak ruszył za nim stępa. Mężczyzna doszedł do drągów i przywiązał zwierzę. Następnie ściągnął toczek z głowy, powiesił na haku i z obrażoną miną przeszedł obok nas. Po chwili podeszła do nas instruktorka.

– Na jazdy? – zapytała.

– No jasne – potwierdziła moja siostra.

– Czy któreś z was już jeździło?

– Ja parę lat temu – powiedział Paweł.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Nigdy mi się nie przyznał. Stąd ta kurtka.

– Moja siostra nigdy nie siedziała na koniu.

– A ty? – dopytywała.

– Ja też nie i nie zamierzam zacząć.

– Boisz się ich.

– Nie, ale chyba za stara na to jestem. – Popatrzyłam na nią jak na niespełna rozumu.

– Na naukę nigdy się nie jest za starym. A tak poza tym, to Anka jestem.

Przedstawiliśmy się.

– Dobra, na początek proponuję po pół godziny na lonży dla każdego z was. Ty co prawda już jeździłaś, ale miałaś długą przerwę. – Krytycznie omiotła wzrokiem Pawła, który miał zamiar protestować. – Musisz się znów przyzwyczaić. Miałam tu kiedyś taką jedną po obozie jeździeckim. Wykupiła sobie dwie godziny jazdy w terenie.

– I co?

– I jak zsiadła z Łopiana, to jej nogi odmówiły posłuszeństwa. Trzy godziny dochodziła do siebie. I co? – Popatrzyła na mnie z wyzwaniem w oczach. – Spróbujesz?

A co mi tam. Zawsze byłam ciekawa, jakie to uczucie.

– Spróbuję – potwierdziłam.

Anka weszła na pastwisko, podeszła do jednego z koni: niewysokiego, białego w brązowe łaty, chwyciła za coś, co oplatało jego łeb (a co, jak później się dowiedziałam, nazywało się kantar), i przyprowadziła do nas. Następnie przyczepiła do tego czegoś uwiąz zawinięty wokół słupa. – To Pszczółka. Klacz rasy huculskiej. Są małe, ale każde z nich ma swój charakterek i bardzo fajnie dają się prowadzić. Dla początkujących idealne.

Popatrzyliśmy sceptycznie na Pszczółkę.

– Lekcja numer jeden. Do konia podchodzimy zawsze z przodu; musi nas widzieć. Nie wolno podchodzić od tyłu, bo może kopnąć i nieszczęście gotowe. Dobra – zakomenderowała. – Zbliście się do niej i ją poklepcie.

Nieśmiało podeszliśmy do Pszczółki i zaczęliśmy ją poklepywać.

– Lekcja numer dwa. Konia przed jazdą trzeba wyczyścić. Kiedy są na pastwisku, uwielbiają się przewracać i tarzać. Pod siodłem nie może być żadnego brudu, bo konia może to zranić. Bierzecie te dwie szczotki, następnie kolistymi ruchami zdrapujecie pył i błoto, potem uderzacie szczotkami w drąg, żeby je wytrzepać. Jasne?

Popatrzyłyśmy z Andrią na siebie z mocno niepewnymi minami. No cóż, jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B. Wzięłam szczotki od Anki, która uśmiechnęła się do mnie pocieszająco.

– Za pierwszym razem to zawsze tak strasznie wygląda. A jest bardzo proste. Przekonacie się same.

Wzięłam od niej szczoty i zaczęłam. Koliście po grzbiecie i otarcie szczotek o siebie. Posypał się kurz, chmara kurzu, który osiadał na wszystkim, a zwłaszcza na moim nowym płaszczu. Ściągnęłam go. Na zniszczenie sfatygowanego już swetra mogłam sobie pozwolić, natomiast płaszcz... zdecydowanie nie! Z ponurą determinacją czyściłam końską szyję, boki i zad. Gdy uznałam, że już jest czysty, oddałam szczotki Andrii. Po pełnej toalecie Pszczółki zawołałyśmy Ankę. Spojrzała na kobyłkę, poklepała ją po grzbiecie i oczywiście pojawił się kurz.

– Do poprawki – zaordynowała.

Pszczółka skrzyła szyję w naszą stronę i spojrzała na nas, pokazując zęby. Miałam wrażenie, że ma niezły ubaw. Pewnie gdyby mogła, popukałaby się kopytem w czółko.

– Paweł – podałam mu szczotki – teraz twoja kolej.

Mój mężczyzna zabrał się energicznie do pracy i po dziesięciu minutach uznał, że klacz jest wyczyszczona. Anka, przeprowadziwszy powtórny kontrolę, doszła do tego samego wniosku. Odetchnęłam z ulgą. Teraz będziemy jeździć!

– Teraz trzeba jej wyczyścić kopyta – zarządziła Anka. A mnie opadła szczena. – Kiedy biegają po pastwisku, w strzałce w kopycie gromadzą się różne paskudztwa, w tym kamienie. Taki kamień może doprowadzić do tego, że zwierzę

okuleje. Przed każdą jazdą trzeba taką strzałkę wyczyścić. Bierzymy kopystkę – metalowy szpikulec zakrzywiony na końcu, z twardym włosiem po drugiej stronie – i zmuszamy konia, by podał kopyto.

Anka pochyliła się, chwyciła klacz nad kopytem, nacisnęła biodrem nogę Pszczółki i zawołała „Noga!”. Po chwili ukazała nam się spodnia część kopyta. Pełna trawy i innych rzeczy, z nawozem końskim włącznie.

– Wkładamy to w strzałkę i przesuwając wzdłuż brzegów, wybieramy ściwista tak długo, aż będzie czyste.

– Jest niepodkuta – stwierdziłam ze zdumieniem, oglądając po jakimś czasie czyste już kopyto.

– W jej wypadku to niepotrzebne. Chodzi po miękkiej powierzchni, rekreacyjnie. Poza tym podkuwanie powoduje osłabienie kopyta i zanik strzałki – wyjaśniła Anka, po czym wręczyła mi przyrząd.

Nie byłam pewna, czy Pszczółka będzie tak łaskawa i poda mi nogę. Przy samym czyszczeniu nie musiała aż tak ściśle współpracować. Mimo obaw, zgodnie z instrukcją chwyciłam jej tylną nogę, napałam z całej siły biodrem i nie zdążyłam nawet zawołać „Noga!”, gdy kopyto się uniosło. W wykonaniu Anki wszystko wyglądało na dość proste.

Nie było. Z przekleństwem na końcu języka jedną ręką usiłowałam utrzymać końskie kopyto, a drugą grzebałam w strzałce. Oczywiście wszystko robiłam źle.

– Nie tak delikatnie! Nogę wyczyść dobrze. Jej to naprawdę nie boli.

Skoro nie boli, to nie boli. Przycisnęłam mocniej i zaczęłam wydłubywać z kopyta śmierdzące ściwista, na początku walcząc trochę z odruchami wymiotnymi. Na szczęście następnymi nogami zajęli się Paweł i Andria.

– Koniec czyszczenia – oznajmiła w pewnym momencie Anka, a ja odetchnęłam z ulgą. – Teraz trzeba ją osiodłać – dodała.

Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?!

– Przyniosłam już siodło i uprząż. Najpierw wędzidło. Te dwa koła kciukiem i palcem szeroko, to metalowe do pyska, będziesz mogła pomamlać – zwróciła się do Pszczółki. – Następnie uprząż na głowę, wyciągnąć spod skórzanych pasków grzywę, by kobyłka wyglądała ładnie, a nie jak pół dupy zza krzaka. A teraz – dodała po chwili, gdy polecenie zostało wykonane – zapiąć paski. Następnie ją siodlamy. Najpierw taka narzuta pod siodło i siodło, trzeba sprawdzić, by nie było pod nim żadnych zagnieceń. Dobrze... Strzemiona wysoko. Można je opuścić dopiero na padoku, bo gdyby zwisały luźno, koń mógłby się poranić. I popręg, też nie zaciskamy za mocno, poprawimy na padoku. Toczki na głowę i zapraszam! – zaordynowała w końcu.

– Paweł, ty pierwszy – zaproponowałam. – Zaprezentuj się.

Paweł tylko pokręcił głową, ale ruszył na padok za Anką.

– No to na koń, proszę pana! – zawołała.

Paweł dość szybko dosiadł konia. Anka wzięła długi bat i przymocowała do uzdy lonżę. Kobyłka zaczęła chodzić stępa w koło.

– I jak? – zawołałam do niego.

– Super! – odkrzyknął. – Już zapomniałem, jakie to uczucie. Muszę częściej to powtarzać.

– Teraz klusem. Anglezować umiesz? – przerwała te wywody Anka.

– Dawno tego nie robiłem, ale spróbuję.

Pszczółka ruszyła szybciej, a on zaczął się unosić i opadać w rytm kroków konia. Trochę śmiesznie to wyglądało, bo klacz malutka, a mój facet ma przeszło metr dziewięćdziesiąt.

– Bardzo dobrze – oceniła Anka.

Pół godziny minęło dość szybko. Paweł zsiadł z konia i pomachał w moim kierunku.

– Teraz ty!

Cofnęłam się lekko.

– Może lepiej Andria? – zaproponowałam. – To w końcu był jej pomysł...

– Nie bądź tchórzem! – wykrzywił się paskudnie. – Na koń, proszę pani.

Westchnęłam w duchu. Zaraz jednak przypomniałam sobie o tym, że dopiero co wytknął mi „sflaczenie” i postanowiłam, że mu pokażę. Nie będzie się ze mnie nabijał, osilek jeden. I to jeszcze przy młodej! Będzie podziwiał mój świetny dosiad. Julio, do dzieła, pomyślałam, i zaczęłam dzielnie wdrapywać się na Pszczółkę.

Ewidentnie mi nie szło! Noga ześlizgiwała mi się ze strzemienia, a jak już ją umocowałam w miarę stabilnie, nie umiałam się na niej podciągnąć do góry, w rezultacie straciłam równowagę i klapnęłam tyłkiem na padok. Na szczęście obok niespodzianki pozostawionej przez jakiegoś konia. Za sobą słyszałam parsknięcia Pawła i dziki chichot mojej siostruni. Na cholerę mi to było! Gdy po raz kolejny usiłowałam znaleźć się na końskim grzbiecie, na tyłku poczułam czyjeś ręce, które wwindowały mnie, gdzie trzeba. Nie musiałam się nawet zastanawiać czyje... Pozostało tylko przerzucić drugą nogę i byłam bezpieczna.

Tak przynajmniej myślałam. Teraz Pszczółka zaczęła chodzić stępa. Dopiero po pięciu minutach podziwiania krajobrazu z wysokości końskiego grzbietu i przyzwyczajania się do balansowania ciałem w rytm kroków kobyłki rozluźniłam się i nawet odważyłam się pomyśleć, że w końcu nie było wcale tak źle.

I wtedy odezwała się instruktorka.

– Dobra, a teraz parę ćwiczeń.

Jakich ćwiczeń, do cholery? Poczułam niepokój.

– On nie musiał – słabo zaprotestowałam.

– On już siedział na koniu. Ty jeszcze nie. Musisz przełamać lęk przed nią. Na przykład, że cię zrzuci.



Wielkie dzięki, dopiero teraz zaczęłam się bać. Chyba byłam tak zaabsorbowana tym, żeby wreszcie jakoś usadzić własny zadek na końskim grzbiecie, że od początku moich mocowań z siodłem nie zdążyło mi nawet przyjść do głowy, że przecież istnieje jeszcze bolesna i upokarzająca możliwość upadku. Musiałam zrobić się bladozielona, bo w chwili, w której uświadomiłam sobie tę ewentualność, Andria zaczęła wprost ryczeć ze śmiechu. Bardzo zabawne, zobaczymy, co powiesz w domu.

Poddałam się losowi; to była ewidentnie kara boska za dzisiejsze spóźnienie. Ćwiczenia były różnorodne, pochylałam się na koniu i dotykałam jego uszu, robiłam nożyce nad jego szyją i zadem, modląc się równocześnie do wszystkich świętych, by bydlę mnie nie zrzuciło i nie podeptało. Gdy Anka odtrąbiła koniec ćwiczeń, odetchnęłam z ulgą. Po raz kolejny okazało się, że za wcześnie.

– Dobra, a teraz klusem.

Miałam ochotę wrzasnąć „Na litość boską, nie!”, ale było za późno. Klacz zaczęła biegać. A ja, siedząc w siodle, byłam wyrzucana do góry i zaraz lądowałam dość boleśnie na czterech literach. I to by było na tyle, jeśli chodzi o wspaniałe dosiad.

– Spróbuj anglezować! – zawołała do mnie Anka.

– Co takiego?! – odpowiedziałam, podzwaniając zębami. Byłam pewna, że zaraz odgryzę sobie język.

– Unoś się i opadaj w rytm ruchów konia! – poradziła.

Spróbowałam. Moje zęby rzeczywiście przestały dzwonić, ale nie szło mi za dobrze. Po chwili, która wydawała mi się wiecznością, Pszczółka przeszła do stępa, a po pięciu minutach stanęła. Udało mi się zsiąść w miarę płynnie (jeden sukces w morzu porażek), ale nadal kurczowo trzymałam się siodła. Przy zetknięciu się z gruntem doszłam do wniosku, że nogi mam jak z galarety.

– Anglezowanie – powiedział ze współczuciem Paweł. – Masz jeszcze słabe mięśnie. Po jakimś czasie, jeśli będziesz jeździć regularnie, to minie.

Też mi pocieszenie! Te „słabe mięśnie” to oczywiście kolejny przytyk do mojej miernej kondycji. Gentleman, cholera jasna.

Poza tym... W tej chwili nie byłam pewna, czy chcę jeszcze kiedykolwiek wsiąść na konia. To miłe zwierzątko, z daleka. Nie są już wcale takie pocziwe, kiedy się siedzi na ich grzbiecie. Doszłam do wniosku, że wolę je głaskać niż na nich jeździć. Wzięłam się w garść i odeszłam za ogrodzenie, robiąc miejsce Andrii, która kilka tygodni czekała na tę chwilę. Szybko wdrapała się na Pszczółkę.

Na moje pytanie o to, jak się jej podoba, od razu zaczęła śpiewać „Scotland the Brave”.

Dodam tylko, bo nie wiem, czy już o tym wspominałam, że moja siostra wcale śpiewać nie umie. Gdybym mogła, za nic w świecie nie przyznałabym się do niej w takich chwilach. Dzisiaj ze wszystkich narażonych na ten darmowy koncert

najbardziej żal mi było konia. Bo był najbliżej!

Szło jej zdecydowanie lepiej niż mnie, jakby urodziła się w siodle. A może po prostu Pszczółka wyczuła, że moja siostra czuje się niesamowicie pewnie? Dość powiedzieć, że w pewnym miejscu poczułam drobne ukłucie zazdrości, takie tyci-tyci.

Andria zsiadła z Pszczółki w stanie euforii. No to po ptokach. Moja siostrzyczka ma nowe hobby. Popatrzyła na Pawła z prośbą w oczach.

– No dobra, masz sponsora, ale musisz mi obiecać dwie rzeczy – Paweł postanowił być „twardy”. A przynajmniej twardszy niż dotychczas.

– Wszystko, co zechcesz, mój panie i władco – obiecała moja siostra.

– Przysięgnij, że już nigdy nie będziesz przy mnie śpiewać „Mydełka Fa” – Paweł skrzywił się boleśnie. Andria potakująco pokiwała głową, choć mina jej trochę zrzędła. – I że skasujesz ten filmik z Julią w roli głównej, jak usiłuje dosiąść konia. Nie chcę, by moja dziewczyna została pośmiewiskiem Internetu.

Andria zrobiła cierpiętniczą minę, wyciągnęła komórkę i zaczęła klikać.

A to małpison! Żeby takie świństwo zrobić rodzonej siostrze?

Solidarność jajników jednak nie istnieje, przynajmniej nie w mojej rodzinie. Zostawię sprawę bez komentarza.

Paweł odwiózł nas do domu i pojechał do pracy, szczęściarz. Zapowiedział jednak, że wróci wieczorem. Gdy tylko nas zostawił, zadzwonili rodzice, radośnie oznajmiając, że udało im się pozatwierać wszystkie sprawy wcześniej i już nazajutrz będą z powrotem. Zasadniczo ich kocham, ale w tym momencie niemal zapalałam żądzą mordy. Spojrzałam z trwogą na mieszkanie. Rzut oka wystarczył, by ocenić, że najbliższe cztery, pięć godzin będę musiała spędzić na sprzątaniu. Ciężki jest los studenta na utrzymaniu rodziców! Oczywiście Andria, która dawno już doszła do wniosku, że sprzątanie musi być jakimś dziwnym rytuałem związanym z pierworództwem, nie raczyła nawet kiwnąć palcem... Po tym jak wypięła się na mnie i domowe porządki, w ramach okazania miłosierdzia starszemu rodzeństwu łaskawie zgodziła się ściszyć muzykę, moje pozostałe prośby zbywając milczeniem... Koło dwudziestej pierwszej moja frustracja i pragnienie krwawej zemsty osiągnęły zenit.

Ten moment wybrał sobie Paweł na powrót. Z miejsca poprosił o obiad, nie raczywszy się nawet zainteresować, czy znalazłam chwilę, żeby sama coś zjeść. Przed moim gwałtownym wybuchem uratował go dzwonek telefonu. Odebrałam, Paweł zaś wycofał się do kuchni.

Dzwonił brat Kasi, prosząc w jej imieniu, bym udała się do prowadzącej zajęcia z niemieckiego i zapytała o możliwość wpisania zaliczenia, jeśli Mirek (brat Kasi) przejdzie na uniwersytet z jej indeksem. Pogawędziliśmy potem jeszcze chwilę, na zakończenie wymieniając propozycje rozmaitych eksperymentów, które

dałoby się przeprowadzić na Andrzeju.

Gdy w lepszym już humorze rzuciłam „do jutra!” i się rozłączyłam, zauważyłam Pawła, który stał, opierając się ramieniem o ścianę obok drzwi. Patrzył na mnie spode łba.

– Jesteś bardzo rozchwytywana wieczorami.

O nie. Nie miałam czasu ani ochoty walczyć z kolejnym atakiem zaborczości. I to ze strony ciamajdy życiowego, który nie umie nawet zorientować się, kiedy jest podrywany przez obce dziewczyny. Takie jak ta ruda w Lubiczy. Zresztą dzięki Andrzejowi obecnie znajdowałam się na poziomie „Samiec – twój wróg”. Nie chcąc przez przypadek wywołać awantury, wytłumaczyłam, o co chodzi, a następnie poprosiłam, by pojechał do siebie.

Westchnął ciężko, cmoknął mnie w czoło, po czym zastosował się do mojej prośby.

Gdy poszłam do kuchni zrobić sobie kanapkę, zastałam w lodówce tylko światło. I majonez. Andria z Pawłem dokumentnie ją opędzłowali. A ja, przyglądając się ostatniemu produktowi spożywczemu, nagle poczułam, że przestałam być głodna.

Około dziesiątej wieczorem padłam na łóżko wykończona. Mieszkanie co prawda lśniło, ale nie zdążyłam nawet zajrzeć do książek, by zacząć się uczyć na egzamin. Przed snem postanowiłam przeczytać kolejny fragment pamiętnika Agnety.

*Czerwiec roku pańskiego 1805*

*Już trzy prawie tygodnie mijają od mojego przyjazdu do Puław. Nie czuję się tu obco i mam nawet pierwszą przyjaciółkę i towarzyszkę, z którą mogę się podzielić wszystkimi moimi obawami oraz marzeniami. Panna Konstancja jest cudowna. Niziutka, ma oczy koloru niezapominajek, białą jak mleko cerę i włosy przypominające kolorem zachodzące słońce. Najważniejsze jednak, że dzielimy pokój, więc możemy wymieniać wszystkie myśli. Prócz panny Konstancji najbardziej przypadła mi do serca panna Marta Rybczyńska. To dziwne, ale jej młodszej siostry Alicji nie znajduję wcale sympatyczną. Panny Rybczyńskie są najstarsze w naszym gronie. Panna Marta ma aż 19 lat, ale nie jest tak wyniosła i nie nosi głowy tak wysoko podniesionej jak jej siostra. A miałyby powody! Spokrewniona z Tyszkiewiczami, mając w rodzie matki Potockich... Jest największą dziedziczką spośród nas. Ciekawa jestem tylko, czemu mimo zaawansowanego wieku jeszcze nie wyszła za mąż.*

*Panna Ala to już inna historia, bo choć równie świetnie urodzona, nie*

*posiada majątku siostry.*

*Starsza panna Rybczyńska odziedziczyła posag po matce. Matka jej siostry majątku nie miała, kiedy wychodziła za ojca Marty. A spadek po ojcu, po jego jak najdłuższym życiu, weźmie ich brat Andrzej.*

*Panna Konstancja nie jest wielką dziedziczką, ale ma dość znaczny posag, przeto, jak mówi, jej najdroższy brat nie martwi się jej zamążpójściem. Jest zresztą tak miłą w obejściu, iż przymioty jej ducha łatwo na dalszy plan strąca jej majątek. Opowiadała mi, że jej brat często żartował, iż po skończeniu przez nią siedemnastego roku życia będzie musiał z pistoletem kłaść się do snu pod drzwiami jej sypialni, aby łotrzyk jakowyś, bez błogosławieństwa rodziny będący, jej nie wykradł i do zaślubin gwałtem nie przymusił.*

*Teraz obieśmy do tego stanu za młode, dlatego pobieramy nauki na pensji. Nasz dzień rozpoczyna się wczesnie rano. Wstajemy o siódmej, uczestniczymy we mszy w kaplicy, następnie jemy śniadanie. Potem rozpoczynają się lekcje. Do południa matematyka naprzemiennie z historią, polski, język francuski. Potem spożywamy obiad. Po obiedzie godzina przerwy, a następnie czytanie lektur, nauka tańca, lekcje muzyki, malarstwa i śpiewu. W czwartki popołudniami uczymy się, jak prowadzić dom, byśmy po ślubie wiedziały, jak dbać o małżonka i nie przyniosły wstydu naszym rodzinom. W ostatni czwartek wraz z gospodynią lałyśmy świece i robiłyśmy mydło. Panna Januszevska jest zdania, że dobra pani domu nie tylko na salonach błyszczeć, ale także wszystkie prace w obejściu musi umieć wykonać w razie potrzeby. Choćby po to, by jej własna służba nie mogła oszukiwać w rachunkach.*

*Z zajęć wszelako najbardziej jestem kontenta z nauki tańca. Moja matka zawsze uważała, iż wynajęcie tancmistrza wiąże się ze zbyt dużym wydatkiem. Tu na miejscu okazało się, jaka ze mnie prowincjuszka. Tańczyć umieć muszę, bo gdy skończę szesnaście lat, będę tu brać udział w wieczorkach tańczących i na jednym z nich być może spotkam przyszłego męża. Do tej pory moja guwernantka, panna Jadzia, miała ze mną tylko lekcje matematyki, historii, trochę geografii, muzyki i oczywiście francuskiego. Dopiero na miejscu się okazało, jak wielkie są braki w mojej edukacji.*

Po godzinie lektury moje powieki zrobiły się koszmarnie ciężkie, a czekał

mnie cały dzień w pracy. Przed samym zaśnięciem zdążyłam jeszcze tylko z żalem pomyśleć, jaka to szkoda, że dzisiejsza młodzież nie martwi się brakami w edukacji!

## 5

To zdecydowanie nie był udany dzień – znów. Po tym, jak dosłownie odwaliłam swoje w pracy i już miałam wychodzić, zatrzymała mnie pani dyrektor.

– Mając na względzie pani niechęć do czytania ogłoszeń, upewniam się tylko. Mam nadzieję, że pojawi się pani na konferencji. – Babsko uśmiechnęło się podejrzenie radośnie.

– Jakiej konferencji? – spytałam głupkowato, nim zdążyłam pomyśleć.

– Podsumowującej pracę szkoły w tym semestrze. – Zaczęła jeszcze bardziej szczyrzyć zęby, a ja poczułam kolejne ukłucie niepokoju. – Początek o piętnastej, a pani, pani Julio, jako nowy członek zespołu, będzie pisać protokół. Taki tu mamy zwyczaj. – Oddawszy ten niezwykle celny strzał, oddaliła się, by dręczyć inną ofiarę, nim zdążyłam w jakikolwiek sposób zaprotestować.

Wpadłam w panikę. Popatrzyłam z rozpaczą w oczach na moje trzy nowe koleżanki.

– Czy któraś z pań mogłaby mi wyjaśnić, o czym, do jasnej Anielki, ona mówiła?

Gdy usłyszałam odpowiedź, zrobiło mi się słabo, musiałam usiąść. Na zakończenie każdego semestru organizowane są w szkole dwie konferencje. Klasyfikacyjna, na której zatwierdza się wyniki klasyfikacji semestralnej (podaje się oceny na semestr z przedmiotów i zachowania, średnie klas, frekwencję i tym podobne duperele). Druga to podsumowująca, czyta się na niej rozmaite

sprawozdania z działalności kół, programów edukacyjnych, biblioteki, świetlicy, zespołów przedmiotowych i programów, które były realizowane w szkole w danym semestrze. Jest tego w cholerę, bo samo słuchanie tych bzdur zajmuje około czterech godzin, potem pojawiają się jeszcze wnioski, które trzeba spisać. Protokół to relacja z wszystkiego, co działo się na konferencji, trzeba podać listę obecnych, plan spotkania, przepisać wszystkie sprawozdania, wnioski. Protokół taki tworzy się około tygodnia i tylko tyle czasu będę miała na jego napisanie. Dzięki Bogu, że komputerowo, aż strach pomyśleć, że kiedyś wszystko to trzeba było robić odręcznie.

Dowiedziałam się jeszcze, że wszystkie protokoły zapisywane są na specjalnym pendrivie oraz na twardym dysku komputera pani dyrektor. Ta ostatnia zresztą pojawiła się ponownie w chwili, kiedy Marlena grobowym głosem właśnie kończyła mi przekazywać tę jakże radosną wieść.

– Widzę, że już panią o wszystkim poinformowano – wycedziła moja zwierzchniczka. – Zgłosi się pani do mnie w poniedziałek.

– Dlaczego nie mogę napisać tego w domu? – wykrztusiłam załamana.

No to mam po sesji. Paweł ze swoją propozycją jawił mi się teraz jako skrzyżowanie Supermana oraz arki Noego; pieprzony deus ex machina.

– A to dlatego, że muszą być pisane w szkole. *Takie są przepisy*. Nie będzie pani wnosić ważnej dokumentacji poza teren gimnazjum.

– Ale ja mam teraz sesję – jęknęłam. – Może mogłabym napisać ten protokół później?

– Nie ma mowy. To trzeba zrobić w ferie. Nic mnie nie obchodzi pani sesja, nie mam zamiaru traktować pani inaczej niż pozostałych pracowników tylko dlatego, że jeszcze się pani nie zdążyła porządnie wykształcić. Musi sobie pani jakoś radzić. To nie przedszkole! – rzuciła jeszcze i odeszła.

Nagle wydało mi się jasne, co czasem popycha ludzi do morderstw „w afekcie”. Zastanawiałam się, czy tylko nasza dyrektorka jest taką wredną, pozbawioną empatii babą (jak ktoś pozbawiony empatii w ogóle mógł zostać nauczycielem?), czy też po wygranej w konkursie na dyrektora każdy pedagog wysyłany jest na szybki kurs uprzykrzania życia ciału pedagogicznemu? Na pewno wyżywa się na mnie, bo jestem młoda, zdecydowałam wreszcie. No i widziała mnie z Pawłem. Technika wizualizacji wyobrażałam sobie naszą wysoką, kostyczną dyrekcję z niemodnym blond kokiem w drodze na miotle na Łysą Górę. Tylko czarnego kota brakowało mi w tym obrazku. Wróc. Czarny kot musi zostać usunięty. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami na pewno miałoby coś do powiedzenia na temat powierzania zwierząt socjopatom. Pewnie jako stara panna, z braku własnego faceta do dręczenia, w domu snuje diaboliczne plany, jak zepsuć podwładnym humor na cały następny tydzień. Niemal widziałam, jak na jej nosie pojawiają się charakterystyczne brodawki, które miały czarownice w chyba

wszystkich kreskówkach, które oglądałam jako dziecko. To może niezbyt chlubny sposób na radzenie sobie z przeciwnościami losu, ale wiercie mi, wyobrażając sobie to wszystko, przez chwilę naprawdę poczułam się lepiej!

Natomiast jeśli chodzi o działanie... Na samą myśl, że zamiast zakuwać na egzamin u Kazia, w przyszłym tygodniu będę musiała pisać durny protokół, chciało mi się płakać. I naprawdę aż żałowałam, że Paweł nie powtórzył swoich hipotetycznych oświadczeń, kiedy byłam trzeźwa. Powlokłam się do domu, szukać pocieszenia pod postacią kieliszka koniaczku i jakoś się może zrelaksować.

Utopienie smutków nie zostało mi dane. Wrócili moi rodzice.

– Słonko, jak ty, na miłość boską, wyglądasz?

Nie ma to jak pełne uczucia przywitanie. Mama zawsze wiedziała, jak jednym zdaniem poprawić humor i sprawić, by człowiek poczuł się naprawdę wyjątkowo.

– Też się cieszę, że cię widzę mamo – wykrztusiłam, ciężko opadając na fotel. – Ty za to świetnie się prezentujesz.

– Dziecko, jak będziesz tak kłapać na meble, to długo już nie wytrzymają i trzeba będzie je znowu zmieniać – ochrzaniła mnie mama, tak jakby nie molestowała ojca co pięć lat o zmianę kompletu wypoczynkowego, „bo stary, Heniu, jest już niemodny, po prostu niemodny”.

Mój ojciec tylko westchnął. My czasem mogłyśmy się uwolnić od matki, on niestety nie. Chyba że wreszcie zdecydowałby się na pozew o rozwód, na co się nie zapowiadało. Matka nie pozwoliłaby mu podjąć jakiegokolwiek samodzielnej decyzji, a już zwłaszcza takiej.

– Jak tam w pracy, córciu? – szepnął, ściskając mnie na powitanie.

– Lepiej nie wspominać – jęknęłam, delikatniej już sadowiąc się w fotelu. – Dzieciaki są straszne, a szefowa to chodzący koszmar. A najgorsze jest to, że nie można się obudzić.

Pokrótkie zrelacjonowałam moją sytuację. Wzbudziłam ciche współczucie ojca, ale matka była usatysfakcjonowana.

– A widzisz! – Pokiwała głową i popatrzyła wymownie na ojca. Zerwał się z kanapy i udał się do kuchni, by zrobić jej kawę. – Gdybyś mnie słuchała, nie poszłabyś na te durne studia. Zostałabyś kosmetyczką albo modelką i zarabiała dużo więcej. I może byłabyś już mężatką! Z odpowiednim mężczyzną wszystko jest łatwiejsze.

Z odpowiednim, czyli bogatym. Taka właśnie była moja matka, w zasadzie niczego więcej nie musielibyście o niej wiedzieć.

– Teraz się męczysz i dobrze ci tak, panno zarozumiała. No, ale twojej siostrze nie pozwolę się zmarnować! – rzuciła na koniec i udała się na przegląd mieszkania.



Na pewno nie, pomyślałam buntowniczo, o ile będę miała coś do powiedzenia. Zresztą, z jej pyskówkami, Adria sama nie da się zmarnować.

W końcu ze zdwojoną siłą zaczęło do mnie docierać, że propozycja Pawła, by zamieszkać razem, nie była wcale takim złym pomysłem, może matkę by to trochę ocuciło. Kocham ją, aczkolwiek coraz częściej mój poziom ciepłych uczuć do niej zwiększa się wraz z odległością, która nas dzieli.

– Julka! – usłyszałam wrzask dobiegający z jej sypialni i zrezygnowana ruszyłam w tym kierunku.

– O co chodzi? – starałam się być w miarę uprzejma.

– Dlaczego nikt nie odkurzył mojego pokoju?

– Dlatego, że nikt z niego nie korzystał i po prostu o tym zapomniałam.

– To możesz odkurzyć teraz i przy okazji przewietrzyć pościel – zażądała moja matka.

– A może sama to zrobisz? – zasugerowałam i wyszłam z pokoju. Miałam serdecznie dosyć robienia z siebie bezpłatnej służącej. Matka też może coś zrobić. Najwyżej, pomyślałam złośliwie, zniszczy sobie swój manicure.

Nadchodzi era buntu. W końcu poszłam do pracy, żeby być niezależna, będę im zwracać za utrzymanie. Ale nigdy więcej pomiatania mną. Mam dość!

Niestety, by zacząć się buntować, musiałam przeżyć jeszcze jeden dzień w pracy. Pierwsze, co zobaczyłam po dojściu do szkoły, był pojedynek na ociekające wodą mopy w wykonaniu dwóch pań sprzątaczek. Nadeszłam chyba pod koniec walki, bo obie były brudne, śmierdziały, ociekały wodą oraz niemiłosiernie dyszały. Z wysiłku, tak sędzę. Jak tu się uskarżać na młodzież, skoro personel też zachowuje się jak z kosmosu?

Po wejściu do pokoju nauczycielskiego krótko zrelacjonowałam scenę i poprosiłam o wyjaśnienia. Okazało się, że pani Kasia i pani Ela zakochały się w przystojnym portierze-stróżu nocnym, panu Mietku. Efektem jest wojna, która trwa od października. Na początku grono pedagogiczne bardzo się całą tą aferą ekscytowało, ale z czasem potyczki stały się po prostu nudne. Grono w zasadzie było zainteresowane tylko jednym: która z dam zdobędzie pana Mietka.

Potem rozpoczęła się konferencja. Gdybym miała wśród nauczycielek jakieś dobre koleżanki, zajęłabym się ploteczkami, jak większość obecnych, która nic nie robiła sobie z upomnień pani dyrektor („Ależ moje panie!”) czy dobrych manier. Zasadniczo byłoby to do przeżycia, gdyby nie wizja pisania protokołu przed samym egzaminem u Kazia. Podczas czterech godzin niewyobrażalnej nudy układałam plan działalności przedegzaminacyjnej. Zasadniczo każdy tydzień przed egzaminem zawsze wygląda u mnie podobnie. Uczę się, leżąc całymi dniami w łóżku i czytając podręczniki, aż pragnę jedynie śmierci. Najlepiej od razu i tak, żeby nie bolało. W tym czasie istnieją tylko podręczniki, żadnych znajomych,

żadnego Pawła, żadnej rozrywki. Kiedy w końcu skończę te studia, z pewnością będę najszcześliwszym człowiekiem na świecie. A pomyśleć, że w liceum tak bardzo lubiłam historię!

Teraz czasem mam ochotę nią rzygać.

Zgodnie z mocnym postanowieniem, każdego dnia po powrocie z pracy siedziałam, a raczej leżałam i zakuwałam. Tak intensywnie, że w nocy z niedzieli na poniedziałek w ramach koszmaru przyśnił mi się książę Drucki-Lubecki. Pochylał się nade mną, szczyrzył zębiska i powtarzał: „Nie zdasz, nie zdasz”, upiornie się śmiejąc. Obudziłam się z walącym sercem i wrzaskiem na poziomie miliona decybeli. Żeby mi się jeszcze przyśnił ktoś miłszy, to proszę bardzo. Taki książę Józef albo Łukasiński na przykład. Prądryński też ostatecznie mógłby być. A tu taka menda nawet w nocy żyć mi nie daje. Mało takiemu, że na jawie zakuwać o nim muszę!

W poniedziałek poszłam do szkoły na pierwszą sesję pisania protokołu. Od razu się zdenerwowałam, bo na miejscu okazało się, że koleżanka nadal nie skończyła pisać swojego, więc komputer był zajęty. Nawet jej współczułam, bo pisała z dyrekcją raz po raz kontrolującą tekst i wtrącającą swoje trzy grosze. Oblał mnie zimny pot na samą myśl, że mnie czeka to samo. Dowiedziałam się, że nie wiadomo, kiedy komputer będzie wolny, więc codziennie musiałam zapychać do pracy i grzecznie pytać, czy mogę już zacząć pisać. W czwartek, kiedy coś mnie już trafiało (do szkoły miałam spory kawałek, a upiorny egzamin zbliżał się coraz bardziej), okazało się, że wreszcie mogę zakasać rękawy i ruszyć z kopyta. Szczęście w nieszczęściu: dyrektorka się pochorowała, więc nikt nie ślęczał mi nad głową, towarzyszyła mi jedynie pani Basia – nasza sekretarka. Korzystając z okazji, pisałam do czasu zamknięcia sekretariatu. Nie muszę dodawać, że musiałam olać naukę do egzaminu, przedkładając nieobecność dykcji nad pierwszy termin. I tak nie zdążę dojść do I wojny światowej.

W piątek obudziłam się niewyspana i z poczuciem klęski. Tym razem w roli dręczyciela w moim śnie wystąpił książę Konstanty. Chyba czegoś mi brakuje, bo dobierał się do mnie. Fuj. Z dwojga złego wolę upiornego Lubeckiego. Menda co prawda, ale przynajmniej polska. Otrząsając się z obrzydzenia i opieprzając podświadomość za wybór postaci historycznych, wygrzebałam się z łóżka, ubrałam i pojechałam na uniwersytet, denerwować się w miłszym towarzystwie. Pierwszą osobą, jaką spotkałam, był Kaziu we własnej osobie. Wykrztusiłam „Dzień dobry!”, on zaseplenił „Dzień dobry” i energicznym krokiem ruszył w stronę gabinetu. Jak na profesora Kaziu był dość młody, miał około czterdziestki. Sporo publikował i był ceniony przez środowisko naukowe. Niestety do chodzącej doskonałości naukowej w pakiecie dodano otyłość, farbowane włosy, seplenienie

i nienawiść do wszystkich kobiet. A także zupełnie błędne przekonanie, że według tych ostatnich chodząca encyklopedia XIX wieku jest niebywale atrakcyjna dla płci pięknej. Słyszałam, że parę lat temu Kaziu został oskarżony o molestowanie studentki, ale sprawę umorzono. Podobno dziewczyna odwołała zeznania, bo chciała w spokoju skończyć studia.

Na pufach przed gabinetem zobaczyłam między innymi Emilkę. Wyglądała podobnie jak ja, czyli jak na moment przed śmiertelnym zejściem.

– Cześć – wyjęczała.

– Cześć – odpowiedziałam z podobnym entuzjazmem i usiadłam obok niej. – Jak tam lista szczęśliwców?

– Wchodzimy w piątkę; same dziewczyny.

Dzięki Bogu, pomyślałam. Wchodzenie z jakimkolwiek facetem na ten egzamin to samobójstwo. Jasne było, że facet zdałby bez względu na prezentowany poziom wiadomości, a jego koleżanki, choćby recytowały bez zajknięcia i zastanowienia, choćby były wykute na blachę i odpowiadały dziesięć razy sensowniej – nie. W związku z tym faceci na egzamin do Kazia zawsze chcieli wchodzić z dziewczynami, a one z nimi wręcz odwrotnie.

Skład piątki musiał być ustalony wcześniej.

– Emilko, jesteś wielka – oznajmiłam.

– Nie tak znowu wielka – wyszeptała mi do ucha. – Niestety nie miałam zbyt dużego wyboru, musiałam odprawić z kwitkiem Adasia Cichockiego, którego bardzo lubię, żeby zdecydować się na jedyną dziewczynę, która została...

– Nie kończ i nie załamuj mnie. – Popatrzyłam na nią z błaganiem w oczach. – Która?

– Justynka.

No to klaps. Justyna była ostatnią osobą, z którą chciałabym zdawać egzamin u Kazia. Totalny tłuć z niej. Po egzaminie z historii starożytnej (powszechnej) podobno na zapytanie egzaminatora, co miały oznaczać słowa Cezara *Veni, vidi, vici*, odpowiedziała, że nie rozumie pytania, a poza tym to nie egzamin z języka obcego i ona do odpowiedzi nie czuje się zobowiązana. Egzaminatora mało szlag nie trafił, a był to bardzo spokojny i sympatyczny Józio, kochany przez ogół studentów. Jak z czymś takim wyskoczy u Kazia, to oblejemy wszystkie!

– Boże, coś Polskę... a nas niestety nie! – Spojrzałam na Em. – Może lepiej jednak z Adasiem?

Musicie zrozumieć, to był akt desperacji.

– Wchodzi z Marcinem, Rafałem i bliźniakami; przed nami.

– Co ty! – Moje przerażenie wzrosło. – Puszczasz *przed nami* facetów? To samobójstwo, zwłaszcza z Justyną! Trzeba to odkręcić. Nasze chłopaki są w porządku, przepuszczą nas – spojrzałam błagalnie w ich stronę.

Em tylko pokręciła głową.

– Kazio już ma listę.

– No to zdałyśmy – podsumowałam naszą sytuację. Na egzamin trzeba było wchodzić zgodnie z listą. – Witaj marcu i drugi terminie – dodałam ponuro.

– Eee... nie będzie tak źle – zaczął pocieszać mnie Adaś. Rafał tylko potakiwał, pocieszająco poklepując Em. – Justyna tak się zbłąźni, że was przepuści. Zobaczycie.

– Obyś był dobrym prorokiem – powiedziałam, po raz pierwszy dochodząc do wniosku, że Adam ma rację. A jak nie zdamy, co wiązało się też bezpośrednio z drugim niezdanym egzaminem (jak Kazio postawił jedną pałę, to na następnym stawiał drugą, bo lubił symetrię), to zawsze pozostawał marzec.

Nasz ponury nastrój ulotnił się tuż po przybyciu bliźniaków (Wacusia i Krzyśka, zwanego Ksystem, nie można było rozróżnić, w związku z czym wszyscy zwracali się do nich i o nich per „bliźniak”). Wywołali pokazową głupawkę i czas oczekiwania zleciał jak z bicza trzasł. Miałam wrażenie, że ledwo się zaczęłam denerwować, a tu już trzeba było wchodzić. Oczywiście na trzęsących się nogach.

Kazio siedział pod oknem i z miłym (a może wrednym?) uśmiechem kazał nam się rozgościć. Usiadłyśmy. I zaczęło się. Podałyśmy mu indeksy, zostawiając sobie tylko czyste kartki na notatki i długopisy, i zaciskając kciuki w nadziei, że pytania będą w miarę normalne. Zerknęłam przelotnie na kartkę Justyny. Cała zapisana drobno ołówkiem. Może nie będzie tak źle?

Będzie tragicznie! Dostałam pytanie „Francuzi podczas powstania kościuszkowskiego”. I co ja mu o tym powiem?!

Pytanie drugie. Już lepiej: charakterystyka postaci. Drucki-Lubecki bez przyczyny mi się nie śnił. Na szczęście sporo o nim wiem, bo całkiem mnie tamten koszmar przeraził.

Wymień dziesięć najważniejszych bitew powstania styczniowego i je omów.

Czy wspominałam już, że lubię marzec?

Członkowie Rady Regencyjnej podczas I wojny światowej. Dzięki Bogu, to już ostatnie pytanie. Niech już dostanę tę pałę i niech mnie wreszcie wypuści!

Najgorsze jest chyba oczekiwanie na werdykt, która z nas oblała. A może wszystkie? Wyszłyśmy przed gabinet, zerkając na siebie nerwowo. Najważniejsze, że już po wszystkim.

No, niezupełnie. Na szczęście Kazio szybko pojawił się z naszymi indeksami, ale kiedy podał mi mój, rzucił szybko: „Douce się, wchodzisz dziś jeszcze raz”. Popatrzyłam nierozumiejącym wzrokiem na dziewczyny, otworzyłam indeks i dopiero brak wpisu mnie otrzeźwił. Jezu, jeszcze raz! Anioł, masz

przesrane, zwróciłam się w myślach do mojego Stróża. Wolałabym pałę. Słyszysz? Pałę! I wtedy usłyszałam Justynkę: – Ja też nie mam oceny.

Wszystko mi opadło.

Do domu wróciłam totalnie wypluta. Egzamin w końcu zdałam. Ale dwa podejścia z Justyną! Pójdę od razu do nieba, bo swój czyściec już dziś odrobiłam. Z nawiązką.

Teraz czeka mnie ten protokół i kucie do następnego egzaminu. Całe szczęście, że poprzedzony weekendem z Pawłem. Potrzebowałam przerwy, żeby nie oszaleć.

Weekend nie spełnił moich oczekiwań. W ramach wynagrodzenia mojego spóźnienia i jazd konnych Andrii, wybrałam się z jego znajomymi do pubu. Miało być całkiem miło. Jak się okazało na miejscu, wszyscy panowie przyszli sami, tylko Paweł w damskim towarzystwie. Zakłóciłam męski wieczór. Atmosfera zrobiła się trochę drętwa, bo panowie postanowili w moim towarzystwie mówić tylko o pracy. Kiedy w końcu się położyłam, pewna byłam tylko jednego – jeśli kiedykolwiek usłyszę słowo „szalunek”, będę krzyżeć. Głośno! Jedynym jaśniejącym punktem w gronie chlejących piwsko facetów był najlepszy kumpel Pawła – Rafał. W przeciwieństwie do reszty nie upił się, nie podrywał wszystkiego w promieniu dziesięciu metrów, co nosiło spódnicę, i co najważniejsze nie bekał! Nawet dało się z nim porozmawiać, gdy nie absorbowała go reszta i mecz Polska–Jakiśtamkraj. Mój facet co prawda też nie bekał i nie podrywał, ale rzadko zwracał na mnie uwagę. Pochłonął go mecz! Łaska boska, że nie laski, bo tego bym nie wytrzymała. Niestety też miał swój moment, bo kiedy jeden z kumpli zapytał, czym się zajmuję, Paweł wypalił, że zawodowo stawiam pały. W tym momencie spiekłam raka i miałam ochotę zapaść się pod ziemię. I zaczęłam się zastanawiać, czy to chromosom Y jest odpowiedzialny za opowiadanie bzdur po kilku głębszych. Efekt tego genialnego oświadczenia był błyskawiczny. Kilku spojrzalo w kierunku Pawła z zazdrością w oku, dwóch przysunęło się bliżej mnie, a Rafał, z którym tak dobrze mi się rozmawiało, z miejsca zaczął na mnie dziwnie patrzeć.

– Nauczycielką jestem – sprostowałam z godnością, a po tym wyjaśnieniu panowie natychmiast znów zainteresowali się meczem.

Zapytałam potem Pawła, po co mnie tam ciągnął. Odparł, że chciał być ze mną, a wcześniej umówił się z kumplami. Postanowił więc zrobić mi przyjemność i zabrać mnie na spotkanie. Ja jedna i dziesięciu facetów – nie muszę mu dziękować! Pomyślałby kto...

Z Emilką spotkałam się dopiero na następnym egzaminie u Kazia. Miałam straszną głupawę, bo do tego nie zdążyłam się nawet połowicznie przygotować,

z wielu powodów. Po pierwsze, przez drugi tydzień ferii zamiast się uczyć, chodziłam do pracy pisać cholerny protokół. Ponieważ musiałam ścierpieć wokół siebie zdrowe już ciało dyrekcyjne, miałam problemy z koncentracją i szło mi jak po grudzie. Pod koniec tygodnia przyzwyczaiałam się już do tego, że ta kobieta wiecznie ma do mnie pretensje, więc jej jazgot zaczął po mnie spływać, i wtedy pisanie szło mi płynnie.

Do egzaminu z historii powszechnej do 1918 roku zaczęłam się uczyć po południu w poniedziałek. We wtorek byłam w pracy, a pani dyrektor, wiedząc, że się spieszę, uszczęśliwiła mnie dwoma zastępstwami i dwoma dodatkowymi dyżurami. Na jednym z zastępstw przy czytaniu listy obecności prawie dostałam lekkiego załamania.

– Jagoda Śwież... – zdołałam przeczytać, po czym utknęłam. Trzydzieści par oczu wbiło we mnie spojrzenie pełne oczekiwania. I co teraz? Przczytać pełne imię i nazwisko, które brzmiało Jagoda Świeżbityłek? Czy może nie? Szczególnie, że w tej klasie byłam po raz pierwszy. I nie chciałam zrobić dziecku przykrości.

Wybrałam bezpieczne rozwiązanie. Przczytałam jedynie „Jagoda” i usłyszałam „jestem”. Szybko przeszłam do ostatnich osób na liście, pomijając również ich nazwiska. Klasa zostawiła to bez komentarza i lekcja potoczyła się gładko.

Ale: Jagoda Świeżbityłek... O Matko Boska!

Do domu przyjechałam późno i kompletnie nie w humorze. Dzielnie jednak zajęłam się hoplem Kazia – rewolucją francuską. Środę miałam wolną – ciąg dalszy rewolucji francuskiej i trochę Napoleona. Nawiasem mówiąc, czy on naprawdę musiał prowadzić tyle wojen?

W ramach odpoczynku wybrałam się na spotkanie z okazji rocznicy studniówki. Spotkałyśmy się w piątek – same mężatki i ja jedyna singielka. Ku mojemu przerażeniu rozmowa toczyła się wyłącznie wokół pieluszek, kupek, herbatek, kosmetyków, pierwszych słów, kroczków, uśmiechów i innych zachowań, które mogą przesądzić o geniuszu niemowlaka. Przytłoczona ilością nieznanymi mi wcześniej, a niekoniecznie dla mnie istotnych szczegółów, usiłowałam zmienić temat. Spytałam jedną z Matek Polek, która w czasach licealnych pochłaniała książki jak odkurzacz, czy czytała ostatnio coś ciekawego, co mogłaby mi polecić. I w tym momencie wszystkie spojrzały na mnie z politowaniem.

– Kochana, ostatnią książkę przczytałam, jak byłam w ciąży. Teraz, jak Antoś ma półtora roku, za sukces uważam, jak dam radę się przespać przez pięć godzin w nocy, niezrywana na równe nogi jego płaczem.

Do załamania doprowadził mnie natomiast komentarz drugiej.

– Ale masz dobrze! Milenka ma dwa lata, a dalej trzeba ją nosić w nocy, żeby spała. Jak ją kładziemy w łóżeczku, to drze się jak opętana. Raz nawet

sąsiedzi dzwonili po policję, że maltretujemy dziecko. Nosimy ją z mężem na zmianę przez całą noc.

Faktycznie, wyglądała kiepsko, a taka z niej była ładna dziewczyna!

Rozmowa potoczyła się dalej. Tym razem na temat dobrych lekarzy pediatrów. Całe to spotkanie byłoby śmiertelnie nudne, gdyby nie jedno wydarzenie. W samym środku wykładu naszej gospodyni na temat dobrodziejstw stosowania naturalnych metod planowania rodziny, wbiegł do jadalni, w której siedziałyśmy, jej trzyletni, podekscytowany synek.

– Mamusiu, popatrz! Znalazłem balonik! Nadmuchaj mi! – zażądał, wciskając matce do ręki... zużytą prezerwatywę.

Nasza gospodyni spurpurowiała. Szybko zabrała dowód rzeczowy i wyniosła go za blat, do części kuchennej, skąd został przyniesiony. Malec, widząc, że jego nowa zabawka została ponownie wrzucona do kosza, rozpoczął koncert godny opery w Mediolanie. I wtedy, przekrzykując jego wycie, postanowiłam się ewakuować, przysięgając sobie, że nie zajdę w ciążę przez najbliższe kilka lat. Choćbym miała żyć w celibacie.

W czwartek znów praca i zastępstwa, bo przecież musiałam odrobić nieobecność w dniu egzaminu. I Napoleon. W piątek doszłam do wniosku, że nie przerobiłam bagatela jakichś stu lat... na sto trzydzieści do przerobienia. Czyli wszystkiego, co znajdowało się pomiędzy powstaniem Świętego Przymierza a końcem I wojny światowej. Za to zaopatrzyłam się w ściągę, podobną do ściąg Justynki. No i zyskałam ogrom wiedzy na temat początków życia ludzkiego.

Po przyjsciu na miejsce okazało się, że na szczęście nie wchodzimy z Justyną, tylko z Agą, która przygotowała dla Kazia niespodziankę w postaci jego najnowszej książki, pięknie oprawionej u intrologatora. To jej sposób na zdany egzamin, plus dekolt oczywiście. Zdesperowane dziewczyny ubierają się na jego egzamin w spódniczki i dekolty. Ja nie. I tak nie zdam, więc po co się tak wygłupiać?

Emilka siedziała na pufach w towarzystwie bliźniaków i aż jaśniała. Czyżby znów się zakochała? Sesja ma to do siebie, że urywają się kontakty towarzyskie. Pomijając telefony od spanikowanego Rafała. Nie zdał Polski, więc pewnie szykuje mu się druga pała. Teraz nerwowo chodził pod gabinetem Kazia, obok niego Marcin walił głową w ścianę, tylko Adaś wyglądał w miarę normalnie. Drzwi do gabinetu Kazia otworzyły się, a sam oprawca rzucił indeksy na pufy, warknął „następni” i zniknął w gabinecie. Chłopcy rzucili się w kierunku indeksów, a następni z przerażonymi minami ładowali się do środka.

– Wszystkich nas oblał – skwitował Adaś.

– Jak to? – Zerwała się na równe nogi Em. – Przecież Rafał mówił, że

śpiewałeś?

– Ich zapytaj... – Spojrzał w kierunku bliźniaków.

– Co się stało?

Bliźniacy wyglądali na zakłopotanych.

I dlaczego Kazio jest wściekły, jakby go osa w tyłek potraktowała?, dodałam w myślach.

– Sorry, Adam, gdybyśmy wiedzieli... – zaczął pierwszy bliźniak.

– No... – potwierdził drugi.

– Ale co się stało? – Moja ciekawość domagała się natychmiastowego zaspokojenia.

– Kazio kazał wymienić wszystkie dzieła Lenina.

Pytanie idiotyczne. Fakt, ja nie wymieniałabym żadnego.

– I wymieniałeś jakieś? – wypytywałam dalej.

– No, tak jakby. – Bliźniak wyglądał na porządnie zakłopotanego. –

Wymieniłem.

– Wymienił – potwierdził Adaś. – Dzieła zebrane tom pierwszy, dzieła zebrane tom drugi... Gdy doszedł do trzynastego tomu, Kaziowi zaczęły wąsy chodzić i mu przerwał. A potem zadał pytanie drugiemu.

– Jakie?

– „Wymień pięć tez imperializmu według Lenina” – wymamrotał drugi.

Jezu, co to imperializm, zaczęłam się zastanawiać, nie było tego ani przy rewolucji, ani przy Napoleonie. No ale z drugiej strony, gdzie Napoleon, gdzie Lenin...

– I co? Wymienił?

– Nie – odezwał się Marcin. – W bardzo uprzejmy sposób poinformował go, że nie może udzielić odpowiedzi na to pytanie, bo nie lubi Lenina.

– A Kazio?

– A Kazio chyba lubi. „Won, błazny”, powiedział. No to sobie poszliśmy – dokończył relację Rafał. – Resztę widziałas. Mnie też nie poszło, ale Marcin i Adam mogli zdać. A tak, same pały, Kazio wściekły, a jest dopiero dziewiąta. Nie wiadomo, co będzie później.

– O której wchodzimy? – zwróciłam się spanikowana do Em.

– O pierwszej. Może ochłonie – wyraziła możliwość Emilka.

– Z naszym szczęściem nie liczyłabym na to – podsumowała naszą sytuację

Ewa.

Do pierwszej sytuacja się unormowała. Kazio przestał oblewać wszystkich, a zaczął tylko większość. Widocznie doszedł do wniosku, że jakieś jednostki muszą zdać, zresztą cholera wie, czy w regulaminie studiów nie było jakiegoś zapisu



o minimalnej liczbie tych, którzy muszą zdać, by egzamin w ogóle był ważny. Miałyśmy tylko nadzieję, że Kazio nie zdenerwuje podczas egzaminu Kasi, czym mógłby wywołać początek akcji porodowej. Kiedy wreszcie wkroczyłyśmy do gabinetu, miałam wcale niezły humor; z moim stanem wiedzy i tak nie miałam najmniejszych szans, czekanie pozbawiło mnie resztek złudzeń. A wszystko przez protokół i bliźniaków. Rozsiadłam się wygodnie i zaczęło się. Nim Kazio zadał pierwsze pytanie, Em zauważyła stertę lekarstw na biurku.

– Pan profesor chory? – spytała.

Kazio, zamiast poczęstować nas porcją diabolicznych pytanek, zaczął rozwijać temat swojej choroby oraz drogich lekarstw, i w ten sposób minęło dwadzieścia minut. Oczywiście wszystkie słuchałyśmy w wielkim skupieniu, tak jak nigdy. Potem zaczęli z Kasią wymieniać się uwagami na temat wrocławskich aptek, w których było można kupić tańsze leki. To, co dobre, nie może jednak trwać wiecznie, Kazio się ocknął i zaczął zadawać pytanki. „Watykan a rewolucja francuska” – usłyszałam. Zaczęłam gorączkowo szukać w pamięci i na ściadze, w jaki sposób połączyć Watykan z rewolucją. W końcu coś wybąkałam na temat sytuacji księży podczas rewolucji i konkordatu. Dziękowałam Bogu, że nie dostałam pytania „Malta a rewolucja francuska” albo „Chiny a rewolucja”, albo „Madagaskar”. Na drugie danie: wojna francusko-pruska. Święty Hieronimie, jesteś genialny! Dopiero co przeczytałam biografię Napoleona III, no i jakieś szczegóły miałam na ściadze. Z bidą, z bidą, ale niechby wystarczyło... Potem usłyszałam „Możecie wyjść”. Alleluja. Jeszcze tylko Aga podała mu najnowszą książkę do podpisu.

Na indeksy czekałyśmy dość długo. Siedział z nimi dobre dwadzieścia minut.

– Czy on tam je spożywa? – wyraziłam wątpliwość.

W tej samej chwili Kazimierz wyłonił się ze swojej pieczary i podał nam upragnione indeksy. Nadeszła chwila prawdy.

– Cztery! – westchnęła ze szczęściem Em.

– Trzy i pół – wyśpiewała Ewa.

– Trzy – to Kasia.

Aga otworzyła indeks drżącymi rękami.

– O Boże! Trzy – powiedziała i opadła ciężko na pufę. Wszystkie popatrzyły na mnie ze współczuciem. To oznaczało...

Hieronim, mimo wszystko nie jesteś taki genialny, pomyślałam, po czym otworzyłam indeks.

– Trzy!

Nie wierzyłam własnym oczom. Zdałyśmy wszystkie. Cud! Czyżby to był pierwszy przypadek w jego karierze, żeby cała piątka zaliczyła?

Wieczorem, dzwoniąc do Pawła, zacytowałam tylko Cezarowe „Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem”. Pogratiulował mi, zwłaszcza że resztę postanowiłam pominąć milczeniem. W euforii przebaczyłam mu nawet ten wieczór z kumplami.

## 6

Do pracy we wtorek poszłam w dobrym humorze, bez obciążeń, którym na imię poprawka. Na uniwersytecie miałam dzień wolny, w związku z czym prosto po pracy mogłam wrócić do domu i rozkoszować się spokojem. I tu dopadła mnie następna konieczność w zawodzie – zebranie z rodzicami i dyżury nauczycielskie. Wróciłam do domu, posprzątałam (na szczęście nie musiałam gotować – kolejka Andrii)... Doszło również do kolejnej wymiany zdań z moją matką, tym razem w kwestii zakupów. Oświadczyła mi, że kupuję za dużo książek, mogłabym lepiej wydać pieniądze. Na ciuchy i kosmetyki na przykład, bo przecież totalna sierotka Marysia ze mnie. Gdy więc zbliżała się czwarta, z ulgą opuściłam rodzinne pielesze. Mamusia na swoje nieszczęście nie mogła również maglować Andrii, która pół godziny wcześniej wyszła na jazdę. Zaprzyjaźniła się z Pszczółką i wydawała część wycyganionych od Pawła pieniędzy na marchewki. Kiedy siedziała w domu, śpiewała hymny na jego cześć.

Panie sprzątaczkę znów miały „ten dzień”, więc toaleta przy pokoju nauczycielskim była zatkana kilkoma rolkami papieru toaletowego. Postanowiłam się nie przejmować i skorzystać z WC dla uczennic. Czułam się uprawniona, bo w pewnym sensie nadal jestem uczennicą, prawda? Po dotarciu do pokoju

nauczycielskiego usiadłam przy stoliku i zaczęłam się zastanawiać, jak wytrzymam do osiemnastej, nudząc się czekaniem na ewentualnych rodziców, bo przecież nie miałam wychowawstwa. Wkrótce zaczęłam przysłuchiwać się rozmowom tych moich koleżanek, których również nie dotknęło to nieszczęście... Wysłuchałam na przykład relacji Dorotki, nauczycielki francuskiego, jak na dyskotece przyłapała parę uczniów na dość daleko posuniętej intymności. Nie wiedziała, czy doszło do pełnego stosunku, ale oboje mieli rozpięte spodnie – o bluzach nie wspominając.

Następnie Asia, anglistka, wtajemniczyła nas w kulisy afery w szpitalu, w którym pracował jej mąż.

– Pielęgniarski zamiast pójść do sali 223, poszedł do 332, i tam zakomunikował rodzinie pacjenta, że ów zmarł na stole. Musiałbyś widzieć awanturę, która wynikła, jak nieboszczyk w świetnym stanie wrócił z badań, a rodzina zdążyła już załatwić firmę pogrzebową i pokłócić się o spadek! Sam pacjent o mało nie zszedł na zawał, gdy się dowiedział od ponurych panów, że przyjechali po jego zwłoki.

– Odkręcił to? – zainteresowałam się.

– A gdzieżby! – prychnęła Asia. – Uznał za stosowne wyjść i zwalić na lekarzy uspokajanie wścieklej rodziny, wzburzonego pacjenta i rozjuszonych panów z firmy „Resurrection”. Z firmą poszło najprościej. Posłano ich piętro niżej, do rodziny rzeczywistego nieboszczyka. Upredziwszy zainteresowanych wcześniej o zaistniałym fakcie.

Ten moment wybrał ksiądz katecheta. Wpadł do pokoju nauczycielskiego jak huragan. Już od progu wielkim głosem wołał o „tę historycę na zastępstwo”. Postanowiłam się ujawnić, a ksiądz od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy byłaby pani tak uprzejma i nie opowiadała dzieciom głupot, które utrudniają mi pracę?

Milczałam w ciężkim szoku i tylko wpatrywałam się w niego jak w kosmitę.

– Pani powiedziała dzieciom, że heretycy byli paleni na stosie!

– A nie byli? – zainteresowała się Dorotka od francuskiego.

– No... – stracił na chwilę wątek ksiądz. – Jak się nawrócili, to nie byli.

– Tylko skręcano im karki, żeby się nie rozmyślili – odzyskałam zdolność mowy.

Ksiądz zaambarasował się.

– To dla ich dobra było. Bo przecież lepszy czyściec... – Szybko jednak odzyskał werwę. – Ale to nie znaczy, że pani ma o tym mówić. To stawia Kościół w złym świetle!

– Jak prawda może tak ważną instytucję stawiać w złym świetle? – ironizowałam. – Czyżby był to już kolos na glinianych nogach, skoro wiedza paru uczniów o tym, co wyrabiano w przeszłości, może go zburzyć?

Tym razem zaniemówił księżulo. Niestety tylko na pięć sekund.

– Kościół Święty jest wieczny! Nic nie jest w stanie go obalić!

– To wiedza o przeszłości też, dziękuję, że się ksiądz ze mną zgadza. – Uśmiechnęłam się złośliwie. Spojrzałam na moje koleżanki. Wyły, oparte o stoliki. Wielebny poczerwieniał. Krzyknął, że nie pozwoli heretycznie rujnować Dzieła Bożego i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Czyżby poszedł rozpałać stos na boisku? – spytałam.

– Poleciał do dykcji się poskarżyć – poinformowała mnie Bernadka. – Nasza dyra to wierna słuchaczka Radia Maryja. Ma ksywkę „Moherowy Ninja”.

– Trafił swój na swego. Tylko czy ten jej ogromniasty kok się mieści pod beretem? – wyraziłam wątpliwość, a dziewczyny zachichotały.

Wychodzi na to, że chyba skóra mi stwardniała. Zbyt często bywałam na dywaniku, by się przejmować kolejnym możliwym wezwaniem na dół. Nawiedzeni – precz z moich myśli!

W tej samej chwili do pokoju wpadła kolejna koleżanka, polonistka Madzia. Od wejścia wielkim głosem zawołała:

– Pogratulujcie mi! Jestem w ciąży!

Moje nowe koleżanki jak jeden mąż ruszyły w jej kierunku.

– Nie przyznałaś się, że się staracie – powiedziała z wyrzutem Bernadka, kiedy gratulacje ucichły.

– Bo to ja się starałam, on został postawiony przed faktem dokonanym. Uważał, że skoro nie mam umowy na czas nieokreślony, to nie stać nas na dziecko. A ja stwierdziłam, że umowę mam w czterech literach. To babsko za swojej kadencji takiej umowy ze mną nie podpisze. A ja co, mam czekać z dzieckiem do czterdziestki? Mowy nie ma!

– Byłaś u lekarza? – chciała wiedzieć Dorotka. – To już pewne?

– No właśnie od niego wracam – roześmiała się Madzia. – Jak nie dostałam okresu w styczniu, to jeszcze nie biłam na alarm. Wiadomo, koniec semestru, mogło się rozregulować. Ale jak się nie pojawił do tej pory, to znaczy, że jest nadzieja. No i poszłam do lekarza. Ósmy tydzień.

– Zamierzasz powiedzieć starej? – dociekała Dorotka.

– Jeszcze nie teraz. I byłabym wdzięczna, gdyby żadna z was się nie wygadała. Pójdę za jakiś miesiąc, żeby nie utrudniała mi życia wcześniej. Szlag ją trafi, bo będzie musiała ściągnąć mnie z dyżurów.

– Szczęściara – jednogłośnie zdecydowały dziewczyny.

Marzenie wszystkich – brak obowiązku dyżurowania! Zamyśliłam się. Rewelacje Madzi uzmysłowiły mi, że hmmm, chyba mi też okres się spóźnił. Wiadomo, egzaminy, protokół i dyrektorka, ostatniej daty nawet nie zapisałam. Kiedy to mogło być?, zaczęłam gorączkowo sobie przypominać. W lutym nie, ku mojemu zdziwieniu w styczniu też nie, o Boże, w połowie grudnia. Porządnie mi się spóźnił. Pięć tygodni! Byłam przerażona nie na żarty. Rozumiem tydzień, dwa,

ale pięć!?

– Hej, co tak zbladłaś? – Głowy wszystkich kobiet zwróciły się w moim kierunku. – Słabo ci? – zapytała zatroskana Dorotka.

– Właśnie uświadomiłam sobie, że okres mi się spóźnia – wymamrotałam.

– Ile? – dopytywała Madzia.

– Kilka tygodni – wykrztusiłam słabo.

– No, moja kochana, to chyba dzidzius w drodze. Idź lepiej do lekarza.

I w tym momencie zemdlałam – po raz pierwszy w życiu!

Gdy otworzyłam oczy, okazało się, że siedzę na krześle, przyciskając czoło do kolan. Usłyszałam „oddychaj”, więc zaczęłam oddychać.

– Lepiej ci? – zapytał ktoś.

– Tak, chyba tak – wymamrotałam słabo.

– Do lekarza, koniecznie.

– A potem poinformować przyszłego tatusia. Ucieszy się – zapewniła Madzia, klepiąc mnie po ręce.

O Boże, ciąża! O Boże! Paweł!

Po piętnastu minutach i mocnej herbacie doszłam do siebie na tyle, by zacząć główkować. Miałam poważny problem. Poważniejszy niż Kazio, nasza strzyga naczelna i protokół razem wzięte. Moje koleżanki, widząc, że wróciły mi kolory, poradziły mi tylko, bym poszła już do domu. A one będą mnie kryć, gdyby pojawili się stara i rozjuszony ksiądz. Nie ma mnie – ale byłam, rozmawiam gdzieś z jakimś rodzicem. Pewnie zaraz wrócę.

Poszłam więc do domu. Usiadłam na łóżku i zaczęłam myśleć. Intensywnie. Jeśli zaszłam, to mogło się to zdarzyć tylko koło Nowego Roku. Warunki były. Bawiłam z Pawłem w Zakopcu na nartach. Ale przecież zawsze bardzo uważaliśmy! A raczej ja uważałam, żeby Paweł uważał. Nigdy nie byłam zwolenniczką hormonów, więc cała odpowiedzialność spadła na niego. Zsuniecie lub pęknięcie gumy nie zdarzyło się. Więc dlaczego, do cholery? Fakt, jest pewne ryzyko, ale przecież... Dlaczego ja zawsze muszę mieć takiego pecha! Wzniosłam oczy ku niebu.

Jedno jest dobre w tym całym bajzlu – Paweł się ucieszy. Nawet za bardzo się ucieszy! Z jego radości może wyjść tylko jedno, moje pośpieszne zamążpójście! Niech to szlag trafi!

O dwunastej w nocy stwierdziłam, że muszę koniecznie porozmawiać z Emilką. Może ona mi coś doradzi.

O pierwszej pytałam samą siebie, jak przyjmą wiadomość moi rodzice. A zwłaszcza matka! I jak mam być teraz autorytetem moralnym dla mojej siostry?

O czwartej doszłam do wniosku, że przepadłam.

O piątej wreszcie zasnęłam.

O piątej trzydzieści musiałam już wstać.

Na uniwersytet dojechałam dwadzieścia minut przed ćwiczeniami z historii powszechnej po 1945 roku. Uświadomiłam sobie, że nie cierpię tego okresu, i zaczęłam wypatrywać Emilki, mojej kotwicy ratunkowej w zagmatwanym świecie. Nie było jej jeszcze, więc podeszłam do Adasia i bliźniaków. Śmiali się, więc widać Adamowi kurwica już przeszła.

– Cześć, lalunia – usłyszałam na początek.

Nie cierpię, jak mnie tak nazywają. To prawda, jestem niewysoka, ale porównanie do lalki jest niesprawiedliwe. Zwłaszcza że lalki kojarzą się z Barbie. A to już ociera się o głęboką obrazę.

– A co wy w takich dobrych humorach, panowie? Cieszę się, że od Kazia wam się poprawiły!

I naprawdę się cieszyłam, ale w odwecie za powitanie postanowiłam wcisnąć szpilę.

– Bo dowiedzieliśmy się, z kim będziemy mieli ćwiczenia – oświadczył pierwszy.

– Z Kredą – uzupełnił drugi.

– Z jakim Kredą? – byłam ciekawa. Bliźniacy mieli zawsze najlepsze i najbardziej aktualne informacje.

– Nazywa się Robert Kwitek – zaczął pierwszy.

– A przezwisko, bo jak się zdenerwuje, to zawsze ma kredę na spodniach – oświadczył drugi.

– Bo wyciera w nie ręce – uzupełnił pierwszy.

– I to takie dziwne? – zdumiałam się. – Flejtuch jest i tyle. U faceta to dość typowe.

Według mnie faceci dzielą się na śmierdzących, zadbanych i wymanikiurowanych. Sama nie wiem, czy bardziej mnie obrzydza pierwsza, czy trzecia grupa.

– No nie, ale on prócz tego jest strasznie wstydlivy.

– Taka panienka – uzupełnił drugi bliźniak.

– I kobiet się boi – zachichotał Rafał.

– Nawet takich maleńkich jak ty lub Em – powiedział poważnie pierwszy bliźniak.

– Może podobają mu się faceci – wysunęłam sugestię i postanowiłam się zemścić. – Panowie, macie szansę! Za romans z Kredą dobre oceny gwarantowane.

Bliźniacy wyglądali na przerażonych samą sugestią.

– To będą bardzo ciekawe zajęcia – odzyskał rezon pierwszy.

Tak jakby jakiegokolwiek zajęcia z nimi były nudne!

Wreszcie nadeszła Em, ale nim zdążyłam jej cokolwiek powiedzieć, nadszedł obiekt naszej rozmowy. Kreda we własnej osobie. Popatrzyłam na niego z ciekawością. Łysiejący blondyn, niewysoki i prawdę powiedziawszy, dość obleśny. Wyglądał na maminsynka. Blee...

– Proszę państwa do sali – zaczął piskliwym głosem. Zauważyłam, że na palcu ma złoty sygnet. Nie cierpię maminsynkowatych facetów z sygnetem.

Początek zajęć przebiegł stereotypowo. Lista, literatura, następne zajęcia, wymagania. A potem uraczył nas opowieścią na temat końca II wojny. Niestety, cały czas gapił się na mnie, w związku z tym dalej nie mogłam pogadać z Emilką.

– Panie doktorze, mamy pytanie – przerwał mu w pewnej chwili jeden z bliźniaków.

– Ważne pytanie – uzupełnił drugi.

Kreda nie był zadowolony, ale zapisał „Słucham?” i zaczęło się.

– Podobno Hitler przed śmiercią się ożenił.

– Z Ewą Braun się ożenił – dodał drugi z poważną miną.

– I zastanawiamy się, czy to było ważne małżeństwo – zakończył pierwszy.

– Hm? – Kreda był lekko zaniepokojony.

– Bo małżeństwo jest ważne po konsumpcji – wyjaśnił pierwszy.

– I czy oni ten-teses. No wie pan doktor. Bzykali się – zakończył drugi.

Patrzyłam zafascynowana, jak czerwona plama wyłania się zza kołnierzyka prowadzącego i przechodzi coraz wyżej na szyję i twarz. Strasznie zachciało mi się śmiać. Popatrzyłam po sali. Tak jak reszcie.

– To nie należy do dzisiejszych zajęć. – Kreda odzyskał głos i jeszcze bardziej spurpurowiał.

– Ale nas to interesuje – nie odpuszczał bliźniak.

– Wszystkich interesuje – oświadczył drugi.

Grupa jak jeden mąż pokiwała głowami i patrzyła z wyczekiwaniem na Kredę.

– Bo bzykali się na pewno przed ślubem...

– Ale po, nie wiadomo.

– I na tym skończymy dzisiejsze zajęcia – zdecydował Kreda i salwował się ucieczką.

– Panie doktorze, a nasza wątpliwość? – zawołał w kierunku jego oddalających się pleców Adaś.

Tak. To będą bardzo ciekawe zajęcia. Popatrzyłam na bliźniaków. Zwłaszcza z nimi.

Z Em udało mi się spokojnie usiąść godzinę później. Tyle czasu zajęło mi

pozbycie się bliźniaków, Adasia i całej reszty. Rozsiadłyśmy się przy stoliku, kupiłyśmy kawę i... to Em zaczęła.

– Domyśliłaś się, że strasznie chcę pogadać?

– Tak jakby... – Widziałam przecież, że wprost nie może się powstrzymać.

– Wiesz, spotkałam kogoś cudownego. – Zaczepnęła tchu i napiła się kawy.

– Szalenie cudownego.

– Tak...? – zaintonowałam zachęcająco.

– Spotkaliśmy się podczas sesji, on studiuje na polibudzie informatykę.

U nas pojawił się przez przypadek, bo umówił się z kumplem. Spotkaliśmy się i to była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Udana pierwsza randka – stwierdziłam domyślnie.

– Właśnie – kontynuowała. – On jest taki cudowny, przystojny, mądry, opiekuńczy i czuły. Po prostu idealny. I co najważniejsze, nie jest typem „Zarwać, zaliczyć, zapomnieć”.

Idealnych facetów Emilka spotykała średnio raz na dwa miesiące.

– A co z Bartkiem? – postanowiłam być głosem rozsądku.

– Jak to: co? – zdziwiła się Emilka – Przecież nie może stać mi na drodze do szczęścia.

Postanowiłam ją trochę przystopować.

– Tak jak wcześniej Artur? – zauważyłam niewinnie.

– A co ma do rzeczy Artur? – Otworzyła szeroko oczy. – To było zupełnie co innego – zapewniła.

– A wcześniej Marek.

Teraz popatrzyła na mnie z wyrzutem w oczach. Żadnej litości.

– I Adam, Jarek, Krzysiek, Marcin, Waldek, drugi Krzysiek, Tomek i Wojtek. Poprzednich już nie pamiętam.

– Et tu, Brute...

– No dobra – ustąpiłam. – Jak ma na imię ten ideał?

– Rafał. – Rozmarzyła się, popijając kawę. – I jest taki doskonały!

Rozumiemy się bez słów.

– Macie podobne zainteresowania? – zaczęłam. Emilka w cudowny sposób dawała się podpuszczać, gdy chodziło o jej nowe miłości. Może to jakaś wada genetyczna. Nie wiem.

– Mamy – potwierdziła.

– I możecie godzinami milczeć, patrząc sobie w oczy.

– Patrzymy sobie w oczy.

– I lubicie te same filmy? – wypytywałam dalej.

– Uwielbiamy.

– I on interesuje się historią.

– Jeszcze jak się interesuje! – przytaknęła.



– I jest ci pisany – westchnęłam.  
– I jest mi pisany – oświadczyła z mocą Em.  
– A ja jestem chyba w ciąży – zaryzykowałam.  
– I jesteś chyba w... – Emilka zakrztusiła się i kawa, którą miała w ustach, znalazła się na stoliku, na niej i częściowo na mnie.  
– Ciąży – dokończyłam uprzejmie.  
– I nic nie mówisz?! – Skończyła wycierać stół i siebie, po czym spojrzała na mnie z wyrzutem.  
– Mówię. Teraz – sprostowałam grzecznie.  
– To pewne? – Skończyła gorączkowo wycierać stół i pochyliła się w moim kierunku.  
– Nie byłam jeszcze u lekarza, jeśli o to ci chodzi. Okres mi się spóźnia. – Skrzywiłam się.

Było widać, jak trybiki w głowie Emilki gorączkowo pracują. Oczy jej się zaświeciły.

– Paweł wie?  
– No co ty – oburzyłam się. – Jeszcze by tego brakowało. Ślub murowany bez względu na wynik wątpliwości. Sama ewentualność pobudzi go do działania. Chyba że mu się włączy tryb Andrzeja. Ale nie sądzę.

– Co zrobisz? – spytała.  
– Jeśli nie jestem, to Alleluja: wszystko zostanie tak, jak jest. Jeśli tak, to zabij, nie mam pojęcia. – Wzruszyłam ramionami.

– Masz dwa wyjścia – rzeczowo zaczęła Emilka. – Aborcja lub rodzisz. Ale nie sądzę, żebyś usunęła.

– I masz rację – potwierdziłam.  
Moje sumienie by mi nie pozwoliło, mimo że przeraża mnie możliwość bycia mamą. Jestem, co prawda, za prawem kobiety do wyboru, ale uważam, że to nieludzkie.

– Albo urodzisz – kontynuowała wątek Em.  
– Urodzę – zgodziłam się z nią.  
– Po ślubie z Pawłem – podsumowała swoje wnioski. – Bardzo szybkim ślubie.

Doszłam w nocy do tego samego wniosku i miałam nadzieję, że nie usłyszę tego od Em. Nadzieja matką wiadomo kogo.

– I uwierz mi, najbardziej szczęśliwy w tej sytuacji będzie Paweł.  
Wprost niewymownie szczęśliwy.  
– To kiedy idziemy oglądać suknie ślubne? – spytała.

Z Pawłem zobaczyłam się dopiero po południu, tego samego dnia.

Oczywiście o moich ostatnich wątpliwościach nie zamierzałam z nim rozmawiać, bo może nie będę musiała? I znów ta nadzieja...

Siedziałam sobie wygodnie na sofie obok mojego lubego i pokrótce relacjonowałam mu przebieg egzaminu.

– Zastosowałam więc metodę sześciu „z”.

– Sześciu? – zdziwił się. – Za moich czasów były trzy: zakuć, zdać, zapomnieć.

– Zastosowałam wersję udoskonaloną – roześmiałam się. – Marzenie każdego studenta. Choć co niektórzy moi koledzy stosują metodę czterech „z” i jednego „n”!

Paweł spojrział na mnie pytająco.

– Rozszyfrować proszę – polecił krótko.

– Moja metoda: zapisać, zakuć, zdać, zapomnieć, znowu zapisać – wyrecytowałam na jednym oddechu. – I będziesz mi potrzebny w ostatniej fazie.

– Czyli? – zainteresował się.

– Znowu zapisać. Moja matka wróciła – wyjaśniłam krótko.

Uśmiechnął się tylko. Nie cierpię sposobu, w jaki to robi. Ten wszechwiedzący uśmiezek powoli wpełza na jego twarz i zatrzymuje się tam na dłużej. No, ale czy zaszłam, czy nie, o tym ci jeszcze kolego nie wiadomo! Na szczęście. Choć uczciwie mówiąc, w tej sprawie nie mogłam być wściekła tylko na niego, bo byłam chętną uczestniczką. I kto tu mówi, że za przyjemność nie trzeba płacić. Jeśli cało z tego wyjdę, obiecałam sobie, że dla poprawienia humoru kupię sobie czekoladę. Też przyjemne, a konsekwencje są nieistotne w moim wypadku.

– No a ta druga? – Wyrwał mnie ze snu, w którym właśnie oblizywałam kilkukilogramową czekoladową tabliczkę. Mleczną z orzechami, oczywiście.

– Druga co?

– Metoda. – Postanowił być cierpliwy. Przyzwyczaiałam go już do tych chwilowych wizyt w królestwie marzeń.

– Aaaa. Zapisać, nie zdać, znowu zapisać.

– Wolę tę pierwszą.

– Ja też. – Przytuliłam się do niego. Nagle wstał, więc straciłam punkt oparcia. Nie powiem, nie podobało mi się to.

– Uskuteczniamy? – Podeszedł do barku i wyciągnął koniak.

Już miałam kiwnąć głową, gdy nagle przypomniałam sobie o możliwym dzidziusiu. Koniaczek owszem, owszem, bardzo mi pasuje, ale wolę urodzić zdrowe dziecko.

– Dziś nie – stwierdziłam z żalem. – Trochę chora jestem.

Wstyd tak kłamać. Cięża nie choroba przecież. Ale tak na wszelki wypadek...

Niestety zapomniałam o jednej drobnutkiej sprawie. Włożył butelkę

z powrotem do barku i zaczęło się.

– Na co chora? – domagał się informacji w sposób kategoryczny.

No to wpadka. Kombinuj, dziewczyno, bo znając go, zaciśnie szczęki jak rottweiler i nie popuści. Na szczęście przypomniała mi się wymówka wielu kobiet wymigujących się od... wiadomo czego.

– Głowa mnie boli. – Może wystarczy?

– Gdzie?

Nie wystarczyło.

– Czoło i okolice zatok – udzieliłam informacji dodatkowych.

– I ty zamiast w domku się kurować, to tłuczesz się autobusami do mnie? – Pawełek zaczynał wyglądać na wpienionego. Ciekawe jak mocno? – Gdzie ty, kobieto, sprzedawaś rozum?

Był bez wątpienia mocno wkurzony.

– Przecież sam mnie zaprosiłeś. – Postanowiłam się bronić, aczkolwiek wypadło to trochę słabo, jak na chorą przystało.

– Ale jak zdrowa jesteś! – ryknął. – Nie, kiedy odmawiasz koniaczku z powodu bólu głowy!

Aj, niedobrze. Do tej pory z takich względów nie odmawiałam, więc pewnie pomyślał, że reprezentuję ostatnie stadium. Z humorem pomyślałam, że teraz jeszcze nie, ale za jakieś siedem miesięcy... Postanowiłam zastosować argument ostateczny.

– U mnie w domu nie ma warunków do odpoczynku – powiedziałam. – Sam rozumiesz. Mamusia.

I nagle wpadłam na genialny pomysł.

– A poza tym chciałam być z tobą – oświadczyłam, patrząc mu w oczy.

Momentalnie przestał się wściekać. Fakt, kwestię mojego zdrowia traktował bardzo poważnie, lecz jeszcze poważniej to, co się pomiędzy nami działo.

– Zostajesz u mnie – oświadczył kategorycznie. – Sam dopilnuję, żebyś wyzdrowiała. Mnie to nie wygląda tylko na ból głowy. A jutro osobiście zawlokę do lekarza, żeby cię zbadał. Lepiej na zimne dmuchać – dodał na koniec.

O rany... Tylko nie lekarz. Czy internista może orzekać, czy kobieta jest w ciąży? I poinformować o „chorobie” przyszłego tatę?

– Ale... – próbowałam zaprotestować. Bezskutecznie, niestety.

– Zostajesz u mnie – powiedział z miną sędziego wygłaszającego wyrok. – A teraz idę dzwonić do twojej mamusi.

Obrócił się na pięcie i poszedł. No to jestem ugotowana. Po chwili usłyszałam, jak rozmawia. Powiedział, co miał do powiedzenia, i wrócił do mnie na sofę. Położył moją głowę na swoje kolana i zaczął masować skronie oraz czoło. Było bosko!

– Nie wiem, co ty chcesz od swojej matki. Zmartwiła się i powiedziała,

żebyś u mnie spokojnie zdrowiała.

No bo nie musi sama mnie doglądać, pomyślałam złośliwie.

– Lepiej? – zapytał po chwili.

Zamruczałam tylko. On naprawdę robi doskonały masaż.

– Wymasujesz mi plecy? – zaryzykowałam.

Oplaciło się.

Mój anioł stróż wrócił z urlopu i zabrał się do naprawiania moich głupot. W nocy przyszło to, na co (choć sama do niedawna o tym nie wiedziałam) czekałam tak długo; Paweł uznał, że mój ból głowy to wynik stanu napięcia przedmiesiączkowego – babska fanaberia. Wolałam nie wyprowadzać go z błędu, tak na wszelki wypadek. Rano odwiózł mnie do domu. Matka spojrzała na mnie podejrzliwie, ale nic nie powiedziała.

Tydzień później do pracy nadal chodziłam z uśmiechem i pieśnią na ustach. Może chwilami zbyt głośną pieśnią, bo ludzie na ulicy, słysząc moją interpretację jednej z popularnych piosenek, patrzyli na mnie jak na uciekinierkę z wariatkowa. W tych dniach mi to wcale nie przeszkadzało. Ulga z powodu odroczenia dożywocia, jakim obecnie byłoby dla mnie dziecko, sięgała niebios. Kiedyś, w przyszłości, pewnie chciałabym mieć dzieci. Ale chwilowo to nie był dobry moment.

W pracy też wszystko szło szybko i sprawnie, może z powodu nieobecności pani dyrektor. Atmosfera już w ciągu pierwszej godziny niesamowicie się poprawiła. Niestety mój dzień pracy i tak skończył się w gabinecie szczęśliwie wciąż obecnego psychologa, po uprzednim wezwaniu rodziców dwóch małych. Dlaczego? Kiedy już miałam opuścić swój prywatny padół niedoli, zobaczyłam, jak dwóch geniuszy wynosi z łazienki muszlę klozetową. Nie wiem, kto był

bardziej zaskoczony. Oni widokiem mnie w opustoszałej szkole, czy ja, gdy wpadłam na nich tachających kawał porcelany. Zapytałam, po co im potrzebny ów dowód rzeczowy i czy uważają, że nikt by nie zauważył wynoszonego „drobiazgu”. W odpowiedzi usłyszałam, że zabrali tak dla hecy i mieli zamiar przemycić ustrojstwo przez wyjście ewakuacyjne, z pominięciem portierni.

Po powrocie do domu nie miałam już siły na nic męczącego i wymagającego głębszego myślenia, więc postanowiłam wrócić do lektury zaniedbanego na czas egzaminów pamiętnika.

*Wrzesień roku pańskiego 1805*

*Minęło lato, wraz z jego kolorami, zapachami i piękną pogodą. Tylko patrzeć, jak jesień zacznie złocić liście albo okryje je czerwienią. Żałuję, że lato się skończyło. Ostatnie lato mojego dzieciństwa. W październiku kończę szesnasty rok życia i oficjalnie stanę się panną na wydaniu. Oby tylko wielbiciele dopisali. Na razie tu cicho, ale panuje wielkie podniecenie. Kilka dni temu doszła do naszych uszu niesamowita wieść! Podobno pod koniec września do Puław zawita władca Wszechrosji, sam cesarz. Przyjedzie ze swoim przyjacielem, a synem księżnej jenerałowej, księciem Adamem Jerzym.*

*Natychmiast wysłano listy do księżnej i księcia, którzy w tych dniach przebywali poza Puławami. Ochmistrzyni rozwodziła się tylko nad tym, czy aby listy owe dotrą na czas. Wstyd niepomierne stałby się i skandal, gdyby władca przybył, nie zastając gospodarzy. My także przygotowujemy się do tego jakże oczekiwanego wydarzenia. Nawet panny Niedziałkowska i Paszkowska, które wyciskają łzy rozpaczy z oczu naszego preceptora, do gam się zabrały ze zdwojonym zapalem. My z panną Konstancją pieśń ćwiczymy, którą być może uda się nam wykonać w obecności znamienitych gości.*

*Cesarz przybył w nocy. Moje obawy co do spóźnienia ich wysokości były na szczęście przesadzone. Nie przyjechali ani minuty później, niż należało. Nasz plan zajęć stanął na głowie, bo z cesarzem pojawiła się cała świta oficerów, co w pannach budzi niezwykle podniecenie. Cesarza nie widziałyśmy i pewnie nie ujrzymy, bo przebywa w zamkniętych dla nas, a przeznaczonych dla niego pokojach, otoczony swoimi zaufanymi, do których należy również nasz książę Adam. W Puławach przebywają także sąsiedzi i przyjaciele rodziny. Cesarz wyraził na to zgodę, mówiąc, że cieszy się z towarzysztwa Polaków miłych rodzinie*

gospodarzy.

### *Październik roku pańskiego 1805*

*Widziałam cesarza. Co dzień organizowane są tu zabawy, widowiska i przedstawienia, które mają umilić pobyt jego wysokości. Planuje je księżna Wirtemberska, którą cesarz nazywa ciocią. Z nią przebywa też najchętniej. Księżna jenerałowa osobiście oprowadzała cara po puławskim parku, pokazując Świątynię Pamięci i nieotwarty jeszcze Domek Gotycki. Sama nie byłam do tej pory w Świątyni, aczkolwiek pójść muszę, bo przechowywane są tam pamiątki zgromadzone przez księżną. Okruchy historii naszego wielkiego niegdyś, a umęczonego teraz narodu.*

*W Puławach są podawane cztery obiady: pierwszy dla nas, a ostatni o piątej dla cesarza, który go spożywa w towarzystwie wybranych przez siebie trzydziestu osób. Dziś zostałyśmy wybrane także ja i Konstancja. Konstancja nie chce iść, bo brat jej należy do stronnictwa popierającego Francję. A cesarz, choć uroczy, to zaborca. Ja staram się w tych dniach o tym nie pamiętać. Na obiad musimy pójść, bo inaczej byłaby to obraza majestatu. A on jest teraz naszym władcą.*

*Obiad spożyliśmy na wspaniałej porcelanie, ubrane w nasze najpiękniejsze toalety, które i tak były niczym przy toaletach innych dam. Czułam się tam dziwnie i trochę jakby nie na miejscu. Co prawda moja rodzina jest świetna, ale mocno zubożała przez ostatnie lata. Widząc ten przepych, zastanawiałam się, co ja tu robię. Mimo że cesarz był bardzo miły, a nawet pochwalił głębię i kolor moich oczu, nie umiem się oprzeć myśli, że siedząc z nim przy jednym stole, zdradzam swą biedną Ojczyznę. Konstancja miała rację! Trzeba było patrzeć na zbyt wielu zniechęconych Rosjan, by ten obiad mógł być przyjemnym. Dobrze przynajmniej, iż są wykształceni i używają języka salonów. Nie zniosłabym rosyjskiego, byłoby to straszne dla stanu mojego ducha!*

*Cesarz wyjechał dziś w nocy. Myślę, że to dobrze. Zbyt wiele wojsk rosyjskich było w pobliżu, zbyt wiele krzywd zostało przypomnianych. Księżę Adam wyjechał z cesarzem. Może to dlatego księżna jenerałowa tak płakała.*

No tak, pomyślałam, za cały komentarz wystarczy zdanie: „Plan puławski runął”[1].

*Grudzień roku pańskiego 1805*

*Panna Marta ma adoratora! Poznali się podczas wizyty cesarza w Puławach. Ma dobra położone blisko miasta, więc został zaproszony na jeden z wieczorków, które organizowała księżna Wirtemberska. Tam też się poznali. Od tej pory często bywał w majątku i prosił o rozmowę z panną Martą, na które to rozmowy została mu udzielona zgoda. W obecności przyzwoitki, oczywiście.*

*Gdy pan Arkadiusz Śliwiński przyjeżdża, zawsze przywozi pannie jakieś drobne dowody szacunku i uznania. A to bukiet kwiatów, które własnymi rękami zrywał, a to pudełko kandyzowanych wiśni. Zabiera ją na spacer po parku. Zimno strasznie, ale im to nie przeszkadza. Panna Marta wygląda na bardzo szczęśliwą. Oczywiście pan Śliwiński wpierw do ojca panny pojechał, pytać się, czy może zabiegać o jej względy. Przystano na to, co wcale nie było takie pewne. Wielu już zalotników odprawił ojciec panny Marty, a pozostali nie przypadli jej wcale do serca. Pan Arkadiusz, człowiek bardzo majątny, ma kilka wiosek, po ojcu chrzestnym odziedziczył kolejny majątek, a poza tym pod Poniatowskim w wojnie 1792 już jako osiemnastoletni młodzian walczył i wybitnie odznaczał się męstwem.*

*Do Puław przyszła wiadomość. Cesarz Francuzów Napoleon w bitwie pod Austerlitz pokonał naszego władcę i cesarza rzymskiego. Sama nie wiem, czy smucić się tą myślą, czy radować. Kawalerowie nasi powtarzają, że coś musi się szykować, bo w tych dniach pan Niedziałkowski do Naczelnika ruszył prosić o radę i wsparcie!*

*Styczeń roku pańskiego 1806*



Wraz z nowym rokiem zostały podjęte pewne decyzje. Pan Śliwiński się zdeklarował i panna Marta w przyszłym roku latem zostanie mężatką. To niezbyt odległa w czasie data, ale młodzi nalegali, by jak najszybciej się pobrać. Pan Rybczyński zgody udzielił, lecz na niestosowny pośpiech narzekał. Bo jakże wspaniałe wesele przygotować, jeśli młodym się tak śpieszy! Panna Marta opowiadała nam wczoraj o oświadczeniach swego narzeczonego. To musiało być takie przejmujące! Po uzyskaniu zgody ojca rozmawiał z panną i na kolanach o jej rękę grzecznie prosił. Panna, która gorącym afektem go obdarzyła, za pierwszym razem zgody udzieliła. Co prawda jej ciotki namawiały, aby zdecydowała się na rekuzę i za drugim razem dopiero przychylna mu była, gdyż podobno to, co trudno zdobyć, jest bardziej cenione w wielkim świecie, a adorator bardzo wdzięcznym pannie będzie, gdy za drugim razem zgody udzieli. Panna Rybczyńska jednakowoż uważa, że takowe wybiegi przynieść nie korzyść, lecz żalność mogą. Dlatego zgody udzieliła od razu.

Zgoda panny Marty na małżeństwo wielkie zmiany przyniosła. Księżna pani pozwolenia udzieliła mnie i Konstancji na letnią wizytę w dworze Marty. Byśmy, jak powiedziała, same mogły napotkać jakowychś odpowiednich kawalerów. Do Puław wraz z panem Śliwińskim inni kawalerowie przybywają, ponoć nawet byli oficerowie kościuszkowscy też mają zawitać. Organizowane są wieczorki, kuligi i inne zabawy. Ponieważ jestem już do małżeństwa gotowa, biorę w nich udział wraz z innymi dorosłymi już pannami. Tylko tańczyć jeszcze nie chcę, uważam bowiem, że przez pół roku mojej edukacji nie zdołałam opanować w sposób należyty wszystkich figur. Wstyd byłby wielki, gdybym się na przykład zapomniała w kadrylu albo, nie daj Panie, potknęła w kotylionie. Blamaż zupełny. Któż oświadczyłby się o pannę, która wdzięcznie i z gracją tańczyć nie umie? Dlatego na razie nie tańczę. Gdy już wszystkie figury świetnie opanuję, z pewnością zezwolę, by mnie poprowadził w tańcu jakiś odpowiedni młodzieniec.

Luty roku pańskiego 1806

Pan Śliwiński zamierza wydać u siebie wielki bal zaręczynowy. Dziś przyszły zaproszenia dla mnie i Konstancji. Prócz nas pójdzie jeszcze panna Alicja, siostra

*narzeczonej. Od stycznia chodzi całkiem kwaśna. Widać, że małżeństwo siostry nie cieszy jej wcale. I nic dziwnego. Dowiedziałam się, że nie jest zazdrosna o jej szczęście, ale o pieniądze. Warunek w testamencie pierwszej pani Rybczyńskiej mówi bowiem o tym, że starsza panna Rybczyńska do ukończenia 21 roku życia musi wyjść za mąż. Inaczej posag przepadnie na rzecz jej ojca i dopiero on zdecyduje, czy panna Marta odziedziczy po jego śmierci jakiegokolwiek pieniądze. Dziwny to warunek, lecz panna Ala w nim właśnie widziała nadzieję na zwiększenie swego posagu. Gdyby ktoś mnie pytał, miałaby większe u panów powodzenie, gdyby mniej kwaśna była. A tak chodzi i spogląda złym wzrokiem za narzeczonymi. Gdyby wzrok mógł robić krzywdę, zamiast jednego wesela mielibyśmy dwa pogrzeby!*

Dalszą lekturę przerwał mi uporczywy dzwonek do drzwi. To Paweł wpadł upewnić się, że mam się dobrze. Tak na wszelki wypadek. Jak się następnie okazało, miał też ochotę pogadać. Poważnie! Na szczęście mamusia umówiła się ze swoją najlepszą przyjaciółką Marysią i była nieobecna. Tatuś poszedł się poszukać w swoim pokoju, a moja siostra najprawdopodobniej dokarmiła o tej porze Pszczółkę. Byliśmy więc sami.

Zrobiłam mu herbatki i usadowiłam się wygodnie obok niego. Nie uśmiechał się i miał poważną minę, co niestety oznaczało kłopoty. Nie musiałam długo czekać, aby się o tym przekonać. Paweł dopił herbatkę, odetchnął głęboko i zaczął z wahaniem:

– Zdecydowałem się już.

– Ale na co? – Byłam zdumiona. Paweł rzadko coś oświadczał w uroczysty sposób.

– Pomogę rodzicom rozkręcić interes.

– Super – uśmiechnęłam się do niego, zastanawiając się, dlaczego przed chwilą tak bardzo ścisnęło mnie w dołku. To przecież jasne, że musi pomóc rodzicom. – Byłam pewna, że tak zrobisz. Przecież weekendy w większości masz wolne, więc możesz do nich jeździć. Sama dość dużo myślałam o tym pensjonacie i wpadłam na kilka świetnych pomysłów...

– Przystopuj trochę. – Położył mi pieszczotliwym ruchem palec na ustach. – To jeszcze nie wszystko.

– Nie wszystko? – zaniepokoiłam się znowu. – Moja pomoc nie ograniczy się do weekendów – ciągnął dalej.

– Nie? – zdziwiłam się. – Przecież tam się jedzie kilka godzin. Nie dasz rady pracować tutaj i pomagać im w tygodniu. – Postanowiłam zostać głosem rozsądku. Do czego to dochodzi?!

– Wiem, że nie dam rady – potwierdził. – W związku z tym złożyłem

wymówienie w firmie, sprzedaję mieszkanie i przeprowadzam się do Lubicy. Będę tu pracował tylko trzy miesiące.

Zatkało mnie. Rzadko się zdarza, żebym nie umiała wykrztusić z siebie ani jednego zdania, nie mówiąc już o słowie, w związku z tym zareagowałam w jedyny dostępny mi sposób.

– Och...

Patrzyłam na niego i zastanawiałam się co to będzie oznaczać dla nas. W pierwszej chwili poczułam furię: przecież takie decyzje powinniśmy chyba podejmować wspólnie? Przynajmniej jeśli myśli o mnie poważnie, a tak cały czas powtarza... Przecież nie możemy kontynuować naszego związku na odległość. Ale może będzie chciał dojeżdżać? Ostatnio zaczęłam na niego spoglądać w innym świetle, jakiegokolwiek myśli o zerwaniu poszły w niepamięć; byłoby mi go bardzo brak. Ale to były tylko moje gdybania, bo może jednak będzie chciał zerwać? Komu by się chciało dojeżdżać z tak daleka, żeby pobyć przez chwilę z dziewczyną?

– Widzę, że cię zdziwiłem – skomentował moją niemoc powiedzenia czegokolwiek w odpowiedzi na jego rewelację.

Zdziwił to mało powiedziane. Kompletny szok byłby lepszy! W końcu odzyskałam przyrodzoną człowiekowi zdolność mowy. Do dzieła! Wolę wszystko, tylko nie niepewność.

– Więc zrywasz ze mną – stwierdziłam sucho. Prawdę powiedziawszy, wcześniej nie tak wyobrażałam sobie koniec naszego związku. Byłam taka pewna, że to mnie przyjdzie decydować i zrywać... Bardzo dobra nauczka.

– Ależ skąd! – Widać było, że Paweł jest zdziwiony moim tokiem rozumowania.

– Więc?

– To ty o tym zdecydujesz.

– Nie rozumiem. – O czym, na Boga, on bredzi?, zaczęłam się zastanawiać. Mówi, że wyjeżdża, a to ja mam decydować o zerwaniu?

– To proste. Wyprowadzam się, więc nasze kontakty ulegną ograniczeniu – zaczął tłumaczyć. Usunął palcami włosy, które wpadały mu do oczu. Przydałby mu się fryzjer, pomyślałam bezwiednie. I skoncentrowałam się znów na tym, co do mnie mówi. – Wcale jednak nie chcę z tobą zrywać. Chcę mieć cię przy sobie.

Poczułam nagłą falę zadowolenia.

– Lecz nie będzie to możliwe, jeśli ty będziesz tutaj, a ja tam.

– I...

– Musisz więc zdecydować, czy przeprowadzisz się ze mną. Jak skończysz studia, wzięlibyśmy ślub...

Milczałam.

– Jeśli jednak uważasz, że nie możesz wyjechać ze mną, będziemy musieli

zerwać... – kończył tłumaczyć, patrząc mi w oczy. – Prawdę powiedziawszy, doskonale wiesz, że wolałbym pierwszą opcję. Nie wyobrażam sobie pobytu w Lubicy bez ciebie...

Poczułam, jak rośnie mi ciśnienie, jednak starałam się zachować spokój i nie zacząć wrzeszczeć.

– Nie uważasz, że nie znamy się jeszcze wystarczająco dobrze? Jesteśmy ze sobą ile? Około ośmiu miesięcy? A poza tym to, co proponujesz, to jakieś cholerne ultimatum!

– Skoro tak to odbierasz... Tak, to ultimatum. Albo – albo, kotku. Nie możesz zjeść ciasteczka i mieć ciasteczko. Pora dorosnąć.

Temperatura w mojej głowie wzrosła pewnie do poziomu wulkanu przed erupcją. Już miałam ochotę mu powiedzieć, żeby zjeżdżał, że mnie nie obchodzi i że znajdę sobie natychmiast faceta, który mnie zrozumie, i będzie chciał dobrze poznać, gdy pojawił się pierwszy przeblysł zdrowego rozsądku. A co z dworkiem i pamiętnikiem? I przede wszystkim co z nami? Nie chciałam się z nim rozstawać. Powietrze uszło, chłodząc mój rozpalony do białości mózg. Musiałam to wszystko jeszcze przemyśleć. Na zimno i w samotności.

– Ile mam czasu? – zapytałam chłodno.

– Powiedzmy – uśmiechnął się do mnie czule – do pierwszego lipca. Zdasz egzaminy, skończysz pracować, a potem powiesz mi, co postanowiłaś. Do tej pory wszystko zostanie po staremu. Na wiosnę możesz jeździć do Lubicy i penetrować strych. Może to ci pomoże w podjęciu decyzji – powiedział i uśmiechnął się znowu. Tym razem złośliwie.

Spojrzałam na swoje zaciśnięte nerwowo dłonie. Myślałam, że jestem taka mądra, tymczasem on świetnie znał moje słabości i manipulował mną tak samo, jak ja nim. Wykorzystywał je przeciwko mnie. Spojrzałam na niego spođe łba.

– Wiem, dlaczego nie stoję już wyproszony za drzwiami. I prawdę powiedziawszy, trochę mnie to gniewa. – Spojrzał na mnie smutno. – To ja chciałbym być główną przyczyną zmiany twego temperamentu. Ale będę miał jeszcze trzy miesiące... Może wygram ze starociami...?

– Będę chciała formalnej prośby o rękę. Wraz z pierścionkiem i deklaracją miłości. I wtedy dam ci odpowiedź – upierałam się. – Tylko to mnie zadowoli, a nie tryb oznajmujący: pobierzemy się.

– Formalna prośba o rękę wraz z deklaracją miłości miała miejsce w listopadzie. Tylko pierścionka nie było, bo działałam pod wpływem chwili. Ty ze szczęścia dostałaś czkawki, a potem uparłaś się, byśmy poszli świętować u mnie.

Ups. Więc jednak to nie były omamy słuchowe.

I co ja mam, do diabła, teraz zrobić?

W nocy budziłam się kilka razy. I myślałam intensywnie. Bardzo intensywnie! Jak nie urok, to... wiadomo co! Dopiero co odetchnęłam, bo natychmiastowy ślub nie jest potrzebny, a on mi wyjeżdża! I co ma zrobić z tym mętlikiem w miarę normalna i zdrowa psychicznie dziewczyna, taka jak ja? Niedługo będę zdrowa psychicznie inaczej. Poza tym uważałam, że na decyzję o ślubie było jeszcze za wcześnie. Nim złożymy przysięgę uwzględniającą grobową deskę, powinniśmy się bardzo dobrze poznać. Przede wszystkim po to, by po ślubie nie było niemiłych niespodzianek. Zgoda, Paweł wydawał się cudownym facetem, ale też miał wady, które doprowadzały mnie do szału. Nie życzę sobie za parę lat przechodzić procesu rozwodowego tylko dlatego, że wcześniej nie rozważyłam wszystkich za i przeciw. A jaśnie panu się śpieszyło do ołtarza. Poza tym na rozwodach najbardziej zawsze cierpią dzieci. A chciałam, by moje – te z dalszej przyszłości, rzecz jasna – wychowywały się w pełnej rodzinie.

No i w końcu najważniejsze. Czy ja go naprawdę kochałam?

Oczywiście całą sprawę muszę obgadać z Em. Może znajdzie jakieś trzecie wyjście. Hipnoza? Pranie mózgu? A może wystarczy deliryczne uszczęśliwienie mojego mężczyzny – tak, aby mu te głupoty wybić z głowy? A przynajmniej odwlec w czasie? I znów miałam ochotę jęczeć. Boże, czemu tak mnie nie lubisz i mi to robisz?

Spojrzałam na zegarek. Była czwarta. A ja znów nie przygotowałam się do lekcji... Paweł! Niech cię szlag!

W pracy byłam półprzytomna, choć lepszym określeniem byłoby „zupełnie nieprzytomna”. Klasa III c, z którą miałam pierwszą lekcję, robiła ze mną, co chciała. Dziś byli wyraźnie poruszeni i w doskonałych humorach.

– Co wam tak wesoło? – zapytałam.

– A bo, proszę pani – zaczął niejaki Marcinek – mieliśmy polski.

– I? – Cała zamieniłam się w słuch. – Mógłbyś mi wyjaśnić, co ma wspólnego polski z tym, że przypominacie przelewające się bałwany?

Przez chwilę wyglądali na ciężko urażonych, dopóki jeden nie wyjaśnił, że chodzi o fale. Ach, ta młodzież i ich poziom wiedzy.

– Bo pani Sroka przyniosła nam obrazki do kolorowania. I Michał pokolorował Twardowskiego na zielono.

– Po jakiego grzyba?

– Bo, proszę pani, stwierdził, że Twardowski już tak długo na tym księżycu wisiał, to się zdążył zepsuć. A zepsute mięso wiadomo, zielone.

Spojrzałam na nich z przerażeniem. Ciekawe, co o mnie będą wygadywać?

– A poza tym pani od fizyki nam powiedziała, że badanie wyników nauczania będziemy mieli.

– I to was tak bawi? – Byłam bardzo zdziwiona.

– No bo my, proszę pani, humaniści jesteśmy – wyjaśnił Patryk.

– Fyzyki ni w ząb – uzupełnił Mareczek.

Zaczęłam gorączkowo przeglądać dziennik.

– Ale same piątki i czwórki macie. – Spojrzałam na nich. Chyba sobie ze mnie robią jaja.

– No bo, proszę pani – oświecił mnie Marcinek – najgorsza ocena ze sprawdzianu to cztery. A poza tym to nic dziwnego. My zadania rozwiązujemy na lekcji, mamy je w zeszytach, a na sprawdzianie są dokładnie takie same, a nam wolno mieć zeszyty otwarte.

– Więc spisujecie – podsumowałam.

– Spisujemy. No pewnie – rozkręcił się. – A na takim badaniu wyników przepadniemy. Żadnych pomocy naukowych, a zadanka będzie układał pan Szczeslewski.

– No i...

– On jest bardzo wymagający. Ale umie nauczyć – uzupełnił swoją wypowiedź Patryk. – A my teraz ciołki jesteśmy.

– Kompletnie ciołki.

– A może byście zaczęli się tej fizyki uczyć? – delikatnie podsunęłam sugestię.

Klasa spojrzała na mnie z politowaniem.

– Chyba żeby przeprowadzać doświadczenia fizyczne na naszej pani – powiedział z nadzieją Patryk.

Na wyniki nie musiałam długo czekać. Totalna burza mózgów.

– Przyśpieszenie ciała.

– Działanie siły na ciało.

– Prąd teraz przerabiamy. Działanie na ciało prądem.

– Swobodny spadek ciał.

– Tarcie.

– Zderzenie ciał.

– Ruch postępowo-obrotowy ciała sztywnego.

– Drgania wymuszone ciała.

– Działanie na ciało ciśnieniem.

– I temperaturą...

– I nie można zapomnieć o grawitacji – przyłączyłam się do powszechnej głupawy. – Z tego, co słyszę – podsumowałam – całkiem nieźle fizykę umiecie. Myślę, że sobie poradzicie. A teraz przejdźmy do lekcji.

Odpowiedział mi zbiorowy jęk. Nagle w pierwszej ławce niski blondynek podniósł rękę do góry.

– Proszę pani, ja mam jeszcze pytanie.

– Tak? – uśmiechnęłam się do niego zachęcająco.

– Ile pani ma lat?

Cóż, byłam pewna, że ten dzień musi nadejść. Na szczęście miałam już przygotowaną odpowiedź.

– Osiemnaście – stwierdziłam. – Z małym hakiem.

– Raczej z kotwicą – usłyszałam głos z ostatniej ławki i salwę śmiechu. Pokręciłam tylko głową i sama się uśmiechnęłam.

– No to, chłopie, siedzisz tu do ukończenia własnej osiemnastki – próbował ratować sytuację Marcinek. – Pani taka fajna, a ty z kotwicą wyjeżdżasz.

– Pozostaje mieć tylko nadzieję – postanowiłam zakończyć z humorem – że nie miałeś na myśli tej z Titanica.

Klasa zaczęła się śmiać, a ja w końcu przeszłam do tematu lekcji. Muszę stwierdzić, że bawiłam się całkiem dobrze na tych zajęciach. I zapomniałam zupełnie o moim drobnym kłopotku. Odkryłam nagle, że praca w szkole ma również plusy. Uczniów z poczuciem humoru i naprawdę sympatyczne klasy!

Po lekcjach, kiedy wychodziłam z sali, zobaczyłam moją nemezis pod postacią Pawełka. Jakoś wcale nie chciało mi się z nim gadać, a poza tym nie zdążyłam porozmawiać z Em na wiadomy temat. Postanowiłam udawać, że mnie tak bardzo nie wpienił swoim pojawieniem się, więc rzuciłam ponuro:

– Cześć – w nadziei, że wystarczy to za całą konwersację. Paweł jednakże był innego zdania.

– Witaj, skarbie – usłyszałam, po czym zostałam potraktowana jak pakunek: ubrana w płaszcz, objęta i sprowadzona na dół. Brakowało tylko wstążki, a byłby ze mnie bardzo ładny bożonarodzeniowy prezent. Ponieważ byłam na niego dalej zła, nie odzywałam się, pokazując dobitnie swoje humory. Niestety nie wzruszało go to wcale. Mogę nawet stwierdzić, że prezentował całkiem niezły humor. Dopiero gdy zauważyłam, że wiezie mnie do siebie, odzyskałam głos.

– Chcę do domu – wydałam wyraźny rozkaz.

– Najwyższy czas, żebyś zaczęła myśleć o mnie i domu jednocześnie – uśmiechnął się do mnie diabolicznie. – Przeprowadzasz się do mnie, dopóki nie rozpocznę swojej przeprowadzki. Czyli na jakieś dwa tygodnie.

Opadły mi ręce, nogi, głowa i jajniki.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – wykrztusiłam. – Wszystkie ciuchy, kosmetyki i inne mam w domu!

– Poprawka – zaprzeczył. – Wszystkie ciuchy, kosmetyki i inne masz u mnie. Przeprowadziłem cię dzisiaj. Przy nieocenionej pomocy twojej siostrzyczki.

Jasne. Odpracowuje konie. I pewnie zarabia na następne.

– Zabiję.

I faceta, i rodzinę. Nie wiedziałam tylko, nad kim należałoby się bardziej pastwić.

– Twoja siostra bardzo się ucieszyła – kontynuował. – Powiedziała, że w twoim pokoju będzie mogła wypuszczać szynszyle!

– Natychmiast zawracaj! – wrzasnęłam, powalona wizją Maga i Gaga obgryzających moje meble, komputer i książki. Zwłaszcza książki. Zaraz po pomidorach najbardziej lubią wtranżalać papier!

– Żartowałem – próbował mnie uspokajać.

– Ale ja nie – jęknęłam. – Zawracaj natychmiast.

– Po co? Już jesteśmy na miejscu. – Samochód zahamował przed blokiem Pawła. – Napijesz się herbatki, uspokoisz...

Paweł w wyraźny sposób próbował poskromić potwora (lub rozhisteryzowaną niewiastę, na jedno wychodzi) i po prostu ociekał optymizmem oraz chęcią wszelakiej pomocy. Postanowiłam być oporna i doprowadzić do tego, by przeprowadził mnie z powrotem.

– Nigdzie się nie ruszam – stwierdziłam tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A teraz mnie odwieź, i moje rzeczy też.

Pijąc po jakichś dziesięciu minutach w jego mieszkaniu herbatkę, doszłam do wniosku, że nie był to wcale taki głupi pomysł. Cytrynka w wyraźny sposób koła moje nadszarpnięte całą tą sytuacją nerwy. Sytuacją związaną z wywlekaniem mnie z samochodu, przenoszeniem na górę, przewieszoną przez jego ramię, oraz przywiązywaniem za nogę do krzesła marynarskimi węzłami, żebym nie uciekła. Tak, herbatka to był genialny pomysł, a ja wyrzucałam sobie wszystkie te kazania, które prawilałam mu w nadziei, że będzie bardziej stanowczy. No i doczekałam się, niestety. Teraz pałałam żądzą zemsty i było mi wszystko jedno, czy zerwę z nim dziś, czy pierwszego lipca. Niech szlag trafi jego dworek, nie mogę z tego powodu wiązać się z tym bałwanem! A pamiętnik i tak zatrzymam. Może mnie wlec po sądach. Mam go gdzieś!

– Pościeliłem ci łóżeczko – oznajmił Paweł, wchodząc do pokoju. – A może jednak chcesz pogadać?

Spojrzał na mnie krytycznie.

– Chyba jednak nie. No dobra, to idziemy się myć.

– Nie idziemy, bo ja nie wybieram się do żadnego łóżeczka. Jutro muszę iść do pracy, głąbie. Wszystkie materiały mam...

– ...w naszej sypialni – skończył.

– Nie żadnej „naszej”. Ty masz swoją sypialnię. A ja swoją, w swoim mieszkaniu – podkreśliłam.

– Czyli u mnie. – Nie dawał za wygraną. Zabrał się za odwiązywanie węzłów. – A teraz ciepła, relaksująca kąpiel.

Zaniósł mnie do łazienki.

– No, ściągaj ciuszki.

– Ja zaraz ciebie ściągnę, i to na stałe – zagroziłam. Popatrzyłam na parującą



wodę. Wyglądała zachęcająco. Może jednak się wykąpię, nim wyjdę? Przyda mi się relaks... – Wyjdź! – zażądałam, spoglądając jeszcze raz z tęsknotą na wannę.

– Nie ma mowy – padła jego odpowiedź. – W tym stanie ducha mogłabyś sobie zrobić krzywdę. A ja naprawdę chcę sprawę doprowadzić do szczęśliwego finału!

Postanowiłam zrobić mu na przekór kolejny raz. Na złość.

– Nie będę się przy tobie rozbierać! – oświadczyłam, po czym odwróciłam się do niego plecami.

To był mój błąd, o czym przekonałam się za chwilę.

– No to trudno... Skoro nie chcesz – mruknął, po czym podniósł mnie do góry i w ubraniu włożył do wody.

Zanurzyłam się z głową. Po chwili znalazłam się nad wodą i prychnąwszy, odgarnęłam mokre włosy z twarzy. Paweł siedział na kibelku i przyglądał mi się uważnie.

– Ty... – zdołałam tylko wykrztusić.

– Brak ci słów – zakpił. – Kochanie, radziłbym ci pozbyć się tych mokrych ciuszków. Za chwilę woda ostygnie i będzie ci zimno. Nie chcę, żebyś mi się rozchorowała. Musiałbym wziąć wolne i cię pielęgnować. Codzienne – zagroził.

Obiecując mu wszystkie męki piekielne, zaczęłam ściągać mokre ubrania. Paweł podnosił je z podłogi, wykręcał w umywalce i wkładał do suszarki. A gdy skończył, stwierdził, że też ma ochotę na kąpiel i dołał ciepłej wody. O północy znalazłam się w końcu w łóżku.

Może to nie był taki zły pomysł, żebyśmy jakiś czas pobyli razem? Hm...

[1] Plan puławski, ułożony przez Czartoryskich, zakładał wojnę Rosji z Prusami, po wygranej przez Rosję wojnie połączenie ziem trzech zaborów i odrodzenie Królestwa Polskiego pod berłem Aleksandra I, cesarza rosyjskiego. Na skutek decyzji cesarza Aleksandra o sojuszu z Prusami plan się nie powiódł.

## 8

Rano zmieniłam zdanie. On nie może na mnie wpływać w ten sposób. Żaden facet nie może. A poza tym... Muszę ten problem obgadać z Emilką. Postanowiłam pokonać moje kochanie jego własną bronią. Chce mnie na stałe? Proszę bardzo. Tylko żeby potem nie narzekał. Możliwe, że po dwu tygodniach wspólnego mieszkania dojdzie do wniosku, że związek na odległość to dokładnie to, czego na razie pragnie! A ja pomogę mu w podjęciu decyzji. Nie, żeby specjalnie go zniechęcała do małżeństwa ze mną. Ależ skąd!

Na uniwersytet dotarłam na pół godziny przed wykładem z historii Polski po I wojnie światowej. Udałam się prosto do chlewa, mając nadzieję, że spotkam kogoś w miarę inteligentnego, z kim mogłabym obgadać całą akcję przeciwko mojej cholerze. Natknęłam się jedynie na bliźniaków, ostro nad czymś debatujących. Zrezygnowana pomyślałam, że z Emilką lub Adasiem porozmawiam po zajęciach. Nagle oprzytomniałam; przecież bliźniaki to też, mimo wszystko, faceci! Na dodatek złośliwi. Dziarskim krokiem podeszłam bliżej, przywitałam się i dosiadłam się do ich stolika.

Trudno, raz kozie śmierć.

– Problem damsko-męski mam – oświadczyłam bohatercko, modląc się w duchu, by mnie potraktowali łagodnie.

– Z tym twoim? – chciał wiedzieć pierwszy.

– Czy – drugiemu zabłysły oczy – puszczasz go na boku z kimś innym?

– Albo zamierzasz?

– Mamy szansę?

Tylko nie to! Nagle wyobraziłam sobie siebie w łóżku z jednym, a potem z drugim bliźniakiem. A na końcu z obydwojoma! Boże, nie, pomyślałam i spieklam raka. Zaczęłam też toczyć wkoło lekko błędnym wzrokiem.

– Interesujące – skomentował pierwszy.

– Bardzo. – Przypatrywał mi się uważnie drugi. Z niejaką nadzieją w oczach, skonstatowałam z paniką.

– Nic z tych rzeczy. – Postanowiłam wyprowadzić ich natychmiast z błędu. – Po prostu jest mi potrzebna porada faceta. Albo facetów.

– Jesteśmy do twojej dyspozycji.

Krótko streściłam całą sytuację. Może pomogą mi się wykaraskać. Jeśli tak, jestem gotowa wybaczyć im wszystkie podteksty, nawet te, które zostaną użyte przeciwko mnie w przyszłości!

– Sprawa jest banalnie prosta. – Poczułam gwałtowny przypływ nadziei. Mogą mnie do woli molestować. – Albo go kochasz i za niego wyjdiesz...

– ...albo nie kochasz i nie wyjdiesz.

– I...

– Nie ma żadnego „i”. Albo – albo. Kompletny brak szarości.

No tyle to ja wiedziałam bez nich. Molestowania nie będzie!

– Niech to szlag trafi – zakląłam pod nosem.

– A jak go już wykopiesz – dokończył drugi z bliźniaków – pomyśl o nas. Jesteśmy świetni w te klocki. Zwłaszcza razem. Robiłaś to kiedyś z dwoma identycznymi facetami?

Uciekłam.

Do domu Pawła dotarłam po południu, zrobiwszy konieczne zakupy. Skoro mnie chce na dobre i złe przez dwa tygodnie... Proszę bardzo, jestem gotowa spełnić jego marzenie. Być może tak go uszczęśliwię, że wybije mu w końcu z głowy te głupoty związane z natychmiastowym ślubem! Plan uszczęśliwienia faceta był prosty. Na początek: będę sprzątać!

Paweł miał wiele zalet, ale niestety z utrzymywaniem porządku w swoim mieszkaniu był trochę na bakier. Do szewskiej pasji doprowadzały mnie jego skarpetki i inne części garderoby porzrucane koło łóżka w sypialni czy papierzyska porozkładane dosłownie wszędzie. Czasami też miałam wrażenie, że nie wie, do czego służy odkurzacz. Tylko jego kuchnia zawsze lśniła. O tak. Kiedy przebywał u mnie, sprzątał po sobie, bo inaczej miałby na karku gderającą babę. Ale w swoim kawalerskim mieszkaniu? Niekoniecznie. Jeśli chce mnie na stałe, to musi przyzwyczać się, że nie toleruję bałaganu.

Po powrocie z pracy postanowiłam zabrać się do dzieła. Paweł, znając moje

kulinarne talenty, nie pozwolił mi się zbliżyć do kuchni, tylko sam coś upichcił. Barszczyk z krokietem czekał na mnie na piecyku. Jeszcze ciepły; moje kochanie wyszło dopiero niedawno. Znałam jego zwyczaje. Wiedziałam, że pracował rano i wszystkie papiery zostawiał porozrzucane w dużym pokoju. I to je miałam szczerzy zamiar posprzątać! Oczywiście zaczęłam od odkurzania i mycia. Papierzyska poupychałam w różnych szafkach, część powyrzucałam, dochodząc do wniosku, że skoro są w takim stanie, nadają się tylko do jednego: na makulaturę! Ledwo się z tym uporałam (nie jest łatwo powsadzać papiery do szafek już pełnych papierów), zadzwonił dzwonek. Ki czort, pomyślałam. Paweł jeszcze z trzy godziny będzie poza domem. Na listonosza za późno. Otworzyłam drzwi i zdębiałam. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Andria, gryzonie oraz moja mamusia mogą skutecznie popsuć mi szyki.

Nie będzie tak źle. Rodzice wyjeżdżają, i nie mają z kim zostawić mojej siostruni, ponieważ przeżywam próbne małżeństwo z dala od domu. Wniosek nasuwa się jeden: skoro góra nie może do Mahometa, to Mahomet musi do góry. Andria zostaje, wraz z gryzoniami, u Pawła. Super. Być może przyda się przy realizacji, a ja będę miała w końcu czas, by zabrać się za mój pamiętnik.

Moja siostra rozgościła się bardzo szybko. Będzie spać na rozkładanej sofie w gabinecie Pawła. Od razu zainteresowała się też komputerem. Włączywszy go, niezwłocznie wsunęła pendrive'a i zaczęła przygotowywać prezentację multimedialną. Na polski, poinformowała, po czym wyprosiła mnie z pokoju. Mając siostrę z głowy, usiadłam sobie wygodnie na fotelu i zabrałam się do lektury.

*Maj roku pańskiego 1806*

*Jutro wraz z panną Martą i Konstancją wyjeżdżamy na krótką wycieczkę do majątku pana Śliwińskiego. Pierwszy raz zobaczę dom, w którym panna Marta będzie królować od sierpnia. Pan domu coraz bardziej pokazuje afekt naszej przyjaciółce, na wyścigi spełniając jej życzenia. Czekać ma tam na nas razem z swymi przyjaciółkami. Jak się okazało, jednym z nich jest brat mojej najukochańszej Konstancji. Cieszy ją to, że będzie mogła przy tej okazji poznać nas ze sobą. Jedyne zło wyprawy jest takie, że jedzie z nami również panna Alicja.*

*Dwór w Poniatyczach jest bardzo ładny. Dwupiętrowy, otoczony kolumnadą i przykryty spadzistym dachem. Ma salę balową, pokój stołowy, gabinet, salon, bibliotekę, salonik łowiecki oraz buduar dla pani domu. Prócz tego aż siedem sypialni, gotownię, pokój kąpielowy oraz dla nauki. Służba ma swoje pokoiki na*

*poddaszu. Pan Śliwiński oprowadzał nas po dworze, z dumą pokazując wszystko to, co przyszej jego pani będzie służyć na co dzień. Specjalnie dla niej odnowiono apartamenty pani domu: sypialnię, gotownię oraz mały salonik. Panna pierwszy raz bawi w Poniatyczach i bardzo sobie chwali dom. Po drzemce po posiłku poszliśmy na dalsze oglądanie. Ogrody są piękne, zadbane. Pan Arkadiusz chwalił się, że parkiem zajmują się aż trzech ogrodnicy i dlatego z roku na rok robi się coraz piękniejszy. W tym roku, na cześć przyszej pani, założono rozarium, pan domu zastanawia się także nad małym labiryntem, tak modnym teraz w cesarstwie. Oczywiście dalsze zmiany zależeć będą od panny Marty, przyszej pani Śliwińskiej.*

*Z ogrodów wróciliśmy ledwo przed burzą. W takową pogodę trudno wracać do Puław otwartymi powozami, przeto w gościnie zostajemy do poprawienia się pogody. Pan Śliwiński poprosił, by jeden z jego przyjaciół umilił nam czas po kolacji, grając na klawikordzie do tańca. Następne godziny spędziłyśmy, tańcząc z różnymi kawalerami, którzy byli w gościnie u pana domu. Bawiłam się przednio, jeno Konstancja jest bardzo zawiedziona, bo brat jej, związany widać jakimiś sprawami wielkiej wagi, nie dojechał do Poniatycz. Panna Marta także miała kwaśny trochę humor, ponieważ jej brat, pan Andrzej Rybczyński również był nieobecny.*

*Oj, jak się działo. A ja nieboga w samym środku tej tragedii.*

*Ale po kolei. Spać poszłyśmy późno. Podekscytowana tańcami, nie mogłam zasnąć, więc postanowiłam poczytać jakąś książkę i w ten sposób zmusić się do snu. Włożyłam na siebie suknię, ale problem miałam ze sznurowaniem, jako że gorset zdjęty, ale jakoś poszło. Zeszłam ze świeczką do biblioteki, a tam, patrzę, ktoś leży. Podeszłam bliżej i poznałam, że to pan pułkownik Fredkiewicz, z którym niejeden taniec przetańczyłam kilka godzin wcześniej. Pomyślałam, że widać musiał być strasznie zmęczony, skoro ułożył się do snu na podłodze biblioteki. Na paluszkach przeszłam obok niego, by go nie obudzić przypadkiem, i sięgnęłam po pierwszą z brzegu książkę. Spojrzałam na tytuł. Zabrałam jakoweś rozważania religijne – pomyślałam: tym lepiej, szybciej zasnę. Odwróciłam się i chcę przejść obok pana Fredkiewicza, gdy nagle w jakąś kałużę weszłam. Pochyliłam się, żeby sprawdzić, co to takiego. I wtedy zobaczyłam, że na nim kartka leży. Podniosłam ją – a na niej napis: „Pierwszy – Mt 7:15”*

*Zdziwiona, odłożyłam ją na miejsce, i wtedy zobaczyłam, że ta plama wypływa z gardła pana Fredkiewicza i jest to jego krew. W jednej chwili*

*zrozumiałam, że on wcale nie śpi, tylko nie żyje, musiał widać upaść i zrobić sobie krzywdę. A ja byłam sama w jednym ciemnym pokoju z nieboszczykiem! Zaczęłam krzyczeć, a potem zemdlalam.*

W tym momencie ja również pomyślałam, że dostanę zawału. Ktoś zaczął nieziemsko wręcz się drzeć i w pierwszej chwili byłam przekonana, że to widać panna Agneta z za grobu jeszcze przeżywa nieboszczyka. Po dobrej chwili dopiero doszło do mnie, że to moja siostra wielkim głosem wzywa mojej pomocy. Rzuciłam pamiętnik na stolik i szybkim krokiem ruszyłam w stronę gabinetu Pawła. Akurat w chwili, gdy zaczęło się robić naprawdę ciekawie!

– Czego się drzesz? – zapytałam od progu bardzo nieprzychylnym głosem.

– Mamy problem. – Moja siostra wgapiała we mnie swoje oczęta, szukając ratunku i chyba również zmiłowania.

– My? – zdziwiłam się. – Chyba ty. Coś narobiła? – zażądałam udzielenia rzetelnej informacji.

– Niebieski ekran.

– Co?

O czym moja siostrzyczka gada, do jasnej Anielki?

– No, ekran się zrobił niebieski, a pena boję się ruszyć – wykrztusiła z wyrzutem moja siostra.

No to klops. Ciąg zdarzeń był następujący: wyłączamy komputer awaryjnie – może się już nie włączyć, trzeba będzie formatować, Paweł przyjdzie i szlag go trafi, bo ma tam wszystkie dane do pracy, nie wspominając już o moich. Z drugiej jednak strony, jak zostawimy to paskudztwo niebieskie, to następstwem będzie wielka chryja, a potem kolejna. I wszystkiemu będę winna ja. Bo nie dopilnowałam siostry, bo bez jego pozwolenia pozwoliłam jej się zbliżyć do drogocennego sprzętu i tak dalej. Moje kochanie było bardzo spokojne, dopóki sprawa nie dotyczyła komputera bądź mebli po dziadkach. A ja, zamiast spędzić spokojny wieczór nad pamiętnikiem, będę musiała uspokajać i koić. No i oczywiście Paweł zdobędzie dodatkowe punkty, a szlag trafi moją dzisiejszą działalność. Gadka na temat: „bo gdybyś ze mną zamieszkała, miałabyś swój komp i mojemu by się nic nie stało”... Ach, ci mężczyźni.

Całość moich rozważań natchnęła mnie poważnie do działania.

– Wyłączaj komputer – rozkazałam.

– Kiedy się nie da, już próbowałam. – Andria pociągnęła nosem.

Nie zastanawiając się długo, wyciągnęłam wtyczkę z kontaktu. Niebieski ekran momentalnie zrobił się czarny.

– Teraz pen – rzuciłam. W najgorszym wypadku będę udawać niewinną, że nie korzystałam dzisiaj i zepsuło się samo. A że rzeczywiście nie korzystałam, to

akurat nawet nie będę musiała kłamać.

Andria drżącymi rękami usunęła ustrojstwo. Rychło w czas, bo właśnie zakrzypiały drzwi wejściowe. Paweł wrócił z pracy.

– Cześć! – krzyknął od progu, wszedł do gabinetu i na widok mojej siostry trochę się zdziwił. Popatrzył na mnie.

– Rodzice musieli wyjechać na trzy dni – powiedziałam w ramach wyjaśnień.

– I podrzucili ci Andrię – stwierdził.

Wzruszyłam ramionami.

– Prześpi te cztery noce na kanapie – oświadczyłam. – Trudno, wzięłeś mnie wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza w postaci mojej rodzinkei.

– Nie ma sprawy. – Mrugnął do mnie okiem. – Może zostać, tylko niech nie rusza mojego komputera. Mam tam całą zleconą robotę i gdyby coś schrzaniła, toby mnie szlag trafił.

Pomyślałam, że mam szczęście, że nie wrócił pięć minut wcześniej. Miałam tylko nadzieję, że bez problemu go włączy. Paweł wyszedł z gabinetu i ruszył do salonu. I stamtąd rozległ się jego wrzask.

– Julia!!!

Pognałam zażegnać kolejny kryzys. Paweł stał na środku i z furią w oczach patrzył na pusty stół, kanapę i podłogi.

– Gdzie papiery? – zażądał informacji.

– Posprzątałam. Część według mnie jeszcze się nadająca do czegokolwiek poupychałam w szafkach, a resztę wyrzuciłam – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Patrzyłam z fascynacją, jak porusza wargami i bezgłośnie klnie (gdyby kłął głośno, miałby u mnie krechę), próbując się uspokoić.

– Kto ci, kobieto, kazał sprzątać?! – ryknął na mnie jeszcze raz. – Miałś przyjsć, zjeść obiad i sobie odpocząć. Chciałem cię trochę porozpieszczać, do jasnej cholery!

– Paweł – powiedziałam z wyrzutem. – Po pierwsze, nie klnij, po drugie, zjadłam, a po trzecie, nie lubię być rozpieszczana w chlewie. Jeśli nie posprzątales, ja posprzątam za ciebie. Myślałam, że się ucieszysz – dodałam na koniec.

– I co ja mam z tobą zrobić? – jęknął, po czym zabrał się za rozbebeszanie szafek i przeszukiwanie kupki z makulaturą.

Kolejny punkt dla mnie. Spojrzałam na jego koszulę. Muszę zrobić jutro pranie. Koniecznie!

Po jako takim uspokojeniu pana i władcy zabrałam się znów za perypetie zemdlonej Agnety. Skręcało mnie z ciekawości, kto zabił tego nieboraka w bibliotece. I, oczywiście, co stało się z nią potem.

*Gdy otworzyłam oczy, nade mną pochylało się mnóstwo ludzi w negliżu. Moje oczy nie przywykły do mężczyzn w dezabilu, więc natychmiast je zamknęłam. Niestety wcześniej zdążyłam zauważyć gołe łydki porucznika Rączyńskiego. Och, cóż by matka moja powiedziała na taką nieskromność! Z sypialni wyjść nieubranym – obraza Boska i skandal! Jedyne przyzwoicie ubrane mężczyzna siedział obok mnie na szeszlengu i podsuwał mi pod nos sole trzeźwiące. Zamrugalam kilka razy, dlatego że ten mężczyzna był mi całkowicie obcy. Boże, pomyślałam, może to on zrobił biednemu pułkownikowi krzywdę, a teraz wszyscy wychodzą, zostawiając mnie z nim sam na sam. Mnie i Konstancję! Zamierzałam krzyknąć głośno o pomoc, że zaraz mi zada gwałt albo coś jeszcze gorszego, ale przyszło mi do głowy, że skoro zostawiają z nim dwie panny, to widać osoba godna. I to rozumowanie było prawdziwe; Konstancja zaraz przedstawiła mi swego brata, którym był ów nieznajomy mi mężczyzna. Pan Maksymian Gnostkowski pochylał się nade mną nieprzyzwoicie blisko, przyciskając zwilżoną chusteczkę do mego czoła. Po raz pierwszy w życiu byłam tak świadoma obecności mężczyzny! Patrząc w jego oczy, nie umiałam odwrócić wzroku i czułam się jak zaczarowana. Cała drżałam, czując delikatny dotyk jego dłoni, a serce waliło mi tak, jakby chciało się wyrwać z piersi. Dopiero po dłuższej chwili, gdy przypominałam sobie wcześniejsze zajścia, wstyd się teraz przyznać, sama się nieobyczajnie tuliłam do pana Gnostkowskiego, roniąc łzy rzewne nad biednym pułkownikiem. Pocieszał mnie, bacząc, by nie urazić moich biednych nerwów, które dziś zostały tak poważnie nadszarpnięte!*

*Konstancja również mnie pocieszała, mówiąc, że teraz muszę zapomnieć o wszystkim. Okazało się to wcale nieproste. Na drugi dzień potwierdzono, iż pan pułkownik wcale nie był zranion przez przypadek, ale że zbrodnię popełniono na jego osobie. Musiałam wejść do biblioteki zaraz po łotrze, który dokonał tego czynu, bo gdy krzyknęłam i zemdlalam, kto żyw zleciał się do biblioteki. Nieboszczyk zaś był jeszcze ciepły, a krew dalej z niego płynęła. Nie mogłam, niestety, powrócić do Puław, bo czekano na sędziego, który miał zbadać okoliczności sprawy. Moja obecność, i wszystkich pozostałych, była konieczna, by odnaleźć sprawcę tego wstrętnego czynu i ukarać przykładowie. A ja, jak mi wyłożył pan Maksymian, świadkiem byłam najgłośniejszym.*

*Samo przesłuchanie było okropnym wydarzeniem. Pan sędzia – człowiek dobrze urodzony, o wykwinnych manierach – potraktował mnie jak pannę z dobrej rodziny i według naszych panów nie męczył zbytnio. Pytał jednak i kazał mi raz po raz opowiadać tę okropną scenę. Potem przeplakałam dwie godziny w objęciach Konstancji, tak ciężką była dla mnie ta próba. Zaraz po przesłuchaniu zwolniono mnie i wszystkie panny, byśmy mogły leczyć w Puławach nasze biedne nerwy. Do Puław odwoził nas brat Konstancji. Sędzia uznał, że do sprawy nic nie wniesie, bo*



*przybył dopiero po moim zemdleniu i trafił prosto na pandemonium w bibliotece. Nie będą mi się Poniatycze dobrze już kojarzyć, a szkoda, bo takie piękne... Biedna panna Marta tam mieszkać będzie, gdzie tę zbrodnię popełniono. Nie jest tam bezpiecznie, skoro zbóje włamują się do porządnych domów i mordują gości w pańskich dworach. Na szczęście w drodze powrotnej byliśmy bezpieczni z tak wspaniałą eskortą. Brat Konstancji postawny jest, bronią świetnie włada, a prócz tego taki piękny. Gdy pomagał mi wyjść z powozu, pomimo rękawiczki czułam, jak jego dotyk pali moją skórę.*

No cóż, Agneta miała przeżycia. Nie dość, że trup, to jeszcze przebudzenie w ramionach przystojnego Maksymiana Gnostkowskiego. Czyżby w powietrzu wisiał romans?

Niestety zmuszona byłam wrócić do swojego prozaicznego życia. Kolejny punkt programu „Paweł, ja naprawdę nie nadaję się na żonę, przynajmniej jeszcze nie teraz” będę realizować jutro.

Najpierw jednak musiałam przeżyć kolejny dzień w pracy. Wchodząc na lekcję do III c, zauważyłam na suficie popękany tynk, który wyglądał, jakby zaraz miał odpaść. Poprosiłam jedną z pań sprzątaczek, by poszła to zgłosić panu Zbysiowi – naszej złotej rączce. Tymczasem usiadłam i zaczęłam sprawdzać obecność. Kiedy podałam cele lekcji i stanęłam koło mapy, zamierzając tłumaczyć porządek w Europie po kongresie wiedeńskim, do sali wpadła dyrekcja. Wściekła, że panu Zbysiowi zajmuje się czas głupotami.

Po tym, jak dostałam opierdół przy klasie, wyszła, trzaskając z całej siły drzwiami. Zadzwoniły szyby, stelaż mocujący do ściany telewizor zatrzeszczał, zajęczał i wraz z zawartością oderwał się od niej. Telewizor runął na moje biurko, które nie wytrzymało impetu uderzenia i rozpadło się, zaś ciężkie pudło, dokonawszy dzieła zniszczenia, upadło z hukiem na podłogę i ostatecznie znieruchomiało. Tak jak i wszyscy obecni w klasie. Popatrzyłam kolejno na dziury po śrubach, rozwalone biurko i kawałki elektroniki walające się po podłodze, te same, które wcześniej były telewizorem wiszącym centralnie nad moją głową. Czułam, jak oczy robią mi się coraz większe, ugięły się pod mną kolana i wylądowałam na nich na podłodze. Klasa odzyskała zdolność ruchu i mowy, więc zaczęli przekrzykiwać się jeden przez drugiego, czy nic mi nie jest.

W środku harmidru do klasy po raz kolejny wpadła wściekła dyrekcja, jednym rzutem oka oceniła sytuację i – a jakże! – zaczęła na mnie wrzeszczeć. Tak, jakbym osobiście wyrwała ze ściany ten przeklęty stelaż i upuściła go na Bogu ducha winne biurko. Wtedy klasa zaczęła drzeć się na nią, że prawie zginęłam, rozplaszczona przez telewizor, więc baba tymczasem postanowiła się wycofać,

obiecując, że pośle pana Zbysia, by posprzątał. I znów wyszła, trzaskając drzwiami. Tym razem nie wytrzymał tynk na suficie i spadł prościutko na moją głowę, zamieniając mnie w przysypanego szaro-białym pyłem bałwanka.

Zabolało. Była to kropla przepełniająca czarę goryczy. Tygodnie nagromadzonego stresu związanego z sytuacją w domu i upiorną szefową w pracy w końcu dały efekt. Rozplakałam się, łzy płynęły, znacząc ślady na mojej obsypanej tynkiem i gipsem twarzy. Uczniowie posadzili mnie na krześle przy ławce, a uczennice zaczęły otrzepywać moje włosy i ubrania. Po chwili wzięłam się w garść, wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do Pawła, prosząc, by odebrał mnie jak najszybciej z pracy. Słyszając mój drżący głos, zdecydował, że postara się jak najszybciej przyjechać. Pan Zbysiu do końca lekcji oczywiście się nie pojawił. Typowy facet.

Kolejny dzień miałam wolny, dlatego też przed południem pod ścisłym nadzorem Pawła dopieszczałam jego ego w kuchni. Szok wywołany możliwością szybkiego zejścia z tego świata mi już przeszedł. Postanowiłam mu się odwdziaczyć za wieczór spędzony na kojeniu moich nerwów i wyprać mu koszulę. Ustawiłam pralkę na sześćdziesiąt stopni i poszłam czytać pamiętnik. Po lekturze dziesięciu stron zachwyty nad panem Maksymianem doszłam do jednego wniosku. Nasza Agnetka wpadła i zabujała się na całego. Pozostało mi tylko życzyć jej wzajemności i zgody rodziny, oczywiście.

Zastanowiła mnie tylko jedna rzecz. Agneta napisała mianowicie, że śmierć pułkownika została uznana za napad zbójów, którzy w tych czasach grasowali na drogach i włamali się do dworu w celu rabunku. Według niej rabusie zamordowali pułkownika po tym, jak ich przyłapał, a sami uciekli spłoszeni przez Agnetę.

Nie trzymało się to kupy. Bo po pierwsze: jak dostali się do środka? To w tamtych czasach wcale nie było takie proste – otoczone murem posiadłości, zamknięte okna i cała masa kręcącej się po domu służby. Po drugie: dali radę zabić pułkownika, a uciekli z powodu Agnety? I w końcu tajemnicza kartka z napisem „Pierwszy Mt – 7:15”. Czyżby śmierć pułkownika była na rękę komuś ze znajomych Agnety? Sędzia był przekupny? I dlaczego brat Konstancji pojawił się akurat w chwilę po zabójstwie? Musiałby coś widzieć. Dziwne dochodzenie, daję słowo!

Skończyłam rozważania, bo pralka właśnie skończyła swą działalność i musiałam porozwieszać śnieżnobiałe koszule mego mężczyzny. Odeszła mi wszelka chęć na farbowanie ich. Nie miałam ochoty na żadne dzieło zniszczenia.

Zastanawiałam się, co robić dalej. Miałam do wyboru: albo sprawdzać testy, albo czytać pamiętnik. Tego ostatniego, chwilowo, przez zachwyty Agnety, miałam dość. Zabrałam się za tworzenie nowych testów na następny tydzień, przegoniwszy

siostrę z komputera, który (na szczęście) działał bez zarzutu. Andria miała zakaz podłączania do niego czegokolwiek, a owoce swej pracy zapisywała na płycie. Zasugerowałam jej delikatnie, że mogłaby wypuścić zwierzątka na godzinę, a ja popracuję w tym czasie. Zresztą szynszyle nie biegały już od dwóch dni i wprost rozpaczliwie chciały się wyrwać na wolność. Ja również bym chciała, po dwóch dniach siedzenia w klatce!

Zabrałam się więc za testy, a Andria poszła uszczęśliwić zwierzątka. Po godzinie główkowania (nie jest łatwo stworzyć cztery grupy testu tak, żeby nic się nie powtarzało i żeby zadania były w miarę urozmaicone) siostra weszła do pokoju z nader niepewną miną. Znow coś zbroiła, ona albo szyle – jeszcze gorzej. Odwróciłam się w jej stronę, zmarszczyłam brwi i zażądałam informacji.

– Co zrobiły? – spytałam od razu. Pewnie pogryzły tapetę albo obsikały łóżko w sypialni.

– Sama zobacz. – Moja siostra pociągnęła nosem i wyszła z pokoju.

Przeszłam do sypialni, by zobaczyć, za co je mam ukatrupić. Weszłam i się zdziwiłam. Ani śladu zwierzątek i mojej siostry. I wtedy zrozumiałam. Dosłownie wleciałam do salonu i zaczęłam koncert.

– Andria, do jasnej ciasnej! – zaczęłam na nią wrzeszczeć. – Czyś ty resztki rozumu straciła, żeby je tu puszczać?

– No ten pokój jest największy, chciałam, żeby się wybiegały – broniła się, dalej pociągając nosem.

– I reprezentacyjny – oświadczyłam, podchodząc bliżej. – Co zrobiły?

Modliłam się, żeby to było tylko trochę tynku. Pomaluje się i będzie dobrze.

– Sama zobacz – Andria wskazała ręką najgorszy z możliwych kierunków; meble po dziadkach Pawła. I rozryczała się.

Ciężko usiadłam na fotelu. Po prostu nogi się pode mną ugięły. Na ciemnym mahoniu nietrudno było zauważyć jaśniejsze pozostałości po zębach. No pięknie. Ja rozumiem, zastanawiać się nad sabotażem czyjejś pracy, ale za coś takiego najpierw z szyli będą nauszniki, a ze mnie i Andrii, kiedy Paweł nas obedrze już ze skóry, całkiem ładna kurtka do kompletu. Zaczęłam się intensywnie pocić i zastanawiać, jak mogę ocalić skórę swoją, siostry i zwierzątek! Przecież on miał hopla na punkcie tych szaf.

Po minucie mnie olśniło. Rzuciłam w stronę siostry:

– Dawaj pastele.

Siostra posłusznie wybiegła z pokoju i wróciła po chwili z pastelami. Wzięłam do ręki ciemnobrązową i zaczęłam tuszować plamy na mahoni. Po chwili intensywnej pracy wszystkie jaśniejsze miejsca były zamalowane. Cofnęłam się do drzwi i stwierdziłam pozytywne efekty działalności. Nie rzucało się w oczy – duży plus. Na szczęście salonik był dość ciemny i istniała duża szansa, że Paweł się nie dowie. Spojrzałam jeszcze raz na meble. Czegoś mi jeszcze brakowało. No

tak, miejsca pokryte pastelami były matowe, w odróżnieniu od reszty mebla. Coś trzeba było z tym fantem zrobić.

– Lakier bezbarwny – wpadłam na pomysł. Utrwali się i nada połysk. Po chwili pokryte lakierem do paznokci miejsca lśniły. Byłam z siebie naprawdę dumna!

Paweł wrócił po godzinie naszego uporczywego wpatrywania się w meble i zastanawiania: zauważy czy też nie? Podszedł do mnie, pocałował na dzień dobry. Natychmiast wysłałam siostrę do kuchni, by podgrzała mu obiad. Bez protestów posłuchała. Wiadomo, facet z pełnym żołądkiem jest w lepszym humorze niż głodny. Wówczas jest też bardziej skłonny do dyskusji niż do pochopnych działań. A o dobry humor Pawła teraz trzeba było dbać. Tak na wszelki wypadek.

Rozsiadł się wygodnie na kanapce i zaczął rozwijać temat pracy. Po chwili weszła Andria z zupą, więc poszedł do łazienki umyć ręce. I stamtąd usłyszałam wołanie. Czego mógł chcieć? Chyba nie podania mydła...

Paweł w łazience w skupieniu oglądał świeżo wyprane koszule. I miał dość mocno zdziwiony wyraz twarzy.

– O co chodzi? – przeszłam do ataku, stając w drzwiach.

Paweł obrócił się do mnie, dalej trzymając rękaw koszuli w ręce.

– One są białe – oświadczył tonem odkrywcy Ameryki.

– No jasne, że są białe. Przecież je wyprałam – starałam się nadać mojemu głosowi jak największą miarę zdziwienia i zniecierpliwienia. – Koszule po praniu zazwyczaj są białe, chyba że wcześniej były innego koloru.

– Nauczyłaś się obsługiwać pralkę! – wyraźnie się ucieszył.

Pokręciłam tylko głową. No bez przesady, aż taką łamagą życiową nie jestem, po prostu nie umiem gotować.

– I tylko po to mnie wołałeś? – Obróciłam się, chcąc wyjść z łazienki.

Nie powiem, ucieszyła mnie jego nieklamana radość na widok czystych koszul. Nie było mi jednak dane wyjść. Paweł chwycił mnie wpół, wciągnął z powrotem i dość entuzjastycznie okazał mi wdzięczność. Może będę prac mu częściej?

Właśnie wychodziłam, gdy dodał:

– Ale nie będziesz ich prasować? Pozwól, że zrobię to sam – spojrzał na mnie błagalnie.

Kręcąc głową, wyszłam z łazienki. Niech mu będzie, niech sobie sam wyprasuje te koszule. Mnie i tak do żelazka nigdy nie ciągnęło.

Gdy dotarłam na uniwersytet, zobaczyłam Emilkę z bliźniakami, więc postanowiłam do nich dołączyć, jako że do rozpoczęcia zajęć pozostało jeszcze trochę czasu. Niestety, jak tylko usiadłam, zobaczyłam Aśkę Karpacką zmierzającą w naszym kierunku. Niech to dunder świśnie. Nawet nie miałam ochoty udawać

uprzejmości.

Jak się okazało, nie musiałam niczego udawać, bo Aśka buzowała ochotą podzielenia się z nami nowinami dotyczącymi swojej nowej miłości. Ponieważ tak naprawdę nie ma przyjaciół, postanowiła się zwierzyć mnie, Emilce i bliźniakom. Bliźniakom! Z wszystkich godnych zaufania osób na naszym roku wybrała sobie zdecydowanie najlepsze towarzystwo do zwierzeń. Co dobitnie świadczy o stanie jej umysłu.

Usiadła na krześle i zaczęła.

– Zakochałam się.

– W kim? – spytałam. Czyżby poderwała jakiegoś diakona? Kleryka? Albo księdza?

– W... licealiście. Jest strasznie dojrzały na swój wiek i jest *taki* cudowny. O kurka! Wiadomość miała siłę rażenia bomby atomowej. Jeden z bliźniaków z wrażenia aż zakrztusił się soczkiem. Zaczął kaszleć, a ja waliłam go po plecach, nie spuszczać zszokowanego spojrzenia z rozentuzjasmowanej Aśki.

– Miej litość. Czy ty chcesz mnie zabić? – wykrztusił bliźniak, gdy skończył kaszleć. – Utopiłbym się w dwóch łykach soku – dodał z wyrzutem.

Aśka zrobiła minę, jakby nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, po czym machnęła ręką.

– To lepiej już nie pij – poradziła mu słodko. – Mój Piotrek nigdy się nie krztusi. Ma dobry refleks i nie jest niezgrabny.

Od kiedy to bliźniacy mają kiepski refleks, ja się pytam? Tymczasem Aśka kontynuowała swoje zachwyty nad osobą małoletniego. Tatuś kupił jej samochód, więc wszędzie go wozi. Jeżdżą do Krakowa, Poznania. Chodzi z nim do różnych barów, gdzie przesiadują małolaty, zakumplowała się z jego kolesiami, kupuje im piwo, bo im z powodów oczywistych ciężko je nabyć. Moje złe zdanie na temat Aśki stało się jeszcze gorsze. A nigdy bym nie przypuszczała, że to możliwe.

– To takie ekscytujące, być w zabronionym i ukrywanym przed światem związku – zakończyła swoją opowieść z błyszczącymi oczami.

Spojrzałam po moich kolegach. Wszyscy walczyli, żeby się nie roześmiać. Postanowiłam zaczerpnąć dodatkowych informacji.

– Do której on chodzi klasy?

– Do pierwszej liceum – padła szybka odpowiedź.

Rany boskie. Szesnastka. Niewiele starszy od moich niektórych uczniów. Nie chcę nikogo obrażać, ale ci chłopcy w większości mają osobowość koników polnych. Z trawki na trawkę i nigdzie nie zatrzyma się na tyle długo, by coś poznać i nauczyć się czegoś nowego. I bynajmniej nie chodzi mi o wiedzę szkolną.

– A jak się poznaliście? – Głupie pytanie, bo jak można poznać licealistę? Pewnie w barze!

– Dawałam mu korki, bo miał problem z historią – uświadomiła mnie Aśka.

No ładnie, pomyślałam. Uwiodła własnego ucznia! Nie przypuszczam, bym mogła być bardziej zdegrustowana. Czy to nie jest karalne?

– A jego rodzice? Co oni na to? – spytała Emilka.

– Przecież mówiłam, że ukrywamy się przed światem. Nie przyznaliśmy się jeszcze ani jego, ani moim rodzicom. Jeszcze by nie zaakceptowali Piotrusia... A tego bym nie zniosła! – powiedziała na zakończenie, wstała i potrząsając długimi blond włosami dumnie ruszyła w stronę wyjścia z chlewa.

Spojrzałam na zegarek. No tak, czas na zajęcia. Nasza grupka siedziała jednak przyklejona do krzeseł. Po chwili milczenia, wywołanego ciężkim szokiem, spojrzeliśmy po sobie i zaczęliśmy się pokładać ze śmiechu. Emilka aż się popłakała.

W trakcie zajęć przestałam się chwilowo zastanawiać nad Aśką i jej totalną głupotą, a zaczęłam myśleć o własnym związku. Bałam się tylko teraz jednego. Że gdy zaczniemy się kisić we własnym sosie, szybko zapanuje między nami niezdrowa atmosfera.

Podczas przerwy postanowiłam wraz z Emilką odwiedzić Kasię, którą ostatni raz widziałam na egzaminie u Kazia. Otworzył nam jej brat wyglądający tak, jakby za chwilę miał komuś przyłożyć. Lekko cofnęło nas w progu. Mirek z widocznym wysiłkiem przybrał pogodny wyraz twarzy.

– Wejdźcie. Kasia się ucieszy.

Coś ewidentnie wisiało w powietrzu. Gdy weszliśmy do pokoju Kasi, od razu było wiadomo, że stało się coś złego. Nasza przyjaciółka miała czerwone oczy. Na nasz widok rozpogodziła się, chciała też wstać, żeby nas przywitać, ale ewidentnie miała z tym problem. Jej brzuch w ostatnim czasie jeszcze bardziej się powiększył – w końcu to był już ósmy miesiąc. W końcu niezgrabnie przybrała pozycję pionową i nas uściskała. Po wysłuchaniu najnowszej porcji ploteczek humor jej się poprawił i przestała mieć taką nieszczęśliwą minę.

– Jednak zostanę matką samotnie wychowującą dziecko.

– Andrzej dalej się nie odezwał?

– Wręcz przeciwnie – uśmiechnęła się krzywo. – Chwilę przed waszym przyjściem właśnie skończyłam z nim rozmawiać. Poinformował mnie, że zostaje na stałe w Anglii, że mam go nie szukać, ponieważ już mu na mnie nie zależy. Poza tym wie, że kiedy byliśmy razem, zdradzałam go.

– Skąd ten wygodny dla niego wniosek? – nie wytrzymała Emilka.

– Bo kiedy był już w stanie logicznie myśleć, a nie przejmować się moim wiecznym narzekaniem, przeanalizował sobie pewne rzeczy. Doszedł do wniosku, że ponieważ zawsze się zabezpieczał, to nie może być jego dziecko. Więc byłam niewierną suką i to on jest pokrzywdzony w tym związku. Zrywa ze mną i umywa ręce.

– Sukinsyn! – warknęłam. – I co teraz zrobisz?

– Teraz już wiem, że mogę liczyć tylko na siebie. Na początku pomogą mi rodzice. Mogę też polegać na Mirku. Moja mama nawet stwierdziła, że dobrze się stało, że w końcu nie doszło do ślubu. Szkoda tylko, że nie okazało się, jaki z niego gnojek, nim zaszłam w ciążę. Teraz jestem pewna, że był ze mną przede wszystkim dla kasy.

Ojciec Kasi był ordynatorem w jednym z wrocławskich szpitali, a mama wziętą prawniczką.

– Gdy okazało się, że jestem w ciąży – kontynuowała – najprawdopodobniej przestraszył się odpowiedzialności i w końcu wyjechał.

O, gdyby Paweł wykręcił mi taki numer, w co nie wierzyłam, szukałabym pod każdym kamieniem w Londynie, aż w końcu wytropiłabym nędznika. A kiedy zostałyby już z niego tylko smętne, wołające o zmiłowanie resztki, nasłałabym na nie moją mamusię, by dopełniła dzieła zniszczenia.

Po tym, jak wróciłam do mieszkania Pawła, zastałam moją siostrę odrabiającą jakieś zadanie i mamroczącą pod nosem przekleństwa.

– Co robisz? – zainteresowałam się.

– Zadanie domowe. Z religii! Ksiądz nam kazał odnaleźć w Biblii dwadzieścia cytatów dotyczących małżeństwa. Szukam i zapisuję odnośniki, żeby móc potem na lekcji przeczytać cytaty.

– Skorzystaj z Biblii w Internecie. Wpisujesz słowo klucz i ci wyskakuje odpowiedź. Trzeba ułatwiać sobie życie – poradziłam.

Andria natychmiast zamknęła opasłe tomisko i poszła do gabinetu Pawła odpalić komputer. Ja tymczasem, wiedziona ciekawością, zajrzałam do jej zeszytu. Ewidentnie szło jej jak po grudzie, bo zauważyłam tylko jeden odnośnik: Mt 22, 30.

Zaraz, zaraz. Ja już kiedyś coś podobnego widziałam. Z walącym sercem rzuciłam się do pamiętnika... I rzeczywiście, stało tam jak byk: „Mt – 7:15”!

I wtedy mnie olśniło. To musiała być Ewangelia Mateusza, rozdział siódmy, werset piętnasty. Musiałam sprawdzić. Natychmiast otworzyłam porzuconą wcześniej przez Andrię Biblię. Mt 7, 15 brzmiał następująco: „Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami”. Co to, do cholery, może znaczyć?

## 9

We wtorek z ulgą pojechałam do pracy. Miałam dość bawienia się w gospość domową, zwłaszcza taką nieudolną! Studiów też miałam dość. Dopóki trwała sesja i przejmowałam się Kaziem, wszystko inne było mi obojętne. Zresztą po tym, co opowiadali o swojej sesji studenci przy stoliku obok, stwierdziłam, że Kazio był aniołem, a nawet archaniołem! Nie wyobrażam sobie zdawania w sesji zimowej ośmiu egzaminów jednocześnie albo, jak to było na jednym egzaminie z filozofii, ganiań naokoło biurka. Ja rozumiem, że egzaminator może mieć różne odchyły, ale w momencie, kiedy zakuwałabym jakieś dwa tygodnie, a egzaminator najpierw kazałby mi ganiać naokoło biurka, a potem, nie zadawszy ani jednego pytania, wpisał pałę, toby mnie szlag jasny trafił. Jeden z „olewusów rocznych” zapytał, w którą stronę, i dostał u tego palanta pięć! I gdzie tu sprawiedliwość, do jasnej ciasnej!?! W takich okolicznościach nawet Wampir jawił się jako sympatyczny starszy pan!

W szkole na dzień dobry zrobiłam w klasie III test, z którego dowiedziałam się, że *Chłopów* napisał niejaki Rejtan. Tak mi się wydaje, że dziecko pomyliło epoki. Poza tym dowiedziałam się również, że germanizacja to zastępowanie języka polskiego pruskim, a przywilej generalny to taki wydawany dla generałów. W jednej z pierwszych klas poinformowano mnie natomiast, że dymarka to przyrząd do dymania. Dobrze, że nie wprost: średniowieczny vibrator. Z kolei na lekcji WOS-u w klasie drugiej na pytanie, do czego potrzebne są pieniądze, jeden



z uczniów stwierdził:

– Do uszczęśliwiania kobiet oczywiście.

Obawiam się, że z takim podejściem do sprawy klasowy Romeo nie zajdzie za daleko. Oczywiście natychmiast pojawiły się pytania, kiedy będą mieli wychowanie do życia w rodzinie. Na dodatek będę ich musiała jeszcze uświadamiać! Moja pani dyrektor wezwała mnie w piątek i radośnie poinformowała, że jako nauczyciel wiedzy o społeczeństwie będę także w dwóch klasach prowadzić zajęcia z wychowania do życia w rodzinie. Moje protesty, że w międzyczasie zmieniła się podstawa programowa i WDŻ nie jest już dłużej elementem mojego przedmiotu, zostały pущzone mimo uszu. Nasza naczelną blondynka nie zdołała znaleźć specjalisty, więc spadnie to na mnie, bo ona uznaje moje kwalifikacje. Oczywiście po lekcjach i oczywiście bezpłatnie, w ramach tak zwanych godzin karcianych, które z dwóch właśnie urosły do czterech tygodniowo. Na dodatek kochana dyrekcja stwierdziła, że uczniowie sobie nie radzą z moim przedmiotem i od przyszłego tygodnia mam prowadzić nieodpłatnie kolejny zespół wyrównawczy. Na moje protesty rzuciła tylko, że nauczyciel pracuje do czterdziestu godzin tygodniowo i drugie tyle w domu. To nic, że mam tylko pół etatu! Chętnie weszłabym w kontakt z jakimś słodkim talibem i wysłała ją na tamten, lepszy świat! Albo z kosmitą – niech przez całą wieczność prowadzi na niej doświadczenia!

Tego dnia straciłam wszelką nadzieję, że jestem w stanie czegokolwiek nauczyć. Logiczne myślenie jest dla moich podopiecznych abstrakcją; kiedy zadaję pytanie zaczynające się od „dlaczego”, odpowiada mi tylko cisza lub czasami parsknięcie. Nie wspominam już o wzroku pełnym politowania. I wtedy mam ochotę wyć jak głodny seksu wilk o północy..., a może wilczyca, która nie umie się dogadać ze swoim panem.

I w ten sposób znów wróciłam myślami do Pawła.

Pora na bilans. Od tygodnia mieszkamy razem. Od tygodnia przytrafiają się same katastrofy (odkrył pastele na meblach i urządził dziką awanturę). Od sześciu dni mi gotuje i mnie rozpieszca. I sama już nie wiem, co z nim robić. Poza utopieniem w wannie podczas... Hmm. Mniejsza z tym. W każdym razie mieszkam z nim, on zachowuje się, jakbym była jego ślubną, z godnym podziwu samozaparciem, i jeszcze... żyję. I muszę się sama przed sobą przyznać, że powoli przyzwyczajam się do tego całego szajsu. I że wbrew mojej woli zaczyna mi być z moją kulą u nogi dobrze. I myślę sobie „Julka, niedobrze z tobą, naprawdę niedobrze”. On naprawdę ma coś w sobie. Hipnotyzer! Gdy zasypiam, wprowadza mi różne sugestie do podświadomości czy nadświadomości. Tylko tym ostatnio tłumaczę mój stan totalnego rozmamłania uczuciowego.

Oczywiście ma też swoje wady. Dziś na przykład przyłapałam go, jak pytał

tego palanta, naszego wielebnego katechetę, jak się załatwia formalności ślubne. Oczywiście po zamknięciu drzwi do pokoju nauczycielskiego ochrzaniłam go tak jak święty Jerzy smoka przed wpakowaniem mu ostro zakończonych przedmiotu w bebechy. Paweł moim ochranem się nie przejął, bo stwierdził, że przygotowuje się na tę radosną ewentualność i ja też powinnam się psychicznie przyzwyczajać do tej myśli. Na to odparłam, że zawsze mogę z nim zerwać. W tym momencie do dyskusji przyłączył się przewielebny dupek, który właśnie wyszedł, by mi uświadomić, że za życie w grzechu grozi wieczne potępienie. Nie tylko mnie, ale również niewinnej istocie. „Niewinnej istocie”, czyli Pawłowi. A myślałam, że to on był bardziej doświadczony w naszym związku! Według przewielebnego jestem nierządnicą babilońską i tylko szybki ślub i dziesięcioro dzieci może mnie doprowadzić z piekła do czyśćca.

Paweł w czasie tego wykładu żarliwie kiwał głową, choć uczciwie trzeba przyznać, że skrzywił się, gdy ksiądz nazwał mnie nierządnicą. Moje koleżanki z pracy, jak zobaczyłam przez otwarte drzwi, znów wyły, oparte o stoliki. No cóż, proszę księdza, mamy remis 1:1. Ale to jeszcze nie koniec!

Zabrałam Pawła ze szkoły i pognałam do samochodu. Za nami leciał ksiądz i wrzeszczał coś na temat związków na kocią łapę.

Po powrocie do domu nie odzywałam się do mojej cholery przez godzinę. Przeszło mi po masażu stóp.

Następnego dnia zebrałam ochran od pani dyrektor. Jako nauczyciel powinnam prowadzić się nienagannie, a nie zabierać za deprawowanie porządnych mężczyzn. Szlag jasny mnie trafił. Znów księżulo poszedł się poskarżyć. Stwierdziłam, że to nie pieprzony interes dyrekcji, a poza tym mój mężczyzna uwielbia być deprawowany, i wyszłam, trzaskając drzwiami gabinetu. W bojowym humorze ruszyłam na lekcję. Tak się zdarzyło, że po mojej godzinie mieli religię, więc w ramach dnia dobroci dla uczniów przez całą godzinę opowiadałam o procesach czarownic prowadzonych przez Kościół. Gdy zadzwonił dzwonek, klasa III c żądała dalszych krwawych szczegółów. Zaproponowałam im, by poprosili księdza, żeby im opowiedział resztę. Dwa jeden, przewielebny! Na szczęście katechetkę i drugiego księdza mamy w porządku.

Po powrocie do domu zjadłam przygotowany obiad i zaprotestowałam przeciwko wszelkiej pracy. Należała mi się chwila relaksu i jakaś rekompensata za przeżyty stres. Niestety, w odwiedziny wpadła moja siostra.

Z kłopotem.

– Widzisz, jest taka sprawa. Była dyskoteka...

No ładnie. Pewnie wniosła alkohol w butelce wody mineralnej. Albo zapaliła w kiblu i przyłapała ją wychowawczyni.

– Grała muzyka, tańczyliśmy, wychowawczynie siedziała na korytarzu, żeby choć trochę wytrzymać ten hałas.

Przerwała, by zaczerpnąć tchu.

– No i jeden z kumpli wymyślił, byśmy zagrali w butelkę. – Andria wyciągnęła z plecaka chusteczki higieniczne i zaczęła wycierać spocone ręce. – Wiesz, ten, na kogo padnie szyjka, musi spełnić życzenie tego, na kogo padnie podstawa. No i...

Dłuższa przerwa. Co oni, do licha, narobili?

– Wygłupialiśmy się. Chłopcy chodzili na czworakach, dziewczyny skakały ze stołów i takie tam...

– I co? – nie wytrzymałam. – Pewnie któryś kazał ci się z kimś całować?

Andria poczerwieniała i pokręciła głową.

– Gorzej – wykrztusiła w końcu.

W tym momencie zaniepokoiłam się. Co znaczyło „gorzej”?

– Jeden taki z mojej klasy, który kiblował już dwa razy, zażądał mojej bielizny! – wyrzuciła z siebie.

Zachowałam kamienną twarz.

– I co? – spytałam neutralnym tonem. – Dałaś?

– No musiałam. – Pochyliła głowę, by ukryć czerwone policzki. – Takie były reguły.

Postanowiłam zbagatelizować sprawę. W końcu mogło być gorzej. Straciła tylko majtki, nie cnotę! Na drugi raz będzie miała nauczkę, by nie bawić się w głupie gry!

– Toś głupia! – Postanowiłam jednak zrobić z tego użytek. – Trzeba było nie dawać. Przykro mi, że teraz pół twojej klasy wie, jaką nosisz bieliznę. Na drugi raz, jak będziesz chciała zrobić coś tak idiotycznego, przypomnisz sobie o tym i więcej nie popełnisz tego błędu.

– Tylko widzisz, to jeszcze nie wszystko!

– Nie? – zdziwiłam się.

– On mi ich nie oddał. – Teraz dla odmiany zaczęła nerwowo gnieść obicie fotela. – Kazał mi po nie przyjść dziś wieczorem do siebie, jak jego starzy wyjdą. Powiedział, że przedyskutujemy tę sprawę.

– Jeśli myślisz – zaczęłam moralizującym tonem – że będę cię kryć przed matką, byś ty mogła iść po swoją bieliznę, to się grubo mylisz!

– To nie tak... – wyjęczała.

– A jak? – Spojrzałam na nią z politowaniem. – Trudno, kotku, za błędy się płaci. A ty nie pójdziesz do młodocianego erotomana wieczorem, by odzyskać majtki! Pogódź się ze stratą i tyle.

Moja sugestia była całkiem rozsądna.

– Ale je trzeba odzyskać. – Andria wydawała się coraz bardziej

zdesperowana. – Powiedział, że jeśli ich nie odbiorę, to włoży je panu Sierce do torby, wraz z liścikiem miłosnym. A on na pewno przeprowadzi dochodzenie i dowie się, czyje to majtki!

Andria obecnie kochała się w panu Sierce. Dla niej tragedia!

– Jak cię zapyta, to zawsze możesz powiedzieć, że to nie twoje. – Postanowiłam pocieszyć moją zrozpaczoną siostrę. Andria tylko chlipnęła w chusteczkę do nosa. Nagle rozryczała się.

– Kiedy cały problem w tym, że nie moje – ryczała na całego. – Wzięłam twoje!

W pierwszej chwili zbaraniałam. Potem zażądałam dodatkowych wyjaśnień. Okazało się, że moja siostrzyczka dała napalonemu gamoniowi moją najlepszą bieliznę. Czarne koronkowe stringi z Triumphu, które dostałam od Pawła z okazji półrocznego naszego związku i w których wciąż mnie jeszcze nie widział! Ciągłe czeka, żebym się w nich zaprezentowała!

Moja siostra obserwowała, jak rumieniec podnosi mi się znad dekoltu i dociera do czoła. Desperacko usiłowałam nad sobą zapanować, żeby jej natychmiast nie udusić. Miałam trzy możliwości:

1. Mówię Pawłowi, że zniszczyłam jego śliczny prezent i w związku z tym narażam się na pytania, w jakich to okolicznościach mogłam sobie zniszczyć majtki. Wniosek nasuwa się jednoznaczny – jakiś facet je na mnie podarł. Odpada.

2. Mówię prawdę i tłumaczę, dlaczego lekceważę jego prezenty, zapominam o nich, lekceważę jego osobę i nasz związek. Odpada.

3. Idę i wydzieram gnojkwowi moją własność z gardła. Niech to szlag trafi.

– Andria? – zapytałam, decydując się na to ostatnie. – Na którą kazał ci przyjść?

– O siódmej – odpowiedziała, wciąż chlipiąc.

– Pójdę po te majtki i uratuję nas obie. – W oczach mojego rodzeństwa pojawia się nadzieja. – Ale nie chcę cię widzieć, dopóki mi nie przejdzie wścieklizna na ciebie. Dawaj adres!

Otworzyła plecak, wyciągnęła zeszyt, a z niego wymiętoszoną kartkę. Wcisnęła mi ją do ręki.

– Dobra... A teraz marsz do domu lekcje odrabiać.

Moja siostra, chyba po raz pierwszy w życiu bez dyskusji ubrała się i wyszła. A ja zaczęłam się zastanawiać, jak u licha wytłumaczę Pawłowi moją nieobecność w godzinach wieczornych...

Wieczorem punkt siódma dzwoniłam do drzwi pod wskazanym adresem. Otworzył je barczysty chłopak, na oko szesnastoletni. Zdziwił się na mój widok, po

czym wykrztusił, że rodziców nie ma w domu, i chciał mi zamknąć drzwi przed nosem. Co za palant! Nawet słowa nie zdążyłam powiedzieć. Włożyłam czubek pantofla pomiędzy framugę i drzwi, a następnie tylko się upewniłam:

– Marcin Szotek?

– Taa. – Przestał mocować się z drzwiami i wlepił we mnie wzrok. – Pani do mnie czy o mnie? Jeśli to drugie, to...

– Tak, mówiłeś – weszłam mu w słowo. – Rodziców nie ma w domu. To pierwsze. Ja do ciebie.

– A w jakiej sprawie, jeśli mogę zapytać?

– Mogłabym najpierw wejść do środka? – grzecznie spytałam, choć jak patrzyłam na niego, szlag mnie trafiał.

– Nie mogę wpuszczać obcych do domu. – Postanowił najwidoczniej załatwić całą sprawę na korytarzu. – Jak ma pani sprawę, to proszę walić tutaj. Tylko szybko, bo czekam na jedną łaskę...

– Tak, na moją siostrę. – Postanowiłam niczego nie owijać w bawełnę. – Niestety mam dla ciebie złą wiadomość. Nie przyjdzie.

– Ale numer – wyrzucił z siebie z dzikim chichotem. Następnie omiótł moją sylwetkę wzrokiem z góry na dół i z powrotem. – Więc nie miała na tyle ikry, by sama przyjść po swój drobiazg, tylko posłała w zastępstwie siostrzyczkę!

Gdybym była bazyliżkiem, już by nie żył. Uśmiechnął się wrednie, a następnie szerzej otworzył drzwi.

– Proszę bardzo. – Wykonał zapraszający gest, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Ja nie narzekam, jak dostaję lepszy towar w miejsce gorszego za tę samą cenę.

Bydlak.

– Zmieniłam zamiar – poinformowałam go. – Przynieś mi ten, jak mówisz, drobiazg i zaraz sobie pójdę.

– Tak? A jak nie przyniosę? To mój uczciwie zdobyty fant. Trzeba go wykupić.

– Słuchaj, gnojku – zaczęłam wkurzona nie na żarty. Było mi już wszystko jedno. Musiałam odzyskać te piekielne majtki! – Jak zaraz nie przyniesiesz mojej bielizny, to jutro pojawię się w szkole z awanturką u wychowawczyni. Czy to jest dla ciebie jasne?

– Jak słońce – przytaknął. – Tyle że mnie w budzie już nic nie zaszkoździ, więc chrzańię wychowawczynię i dyrę. Rodziców też mam w dupie. Ojciec się najwyżej pośmieje, a matka, jak to baba, pogdera i gotowe. Więc jak chcesz dostać w swoje rączki ten kawałek koronki, to włącz i bądź miła, a jak nie, to spadaj!

I co teraz? Ale wpadłam, przemknęło mi przez głowę. Mój koronny argument nie zadziałał. A cham uśmiechał się coraz bezczelniej. W tym momencie do dzieła ruszył Lancelot w osobie Pawła, który zmaterializował się nagle obok.

Skąd...

– Masz jakiś problem? – zapytał.

Byłam w takim nastroju, że wszystko mi zobojętniało! Trudno. Najwyżej będę miała w domu karczemną awanturę i będę musiała opatrywać zranione uczucia. Lepsze to, niż żeby pomyślał, że dobieram się do nieletnich. Krótko wytłumaczyłam całą sytuację.

– No, chłopie – odezwał się. – Oddaj, co nie twoje.

– Może nie mam ochoty? – Młodocianego lubieżnika cała ta sytuacja bawiła coraz bardziej. – Może chcę sobie zatrzymać na pamiątkę i spać z nimi pod poduszką? – dodał kpiąco.

Pawełkowi zaczęły chodzić nozdrza. Niedobrze.

– Posłuchaj, chłopie – zaczął jeszcze raz. – Natychmiast oddawaj własność mojej dziewczyny.

– A jak nie?

Paweł przestał bawić się w subtelności. Zbliżył się do chama, chwycił za bluzę, podniósł i walnął o ścianę. Po czym uśmiechnął się i oznajmił:

– Jak nie, to osobiście spiorę twój źle wychowany tyłek, skoro rodzice tego nie zrobili za młodu. Rozumiesz? – dodał, a następnie zaczął skręcać bluzę gnojka, odcinając dopływ powietrza. Po chwili chłopak zaczął sinieć. – Rozumiesz? – powtórzył.

W obawie o życie młodociany pokiwał twierdząco głową; został wypuszczony, chwycony od tyłu za szyję i wepchnięty do mieszkania. Po chwili Paweł wrócił, machając bez troski kawałkiem koronki. Wyrwałam mu majtki z dłoni. Młody, jakby bojąc się, że Paweł może zmienić zdanie i jednak spuścić mu manto, szybko zatrzaskał drzwi.

– Powiedziałem mu – oznajmił Paweł – że jak się dowiem, że w jakikolwiek sposób będzie dokuczał Andrii, to wrócę i wtedy oberwie!

Popatrzyłam na niego z uwielbieniem. Mój bohater.

– Czy jest jakakolwiek szansa, że cię w nich zobaczę, jak tylko je wypierzesz? – zapytał, otwierając przede mną drzwi samochodu.

Gdy dojechaliśmy do domu, spytałam, skąd się wziął o właściwym czasie w odpowiednim miejscu. Pomyślałam, że może Andria, niewdzięcznica, chciała mnie nieco zakłopotać albo może spodziewała się, że dupek będzie robił problemy i najzwyczajniej w świecie się o mnie martwiła. Okazało się, że sprawa była prostsza. Paweł akurat przejeżdżał tamtędy w drodze do domu i zobaczył, jak wchodzi do klatki tego gbur. Byłam tak wdzięczna za interwencję, że na myśl mi nie przyszło, że poszłam do smarkacza tylko po to, by o wszystkim nie dowiedział się właśnie Paweł! Kiedy później o tym myślałam, doszłam do wniosku, że nie

znam go tak dobrze, jak mi się to wcześniej wydawało. Nie zrobił mi żadnej awantury, nie był upiornie zazdrosny, dał sobie spokojnie wytłumaczyć, a później cała ta sprawa tylko go bawiła. Może to i dobrze, ale ja byłam potężnie skrepowana. Leżałam w łóżku i zamiast spać, patrzyłam na śpiącego Pawełka i zastanawiałam się, ile jeszcze twarzy u niego odkryję! Nic nie jest takie, jak może się zdawać na pierwszy rzut oka.

Następnego dnia ruszyłam do pracy w bojowym nastroju. Poszłam na lekcję i starałam się, by nie dać się wciągnąć w dyskusję, co nie do końca mi się udało. Hitem dnia stało się zwykle warzywo. Omawiałam na WOS-ie rolę obrotu bezgotówkowego w ekonomii, gdy nagle jeden z uczniów zadał mi pytanie, zupełnie niezwiązane z tematem, ma się rozumieć.

– Proszę pani, mamy mieć z panią wychowanie do życia w rodzinie. Prawda?

Udzielenie odpowiedzi twierdzącej nie wydało mi się w tym momencie niebezpieczne, więc przytaknęłam, pełna nadziei, że na tym dociekliwość uczniowska się skończy. Jednakże ów wypytywał dalej:

– I w związku z tym mam pytanie. Czy to prawda, że impotenci przywiązują sobie marchewkę, żeby... no wie pani...

Oniemiałam. Tymczasem głos z klasy stwierdził:

– Jeśli nawet, to ten biedak nic z tego nie ma.

Po klasie przebiegł śmieszek. Ja dalej trwałam w milczeniu. Najpierw ten przygląp wczoraj, potem moje kochanie, teraz mój własny uczeń... Ciężka dola nauczyciela. Postanowiłam wyjść jakoś z twarzą. Potraktowałam jego pytanie bardzo poważnie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A skąd ci się to w ogóle wzięło? – zainteresowałam się, sadowiąc wygodniej na biurku.

– Przeczytałem w „Bravo”.

No tak. Dzięki Bogu, że nie w „Playboyu” lub „Maximie”.

– Niestety, nie mogę ci pomóc. Nie jestem facetem, co chyba widać – śmieszek. – A poza tym nie jestem impotentem. Kobiety nie mają ku temu warunków.

– To niesprawiedliwe – podsumował całą sytuację mój uczeń. – Dziewczyny zawsze mają lepiej!

Oczywiście zaraz wybuchła głośna dyskusja na temat tego, która płęć ma lepiej. I właśnie w samym jej środku weszła do klasy pani dyrektor, by sprawdzić, skąd ten hałas. Najdelikatniej jak mogłam, wyjaśniłam jej, że to debata o kartach kredytowych i bardzo się cieszę, że ta tematyka tak ich interesuje. Ku mojemu zdziwieniu uczniowie zaczęli zasypywać dyrektorkę swoimi wątpliwościami dotyczącymi kart i kobieta szybko uciekła, prosząc tylko, żeby dyskutować trochę

ciszej.

– Swoboda wypowiedzi, pani dyrektor – pożegnał dyrektorkę uczeń od marchewki.

Wyciągnęłam następujące wnioski: są inteligentni i jednak nie śpią na moich lekcjach. Odniosłam sukces dydaktyczny. Ale dlaczego mnie kryli?

– Jest pani w porzo – usłyszałam w odpowiedzi. – A ona to stara jędza. I już.

Resztę wypowiedzi zagłuszył dzwonek. Przez następne pięć minut miałam dobry humor...

...dopóki nie spadłam ze schodów. Wszystko oczywiście przez walki sprzątaczek o Mietka. Jedna wpadła na pomysł zostawienia różnych śmieci na terytorium drugiej. Nie przypuszczałam, że mogę w takim tempie dostać się na parter!

Znów wylądowałam w gabinecie pani dyrektor, która opieprzyła mnie, że nie uważam, jak chodzę. Ciągle też przytrafiają mi się jakieś wypadki. A to coś spada mi na głowę, a to uszkodzam sobie nogę, w związku z czym ona będzie miała problem. Ona! A to ja siedziałam z puchnącą kostką, obtartym łokciem i bolącymi zębami. Tylko głowy nie zdążyłam sobie rozbić. Jej problem polegał na tym, że musiała dać za mnie godzinę zastępstwa (bo ja nie byłam w stanie się ruszać, a w gabinecie wylądowałam, bo tam uczniowie mieli najbliżej od miejsca wypadku). Mój problem polegał na tym, że wszystko mnie bolało i czekałam na karetkę.

Karetka przyjechała po półtorej godzinie, kiedy miałam ochotę wszystkich pogryźć z powodu bólu ciała oraz bólu duszy – wyniku przebywania w jednym pomieszczeniu z dyrekcją przez czas dłuższy. Ambulans wywiózł mnie na ostry dyżur, gdzieś na peryferie Oławy. Siedziałam w poczekalni i czekałam na lekarza od godziny. Było mi zasadniczo dobrze, bo przynajmniej w mojej bezpośredniej bliskości nikt nie zrzędził. Wreszcie pomyślałam o transporcie powrotnym. Nie miałam wyjścia, musiałam zadzwonić do Pawła do pracy, sama nie dałabym rady się stąd wydostać.

Paweł przyjechał po półgodzinie. Nie miał żadnych problemów, żeby się zwolnić w razie wypadku – jego szef nie jest taki jak nasza dyrektorka! Wciąż siedziałam w poczekalni, kiedy wparował do środka i zaczął wypytywać co, jak, kiedy i dlaczego. Na koniec mnie przytulił. I tak sobie siedzieliśmy w poczekalni... Jeszcze dwie godziny!

Po kolejnej godzinie, podczas której moją kostkę otulono gipsowym bucikiem (bo doznała skręcenia), dano jakieś prochy na odczepne dla Pawła („nie widzicie, jak moja dziewczyna cierpi?!”) i wypisano zwolnienie, które doprowadzi moją szefową do szalu (dwa tygodnie), wylądowałam w domu mojego faceta. Co



prawda proponowałam, by mnie odwiózł do mamusi, ale się nie zgodził. Argumenty, jakich użył, przekonały mnie w stu procentach.

– Mamusia żyć ci nie da i będzie marudzić, siostra żyć ci nie da i będzie wykorzystywać, a ojciec jest mężczyzną i będzie neutralny. Ja też jestem mężczyzną, ale nie będę neutralny! – dodał na koniec.

– A twoja przewodniczka? – jęknęłam.

– W tej sytuacji przewodniczka poczeka. Jesteś ważniejsza niż jakaś tam kasa!

Zrobiło mi się słodko. Że też on zawsze umie powiedzieć to, co w danym momencie jest mi potrzebne. A poza tym ma rację! Lepszy Paweł niż matka, siostra i jej szyle oraz neutralny ojciec. Po ulokowaniu mnie w łóżku z ciepłym termoforem i nakarmieniu serkiem stracciatella Paweł zadzwonił do szefa i wziął tygodniowy urlop, by – jak to określił – mógł zaopiekować się połamańcem życiowym. Byłam tak obolała, że tylko delikatnie zareagowałam, mówiąc, że nie jestem życiowym połamańcem, a tylko mam skręconą kostkę.

– W gipsie – uściślił Paweł i dostał urlop. Żeby mógł zrobić pozytywne wrażenie na narzeczonej, co uściślił już jego prezes.

Tak więc w pracy mojego pana uchodziłam za jego narzeczoną. Ciekawe, bardzo ciekawe... I stwarzało nowe możliwości szantażu. Nie będzie chyba chciał, żebym z niego zrobiła durnia przed koleśkami, prawda?

Postanowiłam wykorzystać do maksimum potencjał, który dawała mi obecna sytuacja.

– Pawełku – zajęczałam z łóżka. – Zrób mi herbatki.

Uwielbiam to. Mogę sobie spokojnie leżeć i czytać, a ktoś koło mnie skacze. Jest to warte bólu w nodze. Poza tym mogę być tak marudna i nieprzyjemna, ile wlezie, i nikt nie będzie protestował. Przecież jestem ofiarą szaleńca, no nie?

Sytuacja stwarzała również nowe możliwości do przekonania mojego mężczyzny, że na żonę to ja się nie nadaję. Na dziewczynę, z którą można się pokazać i porandkować, tak, może nawet na narzeczoną, niech mu będzie, ale na żonę (przynajmniej na razie) absolutnie nie! Tak, żeby nie zrywał, ale żeby nie chciał natychmiast się zenić.

Paweł, jako osobnik dobrze już przeze mnie i swoją mamusię wyćwiczony, bez protestu poszedł do kuchni w celu zrobienia mi herbatki. Gdy z nią wrócił po pięciu minutach, zaprotestowałam. Chciałam wziąć tabletkę przeciwbólową, a nie sposób jej popić wrzątkiem. Zażądałam soczku pomarańczowego.

– Nie mam soczku – poinformował, siadając obok mnie na łóżku.

– To zdobądź. – Postanowiłam być bezwzględnie upierdliwa i zamknęłam oczy. Że mnie tak niby boli, że nie wytrzymam do chwili ochłodzenia się herbatki.

– Może popijesz wodą... – zasugerował.

– A jaką masz?

– Lekko gazowaną z Muszyny – wyjaśnił, patrząc mi w oczy z nadzieją.  
– Nie cierpię tej wody – grymasiłam dalej. – Daj niegazowanej.  
– Kiedy sama ją kupowałaś – zdziwił się.  
– Dla ciebie kupowałam – sprostowałam, znów otwierając oczy. – Ja wody nie pijam. Chcę soczku. Albo chłodnej herbatki. Chyba nie żądam zbyt wiele?

Paweł, wzdychając ciężko, wyszedł z sypialni. Odczekałam pół minuty i zawołałam:

– Paweł!

Przybiegł z powrotem, zatrzymał się w drzwiach sypialni i z rezygnacją wlepił we mnie wzrok.

– Przynieś mi, proszę, pamiętnik. Jest pod stolikiem w dużym pokoju.

Po chwili wrócił z pamiętnikiem w ręce.

Otworzyłam go na ostatnio czytanej przeze mnie stronie, wsunęłam na nos okulary i wlepiłam wzrok w kartki.

– Co tak jeszcze stoisz? – rzuciłam w kierunku drzwi. – Chcę soczek. Albo nie...

Paweł zawrócił. Z ulgą chyba, że zmieniłam zdanie i nie musi po nocy szukać całodobowego z soczkiem pomarańczowym.

– Kup pomarańcze i wyciśniesz mi soczek – pozbawiłam go złudzeń. – Tylko, Paweł, żeby były świeże!

### *Sierpień roku pańskiego 1806*

*Jutro jedziemy na bal. Pan Niedziałkowski wyprawia olbrzymie przyjęcie. Maskaradę! Po raz pierwszy będę w takowej uczestniczyć. Za dwa dni ślub panny Marty, a potem trzydniowe wesele. No i powrót do Puław, już bez panny Marty, bo za dwa dni będzie już panią Śliwińską. I zamieszka w Poniatyczach. Mam nadzieję tylko, że nie dojdzie już do żadnego rozboju. Pan wynajął ludzi do ochrony, ponieważ żyjemy w takich niebezpiecznych czasach. Jutro pod obstawą jedziemy do dworu w Żytnej i tam zostaniemy na ślubie i weselu. Pierwszą noc jeszcze spędzimy z panną Martą, ale kolejną już same, bo pani Śliwińska z mężem w jednej sypialni będzie nocować. Bardzo niewygodnie. Dzielić sypialnię z mężczyzną! Nieobyczajne to! Nawet z mężem się nie godzi.*

*Przygotowywałyśmy już nasze suknie (ja będę Wenus), kiedy weszła do pokoju pani Rostkowska, która przez jakiś czas pobierała z nami nauki. Ponieważ przyjaźniła się z panną Martą, poproszono ją, by pouczyła ją o obowiązkach małżeńskich. Kazala nam wszystkim wyjść. Dziwne. Jakby nie uczono nas na pensji,*

*jak dbać o męża i wywiązywać się względem niego z obowiązków! Panna Marta chyba też nie była zadowolona z przebiegu rozmowy. Gdy już wróciłyśmy, leżała na szezlongu i wachlowała się chusteczką. Na przemian też bladła i czerwieniała na powrót. Widocznie pani Rostkowska musiała ją bardzo zdenerwować. A myślałam, że lubi Martę!*

*Usiadłam obok niej i pocieszałam, że świetnie sobie poradzi i uszczęśliwi męża, a to przecież najważniejsze. Popatrzyła na mnie jakoś dziwnie i tylko wyszeptala, że wcale już nie jest tego taka pewna. I szkoda, że nie można już odwołać wszystkiego, bo ona by chętnie do klasztoru... Mówiłyśmy jej, że sobie świetnie poradzi, że pan ją kocha. A ona poczerwieniała i oświadczyła, że to najgorsze, bo będzie często wymagał. Tylko czego? Przecież świetnie sobie da radę z prowadzeniem domu i organizacją zabaw. Więcej robić nie musi. Służba jest przecież od innych, nieprzyjemnych rzeczy! A my zawsze chętnie przybędziemy na jej zabawy! Znów na nas spojrzała i tylko pokręciła głową, wola Boska, powiedziała! Pewnikiem to wapory. Boi się, że nie uda się wesele.*

*Dziś odbył się bal. Przetańczyłam wszystkie tańce, a do poloneza poprowadził mnie pan Gnostkowski. Och, a potem poszliśmy na przechadzkę po ogrodzie. Księżyc świecił i czułam się tak cudownie, gdy szliśmy obok siebie. Mogłabym tak spacerować godzinami. Oczywiście nie byliśmy sami, gdyż towarzyszyli nam panna Konstancja z panem Łuszczkiewiczem. Pan Maksymian powiedział mi też, że równie nadobnej Wenus jeszcze nie widział na żadnym balu. Przecież on taki bywały w świecie! Dziś także otrzymałam list od mojej matuchny! Za mąż się wybiera i po ślubie wróci do kraju, by mi przedstawić swojego męża. Same śluby dookoła. I tak sobie myślę, że i ja za niedługo będę gotowa do ślubu. W październiku kończę siedemnaście lat i będzie mi pilno za mąż! Nie chcę w wieku lat dwudziestu zostać okrzyknięta starą panną. Zgroza!*

*W dzień ślubu o drugiej bolały mnie już nogi i, wstyd powiedzieć, skryłam się w bibliotece, by pantofelki zdjąć i choć trochę rozmasować bolące stopy. Nikt z panów nie mógł mnie zobaczyć w tym stanie, więc gdy kilku z gości weszło do pomieszczenia, skuliłam się na fotelu. Na szczęście był obszerny i zakrył mnie całą przed ich wzrokiem. Straszne było to, że mimo woli i dobrego wychowania musiałam słuchać, o czym mówili. Zaczęłam w myślach odmawiać pacierze, aż usłyszałam swoje nazwisko. Mówili o mojej matce. Że wraca niedługo i pewnikiem*

*„tę słodką panienkę”, czyli mnie, zabierze ze sobą. Do Paryża. Księżna pani mówiła. Byłam szczęśliwa – zobaczę stolicę cesarstwa!*

*Nagle znieruchomiałam. Znow mówili o mnie. Szkoda im takiej uroczej panny, bo narzeczony pułkownikowej, choć bogaty, to rozpustnik. I może krzywdę zrobić niewinnej pannie, pozostawionej pod jego opieką. Na złą drogę sprowadzić matkę i jej nieszczęsną córkę. Tak jak poprzednio! Biedna panna Wielowiejska na dwa miesiące w szpitalu po nieudanej próbie samobójczej wylądowała. Bo ojczym jej się narzucił ze zbyt wielkimi czułościami. A potem za męża wydał za drugiego takiego jak on! Za starca! Na nieszczęście dla mnie on znow jest wdowcem i kolejną piękną matkę z niewinną córką sobie złowił.*

*Zmartwiałam. To przecież nie mogła być prawda. To wstrętne, tak pomawiać kogoś. Matuś moja pisała, że jej narzeczony taki wspaniały i dobrze ułożony! Byłam oburzona! I wtedy usłyszałam głos pana Maksymiana. „Szkoda panny, poznałem tego łotra podczas insurekcji, targowiczanie przecie”. Moje biedne serce stanęło w miejscu, bardzo delikatnie przesunęłam się w fotelu i wyjrzałam do tyłu. Głosy należały do pana Niedziałkowskiego, Śliwińskiego i pana Maksymiana. Do trzech najbardziej godnych wiary kawalerów! Narzeczony matki był zdrajcą! O, matuchno moja! Coś ty najlepszego narobiła?*

*Panowie szybko wyszli, coś jeszcze mówili, ale nie byłam w stanie słuchać. Bałam się i chęć zabawy szybko mi przeszła. Co robić? Dla matki za późno na ratunek. Ja ratować się muszę! Ale jak? Matka za cztery miesiące będzie u księżnej i mnie zabierze. I zamieszkać z nim. Z dala od mojej ukochanej Konstancji!*

*Mogę zrobić tylko jedno. Jak najszybciej muszę się zaręczyć i wyjść za męża! Księżna moją opiekunką jest, więc może dać zgodę. Tylko za kogo? Wesele jest świetną okazją, żeby przyszedł mąż znaleźć.*

*Właśnie chciałam wyjść, gdy następni panowie do biblioteki weszli. Czy oni też będą omawiać mój nieszczęsny los? Oni jednakże mówili o jeszcze bardziej ponurych sprawach. Niejaki kapitan Różański został zasztyletowany dwa tygodnie temu na gościńcu! Pewnie rabusie. Tylko kartkę zostawili. Z jakimś dziwnym napisem. Coś jakby „Drugi, Ps 26:10”. Nigdzie nie można już być bezpiecznym. Nawet we własnej rodzinie. I zrobiło mi się bardzo straszno. Pan Gnostkowski w tym czasie jechał do Puław, w odwiedziny do siostry. Cud prawdziwy, że został zamordowany jakiś nieznan mi oficer, a nie brat Konstancji!*

No to Agnetka ma problem. Ojczym zboczeniec i pedofil chyba. W dzisiejszych czasach dostałby prawy sierpowy od takiej nastolatki i usłyszałby „spadaj, zmarszczony fiucie, na drzewo, liście pompować”. A potem zgłosiłoby się sprawę glinom. Ostatnio molestowanie seksualne w modzie, więc może nawet nasza nieruchawa policja coś by zrobiła. Dochodzenie uwieńczone sukcesem na przykład. Ale w tamtych czasach sytuacja nie do pozazdroszczenia! Byłam niezmiernie ciekawa, co dalej. Nim podjęłam lekturę, wyszłam z łóżka i pokuśtykałam w stronę półki z książkami. Następny trup! Muszę koniecznie sprawdzić, co to za cytat. Może w końcu uda mi się zaspokoić ciekawość względem pierwszego nieboszczyka.

Oczywiście natychmiast mój pech dał o sobie znać, bo się potknęłam i wyłożyłam wprost na obolałe biodro. Właśnie zaczęłam gramolić się z podłogi, gdy zostałam uniesiona do góry i zaniesiona do łóżka. Po dopełnieniu tych formalności Paweł patrzył na mnie z wyrzutem w oczach.

– Jak małe dziecko! Nie można cię na chwilę z oka spuścić, bo wycieczki krajoznawcze ze zwichniętą nogą sobie urządzasz.

– Ale... – chciałam coś powiedzieć.

– Cicho bądź, bo się zdenerwuję i będę żabami rzucał! – Usiadł koło mnie i rozpoczął wykład. – To ja po całym mieście jeżdżę i świeżych pomarańczy dla ciebie szukam, żebyś mogła wziąć tabletki, bo tak cię niby noga boli, a ty udajesz wielkanocnego zajączka i z tą nogą kicasz po mieszkaniu? To boli cię w końcu? Czy nie? – zażądał wyjaśnień.

Na widok jego miny postanowiłam odpowiedzieć zgodnie z najprawdziwszą prawdą, ale tak, żeby ocalić całość moich pośladek. Jakby się dowiedział, że przez babską złośliwość po mieście w nocy po pomarańcze gonił, sprząłby mnie. I wyjątkowo nie mogłabym go winić, bo przez własną głupotę i wścibstwo dałam się złapać jak ostatnia idiotka!

– No, czekam... – zmarszczył brwi.

– Byłam ciekawa. – Spojrzałam na niego wzrokiem tonącego, proszącego, by nie dolewać już wody. – I chciałam wziąć Biblię i coś sprawdzić. A noga mnie boli. Naprawdę – postanowiłam nawijać dalej. – Czekałam na ciebie jak na zmiłowanie boskie. I na ten sok, bym mogła połknąć tabletki.

Postanowiłam zagrać na jego sumieniu.

– Mogłaś na mnie poczekać z tą Biblią, a nie łązić z zagipsowaną nogą. Teraz jej za karę nie dostaniesz. Dopiero jutro.

Uśmiechając się złośliwie, podszedł do półki z książkami, wziął do ręki Pismo Święte i wyszedł. On mnie normalnie torturuje!

– Natychmiast mi ją oddaj! – zażądałam, gdy wrócił. – Zaraz mnie zeżre ciekawość.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – zripostował. – A ty, widzę,

czujesz się już lepiej...

Natychmiast opadłam na poduszki i zrobiłam obolałą minę.

– Wcale nie! – zaprotestowałam. – To wszystko twoja wina, bo cię tak długo nie było, a ja nie mogłam wziąć tabletek, bo herbata jest za gorąca, i z bólu nie odpowiadam za własne czyny – dokończyłam z triumfem.

Jesteś mój, bratku!

– Doprawdy?

Uniósł brwi, a ja poczułam niepokój. Co on wymyślił?

– Za gorąca? – Wziął kubek do ręki. – Wobec tego ty będziesz się chyba dobrze czuła na biegunie.

Wcisnął mi go do ręki. Kubek był lodowaty. Podczas godzinnej nieobecności Pawła herbata zrobiła się zimna. Miałam na końcu języka, że nie zostawił tabletek w pobliżu, ale w porę spojrzałam na nocny stół. A drań siedział koło mnie i kąśliwie się uśmiechał. Popiłam tabletki zimną herbatą.

Poprawka, to on mnie miał. I tak mi się chyba wydaje, że nici z soczku na dzisiaj!

Obudziłam się w dość dobrym humorze. Nie musiałam iść do pracy, nie musiałam iść na zajęcia, mogłam się do woli lenić i, co najważniejsze, nie musiałam wysłuchiwać marudzenia matki. Paweł na śniadanie wycisnął mi sok z kupionych w nocy pomarańczy, wcisnął do ręki świeżego rogalika z masłem i poszedł prasować swoje koszule. Po śniadanku, wzmocniona na ciele i duchu, zostałam zaniesiona do łazienki na szybkie ablucje. Byłoby mi jak w niebie, gdyby nie uporczywy ból w kostce. Po przyniesieniu mnie z powrotem do łóżka Paweł wcisnął mi do ręki Biblię, życząc miłej modlitwy. Szybko otworzyłam na interesującym mnie wersecie: „w ich rękę zbrodnia, a ich prawica pełna jest przekupstwa”.

No to klops. Najpierw coś o fałszywych prorokach, o wilkach w owczej skórze, teraz o zbrodniarzach. Czy ten, kto ich ukatrupił, nie mógł wyraźnie napisać za co albo dlaczego, skoro postanowił zostawić ślady? A tak ja muszę się zastanawiać, skąd te trupy. I dlaczego trupy... Tak jakby nie było ich dość w różnych bitwach, które wtedy Napoleon toczył. W 1806 roku miała miejsce wojna z czwartą koalicją. I dwa zwycięstwa Napoleona, pod Auerstedt oraz Jeną. Prusaków pokonał, Berlin zdobył, dość krwi się lało. Nigdy nie zrozumieję ludzi! Bliźni bliźniemu z byle powodu szpikulec w oko!

W momencie, w którym doszłam do tego wniosku, zadzwonił dzwonek do drzwi. Odruchowo chciałam wstać i iść otworzyć, ale zaplątałam się

w prześcieradła. Klnąc na tę dzwoniącą mendę, przypominałam sobie też o nodze, która oczywiście zaczęła boleć. Równie szybko przestała, bo ową mendą okazała się Emilka. Widać Paweł doszedł do wniosku, że będzie miał problem z utrzymaniem mnie w łóżku. I postanowił wezwać posiłki. Dzięki Bogu za męską nieznajomość mojej psychiki. Bo przecież jak mam okazję, to mogę leżeć i się lenić w nieskończoność! Tylko do tej pory jakoś nie było okazji, wczorajsza Biblia... i jako efekt męskiego logicznego myślenia mamy Em. Nie zna mnie tak dobrze, jak mu to się wydaje. I dobrze!

Moja wychowawczyni w liceum zawsze powtarzała, że kobieta choć w części musi być tajemnicza, by utrzymać zainteresowanie faceta. Według mnie miała rację. Jak będzie zbyt zajęty odkrywaniem nowych prawd o moim charakterku, to nie będzie oglądał się za innymi babami. Jedno wyzwanie w domu starczy mu do absolutnego szczęścia. Chwileczkę! Czy ja właśnie planowałam jakieś dłuższe pożycie z Pawłem? Jęknęłam rozdzierająco. Musi być ze mną dużo gorzej niż zwykle!

– Co tak jęczysz? Aż tak bardzo ci ta kostka nawala? – spytała Em, wchodząc do sypialni.

– Po prostu właśnie uświadomiłam sobie pewne rzeczy – odpowiedziałam. – A jęk był wyrazem bóleści duszy, nie ciała – uściśliłam.

– Powiedz to Pawełkowi, bo pognał po tabletki, jak cię usłyszał – uświadomiła mnie Em. – To był naprawdę jęk – dodała z podziwem. – Wiesz, takiej potępionej duszy. Lub Torturowanego Heretyka.

Roześmiałam się. Ksywę Torturowanego Heretyka zdobył mój kolega z roku, kiedy dwa lata temu oświadczył wykładowcy, że nie jest torturowanym heretykiem, żeby mu takie pytania na egzaminie zadawać! Wyleciał z pałą. Egzaminator (mój promotor zresztą) stwierdził, że nie jest inkwizytorem, który przebacza winy w zamian za przyznanie się do błędu i wydanie podobnie myślących kolegów. Maciek wyszedł, jęcząc strasznie na niesprawiedliwość losu. Według mnie wychodzi mu to lepiej niż niejednemu skazanemu na stos. Muszę dopisać Pawłowi punkt w rubryce plusy – nie jęczy!

Jakiś czas temu dziewczyny poradziły mi, bym zrobiła właśnie coś takiego: tabelkę plusów i minusów Pawła, i w ciągu dwóch miesięcy wpisywała punkty. Może mi to ułatwić podjęcie lipcowej decyzji. Kiedy ostatnio zrobiłam bilans, okazało się, ku mojemu zdumieniu, że plusy górują nad minusami. I to jak! Dwadzieścia plusów i siedem minusów. W tym momencie zapytywałam sama siebie, czy to na pewno z nim jest coś nie tak? A może to ja jednak mam coś z głową?

W czasie moich rozważań Emilka usadowiła się wygodnie w fotelu przytarganym przez Pawła poprzedniej nocy. Spał na nim, bo nie chciał urazić podczas snu mojej nogi i jednocześnie chciał być blisko, gdybym czegoś



potrzebowała. Nie wiem, jak to zakwalifikować: na plus, że opiekuńczy, czy na minus, bo mnie pilnuje jak pies kości i nawet do kibelka bez jego asysty nie mogę iść. Pod tym względem był nieznośnie upierdliwy! Nie zapisałam w końcu nic, bo się równoważyło. Teraz rzeczywiście przyleciał z tabletką i szklanką soku z pomarańczy.

– Łyknij – usłyszałam polecenie.

– A po co? – głupio zapytałam. – Aż tak mnie nie boli.

Miałam jedną zasadę. Dopóki ból nie jest nieznośny, nie truć się tabletkami. Człowiek łykający często chemię tak naprawdę nie może być zdrowy. Bo i sam się truje!

– Przecież słyszę, że jęczysz. – Stał nade mną z tabletką i soczkiem. – Łyknij!

– To był jęk duszy – postanowiłam uświadomić Pawła. – Noga nie boli aż tak bardzo, bym się tym świństwem faszerowała, a poza tym mam tu lepsze lekarstwo – zakończyłam dyskusję, zerkając na uśmiechającą się głupio Emilkę.

Wzruszył ramionami. Postawił sok na nocnym stoliku, sugerując, że powinnam przynajmniej witaminy zażyć.

– Co z Aśką Karpacką? – przeskoczyłam na temat, który mnie teraz najbardziej interesował.

– Jak cię nie było, to przyznała nam się jeszcze, że o małżeństwie myśli.

– O jakim małżeństwie!?! – wybuchłam. – Przecież on jest nieletni, a ona, chociaż pełnoletnia, głupia jak but. Żeby się umawiać ze smarkaczem i jeszcze coś z nim planować! Między nimi jest, bagatela, parę ładnych lat różnicy. A co na roku?

Emilka uśmiechnęła się.

– Rozeszło się błyskawicznie. Bliźniacy po naszej rozmowie na Facebooku wstawili posta: „Wielki romans AK, szczegóły po 20, jak wrócimy”. Sama widziałam.

No tak, Internet łączy ludzi.

– Żałuję, że kiedy nam się zwierzała, nie mogłam się roześmiać. Tylko wbijałam paznokcie w ręce Wacka. A może to był Ksysiu? – dodała po chwili zastanowienia. – Mniejsza z tym. Jeden z bliźniaków.

– A czegoż dotyczyły te zwierzenia? – zainteresował się Paweł, siadając na brzegu łóżka. Kilka razy opowiadałam mu o Aśce, w związku z czym jego ciekawość mnie nie dziwiła.

– Jej zabronionego i ukrywanego przed światem związku. – Emilka rzuciła bombę.

Przez moment panowała cisza. Mój mężczyzna spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem. Zaczęłam go szybko wprowadzać w szczegóły.

– I pomyśleć – westchnęłam na końcu – że Adaś na pierwszym roku zastanawiał się, czy się z tą pindą nie umówić.

– Adasiowi przeszło po dwóch dniach, jak zaczął z nią rozmawiać. To inteligentny facet, szybko wyczuł, skąd wieje wiatr.

– Ta kobieta to chodząca tragedia – podsumował Aşkę Paweł, a następnie postanowił zająć się obiadem. Po jego minie widziałam, że musiał być tak zde gustowany jak ja. Albo i bardziej. Nawet nie wiem czym: jej postępowaniem czy głupotą tego smarkacza.

Po obiadku (uwielbiam pieczonego kurczaka z ziołami w wykonaniu Pawła!) Em podzieliła się ze mną innymi zajmującymi ploteczkami. O bliźniakach, którzy zarwali wspólnie jakąś laskę. O Ewie, która była w ciąży z Rafałem i po całej historii z Kasią umierała ze strachu, bo bała się, co on na to. Zakończenie sesji zawsze wpływało na studentów twórczo i plotkodawczo. Na koniec Emilka zostawiła najlepsze.

– W sobotę organizujesz imprezę plastyczną – poinformowała mnie.

– Co proszę? – trochę się zdziwiłam. – Jaką imprezę?

– Plastyczną – powtórzyła i zaraz uściśliła. – Trzeba ci ten gips jakoś ozdobić.

– Kto będzie?

– Ja z moim Rafałem, Ewa ze swoim Rafałem, bliźniaki, Adaś z dziewczyną, Aga no i oczywiście ty i twój przyszły niedoszły. Kasia, z przyczyn oczywistych, nie może.

– Widzę, że Rafał dalej na topie.

– No – Em pokiwała energicznie głową. – W końcu go poznasz i będziesz mogła mi powiedzieć, co o nim myślisz. Jesteśmy razem już całe cztery tygodnie.

– Szmata czasu – zauważyłam ironicznie.

– A żebyś wiedziała. Jest mi z nim tak dobrze, że nie rozglądam się za następnym. I nie oglądam za przystojnymi facetami na ulicy! Jak idziemy razem – dodała po chwili.

No, to naprawdę byłam pod wrażeniem. Po średnio dwóch tygodniach Em zaczynała rozglądać się za nową miłością, bo stara jej wietrzała. Może to naprawdę coś poważnego tym razem... Zawsze trzeba mieć nadzieję. Zwłaszcza że tyle ślubów się kroi w najbliższej przyszłości. Nie wspominając o możliwym moim...

Pożegnała się ze mną, bo miała zaplanowaną randkę i musiała się zrobić na bóstwo, żeby dalej utrzymywać dobre wrażenie i wysoki poziom zachwyty. A ja wróciłam do pamiętnika, w którym zasadniczo nic się nie działo, poza coraz większą desperacją Agnety. I większym stanem zakochania w panu Maksymianie. Aż nagle...

*Październik roku pańskiego 1806*

*Dziś moje urodziny. Dziś skończyłam siedemnaście lat. Dziś również wezwała mnie księżna, moja opiekunka. Okazało się bowiem, że poprosił ją o moją rękę jeden z panów, w towarzystwie których przetańczyłam sierpniowe i wrześniowe bale. Moje serce wyrywało się z piersi, bo byłam bardzo ciekawa, który z nich obdarzył mnie afektem. Księżna jenerałowa jako moja opiekunka udzieliła mu pozwolenia na widzenie się ze mną bez przyzwoitki, przez dziesięć minut w saloniku. Mnie powiedziała, że kawaler to przystojny, bogaty, o miłym charakterze. I ona udzieli zgody w zastępstwie mojej matki, jeśli tegoż kawalera przyjmę jako przyszłego mego męża. Powiedziała również, że zgody nie muszą udzielać od razu, mogę się zastanowić, a jeśli nie chcę z nim dzielić życia, mam się nie obawiać dać mu rekuzę. Kiedy wchodziłam do saloniku, w którym kawaler ów na mnie czekał, miałam wielką nadzieję, iż jest to ten, którego ja również darzę cichym afektem.*

*Lecz niestety, szybko przyszło rozczarowanie. O moją rękę prosił bowiem baron Rzepecki, czterdziestoparoletni właściciel Różanek. Gdy go zobaczyłam, wiedziałam już, że nie będzie zgody na małżeństwo. Kawaler może i odpowiedni, ale przecie dla mnie trochę... stary! Żonaty był już zresztą raz, żona go odumarła, wydając na świat córkę, która jest rok młodsza ode mnie.*

*Prócz rozczarowania poczułam również dumę, iż taki stateczny, w sile wieku kawaler zechciał mnie obdarzyć afektem i uczynić swą wybranką. Ponieważ tak należało, postanowiłam wysłuchać jego prośby, aczkolwiek przykro mi było, bo musiałam odpowiedzieć odmownie, pomimo pięknych kwiatów oraz mowy, którą wygłosił, jak przystało, na kolanach. Uroniłam kilka łez, tak mi się żal zrobiło barona. Wręczył mi kwiaty i odszedł, pogrążony w smutku. Potem opowiedziałam wszystko Konstancji, która uważała całą sprawę za bardzo romantyczne wydarzenie i słuchając mnie, wzdychała cały czas! Może ktoś powiedziałby, że panna bez posagu nie ma prawa grymasić, ale ja za mąż wyjdę kochając albo wcale!*

*Listopad roku pańskiego 1806*

*Przebrzydła wojna. Dziś otrzymałam list od mojej rodzicielki. Ze względu na wojnę, którą cesarz toczy z naszymi zaborcami, matusz moja i jej nowy małżonek nie*

przyjadą. Niebezpiecznie teraz jeździć. Z powodu wojny cesarza z Prusami gościńce bezpieczne będą dopiero po ostatecznym zwycięstwie Francuzów. Pozostaje mi tylko czekać na koniec nowej wojny. Da Bóg, wraz z wiosną przybędzie moja matuś. Ale z drugiej strony, zważywszy na to, co o mężu matki powiedział pan Maksymian, może to i lepiej. Kilka miesięcy więcej na to, żeby się zaręczyć i wydać za mąż.

Pani Marta wróciła z miodowych miesięcy. Podróż poślubną spędzili we Włoszech, gdzie mieli szansę podziwiać dzieła mistrzów renesansu. Na cześć młodej pary jej ojciec i brat w przyszłym tygodniu wielki bal wydają, kolejną maskaradę. Jesteśmy wraz z Konstancją zaproszone. Państwo Śliwińscy również zamierzają wydać bal dla okolicznego ziemiaństwa, jak tylko uporządkują wszystkie sprawy po podróży. Zamierzam sprawić sobie nowy strój. Na szczęście matuchna moja do listu trochę złota dołączyła. Zamierzam się przebrać za Selenę, grecką boginię księżycy. Może mój umiłowany również przybędzie na bal i choćbym z nim nie tańczyła, to będę mogła mu się przypatrzeć!

W przeddzień balu pojawili się u nas z wizytą kawalerowie, by zapytać, jak będziemy przebrane. Konstancja śmiało rzekła, że to tajemnica i ich zadaniem będzie odgadnąć i znaleźć własną bogdanekę. A my nie będziemy ułatwiać im zadania.

Do całej tej wesołości zakradł się jednak smutek. W poprzednim tygodniu odbył się pogrzeb kolejnego kawalera, porucznika Pruszyńskiego. Zadławił się podczas uczty pestką i udusił się, biedaczek. Taki dzielny, nie imaty się go szable wroga, a zginął tak głupio. Cóż za tragedia! Zapytałam, jak to być mogło, żeby nie zauważył pestki w kompocie. Panowie bardzo się skonfundowali i tylko pan Niedziałkowski mruknął, że po pijanemu każda zabawa wydaje się mądrą, tylko potem wychodzą na jaw przykre konsekwencje. Konstancja spytała, czy obecni panowie też w takich zabawach biorą udział. A że minę miała groźną, mili kawalerowie zarzekali się, że obecni byli jedynie przez przypadek. Obraza Boska! Wszyscy prócz pana Maksymiana i pana Rybczyńskiego, którzy w tych dniach u księcia Poniatowskiego bywali, w takim skandalicznym wieczorku brali udział. Pan Niedziałkowski obiecywał jednakowoż, że to ostatni raz, jak nadobne panny, czyli my, słyszymy o takowych ekscesyjach. Patrzył tak prosząco na Konstancję, która orzekła mądrze, że jeśli grzesznik żałuje i obiecuje poprawę, to trzeba mu wybaczyć. Pana Żarnowskiego gniewała tylko jedna rzecz. Że przy ciele porucznika żartowniś jakiś kartkę z napisem: „Trzeci” i cytatem z Pisma Świętego zostawił.

*Cytat z Księgi Psalmów, rozdział 94, werset 15, wcale nie pasuje do tego nieszczęścia. Bo co orzekać o sprawiedliwości, jak to była tylko głupota naszych kawalerów? Zupełny brak szacunku dla nieszczęsnego! Oczywiście jestem pewna, że uczynku takiego nie dopuściliby się żaden z naszych panów! Oni są ponad to! A już na pewno pan Maksymian!*

No tak, i mamy następnego trupa. To nie przypadek i złośliwy żart z tą kartką. Wyglądało mi to raczej na czyjeś świadome działanie, coś jakby wizytówka. Ślad. Komuś zależało, żeby inni dowiedzieli się, dlaczego oni zginęli, ale by jednocześnie pozostało tajemnicą, kto ich zabił – dla mnie proste. Przydałby im się jakiś Sherlock Holmes, by tę zagadkę rozwiązać. Potem Conan Doyle napisałby opowiadanie i zatytułowałby je na przykład „Tajemnicze cytaty”. Cała ta sprawa strasznie przypominała mi *Siedem*. Ja na razie nie zamierzałam się nad tym dłużej zastanawiać. Może pojawią się kolejne trupy? Wówczas zbiorę wszystko do kupy.

*Konstancja jest zaręczona! Po ślubie pani Marty pan Niedziałkowski się zdeklarował i pana Maksymiana poprosił o jej rękę. Brat Konstancji udzielił zgody na zaloty, i to dlatego bywał tak często w Puławach. A ja głupia byłam, rumieńców Konstancji nie widziałam, a byłyśmy obie pewne, że do swojej siostry tak często przybywa w odwiedziny. Konstancja powiedziała mi, że nadzieję miała tak marną, iż bała się ze mną nią podzielić. Wszystko się okazało, jak pan Niedziałkowski poprosił ją wczoraj o rękę. A ona, ponieważ wcześniej go kochała, szybko udzieliła mu zgody. Obojgu zależy na rychłym ślubie, dlatego też narzeczeństwo będzie trwać zaledwie pół roku i pobiorą się na wiosnę. Na tym ślubie będę pierwszą druhną, zaś brat panny młodej, przyjaciel najpierwszy pana młodego, pierwszym drużbą. Trzeba mieć nadzieję, że jest to szczęśliwy omen!*

*Grudzień roku pańskiego 1806*

*Jutro wyjeżdżamy z Konstancją do Warszawy. Trzeba skompletować wyprawę panny młodej. Eskortować nas będzie pan Maksymian, który w mieście ma do załatwienia jakieś ważne sprawy. Przyzwoitką będzie młoda pani Śliwińska. Mąż zgodził się ją puścić na tydzień. Konstancja musi zakupić suknię ślubną, inne stroje, których jako panna nosić nie mogła, bieliznę dzienną i nocną. Poza tym obrusy, serwety, ręczniki i pościel – a wszystko to z wyhaftowanymi inicjałami KN*

*czyli Konstancja Niedziałkowska i WN czyli Walery Niedziałkowski. Inicjały te mają być otoczone wieńcem z kwiatów. Konstancja wybrała stokrotki, bo jej narzeczony powiedział, iż mu przypomina stokrotkę. Wszystko to mają siostry w klasztorze wyhaftować. A nawet zaprojektować tak, żeby się pannie podobało. Jestem bardzo podniecona, bo nigdy wcześniej nie byłam w naszej starej stolicy. W związku z wyjazdem dostałyśmy zaproszenie na bal w Pałacu Błękitnym. Och, nie mogę się już doczekać!*

Pani Konstancja Niedziałkowska. Hmm... Nawet pasuje. Same śluby. W pamiętniku śluby, naokoło mnie śluby... Życie jest dziwne...

*W Warszawie same niespodzianki. Jak przybyliśmy, to zaraz do naszych uszu dotarła wieść, że cesarz armię pruską w dwu bitwach rozgromił w październiku, zdobył Berlin i wybiera się do Warszawy. Da Bóg, choć z daleka będę mogła popatrzeć na naszego oswobodziciela! Dziś idziemy do klasztoru zamawiać haftowaną wyprawę. Konstancja zdecydowała się na dwa tuziny pościeli z batystu haftowanego w stokrotki, zdobionej na środku inicjałami i herbem. Dla pośledniejszych domowników pościeli płóciennej cztery tuziny zamówiła. Płótno ma być pierwszego gatunku, ale bez haftu, tylko herbem sygnowane, następnie...*

Jezu! Cztery strony wyliczeń. Ciekawe, czy przy omawianiu własnej wyprawy opisze również nocniki!

*Nie żyłam nadaremno! Dziś na balu spełniły się wszystkie moje oczekiwania, a nawet zdarzyło się to, o czym nawet nie śmiałam marzyć. Na balu nie dość, że widziałam cesarza w otoczeniu naszych najznamienitszych panów i pań, to jeszcze zamienił ze mną i Konstancją kilka słów. Dzięki Bogu za intensywną naukę języka francuskiego podczas pobytu u księżnej jenerałowej. Poza tym pan Maksymian raczył zatańczyć ze mną aż dwa tańce! Jestem najszczęśliwszą młodą panną na świecie!*

Bez komentarza.

W sobotę obudziłam się zaniepokojona. Coś było nie tak, jak należało. Wiedziałam oczywiście, że w domu mam imprezę i w związku z tym będzie sporo pracy, ale to mnie niezbyt obchodziło. Jako tymczasowy inwalida byłam zwolniona z wszystkich obowiązków domowych. Sprzątaniem dzień wcześniej zajął się Paweł, a żarcie mieli przynieść goście. Pozostało mi więc tylko przyjemne oczekiwanie. Ale obudziłam się, bo coś było nie w porządku i nie umiałam sobie racjonalnie wyjaśnić co. Leżałam sama, moje kochanie poszło się czegoś napić. Po chwili Paweł wrócił do łóżka, położył się, wyciągnął tę swoją wielgachną łapę i przysunął mnie nią do siebie. Łapa oczywiście pozostała w okolicach mojego pasa. Nie przeszkadzało mi to, zdążyłam się już przyzwyczaić. Zaraz też włądował swoje kolano pomiędzy moje nogi i nosem potarł mój kark. W chwilę potem zasnęłam. Cokolwiek to było, przestało mi przeszkadzać.

Obudziłam się około dziesiątej. Poprosiłam Pawełka o rogalika i herbatkę, a sama otworzyłam *Pierwsze prawo magii*. Na razie miałam dość pamiętnika. Agneta niemiłosiernie nudziła, wymieniając i opisując każdą ściereczkę, ręcznik, poszwę i inne szmaty z wyprawy Konstancji. Kiedy nie opisywała zakupów i haftów, zachwycała się Maksymianem. I tak przez dwadzieścia stron. Zwariować można. Wzięłam więc coś lekkiego do poczytania, bo Goodkind przynajmniej nie nudził.

W tym momencie zatęskniłam za księgarnią. Oczywiście mogłam wysłać Pawła lub pogrzebać w Internecie, ale to nie to samo, kiedy człowiek ogląda książki osobiście, sunie palcem po grzbietach, otwiera, kartkuje, wdycha zapach świeżej farby drukarskiej i papieru. Po prostu rozkosz! Obiecałam sobie, że gdy tylko pozbędę się gipsowego bucika, pójdę na zakupy do największej księgarni we Wrocławiu! W końcu pracuję, więc coś mi się od życia należy, prawda?

Bezczynność też zaczęła mnie nudzić. Można tak dzień, dwa, ale po tygodniu leżenia w łóżku z przyjemnością poszłabym na uniwersytet popatrzeć, jak bliźniacy dręczą jakiegoś wykładowcę, albo do pracy dowiedzieć się, co nowego wymyślili moi uczniowie. Posłuchać ploteczek w pokoju nauczycielskim też byłoby fajnie. Aczkolwiek nie doszłam jeszcze do stanu, w którym z radości, że nie muszę już leżeć, pocałowałabym moją panią dyrektor! Zagłębiłam się wobec tego w przygodę głównego bohatera, który uciekał przed zabójcami i przy okazji oglądał trochę świata.

Prawdę powiedziawszy, sama też bym pooglądała. Jak już kiedyś wyjdę za mąż, to zamiast robić wesele, za tę kasę pojedziemy sobie do Meksyku zobaczyć piramidy Majów. Jukatan jest fascynującym miejscem do zwiedzania. Te wszystkie ruiny ukryte w dżungli, cenoty i przede wszystkim błękitne wody oraz biały piasek plaż Morza Karaibskiego. Czegoż można chcieć więcej? Ale to dopiero w jakieś dwa tygodnie po ślubie. Jak znam życie, gdybym z nowo poślubionym mężem pojechała wcześniej, to dokładnie obejrzałabym tylko sufit w pokoju hotelowym! Lub ewentualnie poszewki.

Moje wakacyjno-muzealne rozważania przerwała Em, która wpadła z żarciem. Chciała też pomóc Pawełkowi, zwłaszcza że ja byłam unieruchomiona, na jego wyraźne żądanie. Jej Rafał miał przyjść sam na część właściwą imprezy. Oczywiście przygotowując wszystkie półmiski, chłodząc piwo i pomagając mi się ubrać oraz zrobić na bóstwo, dzieliła się kolejnymi małymi sensacjami. Najważniejsze jednak, jak zaznaczyła, zostawiła na wieczór.

Wieczór nadszedł nadspodziewanie szybko. Kiedy poznałam Rafała, przeżyłam szok. Spodziewałam się kogoś w stylu „burdy, baby i bzykanie”, a zobaczyłam dość proporcjonalnie zbudowanego, krótko ściętego faceta w okularkach i pod krawatem. Na dodatek kojarzyłam go z męskiej imprezy w pubie. Najlepszy kumpel Pawła. Jaki ten świat mały! Na dzień dobry dostałam od niego bukiet róż. Osłupiała odprowadziłam go wzrokiem; obawiałam się, że w naszym zakręconym towarzystwie nie będzie się dobrze bawił. Jak się potem okazało, niepotrzebnie.

Nie zdziwiło mnie nawet wyszeptane zwierzenie Em, że oni jeszcze nic, bo Rafał chce ją lepiej poznać. Jeśli chodzi o Rafała, uważa, że wnosi powiew stabilizacji w jej egzystencję, no i czuje się temperowana, co nigdy wcześniej nie



miało miejsca. Nie wiem, ale wygląda mi to bardzo, ale to bardzo poważnie!

Na imprezie zostałam otoczona przez bliźniaków. Dosłownie. Stwierdzili, że muszę tak siedzieć, by dokonać dzieła godnego pokazania wnukom. A przynajmniej uwiecznienia przez aparat cyfrowy. Byli rzeczywiście przygotowani – przynieśli farby olejne i od razu zabrali się do dzieła. Po chwili mój brudny gips przypominał ładną abstrakcję.

– Co to jest? – zapytałam, a Wacek (lub Ksysiu) z oburzeniem zawołał:

– Jak to co? Motylek na kwiatku!

– Słoneczniku konkretnie – dokończył z taką samą pretensją w głosie drugi bliźniak.

Faktycznie, były tam jakieś bliżej nieokreślone żółte plamy. Po dokonaniu dzieła i umyciu pędzli oraz rąk wyrzucili Em z miejsca, które zajmowała obok mnie i rozpoczęli:

– Chcesz usłyszeć plotkę stulecia?

– No jasne.

Oczy im się świeciły, w związku z czym chyba było warto.

– Aśka Karpacka chce wstąpić do policji.

– Konkretnie do wydziału kryminalnego.

Zakrztusiłam się herbatką i zaczęłam kaszleć. Obaj bliźniacy usłużnie zaczęli walić mnie po plecach. Każdy ze swojej strony.

– Przecież ona się nie nadaje – orzekłam po zaczerpnięciu oddechu. – Słabizn i półinteligentów nie przyjmują. Poza tym... co jej nagle odbiło?

– No ma swojego nieletniego na utrzymaniu, a słyszała że w kryminalnych miesięcznie zarabiają pięć tysięcy.

Pokręciłam tylko głową. Na głupotę niektórych nie ma ratunku.

– Poza tym zrobiła sobie taki test z Internetu i wyszło jej, że się zakwalifikuje.

– A jak przejdzie testy sprawnościowe? Kupi sobie specjalny różowy dres i do tego adidasów na obcasiku? Wrażenie murowane – ironizowałam dalej. – Wszyscy faceci padną na kolana, jak tylko ją zobaczą! Niektórzy wskutek wstrząsu mogą nawet trafić na oddział psychiatryczny w charakterze czubków!

– A jak już wszystkich rozłoży na łopatki, to będzie się uczyć strzelać. – Em postanowiła wtrącić trzy grosze. – Aśka z kałachem.

– No co ty! – Wacuś (lub Ksysiu) podniósł protest. – Nasi gliniarze nie są na tyle głupi, by jej dobrowolnie dawać broń do ręki. Po ćwiczeniach w strzelaniu połowa kandydatów znalazłaby się w kostnicy, a druga połowa na intensywnej terapii.

– A jako pierwszy ten nieszczęsny instruktor. Na zawał! – dodał i uściślił Ksysiu (chyba).

– Chciałabym być muchą na ścianie, gdy ona będzie się przyjmować –

westchnęłam.

– A ja chciałbym mieć minikamerę, nagrać i puszczać za opłatą w Internecie – oświadczył Adaś.

– Niestety, szanse na to były takie jak na to, że Kreda przestanie się ukrywać ze skłonnościami i oświadczy się Rozwianemu na środku auli, prosząc Radę Wydziału o błogosławieństwo! – zakończyła radosny wątek Ewa.

Towarzystwo tym razem ryknęło głośnym śmiechem, zapewne wyobrażając sobie tę scenę...

Następny tydzień szybko minął. Przeczytałam Goodkinda, przeczytałam najnowszego Cusslera, napisałam dwa testy dla trzeciej gimnazjum i pracę na historię Polski po 1945. Z powodu mojego pecha nie pojechaliśmy do Lubicy, opóźniliśmy wyjazd do całkowitego wyleczenia mojej nogi. I niestety robotnicy zaczęli już wszystko wynosić ze strychu. Nie mogli dłużej czekać. Ale mój pan obiecał solennie, że wszystkie papiery wpadną w moje ręce.

A ja zaczęłam mieć serdecznie dość leżenia. W końcu chciałam trochę pochodzić, a nie tylko wylegiwać się na kozetce i wyczekiwać na pojawienie się jakiegokolwiek przyjaznej duszy, która zechciałaby ze mną porozmawiać. Wizyt siostry nie liczę, bo zazwyczaj nie wpada z pozytywnymi nowinami. Dziś na przykład ubawiona przyniosła kolejny monit z mojego byłego banku. Zaczęłam brzydko kłąć, co natychmiast sprowadziło Pawła do sypialni z pytaniem, co się dzieje.

– Pięćdziesiąt złotych z tytułu opłaty za kartę. Opłatę muszę uiścić pod groźbą wezwania do sądu, wezwania komornika, licytacji majątku, a może i oddania własnego ciała oraz krwi.

– Zostawiłaś sobie kartę? – zdziwił się.

– Oddałam w czerwcu!!! – ryknęłam, po czym walnęłam głową o sofę.

Nie zamierzałam już więcej fatygować się do oddziału, tylko zażądałam, by Paweł podał mi telefon. Chciałam zakończyć tę sprawę raz na zawsze. Po wysłuchaniu półgodzinnej litanii o fascynującej treści „Wszyscy nasi konsultanci są zajęci”, która, nawiasem mówiąc, zżarła większość środków na mojej karcie, w końcu dorwałam jakiegoś konsultanta.

Konsultant nie wie, nie rozumie, musi być jakiś błąd w systemie, oczywiście nie muszę płacić, on bardzo przeprasza i postara się załatwić tę sprawę.

Tylko dlaczego miałam przecucie, że to jeszcze nie koniec?

Dalej męczyłam pamiętnik, lecz poza liczbą sztuk pościeli z inicjałami przyszłych Niedziałkowskich nie znalazłam nic godnego uwagi. No i żadnego nowego trupa. A Agneta doszła już do kwietnia 1807 roku. Dalej czekała na matkę i kolejne oświadczyń. Musiała być całkiem ładna, bo od grudnia oświadczyło jej

się pięciu facetów, niezważających na brak posagu! A przecież w tamtych czasach to była podstawa przy zawieraniu małżeństw. Niestety ten jedyny ciągle się nie zdeklarował. Być może wzór wszelkich cnót, czyli Maksymian Gnostkowski, chciał panny z kasą. Bywa.

Pomimo wygojenia nogi nie spieszyło mi się też do opuszczenia gniazdka Pawła i powrotu na swoje śmieci. Brak wymagającej siostry oraz matki zdecydowanie służył moim nerwom, a teraz, kiedy moje kochanie nie wspominało dłużej o ślubie, mogłam z nim mieszkać. Nawet żyło nam się całkiem, całkiem... Były widoczne plusy całej tej sytuacji. Oczywiście nie oznacza to, że uwolniłam się na stałe od mojej rodzinie. Matka wpadała co drugi dzień sprawdzać, jak radzi sobie jej dziecina, i zapytać, kiedy łaskawie wróci do domu. A Andria wpadała, bo jej się nudziło, a poza tym matka usiłowała obdarzyć ją dodatkowymi obowiązkami, w związku z czym profilaktycznie wolała przebywać u mnie. Paweł mojego braku entuzjazmu do przeprowadzki do mieszkania rodziców nie skomentował. Tylko chodził w podejrzenie dobrym humorem!

Mimo wszystko byłam tak znudzona, że do pracy poszłam z przysłowiową pieśnią na ustach. Zaskoczyło mnie tylko to, że uczniowie przywitali brawami moją kuśtykającą jeszcze osobę. Co spowodowało taką reakcję, nie wiem, może mieli na zastępstwach dużo chemii? Na przerwie usiadłam sobie wygodnie w pokoju nauczycielskim (lekarz nie pozwolił mi przeciążać nogi, więc dyrekcja musiała dać zastępstwa na moich dyżurach) i wsłuchiwałam się w ploteczki moich koleżanek, na temat uczniów i nie tylko. Małe sensacje również się zdarzały. Dziś na przykład w czasie mojego okienka do pokoju wpadła ładnie już zaokrąglona z powodu ciąży polonistka Madzia.

– Mamy kontrolę sanepidu i dyra szaleje przy kantorku wuefistów! – zawołała od progu.

Informacja spowodowała natychmiastowe wyludnienie się pokoju nauczycielskiego. Ja też przy pomocy Bernadki ruszyłam w kierunku sal gimnastycznych. Już od korytarza dolatywały mnie wrzaski dyrektorki.

– Panie Zbysiu, proszę to naprawić. Ale natychmiast!

Kiedy zerknęłam zza rogu, zobaczyłam, jak nasza naczelną sięga w stronę klamki. Obok niej stała jakaś obca kobieta. Pewnie z sanepidu. Natomiast wuefista Romek zasłaniał sobą drzwi.

– Proszę nie otwierać tych drzwi, pani dyrektor – prosił.

– Muszę skontrolować stan prysznicy – orzekła dyrekcja.

– Kiedy od dwudziestu lat nie działają, nigdy ich nikt nie kontrolował.

Romek bezskutecznie usiłował odciągnąć zwierzchniczkę od drzwi. Baba jednak się uparła, a my z zapartym tchem czekaliśmy na ciąg dalszy. Roman w końcu odsunął się, a dyrektorka chwyciła za klamkę i nacisnęła. Drzwi otworzyły się z lekkim zgrzytem, a Romek wycofał się w naszym kierunku.

I wtedy z pomieszczenia kolejno wypadły stare piłki do kosza, kilkanaście metrów grubego sznura i dwie miotły. Jedna z nich centralnie na dyrekcję. Pani z sanepidu zdążyła odskoczyć.

– Przecież ostrzegałem – mruknął Romek.

– Wow. Wiedźma wezwała latającą miotłę – wyszeptała Madzia.

Reszta z nas zachichotała cicho. Miotła była opatulona pajęczynami, z których część obecnie znajdowała się we włosach zwierzchniczki.

– Panie Zbysiu! – ryknęła. – Co to, do kurwy nędzy, ma być?

Pan Zbysiu tylko podrapał się po wystającym brzuchu.

– A nie widać? Przecie graciarnia.

Dyrektorka w geście bezsilności przesunęła ręką po włosach, zgarniając po drodze trochę pajęczyn. Jej mina wyrażała totalne obrzydzenie.

Pani z sanepidu natomiast spytała, wskazując na jakiś punkt w graciarni.

– A ja jestem ciekawa, co to jest?

Dyrektorka zzieleniała. Pan Zbysiu chrząknął, wziął szufelkę i coś na nią władował.

– To ja już mam pełny obraz sytuacji – stwierdziła kontrolująca i ruszyła w naszym kierunku, zmierzając do sekretariatu. Za nią szedł pan Zbysiu, niosąc na szufelce zmumifikowane zwłoki szczura. Dyrekcja z wściekłą miną dalej wpatrywała się w graciarnię.

Postanowiliśmy ewakuować się do pokoju nauczycielskiego, zanim nas zauważy. Żadne z nas nie zamierzało teraz stawiać czoła rozjuszonej furii.

Do domu wracałam usatysfakcjonowana, ponieważ dyrektorka (no dobra, szkoła, ale w jej osobie) została ukarana mandatem w wysokości pięciu tysięcy złotych. Byłby to cudowny dzień, gdyby nie jedno głupie zdarzenie. Gdy zanosłam zwolnienie lekarskie do sekretariatu, zostałam zaczepiona przez jakiegoś młodocianego dupka i poklepana po tyłku. Smarkacz wziął mnie za uczennicę! Ale nawet to w żadnej mierze nie usprawiedliwia tego typu wyczynów! Na moje stanowcze żądanie, żeby podał klasę i nazwisko, zaśmiał mi się w nos. Dopiero później okazało się, że był to szanowny jedynak pani dyrektor, a nasz ubiegłoroczny absolwent. A więc jednak nie stara panna... Nie wiem, czy jakikolwiek facet wytrzymałby z nią dłużej niż miesiąc, ale przynajmniej zdążyła zostać matką.

Dowiedziałam się, że podobne zachowania wobec uczennic były w wypadku synalka dyry na porządku dziennym. W stosunku do nauczycieli jednak sobie nie pozwalał. Oczywiście szanowna mamusia puszczała skargi mimo uszu. Jej dziecko przecież było doskonałe!

Do siebie, czyli do mieszkania Pawła, wracałam z poczuciem ulgi, dobrze

wykonanego obowiązku i czymś jeszcze. Tego czegoś nie umiałam wyjaśnić. Nie zastanawiałam się nad tym, bo na schodach czekało moje młodsze rodzeństwo. Czułam, że zwiastuje to kłopoty. Postanowiłam jednak się upewnić.

– Jak długo tu czekasz? – spytałam po standardowych powitaniach, otwierając drzwi mieszkania.

– Niedługo.

Andria ściągnęła plecak oraz kurtkę, zzuła buty i wpakowała się do saloniku.

Niedobrze. Skoro dla nastolatki pół godziny to niedługo... Przeczucie, że jej przybycie zwiastuje kłopoty, nasiliło się.

– Wal!

Lepiej usłyszeć wszystko teraz i mieć to z głowy, pomyślałam, siadając na kanapie.

– Co? – Andria wygodniej rozwalila się w moim ulubionym fotelu i zrobiła duże mokre oczy.

– Nie zgrywaj niewiniątka! Co spaskudziłaś?

– Ja? Nic!

– Andria!

Moja siostra najwyraźniej miała mnie za idiotkę. Co prawda od pewnego czasu wyraźnie nie byłam sobą, ale to nie znaczy, że nagle spadł mi poziom inteligencji!

– Ojej! No jak ty się przyczepisz! – Zaczęła nerwowo splatać i rozplatać dłonie. Aha, pomyślałam. Coś poważnego! – Widzisz, jest taka sprawa. Dwa miesiące temu na historii nam zadali...

– Ja zadań za ciebie, kotku, robić nie zamierzam – przerwałam jej. – Za lenistwo trzeba zapłacić, siedź teraz i rób.

– Kiedy nie mogę. – Andria dalej nerwowo przebierała palcami.

– Dlaczego nie możesz? Ful książek historycznych mamy w domu. Możesz skorzystać. Nie będę protestować. A nawet ci to zadanie albo referat sprawdzę, czy byków nie narobiłaś – zaproponowałam łaskawie.

Andria pomyślała chwilę i oświadczyła ponuro:

– To nie wystarczy.

– Dlaczego nie wystarczy? – zdziwiłam się.

– Bo muszę pojechać do jakiegoś pieprzonego zamku w okolicy, zrobić parę zdjęć i opisać jego dzieje. I niestety nie mogę ściągnąć tych zdjęć z Internetu, bo nasza historyczka stwierdziła, że potraktuje to jak plagiat i da jedynekę. Pomyślałam sobie, że może już tam byłaś i masz jakieś zdjęcia. Mogłabyś je też w ramach siostrzanej miłości udostępnić.

W zasadzie byłam przeciwna takim objawom siostrzanej miłości, ale niech smarkata coś ma z mojego fioła.

– Na kiedy ci to potrzebne? – zainteresowałam się. – I kiedy wam to zadali?

– Dwa miesiące temu – wymamrotała. – A potrzebuję na ten piątek.

Dwa miesiące. No ładnie! Ale mamusia smarkatej pilnuje. A ta cały czas ściemnia, że się uczy.

– Jaki to zamek?

– Uraz – natychmiast podała moja siostra.

– No to masz pecha, słonko. Jeszcze mnie tam nie było. Żadnych zdjęć nie mam. Tylko książkę o zamkach na Dolnym Śląsku, na podstawie której możesz napisać część teoretyczną.

– A może byś się chciała przejechać? – Andria wbiła we mnie błagalnie oczęta.

– Kiedy? – zastanowiłam się.

– Dzisiaj – zaproponowała.

– Czyś ty, dziecko, oszalała? – zaprotestowałam. – To teren prywatny, z tego co się orientuję. Można tylko z zewnątrz zobaczyć.

Dla mnie oglądanie murów z daleka było bez sensu i Andria o tym wiedziała.

– Jakoś da się wejść do środka. Będzie z dreszczykiem. Przyjdzie Paweł, pojedziemy, a ty kolejny zamek zaliczysz – kusiła.

Pomysł był nawet niezły... lecz, niestety...

– Paweł dzisiaj do późna pracuje. Z twojego planu nici.

Postanowiłam być twarda.

– To może ktoś inny nas zawiezie, jakiś twój znajomy z samochodem. To niedaleko, a dopiero czwarta – próbowała dalej. – Bądź miłosierna dla grzeszników.

Nauczyciel walczył we mnie z pasjonatem. Pasjonat, ku mojemu zawstydzeniu, wygrał. Podniosłam komórkę i wykręciłam numer Emilki.

– Czego? – usłyszałam jej głos i męski pomruk w tle. Chyba w czymś przeszkodziłam.

– Ratunku.

Zdałam się na jej miękkie serce i wyjaśniłam pokrótce, w czym problem.

Emilka postanowiła mi pomóc, a zawieźć miał nas wszystkie Rafał. Gdy podjechał pod blok Pawła, miał bardzo nieprzyjemną minę, bo chyba przeszkodziłyśmy w czymś poważnym. Emilka natomiast, usiłując okiełznać loki, prezentowała przez szybę dwie latarki. Ona też lubiła ruiny, więc niech się Rafał przyzwyczaja!

Godzinę później byliśmy na miejscu; na szczęście było jeszcze jasno. Po tym, jak kolejno precyzyjnie się przez dziurę pod siatką, wraz z Emilką zabrałyśmy się do myskowania po ruinach, a uszczęśliwiona Andria pstrykała zdjęcia z aparatu cyfrowego Pawła z szybkością karabinu maszynowego. Tylko Rafał trochę narzekał, że wskutek czołgania się po ziemi pobrudził sobie jasne

spodnie. Pokręciłam głową. Kiedy Paweł jechał ze mną do jakiegoś zamku, już wiedział, jak ma się ubrać. Z drugiej strony, Rafał jechał przecież prosto od Emilki, skąd mógł wiedzieć, że jego randka skończy się zbiorowym wypadem za Wrocław i ćwiczeniami polowymi?

Po przejściu całości skonstatowałam, że zostały nam tylko piwnice. Droga do nich stała otworem, więc zaopatrzeni w latarki zeszliśmy na dół. Byłam w trakcie szperania w najodleglejszym kącie piwnic, gdy Andria nagle wydała z siebie mrozący krew w żyłach krzyk, a następnie wypadła na zewnątrz. Rafał spojrział tęsknie w kierunku wyjścia i oświadczył, że pójdzie sprawdzić, co się stało. Po chwili usłyszałyśmy z Emilką jego donośny głos, oznajmiający, że w piwnicach jest mysz. Emilka kochała lochy, ale potwornie bała się myszy, więc piszcząc przeraźliwie, rzuciła się w kierunku wyjścia. I tego chyba tylko brakowało kamieniom, z których zbudowany był zamek. Wytrzymały liczne oblężenia, pożary i inne tego typu średniowieczne atrakcje, a zmogły je piski przerażonych możliwością spotkania straszliwego gryzonia dziewczyn. Najpierw ze stropu przy schodach zaczął się sypać kurz. Lekko wystraszona, rzuciłam się w ich kierunku, ale było już za późno. Miałam za daleko, bo nim doleciałam do wyjścia, musiałam szybko wycofywać się w głąb piwnicy, ponieważ w ślad za kurzem pojawiły się kamienie. Zobaczyłam przed oczami całe moje życie i w ciągu kilku sekund, które wydawały mi się wiecznością, zdążyłam dokonać pewnych przewartościowań.

Gdy skończył się sypać gruz i kurz, zza ściany kamieni usłyszałam płacz dziewczyn. Rafał drżącym głosem próbował je zapewnić, że jeszcze żyję. Ja nie byłam tego taka pewna. W ciemnym tunelu widziałam blask światła. Czyżbym umarła?

– Julia! – wśród chlipnięć usłyszałam wołającą mnie siostrę.

To nie tunel umarłaków, tylko słońce wpadało wprost przez małą dziurę w usypisku kamieni.

– Co? – odpowiedziałam. – Przestań beczeć, nie wybieram się jeszcze na tamten świat. Musicie mnie odgrzebać – zarządziłam, odzyskując zimną krew.

– Trzeba zadzwonić po straż pożarną, policję i karetkę pogotowia – stwierdził Rafał.

– Po co? – zdziwiłam się. – Musicie tylko usunąć te kamienie, żeby powiększyć dziurę, która tam została. Jak będzie większa, to się przez nią przecisnę, bo na razie mogę wsunąć tylko rękę.

Zrobiłam to i zaczęłam im machać.

– To niebezpieczne – osądził Rafał. – Może się osunąć jeszcze bardziej i pogrzebać cię żywcem.

– E tam – zbagatelizowałam. – Jakby miało mnie zasypać, to już by zasypało. A ja jestem cała. A poza tym... jak by mnie wyciągała policja i straż? Po atomie przez szczeliny? Też musieliby rozbierać tę ścianę.

– Ale sprzęt mają – Rafał się wahał.

– Mają wielkie G, nie sprzęt – oświadczyłam. – Poza tym musielibyśmy się tłumaczyć z wtargnięcia na teren prywatny. Zamek zamknięty dla zwiedzających, weszliśmy na chama, a potem jeszcze narobiliśmy bałaganu. Pozwu chcesz?

Chwila ciszy.

– Dobra – zdecydował. – Dziewczyny, do dzieła. Powiększamy tę dziurę.

Patrząc na zwały kamieni, pomyślałam, że ze trzy godziny to potrwa. Nawet nie chciałam wiedzieć, jak się wytłumaczę Pawłowi z późnego powrotu do domu. I rodzicom z równie późnego powrotu Andrii. Popatrzyłam na moją komórkę. O dziwo, miała zasięg. Zadzwoiłam do matki i wytłumaczyłam jej, że Andria pod moją opieką odrabia zadanie domowe z historii. I nie wróci na noc do domu, bo dużo jeszcze tego zostało. Poniekąd mówiłam prawdę.

Teraz został mi Paweł, który pewnie wrócił już do domu. A może nie? Na wszelki wypadek zadzwoniłam na komórkę. Gdy odebrał, szybko wytłumaczyłam, że robimy z siostrą pewien projekcik i coś nas zatrzymało, więc wrócimy późno. Nie dałam mu dojść do słowa, tylko przerwałam połączenie. Przez moje bankowe perypetie miałam na karcie resztki kasy, a Paweł przez telefon lubi sobie poplotkować. Teraz mnie na to zdecydowanie nie stać. Nosząc kamienie, zaczęłam tłumaczyć Rafałowi, żeby pozostawić Pawła w błogiej nieświadomości co do wydarzeń dzisiejszego popołudnia. Po półgodzinie tłumaczeń, próśb i gróźb w końcu wymusiłam na nim złożenie obietnicy, że nic Pawłowi nie powie. Odetchnęłam z ulgą. Bałam się pomyśleć, co by było, gdyby moje kochanie dowiedziało się o tej małej przygodzie. Podzieliłam się tym przypuszczeniem z Emilką. Odpowiedział mi jej nerwowy chichot, potwierdzający moje przypuszczenia, i sapanie Rafała.

Zdążyło się już ściemnić, gdy dziura była na tyle duża, że mogłam zacząć się przeciskać. Silne męskie ręce pomogły mi pokonać ostatnie centymetry i stanąć na nogi. Już miałam podziękować Rafałowi, gdy poczułam mocne uderzenie w pośladek.

– Au! – wrzasnęłam. – Wypraszam sobie.

Dalsze słowa utknęły mi w gardle, bo właśnie zorientowałam się, że patrzę prosto w rozwścieczone oczy Pawła.

– Nie odzywaj się, bo ręce jeszcze mnie świerzbią, by ci coś wlać na tyłek, głupia babo – warknął.

– Jak długo? – spojrzałam na Emilkę.

– Zdążył usłyszeć, jak namawiasz Rafała, by obiecał mu nic nie mówić. Rafał od razu do niego dzwonił.

– Bez konsultacji ze mną? Niech ja dorwę tego...

Na razie musiałam pohamować moje mordercze instynkty, powstrzymana przez Pawła. Zostałam przerzucona przez ramię i w ten sposób zanieciona do



samochodu.

– Pojawił się już w pół godziny po wypadku.

No to chyba musiał jechać przez te dziurawe drogi sto pięćdziesiąt na godzinę. Cud, że to przeżył.

Po wywleczeniu z terenu zamku zostałam zawieziona przez wściekłego pana i władcę na najbliższy ostry dyżur. Moje zapewnienia, że nic mi nie jest jeszcze bardziej go zirytowały. Chciał się przekonać, czy to prawda, i musiał mu to zaświadczyć specjalista. A ja miałam się zamknąć!

Zostałam zbadana przez pięciu lekarzy. Chwilę później trochę spokojniejszy już Paweł podejrzanie spokojnym głosem oświadczył mi, że skróciłam jego życie o dwadzieścia lat.

– A co z moim życiem? Może potrzebne mi teraz męskie pocieszenie?

Usiłowałam wyjść z całej sytuacji obronną ręką. Zostawił to bez komentarza. W ten sposób rozpoczęły się nasze ciche dni. A właściwie półtora dnia. Potem potrzeby zwyciężyły. I dobrze!

Dość szybko wpadłam z powrotem w kołowrót praca – studia – Paweł. Moje działania zmierzające do wybicia mu pośpiesznego ślubu z głowy spełzły na niczym. Z przeprowadzką poczekałam do swoich urodzin, które spędziliśmy we dwoje. Paweł przygotował kolację przy świecach, potem dostałam kolczyki z bursztynami, a na koniec zrobił mi masaż.

Dzień później zadzwoniła Kasia z wiadomością, że urodziła zdrową córeczkę – Basię. Poszło szybko i bez komplikacji. Wraz z Emilką zaczęłyśmy myszkować w Smyku, szukając odpowiedniego prezentu dla małej. Podczas odwiedzin u Kasi usłyszałyśmy kolejne rewelacje na temat jej byłego. Jedną z jej przyjaciółek w Londynie pracowała z *dziewczyną* Andrzeja. To znaczy, nie wiedziała, że chodzi o byłego Kasi, póki nie zobaczyła ich razem. Wcześniej tylko słyszała o chłopaku Joli – koleżanki z pracy, któremu pół roku wcześniej udało się wyjść z toksycznego związku. Biedaczek miał taką nachalną dziewczynę, że aż zdecydowali się wyjechać za granicę.

– Wyobraźcie sobie, że drań jeden zaczął kręcić z tą Jolą już miesiąc po tym, jak dowiedziałam się, że jestem w ciąży. A obecnie jest na jej utrzymaniu, bo z powodu nieznamości języka sam nie umie sobie znaleźć pracy. Najpierw pasożytował na mnie, a teraz sobie znalazł kolejną łatwowierną.

– Zamierzasz coś zrobić? – Umierałam z ciekawości. Ta zniewaga krwi wymaga.

– Już zrobiłam. Wysłałam kumpeli moje zdjęcie z Basią, z prośbą, by zaprezentowała moją kochaną toksyczność jego dziewczynie. Podobno laska mnie kojarzy z wyglądu. I dodała przy prezentacji odpowiedni komentarz.

Miałam szczerą nadzieję, że to pogrąży pana Andrzeja w jego nowym, uporządkowanym świecie.

Na święta wielkanocne wróciłam już do własnego domu. Kiedy odwoził mnie do domu rodziców, stwierdził, że będzie mu brakować moich wyskoków. Powiedział, że się z nich cieszył, bo nie było nudno, a poza tym nie starałabym się tak bardzo, gdyby mi na nim w ogóle nie zależało. Raczej posłałabym go od razu do diabła. Pożegnał się niechętnie i tylko zapowiedział moim rodzicom, że planujemy się wybrać na długi weekend majowy do Lubicy. A ja odliczałam dni do naszego następnego spotkania i szybko stwierdziłam, że za nim tęsknię. To było we wtorek. Dwa tygodnie później w środę doszło do wielkiej afery w pracy, co spowodowało, że chwilowo zapomniałam o swoich problemach z konkretnym mężczyzną.

Dzień rozpoczął się całkiem niewinnie. Druga połowa kwietnia i ciepła pogoda inspirowały moich uczniów do wyjątkowego lenistwa w sprawach ważnych i niespotykanej inwencji twórczej w sprawach niepoważnych. Tego dnia w pracy zostałam przywitana przez krzesło, które wypadło z trzeciego piętra i wylądowało dziesięć centymetrów ode mnie, zszokowanej możliwością kolejnego nagłego zejścia z tego świata. Później się okazało, że to klasa druga nudziła się na religii, więc zaczęła bawić się w „kto wyrzuci przez okno najbardziej niezwykle przedmiot”. Po piórnikach i plecakach oraz drugich śniadaniach przyszła pora na krzesło. Uczeń miał krzepę, bo przeleciało przez trawnik i wylądowało na ulicy, przy okazji omal mnie nie zabijając. Uczeń był bardzo skruszony i podczas krótkiej rozmowy w kantorku zapewniał, że wcale nie celował we mnie. Po prostu nie znał swoich możliwości. Dobrze, że nie wyrzucił ławki! Muszę jednak przyznać, że nie współczuję księdzu!

Po wyjaśnieniu sprawy z Michałem, którego dosyć lubię, przechodziłam korytarzem, kierując się w stronę koleżanki, sterczącej na dyżurze i odpakowywującej kanapkę. Nim do niej doszłam, usłyszałam komentarz ucznia klasy III d. „A dupa rośnie...” Zatrzymałam się w miejscu, a moja koleżanka znieruchomiała z kanapką między zębami, zszokowana. Uczeń, widząc, że posunął się za daleko, wymamrotał tylko: „ale to nie było do pani, tylko do niej” i wskazał na najbliższą spożywającą śniadanie koleżankę. Na jego nieszczęście chyba najchudsza dziewczynę na korytarzu. I zwiął. Podeszłam do Grażynki, która wzięła kęs kanapki i po przełknięciu powiedziała:

– Zapisuję się na aerobik.

Popatrzyłam na siebie, na nią, znów na siebie i skomentowałam w jedyny dostępny mi w tym momencie sposób:

– Przechodzę na dietę. – Po czym uściśliłam: – Nigdy już nie zjem niczego na dyżurze.

Zadzwoił dzwonek na lekcję. Grażynka przełknęła ostatni kawałek kanapki i zakończyła:

– Mam to w moim rosnącym...

Kiedy prowadziłam lekcję na temat powstania I Rzeszy, usłyszałam zza ściany dziki wrzask. Postanowiłam go zignorować i dalej tłumaczyłam dzieciakom niuanse polityki Ottona I. Gdy po raz trzeci z powodu hałasu dobiegającego zza moich pleców straciłam wątek, stwierdziłam, że interwencja jest konieczna. Kazałam dzieciakom pisemnie wyjaśnić, jak rozumieją ideę monarchii uniwersalnej, i poszłam do klasy obok zrobić awanturę. Byłam pewna, że dzieciaki siedzą same i stąd ten hałas. Pomyliłam się. Pilnował ich biolog, Mareczek, i usiłował wprowadzić jako taki porządek. Kiedy wkroczyłam, popatrzył na mnie z rozpaczą w oczach.

– Albo za chwilę będę miał kosz na głowie, albo przywalę któremuś w mordę – oświadczył poważnie. – Tyle razy tłumaczyłem dyrekcji, by nie dawała mi zastępstw w klasach, w których nie uczę...

Nie skomentowałam, tylko patrzyłam na rozgrywające się przed moimi oczami widowisko.

Część klasy goniła się naokoło stolików, wydając z siebie mrozące krew z żyłach wrzaski, dziewczyny prezentowały nawzajem swoje brzuchy, a Grzesiu Jarząbek skakał po stolikach, udając szympansa. Podniosłam palce do ust i zagwizdałam. Gonitwa nagle ustała, tylko Grzesiu dalej skakał.

– Grzesiek, złaź. – Nie zwrócił na mnie uwagi, skakał dalej, drapiąc się po głowie i wydając z siebie dźwięki, jakich nie powstydzilaby się najdziksza małpa.

– Złaź! – I to żądanie zostało zignorowane, a przecież ja uczyłam w tej klasie. Grzesiu dostał amoku i nie przestawał.

– Bo, proszę pani – zaczął mnie oświecać jeden z uczniów – do niego trzeba inaczej. Po czym wrzasnął: – TY! PEDAŁ, PEDAŁ, ZŁAŻ NATYCHMIAST. PEDAŁ! – Grzesiu zamrugał oczami, posłusznie zlął i przestał wyć jak potępieniec. – Widzi pani, po imieniu do niego trzeba.

Zaprowadziłam jako taki porządek i wróciłam do klasy pierwszej, spragnionej wiadomości o Ottonie III.

Pełna obaw szłam do szefowej zaraz po lekcji. Po wejściu do gabinetu najpierw usiłowała mnie zmusić, bym przyznała, że czuję się już na tyle dobrze, by stanąć na dyżurach. Z prawdziwą przyjemnością poinformowałam ją, że niestety noga jeszcze mnie boli, zwłaszcza jak długo stoję. Tu popatrzyłam na nią

wymownie, w związku z czym pozwoliła mi w końcu usiąść.

– Pani Julko – przeszła do sedna. – Pani ma teraz okienko. A ja z domu zapomniałam kluczy, które są mi potrzebne, by otworzyć szafkę z dokumentacją. Mieszkanie jest puste, syn w szkole, mąż w pracy. Dam pani klucze do mojego mieszkania. Proszę pójść do mnie do domu i przynieść mi te klucze. Z przyczyn oczywistych nie mogę wysłać uczniów ani nikogo z personelu. Tylko pani jest teraz wolna.

Siedziałam bez słowa i wpatrywałam się w babę. Prosi o przysługę? Mnie?!

– Klucze wiszą obok garderoby.

Podawała adres i wytłumaczyła, jak trafić. Co prawda prośba równała się poleceniu służbowemu, ale byłam tak zdziwiona, że nie protestowałam. Poszłam do pokoju nauczycielskiego po torebkę i wyszłam ze szkoły.

Na szczęście mieszkała blisko. Weszłam do budynku, dotarłam na drugie piętro i otworzyłam cicho drzwi. Klucze rzeczywiście wisiały obok garderoby. Nagle usłyszałam hałas i męski śmiech. Uświadomiłam sobie również, że słyszę muzykę. Coś było nie tak! Może włamywacze. Jezus Maria!

Wyszłam z mieszkania, zeszłam piętro niżej i zadzwoniłam do szkoły.

– W pani mieszkaniu ktoś jest – zawiadomiłam.

– To niemożliwe – odpowiedziała mi naburmuszona. – Wydaje się pani.

– Słyszałam muzykę z pokoju naprzeciw wyjścia i ktoś się głośno śmiał.

– Proszę zadzwonić po policję i poczekać na nich na klatce – usłyszałam polecenie. – Podaję numer komórki dzielnicowego. Trudno, w takiej sytuacji muszę wyjść z pracy. Zaraz tam będę.

Zapisałam numer na dłoni, po czym wstukałam go do pamięci mojego telefonu. Może się przydać. Zadzwoniłam. Dzielnicowy był w okolicy, więc powiedział, że zaraz będzie. Dotarł do klatki schodowej razem z szefową. Chciałam iść z powrotem do pracy, ale mnie zatrzymano, bo byłam świadkiem. Gliniarz podszedł do drzwi mieszkania, cicho je otworzył, wyciągnął i odbezpieczył broń, a następnie wszedł do środka. Muzyka nadal dobiegała z pokoju położonego naprzeciw wejścia. Dzielnicowy kopnął drzwi, które natychmiast się otworzyły. Wszedł do pokoju i wrzasnął:

– Policja! Nie ruszać się!

Prawie natychmiast opuścił broń i odsunął się, pokazując mnie i dyrekcji, kto śmiał się w pokoju. Zobaczyliśmy jej synka, a na nim... Aśkę Karpacką! Przeszkodził im w trakcie. Gliniarz wyszedł, oświadczając, że smarkaczowi należałoby przetrzepać skórę.

Dla dyrektorki ostatnie tygodnie nie były najłatwiejsze. Kolejne kontrole sanepidu wskutek znalezienia zmumifikowanego zwierzątka, a teraz jeszcze to. Stała nieruchomo i patrzyła na parę w pokoju. Aśka zdążyła się zakryć prześcieradłem, synuś zaś gorączkowo usiłował wciągnąć spodnie. Nagle moja

pracodawczyni z posągu przeistoczyła się w walkirię. Ruszyła ku Aśce i bez chwili zastanowienia walnęła ją pięścią w oko. Zaatakowana zaczęła się bronić, ale dyrektorka okładała ją dalej, wrzeszcząc i wyzywając ją od lafirynd, zdir i dziwek! Synuś bez powodzenia próbował odciągać mamusię od kochanki i w efekcie jemu też się dostało! Istny Armagedon. Kochająca mamusia oderwała się na chwilę od synka i jego dziewczyny, prawie przewróciła mnie w drodze do szafy, wyciągnęła z niej mopa i nim zaczęła okładać pechowych kochanków, wrzeszcząc oczywiście dalej. To był taki piękny widok! Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Uszczęśliwiona, pstryknęłam parę zdjęć komórką, po cichu wycofałam się z mieszkania (dyrektorka nie patrzyła już, gdzie wali) i wróciłam do szkoły. Była akurat przerwa, a nauczyciele zaczęli dopytywać, co się stało, że nasza naczelną strzyga w środku lekcji opuściła szkołę. Krótco wyjaśniłam, prezentując zdobyty materiał ilustracyjny. W pokoju najpierw zaległa cisza, a później dwadzieścia osób naraz zaczęło zadawać mi pytania.

Z prawdziwą przyjemnością wytłumaczyłam moim koleżankom z pracy kulisy romansu Piotrusia. Następnie wzniosłyśmy toast za długotrwałe szczęście młodych oraz rychle powiększenie rodziny dyrekcji. Każda z nas wypila w tej intencji to, co miała pod ręką. Ja wodę mineralną. I w tym momencie ekstatycznie szczęśliwa doszłam do wniosku: nie tylko ja nie cierpię szefowej.

Teraz pozostaje mi jedynie poopowiadać o wpadce Aśki mojej grupie!

Po lekcjach i mało uciążliwych zajęciach usiadłyśmy w końcu z całą paczką w chlewie. Wszystkie oczy skupione były na mnie. Nie rozczarowałam ich, opowiedziałam ze wszystkimi krwistymi szczegółami. Facetom szczególnie spodobała się interwencja policji, dziewczynom zdjęcia półnagiej Aśki ciągniętej za włosy przez moją szefową. Skutki interwencji rozwścieczonej mamusi bliźniacy widzieli na twarzy ofiary dziś na korytarzu. Uroczą śliwa! Byli nawet na tyle bezczelni, że poszli zapytać, co się biedulce stało. Oświadczyła, że wpadła na drzwi.

– No przecież nie mogła powiedzieć, że zderzyła się z pięścią troskliwej mamusi – Em skończyła chichotać. – Choć może to i prawda, że na nie wpadła...

– Pod warunkiem, że moja dyrektorka rzuciła ją na nie, kiedy ją ściągała ze swojego synka – dokończyłam myśl. – Taka chudzina, a wywijała tym mopem z precyzją szermierza. Dziewczyna ma szczęście, że skończyła tylko z jednym siniakiem.

– A kto powiedział, że z jednym? – zdziwił się bliźniak. – To śliwa była jedna. Siniaków było więcej.

– Na policzku, rękach, szyi. Na szyi też podrapana mocno była – uściślił drugi.

Poprawiłam się na plastikowym krześle. Fakt, pazurki dyrekcja ma zadbane.

– Ach, chciałbym tam być – wyraził życzenie większości Adaś.

Co prawda bliźniacy domagali się przesłania zdjęć, ale się nie zgodziłam. Pewnie wyłudowałyby natychmiast w Internecie, a ja, jako autor, nie chciałam mieć sprawy w sądzie o naruszenie dóbr osobistych. Bez względu na wszystko ta sprawa na pewno poprawiła nam humor. Zarówno w pracy, jak i na uczelni, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że za sześć tygodni rozpoczyna się kolejna sesja. Auć.

Do domu wróciłam we wspaniałym humorze. Nareszcie wśród ludzi! Tym bardziej że w moim towarzystwie zawsze działo się coś niezwykłego. Dlaczego już za rok kończę studia?

W domu przywitał mnie jak zwykle piekielny hałas, bo moja siostra znów puszczała jakiś metal. Tym razem w wersji gothic, z jakąś kobietą na wokalu.

– Jezu, co to?! – wrzasnęłam, wchodząc do pokoju. Podeszłam do wieży i przyciszyłam. Niedużo. Tylko jakieś 70%. Moje bębenki od razu odpoczęły.

– No jak możesz nie wiedzieć! – Moja siostra obróciła się na obrotowym krześle i rzuciła się do wieży. – Nightwish przecież!

– Dla mnie może być i Daywish. – Postanowiłam postawić sprawę jasno. – Nie dawaj tak głośno, bo sąsiedzi będą dzwonić po gliny. Diabli nadali ojca, że taki sprzęt kupił! Ja to na parterze słyszałam.

– I dobrze. – Andria pokiwała z uznaniem głową. – Przynajmniej raz te głąby posłuchały czegoś porządnego. A nie jakiegoś badziewia. Tak jak ty.

– Mozart uspokaja i wpływa dodatnio na percepcję – oświadczyłam, siadając na tapczanie.

– Mozart jest nudny. – Moja siostra obróciła się z powrotem do kompa. – Coś jeszcze?

– Lekcje odrobione?

– A teraz to. Zmiłuj się, staruszko. Nie widzisz, że się regeneruję?

– Od przyjścia ze szkoły? – spytałam.

– No.

Nie była łaskawa się nawet do mnie odwrócić.

– To wystarczająco długo. Wyłącz maszynę i do lekcji!

– O Jezu! – zaczęła jęczeć. – A było tak pięknie bez ciebie. Cały miesiąc.

W dowód załamania zaczęła walić głową o biurko.

– Siostra, zmiłuj się. Dopiero co wróciłaś. Bądź człowiekiem.

Zasadniczo byłam człowiekiem. Ale nielitościwym.

– Pamiętaj, że mi wisisz... – przypomniałam.

– O Jezu! – jęknęła znowu. – No dobra. Już się do tego biorę.

Wyłączyła kompa i wyciągnęła książki, burcząc coś pod nosem o niezyczliwości osób w podeszłym wieku. Zadowolona z dobrze przeprowadzonej

akcji wychowawczej, wyszłam z pokoju. W drzwiach jednakże na chwilę zastopował mnie ostatni strzał Andrii.

– Julka? To na kiedy ustaliliście datę?

Obróciłam się na pięcie i spjrzałam na siostrę jak najbardziej morderczym wzrokiem. Andria rzuciła mi tylko jedno krótkie spojrzenie i wróciła do książek. Znow minęłam drzwi.

– Skoro nie chcesz powiedzieć, spytam szwagra – dobiegło od biurka.

Ta mała, bezczelna, chamska, irytująca, wścibska... Dzwonek zakończył określanie charakteru mojej siostry. Klnąc pod nosem, poszłam otworzyć tej bezczelnej osobie, która ośmieliła się zadzwonić. Energicznie otworzyłam drzwi i mało zachęcająco spjrzałam na natręta. Intruz zlustrował mnie wzrokiem, wszedł do środka, zamknął drzwi i poklepał mnie uspokajająco po plecach.

– Zły dzień – powiedział współczująco.

– To był bardzo dobry dzień – warknęłam.

– Był – uściślił, po czym wpakował się do kuchni i wstawił wodę na herbatę.

– To na uspokojenie.

Wbiłam w niego morderczy wzrok.

– Nie potrzeba mi uspokojenia. Potrzeba mi krwi! – zaprotestowałam.

– Andrii?

– No a kto w ciągu pięciu sekund zepsuł mi cudowny nastrój?

– Cieszę się, że nie tylko ja to potrafię – mruknął; chwilę później zalał herbatę, a następnie chwycił mnie wolną ręką i zawlókł do dużego pokoju. Postawił kubek na stoliku, usiadł w fotelu, posadził mnie sobie na kolanach i rozkazująco rzucił:

– Wal. O co tym razem poszło?

– O nic ważnego – warknęłam.

– Spytałam ją o datę.

Nie zauważyłam, że obiekt rozmowy zmaterializował się obok i właśnie rozsiadał się w drugim fotelu.

– Do książek! – wydałam polecenie. Zignorowała mnie.

– Jaką datę? – zainteresował się Paweł.

– Waszego ślubu oczywiście. – Popatrzyła na niego jak na przygłupa. – No nie możecie wiecznie żyć na kocią łapę, bo starzy zaczynają się burzyć.

Niech to szlag... A on na dodatek jeszcze się uśmiecha! Wbiłam mu łokieć w żołądek.

– To drażliwa kwestia – oświadczył, chwytając mnie za rękę, chyba tak na wszelki wypadek.

Tylko parsknęłam.



– Bardzo drażliwa. Ale już wkrótce zostanie rozwiązana. – I tu ten dupek ośmielił się do mnie mrugnąć! Milczałam z godnością.

Andria zaśmiała się krótko. Wstała z fotela i popatrzyła na Pawła ze mną na kolanach.

– Lubię cię – powiedziała. – Ale bardziej chcę się jej pozbyć. Jest gorsza niż matka. Jej zawsze mogę uciec. Natomiast Julia wiecznie mi truje, że mam się uczyć, sprzątać i gotować. Masakra.

Miałam ochotę wziąć porządny, dwuręczny miecz i nieźle ją zdzielić. A ja dla niej tak się niedawno skompromitowałam! I prawie życie straciłam! Niewdzięczna smarkula! Paweł pogładził mnie uspokajająco po ręce. Niech wszystkich szlag trafi.

Po godzinie, zamówionej pizzie z kurczakiem i dwóch kieliszkach wina moja kurwica przeszła. Jeszcze dwa miesiące temu Andria nie byłaby w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

To chyba klasyczny przypadek PMS.

Kiedy już się uspokoiliam, zaczęłam wypytywać Pawła o cel jego wizyty.

– Przyszedłem sprawdzić, jak bardzo za mną tęsknisz.

– Bądź poważny!

Nienawidzę tych jego uników, uśmieszków i mrugnięć. Czasami gdy jestem z nim, czuję się jak akrobata na bardzo cienkiej, wysoko rozpiętej linie.

– To tęsknisz czy nie tęsknisz? A może bardzo tęsknisz?

– Widzieliśmy się wczoraj.

Dalej się uśmiechał. Czy naprawdę nie jest w stanie go zdenerwować?

– To co – stwierdził, biorąc następny łyk kawy. – Ja za tobą tęskniłem.

– Za mną czy za łóżkiem? – zaryzykowałam.

– Kochanie, zauważ, że ostatnimi czasy w łóżku tylko spaliśmy. – Delikatny wyrzut. – Zazwyczaj bolała cię noga.

– I może dlatego tak się stęskniłeś?

– Może dlatego – znów się uśmiechnął. – A może nie.

Chwila, kiciuś! Trzymanie w niepewności to moja działka. Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

Jak się okazało, przyszedł omówić nasz weekendowy wyjazd. Nocować mieliśmy znów w pensjonacie, bo remont jeszcze się nie skończył. A poza tym miałam wrażenie, że Paweł się boi. Czego – bankructwa, klęski? W ten projekt zainwestował wszystkie swoje i rodziców oszczędności. Oraz sporo bankowych. W dzisiejszych czasach hotelarstwo to nader niepewny interes, ale oczywiście można zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu. Myślałam intensywnie, co mogłoby pomóc. No i chciałam go pocieszyć. Doszłam bowiem do wniosku, że

humorki, które ostatnio prezentował, to wynik życia w dużym stresie. Biedaczek.

– Hej, będzie dobrze! – zaczęłam zdecydowanie. – Odniesiecie sukces.

– Kiedy my tak naprawdę wcale się na tym nie znamy.

– I nie musicie. Trzeba tylko zatrudnić odpowiednich ludzi na początku, ciężko pracować i się uczyć, także na błędach. Oby tylko tych ostatnich nie było zbyt wiele. Widzisz, macie wszelkie możliwości, by odnieść sukces.

– Tak, pałac w dziurze zabitej dechami – ironizował.

– Kotku, pomnik kultury, który zamierzacie zamienić w luksusowy ośrodek i w którym będą mogli odpocząć goście nie tylko z Polski, ale i z zagranicy!

– Jasne... Pomarzyć zawsze można...

Mój mężczyzna siedział z opuszczonymi smętnie ramionami. Nie widziałam go jeszcze tak przygnębionego.

– Paweł, co ty? Po pierwsze, część pokoi będziecie meblować antykami. Po drugie, macie własny park, po trzecie, w parku staw, a nawet zachowały się stajnie! To są ogromne możliwości do wykorzystania.

Zapałam się do całego przedsięwzięcia. Może moja ofiara losu nie widziała możliwości Lubicy, ale ja tak. I to coraz więcej.

– Ludzie szukają teraz miejsc nietuzinkowego wypoczynku. Szukają spokoju, ale zarazem odrobiny luksusu, której brakuje im na co dzień. Musicie wykorzystać atuty, które macie. I to w bardzo prosty sposób. Zatrudnijcie dobrego szefa kuchni, kupcie sprzęt do pływania i wędkarski. Możecie go odpłatnie wypożyczać, a kucharz może smażyć złowione przez gości rybki. Kupcie kilka koni pod wierzch, zatrudnijcie instruktora jazdy i stajennego. Teraz przydadzą ci się te jazdy z moją siostrą. Jakies dzieciaki z okolic aż będą się palić, by pomóc w stajniach za możliwość jazdy konnej. Kup bryczkę; będziesz mógł obwozić gości po okolicy.

– Odzyskaliśmy karete – oznajmił ponuro.

– Jeszcze lepiej. Każ uszyć jakieś stylowe stroje dla personelu, najlepiej z początków XIX wieku, bo najwygodniejsze. Można organizować dla gości zabawy, poszukiwanie skarbu albo w „dlaczego dama w bieli przechadzająca się o północy została duchem” i tak dalej. Możesz wejść w kontakt z jakimś bractwem rycerskim, może będą zainteresowani, by uczyć gości na przykład łucznictwa lub walki na miecze. Przy okazji zarobią. No i reklama! Zdjęcia, opracować folder reklamowy i rozesłać po biurach podróży. Założyć stronę internetową i dać ofertę na zagranicznych portalach rezerwacyjnych. Jeśli agroturystyka jest w modzie, to tobie też musi się udać! Tylko musisz uwierzyć w siebie. Po pewnym czasie pewnie nie będziesz musiał się już reklamować. W zimie też można jakieś atrakcje wymyślić, kuligi, jazda na łyżwach... Ha, no i region też jest atutem. Blisko Kielc, niedaleko Sandomierza, prawie u stóp Gór Świętokrzyskich. Wykorzystaj to. W gminie ci pomogą, bo zwiększasz zatrudnienie, możesz starać się o ulgi

podatkowe, a może nawet jakieś fundusze z Unii. Przecież ratujesz zabytek! W dwóch pokojach możesz jakieś muzeum zrobić, no wiesz, obrazy, meble, porcelana. Po siedemnastej można otworzyć te pokoje dla gości jako wypoczynkowe. A ludzie lubią się takimi rzeczami chwalić. Inni są zazdrośni i sami będą chcieli spróbować. To się po prostu musi udać.

Skończyłam monolog. Paweł spoglądał na mnie z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– No co? Ja mam mnóstwo pomysłów. I kocham takie stare dworki.

– Jesteś niesamowita, wiesz?

Przytulił mnie, a mnie się zrobiło bardzo przyjemnie.

– Może troszeczkę – powiedziałam przekornie. Uwielbiam, jak mnie chwala.

– Kobieta z pasją. Chyba byłabyś świetna jako szef tego wszystkiego.

– Ja? Ja tylko studiuje historię!

– No właśnie – powiedział poważnie. – No właśnie.

Po wyjściu mojego faceta, który najwyraźniej odzyskał dobry humor, bo pożegnał mnie, mówiąc tik tak, tik tak, przypominając w ten sposób, że czas leci, zabrałam się za porzucony pamiętnik. Nie zdążę go w całości przeczytać przed wyjazdem do Lubicy, ale przynajmniej jakąś część znowu odcyfruję. Agneta zrobiła się wyjątkowo monotematyczna. Wyprawa przeplatana Maksymianem. Ale zaparłam się. Barany tak mają!

*Styczeń roku pańskiego 1807*

*Ciekawam, co przyniesie ten rok. Poprzedni to śmiech i łzy. A także nadzieja na niepodległość. Już dwanaście lat mija, jak Rzeczypospolitej nie ma. Za długo. I nareszcie to się może zmienić.*

*Na razie spokojnie u nas. Wojna nie doszła, cesarz udał się na północ kraju. Panny, z którymi mieszkam, i kawalerowie ciągle urządzają jakieś bale, zabawy, kuligi, maskarady. Bo przecież trwa karnawał i bawić się należy. Ale tak naprawdę to mi markotno. Wraz z wiosną Konstancja wydaje się za mąż, moja matuś przyjeżdża i wielka niewiadoma. Cóż się stanie ze mną, niebogą, gdzie spędzę kolejny karnawał? Wiecznie u księżnej nie mogę mieszkać. W tym roku skończę osiemnaście lat i muszę się wydać za mąż. Inaczej grozi mi wstyd i staropanieństwo!*

*Maskarada była cudowna. Niestety jeden z gości podczas zabawy zgubił list.*

Wyszedł przed zdjęciem masek, więc nie wiem, kto zacz. List z dziwną pieczęcią schowałam do mej ulubionej książki. Oddam, jak tylko dowiem się, kto jest właścicielem. Gdybyż tylko był herbem sygnowany... Ale symbol na pieczęci to nie herb. Okrąg, w nim trójkąt, a w trójkącie wpisane litery I i S. Żadnego pana o tych inicjałach nie znam, a otwierać się tego nie godzi. Choć przyznać muszę, że ciekawa. Nawet bardzo.

*Marzec roku pańskiego 1807*

*Kara Boska dla naszych kawalerów. W Wielkim Poście zachciało im się zabaw. To się musiało tak skończyć. Pan Żarnowski, który ostatnio bywał u nas w Puławach, podczas gonitwy spadł z konia. Pan Rybczyński popędził po pomoc, ale okazało się, że pan Żarnowski zginął na miejscu. Na dodatek wyszło na jaw, że... właściwie został zamordowany! Ktoś przeciął popręg i włożył osty pod siodło. Koń poniósł, pan nie żyje! Na miejscu pojawił się sędzia i zaczął zadawać pytania. Łaska w tym, że z kawalerów naszych jedynie brat pani Śliwińskiej tam bywał. Jej mąż, narzeczony Konstancji i pan Maksymian w tym czasie, jak Pan Bóg przykazał, uczestniczyli we mszy.*

*Pan sędzia do Puław przybył w celu przesłuchania. Bo przy nieboszczyku kartka została znaleziona, prawie takąż sama jak przy pułkowniku Fredkiewicz, którego sama, nieboga, znalazła martwym. Pan sędzia kartkę z napisem mi pokazał. Stało tam „Ostatni, 2 Mch 10:22”. Pytał, czy mogę mieć pojęcie, co to może znaczyć. Niestety nie pomogłam. Sędzia jest w wielkim kłopotcie. Uważa, że były cztery morderstwa, ale żaden z panów, którzy mogli zamordować pierwszego, nie byli w stanie zamordować ostatniego, bo przebywali gdzie indziej. Tak jak pan Rybczyński. Nie było go na balu zaręczynowym pani Marty i z tegoż powodu długo się na niego gniewała. To straszne, że żyjemy w czasach, w których łotrzykowie mordują tak znamienitych kawalerów! Powiedziałam jednakowoż panu, że jedyne, co mi na myśl przychodzi, to Pismo Święte. Niemożliwym jest jednak, by morderca kierował się Biblią!*

*Sędzia jednakże poprosił o Biblię, poszukał, poczytał, głową pokiwał i orzekł, że chyba zbrodnia ta zostanie niewyjaśniona. A szkoda. Przydałoby się mordercę ukarać, tak jak to za dawnych czasów było! Sznur dla niego zbyt lekką karą. Nawet poprzedzony torturami.*

Panna Agneta wyjątkowo krwiożercza. A jednak zrozumieli, że to morderstwa. Ciekawe, czy sprawca został ujęty, a sama sprawa rozwiązana. Zastanawiałam się też, jak brzmi całość wiadomości. Było ich czterech, a przynajmniej o czterech pisała Agneta...

Wzięłam ołówek i z Biblii zaczęłam wynotowywać interesujące mnie fragmenty.

„Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami; w ich ręku zbrodnia, a ich prawica pełna jest przekupstwa; wyrok powróci do sprawiedliwości, za nią [pójdą] wszyscy, co są prawego serca. Na tych więc, którzy stali się zdrajcami, wykonano wyrok śmierci”.

Według mnie wiadomość bardzo klarowna. Straceni za zdradę. Co też oni nawyrabiali?

Wiedziona ciekawością, wpisałam w Google nazwiska zamordowanych mężczyzn. Nic nie wyskoczyło. Poczulałam rozczarowanie, ale z drugiej strony szansa, że coś wygrzebię, była marna. Nie byli żonaci, nie zostawili po sobie dzieci. Wyglądało na to, że jedyna wzmianka o nich znajdowała się w pamiętniku panny Agnety. Burzliwa historia naszego kraju zdecydowanie nie sprzyjała zachowaniu informacji. Powstania, wojny, pożary niszczyły nasze dziedzictwo narodowe. Zwłaszcza tak kruche jak dokumenty.

Ale postanowiłam się nie poddawać. Poproszę Pawła, żeby napisał do muzeum, z którego odzyskał meble. Sama postanowiłam wysłać maila z zapytaniem do muzeum w Puławach oraz do Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Może oni będą mieli jakieś informacje w archiwum i zechcą się nimi podzielić.

W czwartek świeciło słońce. Byłam pełna energii z kilku powodów. Po pierwsze, rozpoczynał się długi weekend, więc do pracy będę musiała iść dopiero we wtorek. Po drugie, czekała mnie podróż do Lubiczy i przekopywanie kufra ze skarbami (papierami). Po trzecie, nie widziałam dyrektorki już drugi tydzień, jako że poszła na zwolnienie lekarskie z powodu wstrząsu psychicznego. Postanowiła też ratować synka. Z plotek w pokoju nauczycielskim dowiedziałam się, że zamierza go wysłać na dwumiesięczny obóz językowy. W tym celu zapożyczyła się, u kogo tylko mogła. Biolog Mareczek oświadczył, że nie sądzi, aby chłopak tam się czegoś nauczył, ale według mamusi będzie daleko od żmii. I od mamusi też, dodałam w myślach.

Niestety, dzień rozpoczęłam senna, bo pracę zaczynałam o 7:10. Dwie godziny tak zwanego wychowania do życia w rodzinie. Trzydziestu faceta, w większości z burzą hormonalną w stadium huraganu, i ja jedna. Niepewna, co robić, zainicjowałam bezpieczny temat: czego pragną kobiety, czyli różnice pomiędzy płciami. Z dziewczynami, z którymi „seks” miałam wcześniej, nie było problemu. Facetów się bałam, zwłaszcza że mnie już ostrzeżono przed niektórymi. Sama miałam jakieś pojęcie, co mogą powiedzieć i do jakich wniosków dojść chłopcy z III c. I to na historii! Wczesna pora, wbrew moim nadziejom, ich nie odstraszyła. Zadałam pytanie zawarte w temacie lekcji i, niestety, usłyszałam odpowiedź:

– Nie wie pani? – Mina Patryka z III c wyrażała bezbrzeżne zdumienie. – No oczywiście pieniędzy i seksu.

Wow. Przez dziesięć sekund myślałam intensywnie, co odpowiedzieć. Do głowy wpadło mi tylko jedno.

– Czy mógłbyś udowodnić swoją tezę?

To nie był dobry pomysł. Rozpoczęła się dyskusja na temat wykorzystywania finansowego płci niekoniecznie brzydkiej. Postanowiłam dyskusję skierować na jakieś inne tory i przy okazji wyprostować światopogląd przyszłości narodu. Panie, chroń nas i nasze dzieci! Po półgodzinie wykładu na temat odpowiedzialności, opiekuńczości, troskliwości i tym podobnych cech, które są dla kobiet ważne, stwierdzili, że może nie wszystkie lecą na pieniądze, tylko te łatwe. A oni jak będą się żenić, to nie chcą mieć łatwych żon. Najlepiej, żeby były dziewicami. Zainteresowałam się dlaczego. Najprawdopodobniej słyszeli coś na temat odpowiedzialnego rodzicielstwa i chorób przenoszonych drogą płciową. Poczułam się odrobinę podbudowana.

– No przecież po to, by nie miała mnie z kim porównywać. Jak będę jedyny, to najlepszy! – Wszyscy panowie zgodnie pokiwali głowami.

Oni nawet nie są neandertalczykami. Za wysoka gałąź ewolucji. Z dalszej dyskusji wynikało, że oni przed ślubem nabierają doświadczenia i to dobrze, zaś dziewczyny się puszczają. Popatrzyłam na nich z politowaniem.

– Powiedźcie mi, jeśli przed ustatkowaniem się będziecie chcieli zaliczyć wszystko, co chodzi w spódnicy, to gdzie znajdziecie te wszystkie dziewice, z którymi chcecie się żenić?

Lekko ich zatkało. Nie przemyśleli planu do końca. Postanowiłam coś jeszcze o miłości wtrącić, na przykład w jaki sposób okazywać ją drugiej osobie. Tu wnioski były równie ciekawe, co zabawne.

– No jak siedzę z nią cztery godziny w galerii handlowej i nie marudzę, to chyba muszę ją kochać, co nie? – rzucił Marcinek.

Fakt. Po czterech godzinach bez marudzenia... rzeczywiście musi.

Po wyjściu z klasy stwierdziłam, że nie było bardzo źle. Doszli do jakichś konstruktywnych wniosków (pieniądze, seks i miłość). I nie zadawali pytań typu: „Czy pani jest dziewicą?”, „Co to jest orgazm?”, „Czy kobiety lubią seks analny?”, co niestety miało miejsce w innych klasach. Brakowało również haseł typu „Nie patrz na twarz, patrz w co pchasz”.

Następną lekcję miałam z dziewczynkami z pierwszej klasy i również było normalnie. Tylko po zajęciach jedna panna przyszła zadać intymne pytanie. Chciała się upewnić, że jak połknie spermę, to na pewno nie zajdzie w ciążę. W pierwszej klasie gimnazjum! Oczywiście pomijam fakt, że samo pytanie uwypukliło zdecydowane braki w wiedzy z zakresu biologii człowieka. Z drugiej

strony, kogo miała pytać? Lepiej już niech pyta nauczyciela, nie koleżankę, bo przecież do matki się z czymś takim nie zwróci. Po uspokojeniu, że nie ma szans, pytanie zostało powtórzone – czy mianowicie jestem tego stuprocentowo pewna. Byłam. Potem w pokoju nauczycielskim sugerowano mi, że może lepiej było dać odpowiedź pozytywną, że przy połknięciu ciąży gwarantowana, ale nie będę dzieciom głupot wciskać!

Po powrocie do domu odebrałam maila z muzeum w Puławach. Niestety w dokumentach będących w ich posiadaniu nie zachowały się żadne informacje dotyczące śledztwa w sprawie śmierci interesujących mnie wojskowych. Byli natomiast bardzo zainteresowani pamiętnikiem, w związku z czym zwracają się z prośbą o udostępnienie go do badań. Oczywiście mogę zapytać Pawła, ale tak naprawdę sama mam okazję napisać artykuł na podstawie pamiętnika. A rozwiązanie zagadki morderstw stanowiłoby ukoronowanie moich wysiłków.

Paweł przyjechał jak zwykle punktualnie. Korzystając z okazji, że będziemy przez kilka godzin sami i nikt nam nie przeszkodzi w poważnej dyskusji, postanowiłam podnieść kilka kwestii związanych z naszym ewentualnym małżeństwem. W zasadzie już pogodziłam się z myślą, że będę musiała zdecydować „tak” albo „nie” i że to wpłynie na moją przyszłość. W najbliższym czasie czekało mnie więc albo małżeństwo albo samotność. Pomimo to upływający czas doprowadzał mnie do szału, a napomknienia mojej rodzinie (wczoraj odezwali się rodzice) i Pawłowe tik tak, czas mija, wcale nie czyniło mnie spokojniejszą.

– Jeśli się zgodzę, to jak wyobrażasz sobie następny rok? – rzuciłam.

– Normalnie – dzielił uwagę pomiędzy mnie i drogę. – Musisz skończyć studia, więc przez najbliższe pół roku będziesz mieszkać u rodziców. Przedmiotów będziesz miała mało, więc możesz sobie to tak ustalić, żeby trzy dni być we Wrocławiu, a cztery ze mną. Pociągi do Kielc jeżdżą, a z Kielc mogę cię odbierać. Oczywiście będą tygodnie, gdy nie będziesz mogła przyjechać, bo będziesz szukać materiałów, ale to drobiazg. Drugi semestr to nie problem – tylko seminaria. Wystarczy, że pokażesz się promotorowi raz na dwa tygodnie. Mieszkać będziemy we dworku. Moi rodzice przeznaczili dla siebie jeden z pokoi na piętrze. Będą tam mieli salonik i sypialnię. Ja myślałam o wyremontowaniu dla nas połowy strychu. Zamontuje się okna dachowe, pomaluje. Przestrzeni jest dość, by zrobić trzy sypialnie z łazienkami i duży salonik.

– A kuchnia? – spytałam.

– Na parterze. Gotować nie będziesz musiała, przecież będzie kucharz. A zresztą przy twoich talentach... Jeśli jednak będziesz nalegać, to zostawię kuchnię do twojej dyspozycji.

W tym momencie ofiarowywał mi raj na ziemi. Własne duże mieszkanie i życie bez konieczności gotowania.

– Sprytnie to sobie wymyśliłeś – zauważyłam z wyrzutem.



- Walczę o swoje – uśmiechnął się do mnie. – Masz mi za złe?
  - Właściwie nie – powiedziałam bez wahania.
  - Cieszę się. – Ściągnął rękę ze skrzyni biegów i pogłaskał mnie po policzku.
- Bardzo.

Usadawiłam się wygodniej w fotelu i przymknęłam oczy. Zrobiło mi się błogo, a może śpiąco?

- Pośpij sobie, kotku – zaproponował. – Za jakieś dwie godziny będziemy.
- Mhm... – mruknęłam i zamknęłam oczy.

Dojechaliśmy około piątej. Poszłabym od razu do dworku, ale doszłam do wniosku, że jestem zbyt zmęczona, i postanowiłam zostawić sobie tę przyjemność na jutro. Gdy dojeżdżaliśmy, Paweł mi opowiadał o remoncie. Chcieli go zakończyć w ciągu miesiąca, by jak najszybciej otworzyć hotel. Wiązało się to oczywiście z mnóstwem inspekcji budowlanych, sanitarnych i innych. Potem trzeba jeszcze wstawić meble, wyposażyć, zatrudnić ludzi. I do dzieła! Ma nadzieję, że do lipca się wyrobiją.

Ponieważ byłam wściekle głodna, najpierw zjedliśmy kolację. Po prysznicu wreszcie poczułam się jak człowiek, a nie jak zombie w ostatnim stadium rozkładu. Przebrałam się w piżamkę, położyłam i rzuciłam do Pawelka:

– Cokolwiek planowałeś, na razie szlaban – wskazałam na pamiętnik. – Zostało mi już tylko kilka kartek, więc chcę doczytać dziś do końca. Być może jutro znajdzie ciąg dalszy.

Pokręcił tylko głową i zabrał się za jakieś plany. Mam wrażenie, że był to projekt naszego mieszkania. Uparciuch.

### *Kwiecień roku pańskiego 1807*

*Jutro ślub Konstancji. Ponieważ majątek pan Gnostkowski ma dość daleko, ślub odbędzie się w dobrach pana Niedziałkowskiego. Po weselu państwo młodzi wyjadą do Francji w podróż poślubną. Pan Maksymian żartował, iż przyszły szwagier musi żonę dobrze traktować, bo być może spotkają się w Paryżu. Czyżby pan Maksymian także zamierzał w niedalekiej przyszłości śluby małżeńskie złożyć? Jeśli tak, to trzeba będzie mu życzyć szczęścia z przyszłą wybranką, choć serce krwawi.*

*Ale dość o tym. Jestem przerażona. Wieczorem przyszła do nas pani Marta i grzecznie poprosiła, bym wyszła z pokoju. Siedziałam z panami w salonie przez pół godziny. Obaj milczeli, myśląc chyba o jakowychś ważnych sprawach. Kiedy*

*powiedziałam, że matuś przybędzie za trzy tygodnie zabrać mnie do siebie, pan Maksymian spojrział jakoś dziwnie, ale nic nie powiedział. Chyba dlatego, żeby mnie nie straszyć. W obliczu jego zbliżającego się małżeństwa nic mnie już bardziej zranić nie może. Jestem chora na duszy.*

*Gdy wróciłam do pokoju Konstancji, moja najdroższa przyjaciółka była blada. Spytałam ją, co się stało. Powiedziała, że pani Marta opowiedziała o obowiązkach małżeńskich i dlatego się boi. Ale ma nadzieję, że skoro pan Walery ją miłuje, to nie będzie zmuszać do żadnych takowych rzeczy. Choć marna to nadzieja, bo pan Śliwiński też kochał panią Martę.*

*Ślub Konstancji był piękny. Powiedziała mi rankiem, że postanowiła się nie przejmować gadaniem pani Marty. Przecież tyle kobiet wychodzi za mąż, są szczęśliwe i mają dzieci. Gdyby chodziło o taką okropną rzecz, pewnie by się nie utrzymało żadne małżeństwo! Największa niespodzianka czekała na mnie jednak po tym, jak odprowadzono państwa młodych do wspólnej komnaty po oczepinach. Pan Maksymian zabrał mnie na spacer do ogrodu i tam pod jabłonią poprosił o moją rękę. Powiedział, że uzyskał zgodę księżnej i pragnie, byśmy pobrali się jak najszybciej. Na zapowiedzi trzeba dać w najbliższą niedzielę, by ze ślubem zdążyć przed powrotem mojej matki. Nie pytałam dlaczego. Wyprawę mogę zebrać po ślubie. Pan Maksymian obiecał, że zabierze mnie w tym celu do stolicy. Zapytałam, czy wie, że nie mam posagu, i czekałam z biciem serca na jego odpowiedź. Jeszcze mógł się wycofać. Powiedział, że wie i że go to nie obchodzi, bo jest dość bogaty, by utrzymać żonę i przyszłe potomstwo. Ma dwór i kilka wiosek.*

*Spełniły się moje sny, powiedziałam tak, a on pocałował mnie. Konstancja miała rację; to bardzo przyjemne!*

*Rankiem żegnaliśmy młodą parę. Pan Maksymian powiedział, żeby czekali na nas w Paryżu. Konstancja aż popłakała się na myśl, że zostanie jej szwagierką. Była tego ranka bardzo radosna.*

*Maj roku pańskiego 1807*

*Jutro mój ślub. Nie będzie tak wystawny jak pani Marty czy Konstancji, bo nie było czasu na przygotowania. Mój narzeczony wytłumaczył mi przyczyny pośpiechu i wiem, że byłam o krok od tragedii. Moja matuś ma przyjechać za dwa, trzy dni. Poczekamy na nią i pojedziemy w podróż poślubną. Żal mi jej, bo poślubiła niegodziwca, z którym nie będzie szczęśliwa. Maksymian dziś przyjechał z obrączką, by mi ją pokazać. Pierścień jest przekazywany z pokolenia na pokolenie w jego rodzinie i zawsze ofiarowuje się go narzeczonym w przeddzień ślubu. To złoty sygnet, okrągły ze szmaragdem. W kamień wtopione są inicjały władcy, który ten pierścień ofiarował. Król dał ten podarunek jako podziękowanie za uratowanie jego życia w bitwie przez przodka Maksymiana. Mój narzeczony powiedział mi, że jest to symbol odwagi, honoru i sprawiedliwości. Oraz miłości. Miłości do kraju i ukochanej kobiety. I żebym zawsze nosiła go z dumą. Tak też zamierzam czynić przez resztę mojego życia. Z moim ukochanym.*

Pamiętnik skończył się. Nie da się ukryć, że odkładałam go z łezką w oku. Byłam ciekawa, czy następny zeszyt czeka na mnie na strychu. Zwłaszcza że dalej nie wiedziałam, kto zabił tamtych czterech. Przeglądałam spis obecnych na tych imprezach. Żaden z panów, o których pisała Agneta, nie mógł popełnić wszystkich zbrodni. Jedną, góra dwie, ale na pewno nie wszystkie! Sędzia też widocznie doszedł do tego wniosku, a miał listę wszystkich gości, w przeciwieństwie do mnie! Pocieszyłam się. Przynajmniej znam ogólną przyczynę morderstw. Jeśli nie znajdę kolejnego zeszytu, więcej się nie dowiem.

Odłożyłam zeszyt. Paweł spojrział na mnie figlarnie.

– Koniec na dzisiaj?

– Aha – potwierdziłam.

– Jesteś bardzo zmęczona? – zatroszczył się. Uśmiech-nęłam się.

Rankiem następnego dnia pojechaliśmy do dworku. Zrobił na mnie zupełnie inne wrażenie niż w zimie. Stał w otoczeniu zieleni w dużym parku, nie straszył żadnymi łatanami. Robotnicy na górze montowali okna dachowe. Budynki gospodarcze obok dworu były już wyremontowane. Paweł powiedział mi, że zamierza tam też zrobić pokoje, tyle że nieumeblowane antykami i tańsze. Goście będą mieli prawo do korzystania z wszystkich atrakcji oferowanych przez hotel.

Prócz tego remontowane były stajnie. Paweł postanowił pójść za moją radą i kupić kilka koni. Jedna tylko rzecz mnie zaniepokoiła. Skoro przystosowywano do zamieszkania strych, to gdzie w takim razie podziały się kufer i meble?

Jak się okazało, były w przechowalni, a kufer jego rodzice mieli u siebie. Weszliśmy do środka. Wszystkie pomieszczenia były już czyste, odmalowane, a podłogi lśniły. Główny hol miał być recepcją. Zaraz obok początku schodów znajdowały się drzwi korytarza wiodącego do części wspólnych. Odrzwia naprzeciwko prowadziły do innego korytarza, przy którym znajdowały się pokoje. Obie pary drzwi były oczywiście podwójne, pomalowane na biało, z rzeźbionymi framugami. Na lewo będą się znajdować pomieszczenia wspólne. Duży salon, biblioteka z piecem kaflowym, jadalnia powstała z sali balowej i połączona z salonem obszernym tarasem oraz kuchnia i spiżarnia przy końcu budynku. Na prawo od holu – pokoje z łazienkami. Pięć zwykłych i jeden apartament składający się z saloniku, sypialni i łazienki. U góry taki apartament będą zajmować rodzice Pawła. Pokoje na dole będą meblowane antykami. Tylko jadalnia i kuchnia mają być nowoczesne i funkcjonalne. Staroci, by umeblować górę, już nie starczyło do wszystkich pokoi. Jeszcze tylko trzy u góry otrzymają taki wystrój. Pozostałych siedem i apartament nad jadalnią będą urządzone nowocześnie, choć stylowo. Magazyny mają być z prawej strony strychu, z widokiem na tyły budynku. Od frontu wydzielili się cztery niewielkie pokoje z łazienkami dla ewentualnego personelu. W razie potrzeby można je wynająć. My mieszkać będziemy z lewej. W piwnicach usytuowane zostaną kotłownia, część spiżarni, pralnia i suszarnia.

Kręciło mi się w głowie. Ambitne plany, umiałam sobie wszystko to wyobrazić. Paweł postanowił i w czymś innym pójść za moją radą: salon, bibliotekę oraz apartament na parterze (jeśli będzie pusty) udostępni się zwiedzającym. Za niewielką opłatą, oczywiście. Park został już doprowadzony do użytku. Kilku gimnazjalistów chciało sobie dorobić, więc pod nadzorem ogrodnika pracowali popołudniami i w weekendy. Efekt: chaszczki zniknęły, a za dworkiem pojawił się park. Ponieważ teren był duży, przewidziano utworzenie terenów golfowych i kortu tenisowego. Przez młodzież mógłby być wykorzystywany całorocznie, na przykład za pracę na terenie hotelu. Jeśli przedsięwzięcie odniesie sukces, jak zwierzył się Paweł, jest jeszcze miejsce na mały kryty basen. Na razie stała tam stodoła. Odremontowana, by nie straszyla.

– Zamierzasz ją zburzyć? – spytałam niepewnie.

– Coś ty. Ściany zostaną – tłumaczył. – Tylko w środku będzie basen i niewielka sauna. Ta stodoła to kolos i ma możliwości. Szkoda by jej było. A poza tym... ona tu pasuje. Jakiś nowoczesny budynek psułby całość.

– Masz rację – przyznałam. Wyremontowana stodoła wyglądała bardzo na swoim miejscu.

Poszliśmy nad staw, a potem Paweł pokazał mi stary cmentarz.

– Jest strasznie zarośnięty – wyjaśnił. Jak tylko usuniemy te chaszczki, to będzie bardzo fajne miejsce na spacer. Tu jest tak spokojnie!

I rzeczywiście było. Spokojnie i pięknie. Popatrzyłam dookoła siebie. Trzymaliśmy się za ręce, ptaki śpiewały, drzewa coś szumiały.

– Jak w bajce – westchnęłam zadowolona.

Po obiadku ruszyłam do rodziców Pawła, pogrzebać w kufrze. Niestety, najpierw obowiązkowa herbatka i ciastko. Nie wypadało odmówić; kufer musiał poczekać. Lubiłam rodziców Pawła i zanim się obejrzałam, było zbyt późno, by zaczynać jakiegokolwiek grzebanie. Na szczęście moja sympatia do nich była odwzajemniona, wiedzieli, czym się interesuję. Józek nawet pomógł Pawłowi włożyć kufer z zawartością do punktu. Moje kochanie nie było tym faktem uszczęśliwione. Burczał pod nosem, że ma kobietę z głowy, bo do rana pewnie będzie kopać w środku. Poza burczeniem jednak nie dawał innych oznak niezadowolenia. Po złożeniu uroczystej obietnicy, że jeśli znajdę coś interesującego, to dam znać, pojechaliśmy do naszego pensjonatu. Poskramiając ciekawość, poszłam się najpierw odświeżyć. Kiedy zjadłam kolację, zachciało mi się strasznie spać, więc grzebanie (ku wielkiej radości Pawelka) odłożyłam do rana.

Obudził mnie deszcz; lało. Upiornie wręcz, można powiedzieć. Idealny dzień na poszukiwania. Pawła odesłałam do jego planów, by mi nie przeszkadzał, a sama dobrałam się do kufra. Nie rozczarowałam się. Prócz przedwojennych książek w bardzo dobrym stanie znalazłam papiery rodzinne: akty chrztu, zgonu i ślubu, trochę listów miłosnych, pisanych chyba przez pradziadków Pawła, oraz Biblię. Wydanie po łacinie z 1789 roku. Prawdziwy skarb! Niestety żadnego dalszego ciągu pamiętnika Agnety, w ogóle żadnych pamiętników. Trudno! Zabrałam się do robienia porządku w kufrze. Najstarszym dokumentem był akt chrztu z 1854 roku, niejakej Konstancji Dobrzyńskiej, córki Piotra i Alicji z domu Lisieckiej. To na pewno jakaś krewna Pawła; jego babcia Aniela była Dobrzyńska z domu. Ciekawa jestem, co pamiętnik Agnety robił wśród szpargałów rodzinnych Pawła. Może też była z nimi jakoś spokrewniona? Na podstawie tych wszystkich papierów udało mi się przynajmniej w części odtworzyć jego drzewo genealogiczne. Owa Konstancja była siostrą jego praprapradziadka.

Ku mojemu zdziwieniu, znad oficjalnych papierów wygrzebałam się dopiero koło dziesiątej wieczorem. Nie było okazji zerknąć na listy pradziadka Pawła. Musiały czekać do następnego dnia.

Dalsze przeglądanie papierów nie było mi dane. W poniedziałek było ładnie i moje słońko, niespokojne w czterech ścianach, zażądało wyjścia na spacer. Paweł zapakował mnie do samochodu i wywiózł na wycieczkę do jaskini Raj. Potem pojechaliśmy do zamku w Chęcinach.

Po powrocie byłam tak wykończona, że nie miałam ochoty na nic, włącznie z listami prapradziadka. Kufer z zawartością zwróciłam we wtorek. Zabrałam z niego tylko książkę księżnej Wirtemberskiej o Malwinie oraz wzmiankowane listy. Listy, bo byłam ciekawa, *Malwinę* jako lekarstwo na bezsenność, która dopadała mnie od czasu do czasu. Liczyłam na to, że będzie tak nudna, iż uspi mnie natychmiastowo. Pożegnaliśmy się z Ewą i Józkiem, obiecałam, że wkrótce wrócę, podziwiać postępy w pracach, i już wracaliśmy do domu.

– I co myślisz? – odezwał się po jakiejś półgodzinie. Wcześniej milczeliśmy, bo nie chciało nam się rozmawiać.

– O czym? – odpowiedziałam pytaniem.

– O całokształcie.

– Całokształt jest super – wydałam wyrok. – Skąd właściwie w waszej rodzinie taki klejnot?

– Jakiś mój prapra- wzenił się w posag. Coś przed powstaniem listopadowym. Albo styczniowym?

– Chyba jednak listopadowym. Konstancja urodziła się parę ładnych lat przed styczniowym. A wcześniej?

– A wcześniej też należał pewnie do rodziny. Żony mojego prapra-

– Aha. – Nie byłam uradowana brakiem wiadomości Pawła o historii jego rodziny. Dałam mu to odczuć.

– A ty pewnie znasz historię własnej rodziny aż do Mieszka I? – spytał sarkastycznie.

– Ja, mój drogi – odparłam tym samym tonem – wywodzę się z kręgów robotniczo-chłopskich. Ale historię do 1810 mogę pociągnąć. Pomimo braku dworów szlacheckich.

– Można to zmienić.

– Jak? – Spojrzałam na niego jak na kosmitę, który w chwili pierwszego kontaktu mówi po polsku „dzień dobry”.

– Kiedy za mnie wyjdiesz, będziesz miała długą historię własnej rodziny, trochę krótszą historię mojej rodziny i dwór na własność.

Zdecydowanie dążył do celu z subtelnością buldożera.

Panie Boże! Uprzejmie wnoszę petycję o zmianę mojego stróża. Zbyt przypomina mi ciecia z serialu *Alternatywy 4!*

I jak ja mam w takich warunkach podjąć jakąkolwiek mądrą decyzję?

Następnego dnia w pracy było spokojnie. Może dlatego, że szefowa była ciągle na zwolnieniu. Miała wrócić dopiero nazajutrz. Jak to dobrze, że środy mam wolne! Na lekcji dowiedziałam się, że wasal leżał pod seniorem, co skojarzyło mi się dość jednoznacznie. Na szczęście zdołałam zachować kamienną twarz!

Ponieważ mieliśmy ochotę na wypad, całą naszą grupą poszliśmy do Casa de

la Musica potańczyć. Niestety, niezawodnych bliźniaków reprezentował tylko Krzysiek, bo Wacek zaniemógł i został w domu. W zasadzie nie schodziłam z parkietu, bawiąc się jak nigdy. Kiedy poszliśmy z Emilką do toalety, zauważyliśmy Krzysia, jak podrywał jakąś panienkę. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że dziewczyna miała przynajmniej ze czterdzieści kilo nadwagi i była dwa razy szersza od Krzyśka. Bliźniacy zazwyczaj trzymali się od takich z daleka, więc albo musiał być kompletnie pijany, albo w końcu dojrzał i dostrzegł w dziewczynie charakter.

Patrząc jednak na splekanego ze śmiechu Marcina, który usiłował odciągnąć kumpla, doszłam do wniosku, że raczej to pierwsze. Emilka pociągnęła mnie w stronę toalety, więc straciłam Krzysia z oczu, a potem kompletnie zapomniałam o sprawie. Aż do następnego dnia.

Siedziałam sobie w chlewie z Em, racząc się herbatką i rozkoszując faktem, że nie muszę iść do pracy, gdy na horyzoncie zamajaczyła mi znajoma sylwetka jakiejś otyłej dziewczyny. Gdzie ja ją już widziałam? Dziewczyna przyparła do muru Krzyśka i czegoś się domagała.

Obie z Emilką wyczułyśmy sensację, więc wstałyśmy, żeby coś usłyszeć.

– Jaką randkę, dziewczyno? Nigdy cię nie widziałem – dobiegł nas spanikowany głos bliźniaka.

Spojrzałyśmy z Em na siebie. I wtedy mnie olśniło. To ta dziewczyna z Casa...

– Mam na imię Alina, a ty wczoraj byłeś na mnie kompletnie napalony i nie umiałeś rąk utrzymać przy sobie... A teraz twierdzisz, że nie pamiętasz? – jej głos stał się głośniejszy. Dziewczę wyraźnie się denerwowało.

Krzyškowi na nasz widok zabłyśły oczy.

– Dziewczyno, pomóżcie – jęknął.

Spojrzałyśmy sceptycznie na Alinkę, która nie zwróciła na nas uwagi, tylko domagała się wyznaczenia czasu i miejsca obiecanej randki. Krzysiek zaczął przesuwać się wzdłuż ściany, widocznie chcąc odsunąć się od niechcianej wielbicielki, ale ona nie dawała za wygraną i cały czas parła na niego całym ciałem. Nagle jego nogi trafiły na przeszkodę, więc stracił równowagę, ciężko upadł na bufetowe pufki, a potem sturlał się z nich na podłogę. Wszystko to stało się bardzo szybko, lecz nagle Krzysiek ujrzał nadzieję na ocalenie, więc skoczył na równe nogi i ruszył biegiem w kierunku męskiej toalety.

Alinka nie zdążyła go złapać, ale pobiegła za nim. Nie była tak chyża jak on, więc zdążył dopaść drzwi, otworzyć je i wbiec do środka. A Alinka za nim.

Z kibla zaczęły dobiegać wrzaski spanikowanego faceta, żeby ktoś zabrał wariatkę. Wrzaski Krzysia przeplatane były drugimi, damskimi, domagającymi się ustalenia daty i zaprzestania nazywania jej wariatką. Zwłaszcza że dzień wcześniej obiecywał jej miłość do grobowej deski. W chwilach przerwy na nabranie oddechu,

sądząc po odgłosach, musiała walić pięścią w drzwi, obiecując, że mu przyłoży. Po każdym łupnięciu rozlegał się wrzask przerażonego bliźniaka, błagającego o wezwanie ochrony.

W końcu pojawiła się ochrona; przedarła się przez tłum zaciekawionych studentów i weszła do toalety. Zaczęła wyciągać Alinkę z ubikacji. Panom z ochrony, sztuk dwie, poskramianie złoŃnicy szło gorzej niż źle. Alina zaparła się w progu i dalej nie chciała opuścić męskiej toalety.

– Czego Wacu tak się drze? – usłyszałam koło siebie głos drugiego z bliźniaków.

Wacu?

O Boże! Alinka dorwała nie tego bliźniaka, co trzeba...

Krzysiu tymczasem zobaczył powód zdenerwowania brata. Alina też zobaczyła stojącego koło mnie Krzyśka, spojrzała za siebie, w stronę kabiny, z której nadal dobiegało wycie, i szybko dodała dwa do dwóch. Strząsnęła z siebie ręce ochroniarzy i ruszyła w stronę właściwego bliźniaka. Krzysiu nie czekał, tylko obrócił się na pięcie i biegiem ruszył w kierunku wyjścia. Alina pognąła za nim.

Pół godziny później i po tonie ziołowych tabletek na uspokojenie Wacek w końcu przestał bełkotać i zrobił się bardziej elokwentny. Nawet wróciły mu kolory. Ten moment wybrała sobie Alina na powrót. Przyparła zielonego znów Wacka do krzesła i uśmiechając się słodko, poprosiła, by przekazał bratu, że niedługo wróci porozmawiać na temat obiecanej randki. I wyszła, a my odzyskaliśmy zdolność mowy. Ewa wytarła Wackowi pot z czoła.

Krzysiek pojawił się półtorej godziny później, nerwowo się rozglądając.

– Uciekłeś? – zainteresowałam się.

– Dogoniłem autobus – wymamrotał.

– I odtąd – stwierdziła Em – nasi panowie bezczelnie chyba będą udawać cichociemnych. Skończył się czas królowania, rozpoczął się okres chowania. O – zdziwiła się – jak mi się to ładnie zrymowało!

Już dawno tak się nie śmiałam. A wraz ze mną cała reszta. Nawet cichociemni bliźniacy!

Rozbawieni poszliśmy na zajęcia do Kredy. Bliźniacy odzyskali już rezon, więc oczekiwałam jakiejś ciekawszej akcji dywersyjnej z ich strony. Po godzinie zawiedziona umierałam z nudów, a Kreda bredził coś o Koreańczykach i niższości kobiet. Nagle jeden z bliźniaków się zgłosił.

– Panie doktorze, mam pytanie.

Kreda zaniepokoił się. Bliźniacy zdecydowanie nie kojarzyli mu się dobrze.

– Nie mam czasu, musimy omówić Panmunjom.

– Ale moje pytanie dotyczy Panmunjom.

Kreda wyglądał na zrezygnowanego.



– Proszę pytać – westchnął.

– Czy w czasie tego konfliktu żołnierze ONZ walczyliby lepiej, gdyby tworzyli podobny korpus jak w Tebach?

Kreda nerwowo wytarł ręce w spodnie, zostawiając na nich białe smugi.

Pół mojej grupy zamarło w oczekiwaniu. Reszta usiłowała stłumić chichot na widok rumieńca Kredy. Słynny korpus tebański złożony był z samych homoseksualistów, i kochanków w dodatku.

– To nie dotyczy Panmunjom – zapiszczał i zaczął nerwowo pisać na tablicy. Daty mu wychodziły nie takie, jak powinny, bo do końca zajęć nie obracał się, by zajrzeć do swojego kajeciku. Rzut oka na salę oznaczał spojrzenie na bliźniaków, którzy mogli domagać się odpowiedzi na pytanie. No, ale to nie nasza wina, że cała jego wiedza znajdowała się nie w głowie, a w notatniku.

– Panie doktorze... – zaczął drugi z bliźniaków.

– Słucham – warknął Kreda, obracając się wreszcie.

– Ma pan doktor kredę na spodniach – uprzejmie zawiadomił bliźniak.

Kreda spojrział na swoje spodnie, zaczerwienił się, po czym rzucił:

– Koniec zajęć. – I wypadł z sali.

Bliźniacy byli splakani.

– Zapomniał o swoim kajeciku. Może mu oddamy?

– Ale nie musimy się z tym spieszyć – zaproponował drugi.

– Fakt, nie musimy – zgodził się z nim pierwszy. I zgodnie zarechotali.

Do domu dotarłam w znakomitym humorze.

W czwartek chodziłam z szerokim uśmiechem na twarzy, przypominając sobie pandemonium dnia poprzedniego. Życie jest piękne.

Tydzień później w piątek dowiedziałam się, że jadę do Chorwacji. W poniedziałek. Z czterdziestoma pięcioma uczniami naszej szkoły.

Niech to szlag!

Tłumaczyłam mojej kochanej pani dyrektor, że niestety nie mogę, bo mam zajęcia na uniwersytecie, niedługo zaczną wpisywać zaliczenia itd. Nie dotarło. Oświadczyła, że nauczyciel pracujący w jej szkole musi być dyspozycyjny dwadzieścia cztery godziny na dobę. I że jadę w poniedziałek. Punkt szósta rano.

Naprawdę nie mam nic przeciwko wyjazdom zagranicznym, ale muszą być spełnione pewne warunki. Nie mogę czuć sesji na karku. Jadę sama lub ze znajomymi, a nie w charakterze opiekunki rozwodzonych bachorów (a tylko takie stać na wycieczki zagraniczne). I jadę tam, gdzie sama chcę, a nie tam, gdzie mi kaza.

Wcześniej zdążyłam zaliczyć jedną zorganizowaną wycieczkę zagraniczną. Z Emilką pojechałam do Norwegii w ramach prezentu od naszych rodziców za zdany licencjat. Program był bardzo fajny, pilot starał się, żeby zadowolić towarzystwo, większość grupy bardzo sympatyczna, ale... zawsze musi pojawić się jakieś „ale”. W tym wypadku była to upiorna baba, która zajęła miejsce na siedzeniach obok. Emilka, na moje nieszczęście, siedziała z tyłu i rozdzielał nas pan, którego nazwałyśmy „Pomiędzy”. Panu nic się nie podobało. Ani piękna trasa, ani park rozrywki, gdzie nas zabrano, ani wyspy, ani jeziora, ani fiordy. Wszystko było nie tak. Mnie to aż tak bardzo nie przeszkadzało, bo gdy pan się uaktywniał, wyciągałam mp3 i puszczałam Wagnera, który dość skutecznie narzekania zagłuszał. Niestety Emilka nie przewidziała pana i takowego sprzętu nie zabrała.

Nie zastanawiałam się więc, czy Emilka wybuchnie. Pytanie brzmiało: kiedy.

Jak okazało się już drugiego dnia, pani obok mnie (obdarzona przez nas uroczą ksywką „Roztocz” z racji tego, że działała na mnie tak jak te stworzonka) postanowiła się przyłączyć. Pani nie podobało się odkrywanie dzikiej Norwegii (była wycieczka ekstra do wodospadów) i brak wycieczki do skoczni narciarskiej (nie było w programie). Poza tym w zasadzie to pilot nie był potrzebny, bo „Roztocz” z mapą w ręce pilnowała drogi i cały czas marudziła, że kierowcy jadą: źle, niebezpiecznie, za wolno, za szybko, błędzą, zmierzają prosto do celu. W zasadzie nie dziwię się, że w wyniku jej marudzenia panowie w końcu wkurzyli się i wyłączyli ogrzewanie (akurat przekraczaliśmy koło podbiegunowe), a włączyli klimę, bo pani było za gorąco. Uczestnicy wycieczki pozawijali się w koce, kurtki i polary, ale i tak w autokarze panowało wściekle zimno. Pan „Pomiędzy” bezskutecznie interweniował u kierowców – ci go olali i dopiero po kolejnej interwencji dziewczyny z samego końca łaskawie wyłączyli klimę i w końcu włączyli ogrzewanie. Doprowadziło to tylko do kolejnej wiązanki złorzeczeń ze strony pani.

W tym momencie nie wytrzymała Emilka, która oznajmiła, że przyjechała odpocząć po ciężkim roku, a nie wysłuchiwać czyjegoś marudzenia. Stwierdziła, że skoro pani jest tak ciepło, to ona bardzo chętnie się z nią zamieni na miejsca. Pani z wielką łaską postanowiła się przesiąść (no bo przecież płaciła tyle, że powinniśmy ją z wdzięczności, że z nami jedzie, całować po tyłku i słać pod nogi płatki kwiatów). Zdążyłam tylko jeszcze usłyszeć, że to wina pilota, który jest śliski jak jaszczurka (myślałam zawsze, że jaszczurki to płazy) i zapanowała błoga cisza. Później przód autokaru był jej wdzięczny, tył natomiast wcale... co mnie bynajmniej nie zdziwiło.

Skoro tak to wyglądało na wycieczce, gdzie byłam klientem, to jak może być na szkolnej? Obawiam się, że tylko gorzej. Jedyny jasny punkt wyjazdu jest taki, że jadą nauczyciele, których lubię. No i to urlop od dyrektorki.

Na szczęście przed wyjazdem czekało mnie jeszcze coś miłego. Babski u Em.

Spotkałyśmy się we trzy, żeby się wyżalić, pochwalić i ewentualnie upić. Tematem numer jeden byli faceci, tematem numer dwa nasi faceci i w końcu tematem numer trzy byli również faceci. Po wyczerpaniu tematyki płci brzydkiej zabrałyśmy się za Munchkina. Grało nam się bardzo dobrze, do momentu, gdy usłyszałam przeraźliwe chrapanie.

– Głośnych masz sąsiadów – skomentowałam.

Przerwałyśmy na chwilę i zaczęłyśmy nasłuchiwać. Dziwne było to, że dźwięk jak gdyby nie dochodził ani z góry, ani z dołu, tylko jakby z korytarza...

Rzuciłyśmy się do drzwi wyjściowych. Rzeczywiście upiorne chrapanie

najwyraźniej docierało właśnie z za nich. Chwilę zabrała nam debata: otworzyć drzwi i zajrzeć na korytarz czy zostawić chrapiącego osobnika w spokoju? W końcu stwierdziłyśmy, że można wyjrzeć sprawdzić, czy to nie jakiś sąsiad Em trafił na nie swoje piętro. Wyjrzałyśmy, ale nie było nic widać z powodu panujących egipskich ciemności. Em zaryzykowała włączenie światła, rzuciła okiem na śpiącego i szybko się wycofała, stwierdzając, że nie zna faceta.

Nastąpiła dyskusja, co dalej. Obcy albo gość sąsiadów, który wyszedł na chwilę na korytarz i zasnął. Dobrze by było wypytać u źródła, ale oznaczało to wyjście na korytarz i przejście obok chrapiącego dalej nieznanego. W końcu Aga powzięła męską decyzję o próbie kontaktu z sąsiadami. Em chwyciła za miotłę.

– A po co ci ona? – zdziwiłam się.

– Jak to: po co? – oburzyła się Emilka. – Będę asekurować Agę. Jak się obudzi, to walnę w łeb, by sobie znów odpoczął.

– Oby tylko nie wiecznie – zasugerowałam.

Wyszły, a ja zostałam w drzwiach. Emilka uważnie obserwowała śpiącego nieznanego, gotowa w każdej chwili użyć broni. Sąsiedzi na szczęście jeszcze nie spali, rzucili okiem na chrapiącego i stanowczo zaprzeczyli znajomości. Dziewczyny szybko wycofały się do mieszkania i zablokowały drzwi.

Nastąpiła kolejna burza mózgów. Co zrobić dalej z chrapiącym kłopotem? Zostawić czy zawiadomić odpowiednie służby, by zrobiły z nim porządek? Co, jeśli się obudzi i zaatakuje, jak będziemy wychodzić? Może to jakiś zboczeniec?

W końcu Emilka zadzwoniła na straż miejską, a straż miejska po policję. Nasze zgłoszenie brzmiało trochę niepoważnie, pewnie dlatego, że zaczynało się od „bo ktoś mi na korytarzu chrapie”, ale panowie policjanci pojawili się niezwykle szybko.

– Nieźle – powiedziała z uznaniem Emilka. Wszystkie rzuciłyśmy się w stronę drzwi, żeby podsłuchać ciąg dalszy akcji. Gliniarze się nie patyczkowali.

– Wstawaj, idziemy.

Chrapanie ustało, nastąpił niewyraźny pomruk i szuranie. I za chwilę...

– Ale zostaw ludziom wycieraczki.

Popatrzyłyśmy na siebie. Widocznie pan chrapiący ułożył się na wycieraczkach Emilki i jej sąsiadów, a zbudzony, zamierzał zabrać swoje posłanie ze sobą. Gdy w końcu na korytarzu zapadła cisza, nie wytrzymałyśmy i zaczęłyśmy pokładać się ze śmiechu. Na zakończenie po wypiciu trzech lub czterech drinków wszystkie zgodnie doszłyśmy do wniosku, że mężczyźni, nawet obcy, powodują problemy, ale niestety bez nich żyć się nie da.

W tym momencie pojawił się mój prywatny problem i zabrał mnie do siebie, bym kacem nie raziła siostry. I to była moja ostatnia w miarę trzeźwa myśl.

Obudziłam się około dziesiątej. Paweł czekał z wrednym uśmiechem na twarzy i klinem. Wypiłam, co miałam, i po trzydziestu minutach poczułam się jak człowiek. Paweł zawiadomił mnie, że otrzymał odpowiedź z lokalnego muzeum. Wspomniani panowie nie figurują w żadnych spisach, dokumentach lub księgach. Zarówno jako osoby żyjące, jak i po śmierci. Nie są też im znane żadne dokumenty dotyczące dochodzenia.

Nie mogłam się rozkoszować niedzielą, jak to miałam wcześniej w planach, bo musiałam jechać się spakować. Paweł nie był zachwycony i oświadczył, że utopi babsko. Poprosiłam tylko, by zrobił to w jak najbardziej śmierdzącej wodzie, może w tym celu użyć ścieków. Albo odpadów z toi toia. Potem zaczął coś na temat upartych kobiet, które zawsze chcą postawić na swoim. Obawiam się, że tym razem chodziło mu o mnie! Na pożegnanie obiecał, że wpadnie nazajutrz, by odwiedzić mnie do szkoły. O piątej trzydzieści. Auć.

Rankiem w poniedziałek rozpoczęła się droga przez mękę. Nie wyjechaliśmy o szóstej. Kierownik wycieczki zapomniał zawiadomić policję o spodziewanym wyjeździe i funkcjonariusze nie przyjechali sprawdzić autokaru. Rozpoczęła się kołomyjka. Gliniarze obiecali, że jak się wyrobią, to będą za jakieś dwie godziny. W tym czasie zdążyliśmy sprawdzić dzieciakom paszporty lub tymczasowe dowody osobiste, które były niezbędne do przekroczenia granicy. Podjechał autokar, na widok którego zrobiło mi się trochę słabo. Stary, rozklekotany jelcz bez klimatyzacji, toalety i telewizora. Oszalejemy z nimi w czasie tej podróży! Uczniowie zaczęli oczywiście się burzyć, że nie płacili za złom.

O dziewiątej nareszcie pojawili się gliniarze. Autobus został sprawdzony; nie nadawał się do wyjazdu. Następny przyjechał o dwunastej – w trochę lepszym stanie. I z telewizorem, aczkolwiek bez sprawnej toalety. Znów czekaliśmy na gliniarzy.

O piętnastej wyruszyliśmy. Mieliśmy, bagatela, dziewięć godzin spóźnienia. Wiedeń, który figurował w programie wycieczki, zobaczyliśmy nocą. Uczniów szlag trafił i głośno się awanturowali. Byli wściekli już od granicy czesko-austriackiej, gdzie mieliśmy postój. Powód – konfiskata pięciu butelek whisky. Od północy na zmianę darli się „Panie szofer gazu, bo pół litra jest w garażu”. Nie zmrużyłam oka.

Razem z anglistką Aśką zastanawialiśmy się nad doborem nauczycieli. Ona, darmowy tłumacz, prócz angielskiego skończyła chorwacki. Ja – darmowy przewodnik. Biolog Mareczek – facet trzymający wszystko mocną ręką. Polonistka Iwonka – wtyczka pani D. Prócz tego pilotka – ofiara losu, która nie umiała niczego załatwić, kwintesencja kawałów o blondynkach. Na imię miała Beata, ale nadałyśmy jej ksywę Tweety. Jako przeciwieństwo, ma się rozumieć. Na szczęście kierowcy byli fajni. I to oni załatwiali wszystko, co trzeba. Dobrze, że nie musieliśmy przechodzić żadnej kontroli granicznej, bo to na pewno byłoby ponad

jej możliwości.

Po upiornej nocy dojechaliśmy do Lublany, zwiedziliśmy miasto z naszą utyskującą młodzieżą – „Jezu, co za zadupie!” – a następnie ruszyliśmy w stronę jaskini Postojnej. Tam już utyskiwania ucichły, bo jaskinia im się podobała.

Szkoda, że nie pojechałam na tę imprezę dla przyjemności. Zamiast podziwiać widoki lub plotkować o pierdołach z Aśką, zakuwałam do egzaminu. Historia powszechna do 1945. Egzaminator nawet w połowie nie tak upierdliwy jak Kazio, ale nauczyć się trzeba. Zwłaszcza że egzamin za dwa tygodnie, bo potem wyjeżdża do Stanów i wraca we wrześniu. A ja zdecydowanie nie chciałam mieć kampanii wrześniowej. Życie zaserwowało mi zestaw Bałkany + uczniowie + Czubiński (podręcznik). Kiedy czytałam o przebiegu wojny w Indochinach, podszedł do mnie uczeń z pierwszej klasy. Coś zjadł i się zatrzał. Potrzebował przerwy. Poleciałam do kierowców, żeby się zatrzymali. Nie mogli, bo akurat jechali serpentynami. Najbliższy postój za jakieś pół godziny. Posadziłam ucznia koło siebie i podałam woreczek, radząc, żeby sobie rzygnął. Skorzystał ze wskazówki. Odebrałam woreczek z zawartością, zaszantażowałam kierowców, by otworzyli w biegu drzwi (a jak pięknie i zaleje tapicerkę?) i wyrzuciłam niespodziankę w las. A potem spokojnie wróciłam do Czubińskiego.

Do hotelu dotarliśmy około osiemnastej. Rozlokowałyśmy uczniów i zapowiedziałyśmy kolację. Myślałam, że po posiłku pójdę spać, ale koleżanki i kolega szybko wyprowadzili mnie z błędu. Uczniowie chcieli skorzystać z basenu i siłowni. Część miała zamiar wyjść na miasto w poszukiwaniu kartek. Losowaliśmy, bo żadnemu z nas nie chciało się wychodzić z hotelu, zwłaszcza że zaczęło lać. Mareczek z Iwonką wyszli na miasto z częścią młodzieży, Aśka poszła ze swoją grupą i kartkówkami na siłownię, a ja z podręcznikiem – na basen. Było mi tam bardzo fajnie. Siedziałam sobie w dresiku na wygodnym fotelu, dostarczonym przez obsługę, i czytałam, od czasu do czasu zerkając na uczniów. W zasadzie się nie przejmowałam, bo był tam jeszcze ratownik. Niestety, kiedy na chwilę zniknął, dwóch idiotów zaczęło topić trzeciego. Nie reagowali na moje wrzaski, więc musiałam interweniować, bo dzieciak robił się siny. W dresie wskoczyłam do basenu, przyłożyłam jednemu i drugiemu idiocie, a potem wyciągnęłam młodego na powietrze. Odholowałam do brzegu basenu i wyszłam z wody. W tym momencie zmaterializował się ratownik, który drwiąco się uśmiechnął na mój widok.

Nie wytrzymałam! Posłałam po Aśkę, żeby tłumaczyła. Następnie na niego nawrzeszczałam, wyrzucając kolejno bezmyślność i zaniechanie obowiązków. Później poszłam w mokrym dresie i mlaszczących skarpetkach do recepcji złożyć oficjalną skargę. Oczywiście wcześniej wyrzuciłam wszystkich z basenu i kazałam

iść do pokoiów. Byli pod takim wrażeniem mojej utarczki z dupkiem w slipkach, że posłuchali bez słowa. Dwóch topiących było zaś pod wrażeniem mojego prawego sierpowego (dzięki ci, Pawle!). Masując szczęki, grzecznie przeprosili, okazali skruchę i poszli za innymi. No cóż, ten, kto wymyślił wychowanie bezstresowe, jest idiotą. I pomyśleć, że nigdy nie byłam zwolenniczką rozwiązań siłowych.

Po gorącym prysznicu i przebraniu się w suche ciuchy zorientowałam się, że jest już dziesiąta. Najwyższy czas położyć wycieczkowiczów spać, żeby i samemu móc się położyć.

Błąd. Dzieci poszły grzecznie spać, zmęczone podróżą, ale nam opiekunom nie było to dane. Dyżurowaliśmy wszyscy do drugiej, a od drugiej zmienialiśmy się co godzinę. Mój dyżur wypadał od czwartej do piątej. O szóstej obudzili nas uczniowie. Pora na śniadanie i wyjazd. Park narodowy Plitwickie Jeziora. Kilka kilometrów spacerku. Byłam przekonana, że po drodze zasnę i utopię się w tych jeziorach! Bo nie wyśpię się przecież w autokarze. Dzieciaki po przespanej całej nocy odzyskały dawną werwę i znów zaczęły szaleć, a ja byłam tak padnięta, że nawet nie miałam siły zajrzeć do podręcznika.

Jeziora były naprawdę warte obejrzenia. Woda idealnie czysta, o zielonkawym kolorze. Nasi uczniowie (o dziwo!) nie próbowali do niej wchodzić, a na kładkach wygłupiać się. Dwóch idiotów z dumą prezentowało siniaki na szczęce za każdym razem, jak ktoś chciał zrobić coś głupiego. No cóż, dorobiłam się renomy. Co prawda niezupełnie takiej, o jaką mi chodziło, ale akurat na tej imprezie taka nie zaszkodzi. Nawet Mareczek popatrzył na mnie z podziwem. Niestety cały efekt został zepsuty, gdy dodał, że będę miała przechłapanie u dyrekcji, jeśli się dowie. No i rodzice mogą na policji złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Bo tak jakby pobiłam uczniów. Ale „jeśli” to bardzo ładne słowo, prawda? Dwóch idiotów teraz darzy mnie podziwem, więc nie naskarżą, topiony jest pod wrażeniem uratowania mu życia, więc złożył dożywotnie śluby wdzięczności i poddaństwa. Reszta grupy uznała, że jestem kobietą niebezpieczną, agresywną, wygadaną i lepiej mi się nie narażać. Oczywiście wszystko to w jak najbardziej pozytywnym sensie.

Po przyjeździe do hotelu poszliśmy z dziećmi na plażę, nakarmiliśmy i po dyskotecce położyliśmy spać. Nas czekały, naturalnie, obowiązkowe dyżury na korytarzu!

Następny dzień był słoneczny. Nie mogłam się nim jednak cieszyć, bo byłam jeszcze bardziej nieprzytomna niż wcześniej. Spałam zaledwie jakąś godzinę. Tym razem położyliśmy się o czwartej. Powód – balangi w różnych pokojach. Jak w jednym po interwencji się uspokoiło, to w innym zaczęli. Tylko w pokoju

idiotów było cicho. Tweety o drugiej w nocy zrobiła awanturę, że ona jest w pracy i na dzień następny musi być przytomna, by wszystko pozałatwiać. Wszystko, czyli przewodnika. I żebyśmy coś z bachorami zrobili. A najlepiej, żebyśmy wcale nie spali. My przecież nie musimy być przytomni. Jesteśmy tu dla przyjemności. Już zamierzałam się do prawego sierpowego, ale zostałam spacyfikowana przez Marczyka. Obiecał zemstę w bardziej delikatnym stylu. Po jego obietnicy, że lepiej zajmiemy się nocnymi odgłosami, obrażona Tweety poszła spać. My nie. Kiedy się zorientowałam, że potworki komunikują się przez komórki, skonfiskowałam wszystkie. Uzbierała się tego cała reklamówka. No i wreszcie zapanowała błoga cisza.

Rankiem, wyglądając jak wampiry na co najmniej rocznym poście, wgramoliliśmy się do autobusu. I pojechaliśmy do Trogiru i Splitu. Po opuszczeniu drugiego miasta i naszego pożal się Boże przewodnika, zaczęłam prostować wszystkie jego błędy i pomyłki. Urządziłam półgodzinny wykład, podczas którego grupa siedziała z otwartymi buziami. Gdy zakończyłam, jeden z uczniów postanowił się odezwać:

– Dlaczego pan przewodnik tak nie mówił?

– Bo do tego trzeba wiedzieć coś więcej, niż piszą w przewodnikach – podsumowałam i skończyłam wywód.

Mój cień po chwili wpatrywania się we mnie z uwielbieniem, stwierdził:

– Pani to ma gadane.

Następnym punktem programu był odpoczynek przy wodospadach na rzece Krka. Chwila relaksu dla nas i uczniów. Oczywiście bilety znów załatwiała Aśka. Tweety była zbyt niewyspana i postanowiła się zdrzemnąć w autobusie. Zaznaczyła, by hałastrą nie wracała do autokaru przed upływem trzech godzin. Popatrzyłam tylko na nią, spojrzałam na uczniów i uśmiechnęłam się. Trzy godziny to całkiem sporo czasu, by obmyślić rewanz.

Zatrzymaliśmy się przy najwyższym wodospadzie, gdzie było najwięcej miejsc dla dzieciaków, i daliśmy im wymarzony czas prawie wolny. Następnie siedliśmy na ręcznikach przy wodospadzie i doglądając, by nikt się nie utopił w płytkiej wodzie, rozpoczęliśmy naradę wojenną. Co do jednej rzeczy byliśmy zgodni. Plan należało przeprowadzić jeszcze tego dnia. Następnego byłoby to niemożliwe z powodu zbyt późnego powrotu z Dubrownika. I koniecznie trzeba było podpuścić uczniów! Na pewno będą chętni, a da im to przynajmniej jakieś zajęcie i może w nocy będzie cisza. Co do Tweety... skoro tak bardzo jest zmęczona, to niech będzie jeszcze bardziej. My i tak się nie wyśpimy, dlaczego ona ma się mieć lepiej? W końcu i my, i ona jesteśmy w pracy. I dobrze by było, by



w końcu zapracowała na swoją pensję.

Rozpoczęliśmy operację „Tweety”. Kierowcy z dzikim chichotem postanowili się przyłączyć. Co piętnaście minut wysyłaliśmy do autokaru uczniów; jeden obdarł sobie trochę nogę, gdy przewrócił się na kamienie. Odprowadziłam go do pojazdu z grupką jego najbardziej rozwrzeszczanych kolegów. Tweety miała na dobre po spaniu.

Gdy dojechaliśmy do hotelu, było już późno, ale postanowiliśmy zrobić dyskotekę. Właściciele hotelu nie mieli nic przeciwko. Dzieci mogą się bawić, jak długo chcą. By pogodzić wszystkie gusty, do drugiej w nocy puszczałyśmy na zmianę rock i techno. Najgłośniej jak się dało. Ostrzeżeni przez nas kierowcy poszli spać do autokaru. O drugiej wściekła Tweety zapowiedziała koniec imprezy. Ciekawie wyglądała w bamboszkach w kształcie króliczków.

Od drugiej do szóstej pukaliśmy do jej pokoju co kilkanaście minut. Czy ma: tabletki na ból głowy, krople żołądkowe, bandaż, podpaski, tampony, wodę utlenioną, polisę ubezpieczeniową, bo zdaje się, że jeden z uczniów gorzej się poczuł, jakąś muzykę relaksacyjną na bezsenność, a może jednak coś na uspokojenie i sen. Potrzebne nam również były: nici, agrafka, książka o Chorwacji, rozmówki polsko-chorwackie... Jeden z uczniów nawet zapytał o prezerwatywy, jak się później dowiedziałam. Oczywiście nikt nigdy nie pukał dwa razy. I tak aż do pobudki. O szóstej miło było na nią popatrzeć. My daliśmy radę pospać po trzy godziny, bo dyżurowała tylko jedna osoba, a uczniowie zajęci byli dręczeniem Tweety.

O siódmej już siedzieliśmy w autokarze, który kierował się do Dubrownika. Po siedmiu godzinach byliśmy na miejscu. Zdążyłam się nawet dodatkowo przespać. Uczniowie byli miłośni. Zamiast do nas, latali do Tweety, nie pozwalając jej na drzemkę. Kiedy się obudziłam, stwierdziłam, że jest pierwsza po południu. Spałam pięć godzin. I nareszcie czułam się jak człowiek! Obiecałam sobie jedno. Jak wrócę z tej koszmarnej wycieczki, to idę na L4. Żeby odespać, odstresować się i nauczyć na egzamin. Jak na razie nie byłam w stanie skupić się na książce. Na dodatek mój cień zajął miejsce obok mnie. Po pierwsze, by nikt mnie nie budził. Po drugie, by się mógł we mnie wpatrywać. To drugie zaobserwowałam już sama.

Moje rozważania przerwało pojawienie się Dubrownika na horyzoncie. Naprawdę warto było znosić ból pewnych części ciała spowodowany zbyt długim siedzeniem, by tu dotrzeć!

Miasto było białe, z czerwonymi dachami i wąziutkimi uliczkami. Pełne zakamarków idealnych do myszkowania, otoczone grubymi murami obronnymi, które zachowały się w całości, wypełnione pałacami, kościołami, rzeźbami i malutkimi knajpkami. Raj. Coś dla oka, coś dla ucha i coś dla brzucha! Na dodatek przewodnik okazał się kompetentny.

Gdy po pięciu godzinach opuszczaliśmy miasto, byłam pod wrażeniem. Kalmarów, zabytków miasta i atmosfery tam panującej. Zasadniczo do Dubrownika chciałabym jeszcze wrócić. Popatrzyłam na Tweety. Zmusiliśmy ją do rejsu, pomimo jej zapewnień o chorobie morskiej. Efekt był taki, że do tej chwili jej twarz miała kolor zielonkawy. A dzieciaki jeszcze złośliwie częstowały ją różnymi żyjątkami z oczkami. Ciekawa jestem, ile razy odwiedziła kibelek. Raz nie zdążyła i śniadanko wylądowało na jej spódnicy. Czuliśmy się już usatysfakcjonowani. Postanowiliśmy dać jej spokój.

Niestety, pomimo naszych dobrych chęci okazało się to niemożliwe. O pierwszej w nocy dojechaliśmy, padnięci i obolali, do hotelu. Miałam ochotę na wszystko, tylko nie na dyżur, więc postanowiłam wziąć prysznic. Weszłam do pokoju, który dzieliłam z Aśką, i wrzasnęłam. Po podłodze chodziły czarne paskudztwa. Karaluchy. Zwierzątka schowały się pod moją walizką, która stała na środku pokoju. Nie gasząc światła, wielkim głosem zawołałam Aśkę, która miała cyfrówkę. Wbiegła do pokoju razem z Iwonką i Mareczkiem.

– Czego się drzesz? – zażądał informacji.

Postanowiłam nie tłumaczyć, tylko zademonstrować. Wzięłam aparat Aśki, ustawiłam, co trzeba, i poprosiłam Marka:

– Podnieś moją walizkę.

Był zdziwiony, ale posłuchał. W tym momencie zdarzyło się kilka rzeczy. Zwierzątka rozpoczęły bieg ku szafie, moje koleżanki wydały z siebie wściekły wrzask i wskoczyły na łóżko. Łóżko nie wytrzymało podwójnego ataku i się pod nimi załamało. Mareczek z wrażenia puścił moją walizkę, ja zaś zrobiłam temu zdjęcie! W tej samej chwili rozległo się dzikie walenie do naszych drzwi. Za nimi stała grupa płakanych dziewcząt.

– Proszę pani, w naszym pokoju są insekty!

– W moim też – poinformowałam. Natychmiast postanowiłam zapanować nad sytuacją. – Obudzicie chłopców – poleciłam – niech je mordują. Ja idę po pilotkę.

Natychmiast ruszyłam z Aśką do Tweety. W naszym pokoju Mareczek, wykorzystując męski instynkt łowiecki, mordował karaluchy glanem.

Po chwili walenia wściekła Tweety otworzyła drzwi.

– Czego? – warknęła.

– Mamy problem... – zaczęłam. Nie pozwoliła mi skończyć.

– Nie obchodzi mnie. Chcę spać – oświadczyła. – Cokolwiek to jest, musi poczekać do rana.

Zaczęła zamykać drzwi. Nie doceniła mnie. Wychowana na amerykańskich filmach, zdążyłam włożyć stopę pomiędzy drzwi i framugę. Zabolalo.

– Mnie obchodzi i to nie będzie czekać do rana. W pokojach jest robactwo!

- Co?
- Karaluchy łażą. I masz z tym coś zrobić.
- Ja?

Jej zdumienie było niebotyczne.

– A kto jest pilotem? To nie należy do naszych obowiązków, tylko do twoich. Idź do recepcji i to załatw albo po powrocie do kraju ja to załatwię! Razem ze wściekłymi rodzicami, którzy za wycieczkę zapłacili kupę kasy!

– No po co tak ostro? – spróbowała się uśmiechnąć. – Już idę.

Następne dwie godziny minęły na wyklócaniu się z wściekłym kierownictwem hotelu. Wściekłym, bo obudzonym z powodu takiej pierdoły. Bo według kierownika karaluchy zawsze były i zawsze będą, nawet wybuch bomby atomowej przetrwają. Nie ma się czym przejmować. I to zresztą nie jego sprawa, bo nie jego karaluchy.

Udało mi się przy pomocy Tweety (tłumaczyła) zamienić pokoje na niezamieszkałe przez dzikich lokatorów. W drugim budynku. O wyższym, jak się okazało, standardzie. Nie przyznałyśmy się, oczywiście, do zniszczenia łóżka. Według mnie to nam coś się należało za straty moralne i psychiczne.

Reszta nocy minęła spokojnie, nie licząc mojej akcji u chłopców. Coś im się poprzestawiało i o piątej nad ranem urządzili sobie konklawe. Weszłam akurat gdy w oknie wystawili Grzesia i intonowali: „Habemus papam! Dominum Gregorius Sanctæ Romanæ Ecclesiæ Cardinalem Jarząbek”! Zwróciłam chłopcom uwagę na niestosowność ich postępowania, które może urazić czyjeś uczucia religijne, i dokonałam szybkiej ewakuacji, by nie zepsuć efektu wykładu chichotem na wspomnienie Grzesia, a przede wszystkim ich min.

Następnego dnia wyjeżdżaliśmy tuż po śniadanku. Uśmiechnęłam się, widząc, że wszyscy biorą tylko hermetycznie zamknięte pożywienie. Kiedy zamykaliśmy drzwi autokaru, wyleciał wściekły kierownik hotelu, domagając się odszkodowania za zepsute łóżko. Pokiwałam palcem na Tweety.

– Tłumacz – rzuciłam i zwróciłam się do kierownika hotelu, uśmiechając się słodko: – Gdyby nie było karaluchów, nie byłoby zniszczonego łóżka. Proszę je winić. Widocznie żywią się drewnem. A tak poza tym, to nie moja sprawa, bo to nie moje łóżko. Zresztą może pan sam je zniszczył, żeby nas jeszcze bardziej pognębić i zrujnować nasz pobyt!

To powiedziawszy, poleciłam kierowcy zamknąć drzwi i ruszać. Na pożegnanie pomachałam wraz z dziećmi wygrażającemu pięścią kierownikowi i zebrałam należne mi brawa.

Po pięciu godzinach dojechaliśmy do Zagrzebia. Kilka godzin spacerowaliśmy po tym starym i ładnym mieście, przy czym znów doszło do pewnego incydentu. Uczennicę hipochondryczkę rozboleł brzuch, więc

zabarykadowała się w restauracyjnej toalecie i stwierdziła, że nie wyjdzie. Wystraszyła przyjaciółkę, która przybiegła do nas z prośbą o odsiecz. Zmęczona Aśka pobiegła do toalety, wrzeszcząc, że Kasia ma natychmiast wyjść. Jej krzyki naprawdę musiały być przenikliwe, bo aż się kelnerzy z góry zlecieli i pytali, czy wszystko aby w porządku. Aśka, w bojowym szale, odesłała ich z powrotem na górę, a następnie zagroziła, że jeśli Kasia natychmiast nie wciągnie majtów i nie wyjdzie, to ją pani Mężyk (czyli ja) za włosy z tej toalety wytarga. Po zejściu na basenie groźba została potraktowana z należytych respektami: uczennica odbarykadowała się i wyszła. Już bez dalszych przeszkód udaliśmy się w stronę granicy i naszego hotelu na Słowenii.

Następnego dnia postanowiliśmy wyjechać dwie godziny wcześniej i zobaczyć jeszcze Wiedeń. Według moich obliczeń we Wrocławiu powinniśmy być około dwudziestej drugiej. I zrealizowalibyśmy cały program.

Dotarliśmy o trzeciej nad ranem. Bylibyśmy punktualnie, ale niestety nie przewidzieliśmy zapalenia się autokaru tuż przed polską granicą. Ledwie zatrzymaliśmy się na parkingu, już podjechała straż pożarna, by nas gasić. I policja, by spisać protokół. Niestety nijak nie umieliśmy się z Czechami dogadać. My czeskiego ni w ząb (Tweety znała chorwacki), oni ani po polsku, co nie dziwi, ani też po angielsku. Chwilę trwało, nim ściągnęli kogoś, z kim moglibyśmy się porozumieć. Następnie nasi kierowcy dzwonili po autokar do Polski. Dojechał przed dwunastą. Szczęście w nieszczęściu, na parkingu znajdował się McDonald's, co znacznie uspokoiło naszą młodzież. Po powrocie czekali na nas wściekli rodzice, którzy od kilku godzin wyglądali swoich pociech. Te osoby, których opiekunowie byli nieobecni, musieliśmy rozwieźć do domów.

Kiedy w poniedziałkowy rano oddałam się w ręce Pawła, byłam ruiną człowieka. No bo ile złych rzeczy może zdarzyć się przez tydzień? Zapewniam, że bardzo wiele! Przed udaniem się w objęcia Morfeusza poprosiłam tylko Pawła, by zadzwonił po lekarza. Miałam zamiar wysepić tydzień L4, symulując chorobę. Wyczerpania symulować nie musiałam.

Jak się okazało, choroby również. Czesi zafundowali mi w Macu zatrucie żołądkowe. Albo była to zemsta Tweety! Nie ma to jak udany koniec uroczego tygodnia!

Tydzień po wycieczce minął mi pod znakiem intensywnego odpoczynku, spania i nauki do egzaminów. Gdy nie czytałam o Piłsudskim, to o Hitlerze. Gdy zostawiłam Hitlera, wkuwałam angielski. I tak w koło Macieju. By mieć warunki, przeniosłam się znów do Pawła. W domu przy mamusi i Andrii umysłowa aktywność byłaby w znacznej mierze utrudniona.

W środę wraz z Em szukałyśmy sukienek na ślub Ewy, gdzie Em miała być świadkiem. W kościele (chodziło o pośpiech i w miarę atrakcyjny wygląd panny młodej na własnym ślubie) również udało się wszystko szybko załatwić. Nie ma to jak kasa! Tak więc na ślub Ewy wybieram się w połowie lipca. Później Rafał z Adasiem zamierzają otworzyć własną firmę. Problemu wielkiego mieć nie będą, bo starzy dziani. Ponieważ obaj mają bzika na punkcie komputerów, nietrudno zgadnąć, jakie będzie ich przyszłe pole działalności. Co prawda obaj też lubią historię, ale z samej historii wyżyć się nie da, więc od trzech lat obaj ciągną dwa kierunki: historię i programowanie na politechnice. Dziewczyna Adama kończy bankowość i zarządzanie w tym roku i będzie im prowadzić księgi. Ewa stwierdziła więc, że może sobie pozwolić na luksus pracy w szkole. Mąż będzie ją utrzymywał. Oczywiście tłumaczyłam, że praca nauczyciela, broń Boże, żadnym luksusem nie jest, ale kto słucha Julii?

Na dodatek Emilka zaczęła sugerować, bym przy okazji zaczęła rozglądać się za własną suknią ślubną. Niestety przy swoim Rafale, w związku z czym bardzo szybko dowiedział się o tym Paweł i ją poparł. W ramach zemsty wieczorami zaczęłam czytać *Malwinę*, co skutkowało moim niemal natychmiastowym zasypianiem. W ogóle ostatnio jakaś się senna zrobiłam. To chyba jeszcze ta Chorwacja!

W czwartek leżałam w łóżku, usiłując przetrwać następane zdania z książki.

*Ledwo skończyła te wszystkie środki ostrożności i tylko co obie siostry*

*usiadły były znów do krosienek, alić burza niesłychana miotająca z szelestem ogromnymi topolami koło domu, deszcz kroplisty bijący w okna i grzmoty po całej rozlegającej się krainie strachem przejęły trwożliwe serce Wandy. Malwina nawet, która zwykle grzmotów się nie bała, okropnością jakąś przejęta wstała była dla dania rozkazu, żeby drzwi i okna wszędzie pozamykano, gdy w ten moment taki okropny trzask piorunu dał się słyszeć, iż nie można było wątpić, że w sam dom lub przynajmniej bardzo gdzieś blisko uderzył.*

Niestrawne bardziej niż pamiętnik Agnety. Już zasypiałam, gdy nagle z książki wypadła złożona kartka papieru. Senność natychmiast odeszła. Kartka była zrobiona z dość grubego papieru, złożona na trzy i zamknięta pieczęcią. Natychmiast sobie uświadomiłam, że to nie jakaś zwyczajna kartka, ale nieotwarty list. Stary, biorąc pod uwagę stopień żółknięcia papieru. Nieotwarty, więc nieprzeczytany. Ciekawe dlaczego? I od kogo? Biłam się z myślami. Otworzyć? Nie otworzyć? Postanowiłam poczekać na mojego mężczyznę. W końcu znalazłam to pomiędzy jego szpargałami. Tymczasem zaczęłam analizować herb, o ile można to coś nazwać herbem. Okrąg, w okrąg wpisany trójkąt. A w trójkąt litery „IS”. Dziwne. Brak jakichkolwiek symboli, zwierząt... Położyłam list na stoliku nocnym i rozpoczęłam czuwanie.

Obudziłam się rano. Paweł wrócił o godzinie niewiadomej i o niewiadomej dom opuścił. Ponieważ w następnym tygodniu kończył pracę we Wrocławiu, wyrabiał na prośbę szefa nadgodziny i zapoznawał następcę z jego obowiązkami. Ja znów pół dnia spędziłam klnąc na Stalina, a drugą połowę klnąc na Emilkę, która nie umiała się zdecydować nawet na jedną kieckę, a kupić miała dwie. Pomna mojego dylematu, na wszelki wypadek rzucałam okiem na suknie ślubne. Ot tak. Chyba każda zakochana dziewczyna to lubi, prawda?

O kurwa!

Do domu wróciłam zamyślona. Spakowałam swoje rzeczy, napisałam kartkę dla Pawła. Niestety w jego obecności nie da się wszystkiego przemyśleć. Ponura wracałam do domu. Oczywiście list zostawiłam, nie byłam w stanie się nim teraz zajmować. Najpierw musiałam dojść do ładu z samą sobą. A nie jest to najprostsze! Wparowałam do domu i warknęłam, by nikt nie ważył mi się przeszkadzać. Zrobiłam sobie gorącej herbatki, angielskiego lekarstwa dobrego na wszystko, a następnie zamknęłam się w swoim pokoju. Położyłam się na łóżku, wzięłam pierwszy łyk gorącego płynu i zaczęłam kombinować. I doszłam tylko do jednego wniosku. Byłam gotowa na wszystko, żeby być szczęśliwa.

W szkole myślenie mi przeszło. Popatrzyłam naokoło. Na dyrektorkę z synkiem dupkiem, zakochanym w pedofilce, moje koleżanki biegające tam i z powrotem i usiłujące zaprowadzić jaki taki porządek... Widziałam uczniów za wszelką cenę pragnących pokazać, że mają nas gdzieś. Widziałam zrozpaczoną panią Kasię i pochlipującą panią Elę. Pan Mietek właśnie się zaręczył. Z sekretarką ze szkoły mojej siostry – Irenką. Rozejrzałam się po świecie i doszłam do wniosku, że nie tylko ja nie wiem, czego chcę. I wcale nie mam się najgorzej. Jestem przecież inteligentna, ocytana, mam przyjaciół i zakochanego we mnie Pawła. A reszta... jakoś się ułoży. Postanowiłam przestać próbować się zrozumieć i pójść na żywioł. I wydostać od Pawła list.

W pracy miałam kołomyjkę. Koniec roku zaowocował nagłą gotowością większości uczniów do poprawiania ocen. Na dodatek, ponieważ jedna z koleżanek urodziła dziecko, pani dyrektor uszczęśliwiła mnie wychowawstwem w jej klasie. Trzeciej, niestety. Mieć wychowawstwo jest strasznie. Mieć wychowawstwo to koszmar. Mieć wychowawstwo w ostatniej klasie to samobójstwo. Są akurat po egzaminie gimnazjalnym, więc zestresowani. I ten stres wyładują na mnie. Latam za nimi z różnymi papierami, które muszą podpisywać oni, ich rodzice, a nawet, mam wrażenie, pradziadkowie. Dziś to były szkoły, do których będą składać papiery. Koniecznie z adresami. No i to wystawianie ocen. I latanie za uczniami, i sprawdzanie, czy rodzice podpisali wszystko to, co musieli. I tworzenie list zagrożonych, i wieczne wiszenie na telefonie w celu złapania nieuchwytnych rodziców oraz grzecznego proszenia ich, by raczyli ruszyć zadek i pofatygowali się w sprawie swego dziecka do szkoły. Oczywiście informacja ta nie była przekazana w takiej formie. Jeśli jeszcze jeden uczeń poprosi mnie, bym dała mu szansę na lepszą ocenę na koniec roku, chyba zacznę krzyczeć! A przede mną jeszcze dwie upojne konferencje, zebranie z rodzicami, wypisywanie arkuszy ocen, wypisywanie świadectw i sesja. Sesja wydaje mi się najmniej problematyczna.

Paweł, odpracowawszy swoje, wydał pożegnalną imprezę dla wspólnych przyjaciół. Pojawił się u mnie na dzień przed pierwszym egzaminem, by zabrać mnie do kina. Chciał, żebym się zrelaksowała i oderwała od nieapetycznego Hitlera i równie nieprzyjemnej reszty. W kinie załapaliśmy się na *Powstanie warszawskie*, więc jednak nie oderwałam się od tematyki wojennej. Po seansie wyszłam znudzona i jeszcze bardziej zestresowana. Paweł uparł się jednak, żeby poprawić mi nastrój, i wziął mnie do siebie. Obiecał, że rano odwiezie mnie do pracy, a z pracy na egzamin u doktora Niezguły. Inaczej bym nie zdążyła na pierwszą, bo dyrektorka oczywiście nie pozwoliła mi się zwolnić z ostatniej lekcji, o dniu wolnym nie wspominając. Bo jakby mnie uczeń potrzebował albo jakiś rodzic przyszedł... A egzamin mogę przecież zdać we wrześniu, jak już nie będę

pracować, prawda?

Postanowiłam się nie sprzeciwiać. „Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba”.

Po przyjeździe do Pawła okazałam mu list i zapytałam o pozwolenie na otwarcie. Delikatnie podważyłam wosk z pieczęcią i rozprostowałam zgięte kartki.

*Do Mościpana Aleksandra Żarnowskiego!*

*Przejęci niepomierne dochodzącymi nas wieściami o postawie Waszmość Pana podczas krwawych dni insurekcji, My, organizacja powołana przez polskich patriotów, w czasach niewoli nieszczęsnego narodu naszego podnieśliśmy sprawę do najwyższych sądowych władz polskich. Władze te, działające od 1795 roku tylko w sekrecie, zbadanie sprawy nakazały. Śledztwo prowadzone przez osoby najwyższego szacunku godne wykazało, że Waszmość Pan w czasach insurekcji nie oddał w boju przy naczelniku wielkich zasług i nie okazał męstwa. Wręcz przeciwnie, haniebny spisek wraz z panami: pułkownikiem Michałem Fredkiewiczem, porucznikiem Andrzejem Pruszyńskim oraz kapitanem Wincentym Różańskim zawarł. Działając pod patronatem zaborcy naszego, wroga narodu naszego, i pod rozkazami niektórych targowiczian, doprowadzili Panowie do zranienia i wojskom rosyjskim wydania naczelnika Tadeusza Kościuszki, w znacznej mierze przyczyniając się do klęski powstania i co za tym idzie, śmierci wielu obywateli państwa naszego. Efekt długofalowy działalności Pana i Pańskich towarzyszy to całkowity upadek naszego Państwa.*

*Pomimo że Państwo nasze już istnieć przestało, my, obywatele kochający Ojczyznę naszą, Rzeczypospolitą, powołujemy się na wyrok wydany przez sądy nasze. Karą za zdradę Rzeczypospolitej jest śmierć. Kat wylosowan został i wyrok wykona w przeciągu miesiąca. Wyrok wykonany zostanie nie dla zemsty, lecz sprawiedliwości wobec nas i przyszłych pokoleń. Niech Bóg miłosierny ulituje się nad duszą Waszmości.*

*Podpisani*

*Iustitia Salvificat*

O rany! To musiał być ten list, który znalazła Agneta. Oddać go nie mogła, bo Żarnowski krótko po tym został zamordowany. Nigdy tego listu nie czytał, więc żył w błogiej nieświadomości. Agneta również go nie czytała, bo nie był



adresowany do niej. Przeleżał zapomniany w książce przeszło dwieście lat. Za to idealnie pasuje do zagadki w pamiętniku. Morderców, a właściwie katów, było kilku. Pewnie każdy z tej organizacji wylosował jednego z wyżej wymienionych panów i dokonał egzekucji. Ciekawa jestem, co to za sądy, co za organizacja, bo przecież w historii nie został nawet ślad po tym aspekcie polskiej działalności w okresie napoleońskim. Ale skoro w czasie drugiej wojny światowej działały sądy funkcjonujące w podziemiu i sądzące kolaborantów, dlaczego nie miałyby istnieć wcześniej? Szkoda, że nie zachowały się żadne dowody ich działalności i nic o nich nie wiadomo. Jedyne źródła właśnie trzymałam w ręku. Pamiętnik i ten list, a właściwie wyrok śmierci. Dopóki nie wyjdą na jaw kolejne fakty, sądy te pozostaną tajemnicą. Jaka była ich struktura, kto w nich zasiadał? Mam wrażenie, że sędzia, który prowadził sprawę morderstw, coś o tym wiedział i dlatego nie drążył. Mogę się tylko domyślać, kto był wykonawcą wyroków... Stawiam na Maksymiana i jego bandę. Czterech zdrajców, czterech katów. Pewnie traktowali to jako obowiązek wobec ojczyzny. Nie wiadomo, jak długo działali; pamiętnik Agnety urywa się na 1807 roku. Tym samym, w którym powstało Księstwo Warszawskie. Sądy podziemne, wierząc, że niedługo dzięki Napoleonowi powstanie niepodległe państwo polskie, mogły zawiesić swoją działalność. A może były one kontynuacją tych sądów, które w czasie insurekcji skazały na śmierć targowiczian i z rozkazu których wieszano zdrajców lub w zastępstwie ich portrety?

To były tylko moje domysły. Nie ma żadnego dowodu, że którykolwiek z czterech przyjaciół: Niedziałkowski, Gnostkowski, Rybczyński lub Śliwiński maczali w tym palce lub, co jest bardziej adekwatne, szable. Każdy z nich mógł, każdy był patriotą. Dowodu jednak nie ma.

Udało mi się rozszyfrować kilka zagadek, no i wiem, co oznaczają litery na pieczęci. *Iustitia Salvificat*. Sprawiedliwość Zbawi. Bardzo akuratne w tych okolicznościach. Oczywiście natychmiast streściłam wszystko Pawłowi. Zdawałam sobie sprawę, że przeszłość zajmuje go w małym stopniu, ale cierpliwie wysłuchał mojego wywodu. Powiedział nawet, że nie chciało mu się spać. Przez większość czasu, dodam uczciwie. Zapytałam go, dlaczego chciał, żebym mu o tym opowiedziała, skoro jest to dla niego nieistotne. Przytulił mnie i oświadczył, że jest to dla niego ważne, ponieważ bardzo liczy się dla mnie. Sprawia, że jestem szczęśliwa. A ponieważ ja jestem szczęśliwa, to on też.

Na egzamin dojechałam punktualnie. Usiadłam w naszej grupie. Nagle zobaczyłam Emilkę. Pędziła w naszym kierunku, a jej loki podskakiwały gwałtownie. Musiała być niezłe wpieniona. Od razu zaciekawiałam się, co się stało, bo Em była najbardziej pogodną i cierpliwą osobą, jaką znałam.

– Poczta Polska mi się stała! – odpowiedziała na moje niewypowiedziane pytanie. – I to akurat przed samym egzaminem.

– To znaczy?

– Miesiąc temu wysłałam do kumpeli do Świnoujścia list z książką, o którą mnie prosiła. Po tygodniu mi dzwoni, że jej nie ma. No to ja na pocztę i pytam, co się tak ślimaczą i kiedy będzie. Oni, że z reklamacją jeszcze dwa tygodnie muszę czekać, bo na pewno dojdzie w tym lub następnym tygodniu. No to czekam, choć to podręcznik, z którego ona ma się do egzaminu uczyć!

– I co, doszedł?

– Doszedł?! – wykrzyknęła. – Nie doszedł! Wrócił do mnie *curvus, a, um.* – Emilka w chwilach wielkiego wzburzenia odmieniała „krzywy” po łacinie – Nie dość, że nie doszedł, to wrócił do mnie!

– To chyba dobrze, że się znalazł?

Chciałam ją jakoś uspokoić. Nie dało rady.

– Dobrze? Ona nie ma książki, więc oblała ten egzamin. Poprawkę ma za dwa tygodnie, a ta pozycja jest obecnie do dostania tylko na Allegro, za ciężkie pieniądze. W bibliotekach pustki. Mam ją tylko dlatego, że mój ojciec z niej się uczył! Muszę więc zapłacić za jej zwrot tyle samo, ile zapłaciłam za wysłanie, i zapłacić jeszcze raz, za wysłanie priorytetem! Czyli generalnie płacę trzy razy! Niech szlag jasny trafi Poczta Polską!!!

Adaś pokręcił głową. Nie żyjemy w normalnym kraju.

– Taaak – wróciła do wątku Emilka. – Człowiek patałachom płaci, żeby coś wysłać, a potem musi płacić jeszcze raz za niewykonaną usługę. Nie mówiąc już o zmarnowanym czasie i nerwach! Bo przecież nie mogłam tego podręcznika normalnie nawet ze zwrotu odebrać. Nie, oni musieli go gdzieś podziąć i szukali przez dwa dni!

– A było awizo?

– Podobno dwa razy. Ale się rozpląnęło w skrzynce na listy. Cud nad Świną!!!

Em długo by jeszcze pomstowała, ale pojawili się bliźniacy. Od tego momentu nic nie było w naszej grupie normalne.

Stres mnie z miejsca opuścił, jak zawsze. Emilce też zły humor przeszedł. By rozładować atmosferę, chłopcy odstawili ślub Ewy i Rafała. Jeden z nich udawał pannę młodą (czymś wypchał sobie brzuch i niemiłosiernie mrugał oczami), drugi małpował zachowanie Rafała w tej ważnej chwili, udając, że mdleje. Obaj intonowali marsz weselny. Generalnie bardzo ładnie z siebie robili idiotów i nie bali się groźnych min Rafała. Tylko Ewa w pewnym momencie nie wytrzymała i na hasło Wacusia (a może Ksysia):

– Och, nie wytrzymam takiego szczęścia, będę rodzić! – przywaliła mu torebką.

Ponieważ była to dość spora torebka, z Czubińskim w środku, a Ewa cel miała dobry, na efekt nie trzeba było długo czekać. Krzyś (a może Wacusi) przestał

mrużyć z zabójczą prędkością rżęsami i z jękiem upadł na ślaniającego się brata. W wyniku ciosu w głowę stracił przytomność! Na to wszystko wszedł doktor Niezguła i poprosił nas do sali. Zobaczył dwóch nieprzytomnych bliźniaków, których próbowaliśmy cucić. Jednego z powodu ciosu Ewy, drugiego, bo rąbnął głową w posadzkę i też go zamoczyło. Na szczęście egzaminator był cierpliwy. Chłopcy zataszczyli bliźniaków na miejsca.

Niezguła podyktował pytankę, na które, o dziwo, znałam odpowiedzi. Gdy byłam w połowie odpowiadania na pytanie pierwsze, bliźniacy ocknęli się na tyle, by zacząć coś pisać.

Kiedy wyszliśmy z sali, obaj trzymali się za swoje guzy i zgodnie śpiewali „Szła dziewczeczka do ślubeczka”, patrząc złośliwie na Ewę. Niczego się nie nauczyli! Ale gdy na horyzoncie znów zamajaczyła ich nemezis, Alinka, nagle przerwali popisy wokalne i natychmiast się ewakuowali.

Ja wybierałam się do Pawła. Miał mnie odebrać i podzielić się wiadomościami, których z oczywistych względów nie mógł mi przekazać wczoraj. Po łyku herbatki i wygodnym usadowieniu się w fotelu poprosiłam:

– Wal.

– Sprzedałem mieszkanie.

– Aha. – Nie powiem, żeby mnie to zdziwiło. – Do kiedy masz się wyprowadzić?

– Maksymalnie do pierwszego lipca. Ale mam nadzieję, że zwolnię je wcześniej. Tak na zakończenie roku szkolnego. – Tu popatrzył na mnie wymownie.

– Nie ma sprawy. Pomóc?

– Jasne – rozpromienił się. – Trzeba zdecydować, co przewieźć, a co wyrzucić. Dobrze by było, byśmy decydowali razem.

Niech ja zgadnę dlaczego?

– A masz gdzie wywozić? – postanowiłam się upewnić.

– Teraz już tak. Gdy byłaś nieobecna, najpierw ciałem, potem duchem, remont naszego poddasza praktycznie dobiegł końca. Czeka tylko na lokatorów, żeby nie czuć się osamotnione.

– Na razie lokatora – postanowiłam uściślić sprawę. – Powiem ci pierwszego, czy będziesz miał lokatorkę.

– Jeszcze nie zdecydowałaś? – zmartwił się. – Myślałem, że pewne rzeczy sobie już ułożyłaś. W końcu nie zostało wiele czasu – przypomniał.

– I ułożyłam – zapewniłam go, sadowiąc się wygodniej, bo poczułam nagle, że fotel mnie uciska. – Ale postanowiłam zdecydować pod wpływem chwili. Pierwszego.

Skrzywił się. Widocznie uznał, że nie jest to dla niego dobra informacja.

– Ale powiesz mi za to w Lubiczy – zaczął się targować. Akurat nie miałam nic przeciw temu. Chętnie tam pojedę.

– Dobra – udałam, że w ramach dnia dobroci dla zwierząt łaskawie się zgadzam. – I nawet pomogę ci się pakować i segregować. Gdy mój szkolny poganiacz niewolników da mi odetchnąć na tyle, że będę miała trochę czasu.

Ponieważ następny dzień to była sobota, przed południem uczyłam się na kolejny egzamin. Tym razem historia Polski do 1945. Niespecjalnie trudne, wykładowca w porządku, na egzaminie liczy się wiedza, nie jego fanaberie. Kochałam tego typu egzaminy! Po południu pośpieszyłam do Pawła segregować. Załapałam się na papiery w sypialni. Dostałam swoją kupę i miałam zdecydować, co do wywalenia, co do zachowania, a co nie wiadomo.

Szło mi dobrze przez jakieś dwie godziny, gdy nagle natknęłam się na zdjęcie blondynki z rozmiarem co najmniej D, w obcisłej czarnej mini. Dedykacja brzmiała „Ukochanemu Pawełkowi na wieki, Usia”. Nie powiem, zatrzęsło mną. Skoro się oświadcza, to co robią takie zdjęcia w szufladzie jego nocnego stolika? Na dodatek wyraźne ślady świadczyły o tym, że zdjęcie jeszcze niedawno było oprawione w ramkę. Plan awaryjny, jeśli się postawię w lipcu? Spojrzałam na zdjęcie obiektywnie (było trudno), przyjrzałam się sobie w lustrze umiejscowionym w drzwiach szafy. Popatrzyłam znów na zdjęcie. Westchnęłam. Nie łudźmy się, Usia na pewno nie jest planem awaryjnym. Jest ładniejsza niż ja, ma większy biust niż ja, ładniejszą cerę, piękne włosy i zadbane paznokcie. Spojrzałam na swoje. Od tygodnia wymagały pilnika i lakieru. Postanowiłam sprawę wyjaśnić od razu. Po co mam się łudzić dalej? Skurwysyn mnie zdradza! Andrzej jeden, cholerny!

– Pawełku! – zawołałam słodko. – Pozwól tu na chwilę.

Pojawił się z niepewnym wyrazem twarzy. Poznał mnie już na tyle, że ton mojego głosu musiał wydać mu się podejrzany. Postanowiłam przejść do rzeczy, a następnie znaleźć jakieś spokojne miejsce, gdzie mogłabym się w spokoju wypłakać.

– Czy mógłbyś mi TO wyjaśnić? – Pokazałam mu swoje odkrycie.

– Kurwa – starczy za cały komentarz.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Dalej czekałam, a nuż, widelec...

– Nie – wziął się w garść. – Siadaj.

– W tej sytuacji wolę postać. – Ze względu na ułatwienie ewakuacji, oczywiście.

– Siadaj, mówię. – Podeszedł do mnie, posadził siłą na krześle, usiadł koło mnie i przytrzymał. Był ode mnie zdecydowanie silniejszy. – To nic nie znaczy – zaczął pojednawczo.

– Nic? – zdziwiłam się. Jezu! Dobrze, że jeszcze nie ryczę. – Pozwól, że

zachowam wręcz przeciwne wrażenie. „Ukochany” nic nie znaczy? Ciekawe...

– Nie bądź sarkastyczna. Nie pasuje ci.

– Tak? Za to tobie pasuje Usia.

Postanowiłam się wyrwać. Nie chciałam już jego wyjaśnień.

– Nie pasuje mi Usia – zaprzeczył kategorycznie.

– Kiedy zamierzałeś mi o niej powiedzieć? – zaczęłam mówić coraz głośniej.

– Kiedy zgodzę się za ciebie wyjść? A może na ślubie? Cześć, kochanie, chcę ci przedstawić moją drugą, przepraszam, pierwszą dziewczynę. Albo w ogóle. Lepiej mieć żonę i kochankę. A może wcale ci nie zależy, żebym się zgodziła, może uważasz, że popełniłeś błąd i modlisz się, żebym powiedziała „nie”? Byś mógł oświadczyć się jej! – pomachałam mu zdjęciem przed nosem. Na domiar złego zaczęły łzawić mi oczy. Niech to szlag.

– Ty płaczesz? – Wyglądał na autentycznie zaszokowanego.

– Nie! – zaprzeczyłam. – To tylko alergia.

Postanowiłam ratować swoją dumę i podjęłam jeszcze jedną próbę uwolnienia się.

– Nie. – Nie dał się przekonać. – Ty autentycznie płaczesz. Kochanie...

– Nie waż się do mnie mówić „kochanie”, bydlaku! – wrzasnęłam. – Jesteś największym, najwrednie...

Położył mi rękę na ustach. Bezowocnie usiłowałam go ugryźć.

– Posłuchaj. To nie jest moja kochanka i nigdy nie była.

Ponieważ przestałam wrzeszczeć, ściągnął rękę z moich ust.

– Taa... A śnieg pada w sierpniu...

– To moja durna ciotka – wszedł mi w słowo.

– Że co?

– Ula jest siostrą mojego ojca. Młodszą siostrą.

– Jasne. Już ci wierzę. Taka z niej twoja ciotka, jak z wróbli kolibry...

– Kiedy naprawdę – zarzekał się. – Pozory mylą. Ona ma czterdzieć, jest po dwóch operacjach plastycznych i po kilku drobnych korektach w gabinecie kosmetycznym. A to zdjęcie ma pięć lat. Wszystkim rozdaje swoje zdjęcia, czy tego chcą, czy nie. To normalny potwór. Druga Elżbieta Batory. Obsesja na punkcie młodości. Gdyby mogła, kąpałaby się we krwi...

Wyglądał na bardzo zdenerwowanego i przejętego.

– Ma już trzeciego męża i ciekaw jestem, jak długo ten ostatni z nią wytrzyma. To temat rzeka. Obawiam się, że aby o niej rozmawiać, potrzeba więcej czasu i jakiegoś drinka na poprawienie humoru.

– To lepiej znajdź ten czas. Bo nadal nie jestem przekonana... – Tu znów popatrzyłam na zdjęcie. – I co ma znaczyć ten ukochany Pawełek?

– Ona ma fioła. Wszystkim zdjęcia tak podpisuje. Ile już awantur z tego powodu było? Ale ją to bawi... Schowałam tę fotografię tak głęboko, jak tylko

mogłem. Wyrzucić nie wypadało. W końcu to rodzina. A wracając do nas...

– Nie jestem tego pewna, czy istniejemy my.

– Jesteś zazdrosna!

– Wcale nie – zaprzeczyłam.

– Autentycznie zazdrosna – zaśmiał się radośnie. – Myszko...

Wciąż mu nie dowierzałam. Ale chyba w ten sposób by mnie nie okłamał? Zwłaszcza że mam telefon do jego rodziców!

– Nie nazywaj mnie myszką. Nie jestem gryzoniem! Nadal mam wątpliwości. I nie jestem zazdrosna, nigdy nie byłam zazdrosna i nie będę zazdrosna również w przyszłości – oświadczyłam.

– Chciałbym w to uwierzyć – prychnął. – Dobra, moja niezazdrosna kobieto.

– Otarł knykciami łzy z moich policzków, podał chustkę i dopilnował, bym wytarła nos. – Ona jest jak bolesny wrzód. Sama się kiedyś przekonasz. Poza tym to stare pudło.

– Tak twierdzisz?

– I ma ptasi mózdzek. Biedni ci, co się nabierają na jej „urok osobisty” – dodał. – Cały mieści się z przodu jej bluzki.

Był wyraźnie zdegustowany. Trochę się uspokoiliam. Co nie znaczy, że nie będę go uważnie obserwować.

I tak, na swoje nieszczęście, dołączyłam do kobiet pilnujących. Kto by przypuszczał, że mogę z siebie taką idiotkę zrobić? Zawsze wydawało mi się, że jestem ponad to! Raz z powodu awantury, dwa, że mu uwierzyłam, trzy, że desperacko chciałam mu uwierzyć. Dlaczego trafiło akurat na mnie? A Paweł? Przystąpił do demonstrowania, dlaczego jestem w jego typie!

Następne godziny spędziłam przetrząsając jego albumy ze zdjęciami i wszystkie papiery, jakie miał w mieszkaniu. Nie bronił, tylko patrzył na to z dziwnym uśmieszkiem, od którego robiło mi się trochę słabo. Polowanie na kompromitujące go dowody skończyło się dobrze po północy. Nie znalazłam już nic. Sama nie wiem, czy mam się z tego cieszyć. Jeśli był niestały, to chyba zorientowałabym się wcześniej? Nigdy nie przyłapałam go na kłamstwie. Zawsze był tam, gdzie miał być. No i w końcu wpadałam niezapowiedziana o różnych porach do jego mieszkania. Ba, nawet dał mi klucze! Być może to naprawdę jego ciotka. Muszę porozmawiać z jego ojcem.

Postanowiłam zadziałać natychmiast.

– Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zadzwonię do twoich rodziców? – zapytałam tak od niechcienia, kończąc przerzucać papiery. Do wyrzucenia zebrał się całkiem niezły stos, a drugi taki do spalania.

– O drugiej w nocy? – zdziwił się. – Nie sądzę, żeby byli tym faktem uszczęśliwieni.

Fakt. Nie pomyślałam o tej drobnej przeszkodzie. Zaczęłam kombinować.

– Zostanę na noc – poinformowałam go. I zadzwonię, jak się obudzimy.

Tylko się uśmiechnął.

– Skoro to cię uszczęśliwi...

Wyglądał na rozbawionego. Położył posegregowane papiery na stole i wyszedł do sypialni przygotować łóżko. Po chwili wrócił ze swoją koszulką w ręce.

– Do spania – wyjaśnił, wręczając mi ją.

Bez słowa zabrałam ją z jego ręki, a następnie udałam się do łazienki. Po szybkich ablucjach byłam gotowa, by położyć się do łóżka. Było to tym przyjemniejsze, że Paweł zmienił pościel i postawił dla mnie szklankę soczku na nocnym stoliku.

– Jesteś optymistą – skwitowałam czystą pościel.

– Nie bez przyczyny – powiedział i położył się obok mnie, ubrany w spodnie od piżamy w zajączki. Piżamę podarowałam mu na święta wielkanocne. Góry, o ile wiem, jeszcze nie użył.

Napiłam się soczku i poprosiłam:

– Zgaś światło.

Uczynił zadość mojej prośbie; zapadła ciemność. Po chwili odezwał się.

– Śpij dobrze, będzie ci to potrzebne.

Dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w mojej głowie.

– Dlaczego?

– Bo mój stary dostaje kurwicy, gdy wspomnieć przy nim siostrę. Pokłócili się pięć lat temu, jak rzuciła jego najlepszego kumpla dla młodszego. Kumpel musiał po rozstaniu przechodzić terapię, by wyleczyć się z nerwicy. To mąż numer jeden.

– Tak bardzo ją kochał? – zainteresowałam się.

– To załamanie nerwowe... – usłyszałam w ciemnościach jego chichot. – Nie, gdy go rzuciła, poczuł ulgę. To z powodu koszmaru, który przeżył w małżeństwie. Miał zasady, wiesz, dopóki śmierć nas nie rozłączy... Przeciwnik rozwodów. Ale skoro to ona chciała... Nie mógł jej przecież stać na drodze do szczęścia, prawda?

– No niby tak – zgodziłam się z nim.

– Ja też jestem.

– Jesteś czym? – O czym on, do diabła, gada?

– Zwolennikiem tezy „aż do śmierci”. Raz a dobrze. Tego stylu.

– A jak twoja żona będzie taka okropna jak ona?

– Kochanie, uwierz mi... Może myślisz, że jesteś okropna, ale mojej cioteczce nie dorastasz nawet do poziomu paznokci u stóp. Z ciebie istny anioł. Dobranoc, myszko.

Poczułam, że przytulił się do mnie w ciemności. Nagle stwierdziłam, że chcę tylko spać. Było mi tak dobrze... tak dobrze...

– Hm...

Po przebudzeniu, a była to niedziela, pozwoliłam sobie na luksus. Paweł podał mi śniadanie do łóżka, a potem postanowiłam jeszcze się zdrzemnąć i w efekcie obudziłam się dopiero po drugiej. Natychmiast zerwałam się z ciepłej pościeli i przypomniałam sobie o sprawach, które miałam załatwić z samego rana. Zadzwoń do rodziców Pawła oraz wrócić o możliwej porze do domu. Jeśli chodzi o punkt pierwszy, dzwonić w tym momencie było zupełnie jak łowienie ryb bez sprzętu. Całkowicie bezsensowne. Paweł mógł z tatusiem się połączyć w dowolnym momencie dnia. Jeśli chodzi o opcję drugą, mam jak w banku, że mamusia zmyje mi głowę.

Nie myliłam się. Paweł odwiózł mnie do domu, ale szybko się pożegnał, tłumacząc hukami roboty przed przeprowadzką. Mamusia powitała mnie uroczym:

– Czy ty się zamieniłaś z Marusią na mózgi?

Marusia to pudel najlepszej psiapsiółki mojej mamy. Synonim wszelkiej głupoty.

– Miałaś wrócić wieczorem, wracasz dopiero teraz. Nie raczyłaś nawet zadzwonić. Jesteś zupełnie nieodpowiedzialna.

Ściągnęłam buty i poszłam do mojego pokoju, licząc, że odpuści. Gdzie tam, poszła za mną.

– Dlaczego tak twierdzisz? – postanowiłam się bronić. Usiadłam na kanapie i bezmyślnie zaczęłam bawić się długopisem. – Przecież jestem dorosła. I mogłaś zadzwonić do Pawła. Numer masz.

– Zadzwoń. I co słyszysz? Że jaśnie pani grzebie namiętnie w papierach, szukając starych zdjęć! Zamiast wrócić do domu i pomóc matce.

– Przecież wiedziałaś, gdzie idę. – Mama nie widzi dalej niż czubek swojego pokrytego pudrem nosa. – I wiesz również, że jak tam idę, często nie wracam na noc. Usiłuję faceta poznać z każdej strony, nim zgodzę się za niego wyjść. Fakt, nie wróciłam rano i za to przepraszam, ale czy to powód, by od razu awanturę robić?

– Matysiakowie przyszli wieczorem.

Dalej miała pretensje.

– I nie miał kto posprzątać i robić za kelnera? – spytałam ironicznie. – Trzeba było Andrię zagonić do pracy. Może nauczyłaby się sprzątać.

– Nie tym tonem, moja panno, nie tym tonem. Dopóki jesteś na moim utrzymaniu...

– Tak, tak, wiem. Jestem bezpłatną służącą.

– Julia! Andria ma zakończenie roku i musi się uczyć.



– Andria ma naukę tam, gdzie ani słońce, ani księżyc nie dociera. A ocen nie musi poprawiać. Pewnie grała na kompie albo czatowała.

Moja matka wyglądała na winną. Trafiony, zatopiony!

– Musi mieć też trochę rozrywki.

Odłożyłam długopis. Podeszłam do matki, która stała przy drzwiach, i położyłam jej rękę na ramieniu.

– A kiedy ja mam mieć trochę rozrywki? Pomyślałaś o tym kiedyś? Jak nie jestem na uniwersytecie, to w pracy, jak nie w pracy, to sprzątam w domu, jak nie sprzątam w domu, to siedzę u Pawła i pomagam mu w przeprowadzce. Nie mam czasu na rozrywkę. Na dodatek teraz jest sesja i muszę jeszcze znaleźć czas na naukę. No i wykańcza mnie to cholerne wychowawstwo.

Usiadłam znów na kanapie.

– Jestem już tym wszystkim śmiertelnie zmęczona. Mogłabyś mnie wesprzeć.

– A nie wspieram? – oburzyła się. – Przecież ci mówiłam, żebyś siedziała w domu, zamiast u niego. Zrobiłabyś, co do ciebie należy, i miałabyś czas!

Pokręciłam tylko głową. Nigdy nie dogadam się z moją matką. Kocham ją, oczywiście, ale mnie wykańcza. Jest jak bluszcz. Owija się wokół ofiary i dobre choć to, że jej nie dusi. Ciekawe, czy owinie się również wokół Andrii, gdy ja się wyprowadzę. Pewnie będzie próbować. Na szczęście Andria ma inny charakter i nie da się wykorzystać.

– Mamo, jestem z nim związana – zaczęłam tłumaczyć po raz setny to samo.

– Poza tym, jego towarzystwo sprawia mi przyjemność. I lubię mu pomagać. Tak jak lubię pomagać tobie. Tyle że twoja postawa to wszystko utrudnia. A teraz wybacz. Muszę się przygotować do lekcji.

Nie przekonałam jej. Wyszła obrażona.

W pracy zaczęły się sądne dni. Ponieważ do piątku mieliśmy wystawić oceny, liczba uczniów, która o mnie dopytywała, przechodziła moje najśmielsze oczekiwania. Oznaczało to codzienne siedzenie po lekcjach po kilka godzin. Bo na lekcji, jak nas poinformowała pani D, nie można było odpytywać uczniów, którzy poprawiali oceny. Z uśmiechem pełnym samozadowolenia stwierdziła:

– Jak nastawialiście złych ocen, to teraz cierpcie. Niech nie tylko uczniowie mają niemiłe popołudnia.

W związku z jej decyzją wszystkie klasy po południu były obsiane nauczycielami, u których ktoś coś zaliczał. Jakby nie mogli tego zrobić w trakcie semestru! Ponieważ dwa dni kończę wcześniej, do pracy będę musiała przyjechać dwa razy. W pokoju nauczycielskim zapytałam, skąd takie zarządzenie. Oświeciła mnie Aśka, z którą zaprzyjaźniłam się podczas fatalnego tygodnia w Chorwacji. Przysiadła się do mojego stolika i rozpoczęła wywody.

– Usiłuje zdobyć wpływ na wystawiane przez nas oceny. Wydaje jej się, że jak się bardziej będziemy starać, to będzie mniej jedynek. Poza tym... czy nigdy nie kazała ci zmienić oceny na skutek interwencji ucznia lub jego rodzica? – zainteresowała się.

Pokiwałam głową. I napiłam się herbatki.

– Fakt, kilka razy mnie wzywała i kazała zmienić niesprawiedliwe oceny.

– I co? – dopytywała się. – Zmieniłaś?

– Oceny były sprawiedliwe – orzekłam. – Nie zmieniałam.

Zachichotała.

– I nie trafiła jej kurwica?

– Bo ja wiem? – Był mi obojętny stan psychiczny upierdliwca. – Może trafiła, a może nie. Generalnie to może mnie cmoknąć. Umowa kończy mi się w czerwcu.

– Zazdroszczę ci i jednocześnie współczuję.

– Dlaczego?

– Bo wyrwiesz się z tego piekielka, które gdyby zmienić górę, byłoby całkiem fajnym miejscem pracy – westchnęła marzycielsko. – Z drugiej jednak strony, tak zasmrodzi ci opinię, że jak tylko skończysz studia, nie znajdziesz w żadnej szkole we Wrocławiu pracy. To naprawdę wredna baba.

Uśmiechnęłam się do niej, wcale nieprzerażona tą ewentualnością, i postanowiłam odrobinę wprowadzić ją w moje życie prywatne.

– Tym akurat przejmuję się najmniej. Istnieje prawdopodobieństwo, że wyjdę za mąż i wyprowadzę się pod Kielce. Jej upierdliwa wysokość może mi nadmuchać.

– Szczęściara – orzekła Aśka. – Tylko uważaj! Przejrzyj wszystkie dzienniki przed konferencją klasyfikacyjną – ostrzegła mnie. – Dwa lata temu poprawiła Madzi stopień. Z jedynki na dwa. Bo tatuś jest sponsorem i nie życzył sobie, żeby synuś został. Gdy to wyjaśniło się po konferencji, było za późno. Drań wyszedł ze szkoły. A dyra stwierdziła, że Madzia sama mu ocenę z polskiego zmieniła, tylko zapomniała.

– I co się działo dalej?

– A co się miało stać? Nic. Nie udowodnisz nic babsku. Ale od tej pory sprawdzamy dzienniki, przed konferencją. W zeszłym roku też próbowała ten numer wykręcić Bernadce, ale zawczasu zareagowaliśmy. Dwa tygodnie chodziła zła jak osa chora na wściekлизnę.

Tę przyjemną i nader pożyteczną konwersację przerwał dzwonek. Trzeba było iść uczyć.

Po ostatniej lekcji zabrałam się do odpytywania. Zajęło mi to dwie godziny. Ostatni był niejaki Piotruś: cham, kombinator, lawirant i pierwszej klasy wredniak. W środku odpytywania wtoczyła się do klasy siła wyższa. Kazała mi wyjść na moment ze sobą i skonfrontowała ze wściekłym tatusiem, żądającym zmiany oceny synka. Bo akurat historia mu się liczy i przeze mnie nie dostanie się do wymarzonego liceum. Po wysłuchaniu oracji dyrekcji i tatusia wyjaśniłam krótko, że syn na piątkę nie zasłużył, namiętnie nie odrabiał prac domowych oraz olewał naukę i powinien się cieszyć, jeśli skończy z trójką, na którą i tak pewnie nie zasługuje. Poza tym byłabym nie w porządku wobec dzieci, które na swoje stopnie

ciężko zapracowały i nie mają koneksji. Tu spojrzałam wymownie na dyrekcję.

Zostawiłam tę przykrą parę z otwartymi ze zdumienia ustami i poszłam dalej odpytywać dopust boży pod postacią Piotrusia. Po półgodzinie wyciągania z niego wiedzy stwierdziłam, że nie umie tego, czego kazałam mu się nauczyć, w związku z czym będzie miał z historii poprawkę. Generalnie nie przeszkadzało mi to. Moja umowa kończyła się z dniem zakończenia roku szkolnego i na żadne poprawki nie zamierzałam przyjeżdżać. Niech się dyrekcja o to martwi.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że Piotruś to także obmierzła szuja, gnojek i złodziej. Gdy walczyłam z pełnym pretensji tatusiem, wyciągnął mi z portfela pięćdziesiąt złotych. Pewnie kretyn myślał, że się nie zorientuję. Akurat pieniądze liczyć umiałam, pomimo że z matematyki byłam raczej kiepska. Ktoś powie: to nie majątek. Niby tak, ale na te pieniądze musiałam pracować cztery godziny, użerając się z jemu podobnymi. No i liczył się sam fakt. Nikt, nawet Paweł, nie mówiąc o obcych osobach, nie ma prawa grzebać mi po torebkach! Spać poszłam rozżalona. Jedyna pociecha w tym, że przynajmniej gnoja oblałam!

W szkole następnego dnia, po zwierzeniu się Aśce i Madzi, dowiedziałam się, że Piotruś pochodzi z rodziny o lepkich palcach. Szkoda, że nie wiedziałam tego wcześniej. Mądry Polak po szkodzie... Dobrze, że nie miałam więcej gotówki, bo pewnie byłabym jeszcze biedniejsza. I jak tu ufać drugiemu człowiekowi?

Dzień miałabym zupełnie zmarnowany, gdyby nie dwa wydarzenia. Jeden z uczniów na drzwiach gabinetu dyrekcji przywiesił tabliczkę: „Zajęte przez upośledzonych psychicznie w stopniu głębokim” dokładnie pod imieniem i nazwiskiem mojej zwierzchniczki. Aczkolwiek nie wiem, czy porównanie naszej dyrekcji z niepełnosprawnymi nie jest krzywdzące. Dla tych drugich, oczywiście. Dziesięć minut później usłyszałam wściekły wrzask. Większość klas otworzyła się na ten sygnał i nauczyciele zobaczyli szefową mocującą się z tym kawałkiem drewna. Była tak wściekła, gdy usiłowała to zerwać, że aż jej żyły wyszły na szyi. Tabliczki z napisem usunąć się nie dało. Inteligentny uczeń użył czegoś mocniejszego niż Kropelka. Użycie siły przez pana Zbysia doprowadziło do powstania ogromnej dziury w drzwiach... a tabliczka dalej wisiała! Natychmiast rozpoczęło się śledztwo, kto to zrobił naszej upierdliwości. Uczeń jednakże wybrał moment, gdy nikogo nie było na korytarzu i zaraz zmył się drugim wejściem ze szkoły. Byłam jedynym świadkiem i nie puściłam pary z gęby.

Potem sprawdziłam na planie: jego klasa zaczynała lekcje godzinę później. Zaryzykował i wygrał. Moje gratulacje!

Drugim wydarzeniem był mail z muzeum w Krakowie. Trochę na niego poczekałam, ale opłaciło się. W listach znaleziono informację, że rzeczywiście zostało przeprowadzone śledztwo w sprawie śmierci czterech wojskowych.

Księżna Izabela była osobiście zainteresowana, jako że świadkiem była jej wychowanka, a zamordowani byli jej znani. W dwóch przypadkach gwałtowne zejścia z tego świata panów oficerów uznano za wynik napadu z zamiarem rabunku, w jednym za wypadek. Natomiast śledztwo w sprawie ostatniej śmierci zostało umorzono z powodu braku sprawcy. Cytaty z Pisma Świętego potraktowano jako niesmaczny żart, nic niewnoszący do sprawy.

Miałam więc pełen obraz sytuacji. Znani mi z pamiętnika panowie nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności, a samo śledztwo umorzono. Nikt też nie połączył czterech morderstw z działalnością kwartetu patriotów. Odetchnęłam z ulgą, ponieważ zdążyłam ich bardzo polubić i miałam nadzieję, że żyli długo i szczęśliwie.

Następnego dnia stan drzwi dyrekcji utrzymywał się bez zmian. Chyba najłatwiej byłoby je po prostu wymienić. Niestety już miesiąc wcześniej ciało dyrekcyjne zdecydowało o wymianie drzwi do gabinetu na antywłamaniowe. Drzwi więc trzeba by wymieniać razem z framugą, na co moja zwierzchniczka nie miała w tym momencie pieniędzy. Żadne inne w szkole do tej framugi nie pasowały. Kiedy tego dnia przyszli fachmani, to aż się popłakali, widząc ten napis. Ponieważ wymiana kosztowałaby ponad tysiąc złotych, jej wysokość zadecydowała o zbiórce od każdego ucznia naszej szkoły po pięć złotych na ten, jakże szczytny, cel. Śledztwo w sprawie sprawcy nadal trwało, ale jak na razie nie przyniosło efektów. Szefowa była tak zdesperowana, że kazała nam obserwować wszystkich uczniów w poszukiwaniu pełnego samozadowolenia uśmiechu, gdy dyżurowaliśmy przed jej gabinetem. Bez rezultatu. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent uczniów uśmiechało się na widok nieszczęsnych drzwi. Na dodatek zbuntowali się i samorząd orzekł, iż nie będzie płacił za fanaberie dyrektorki! To zdecydowanie nie był jej dobry tydzień.

W domu rodzinka omijała mnie szerokim łukiem. Z powodu zajęć popołudniowych wypisywanie kilometrowych motywacji wystawionych ocen niedostatecznych oraz nagannych, uzupełnianie dziennika oraz podliczanie wszystkich średnich szło mi wieczorami wyjątkowo opornie. Na dodatek u pewnych osób brakowało ocen. Aby się odstresować, przywiesiłam zdjęcie szefowej na ścianie i rzucałam w nie rzutkami. Pomagało. Paweł nie dawał znaku życia, dochodząc do słusznego wniosku, że nie chce się ze mną kłócić. Na dodatek z powodu całej tej sytuacji spóźniał mi się okres.

Usiłowałam znaleźć czas na naukę do kolejnego egzaminu, który miałam w poniedziałek, ale mi nie wychodziło. Wyglądało na to, że będę musiała zarwać cały weekend, zamiast odpocząć po wydarzeniach mijającego tygodnia.

W piątek po konferencji pobrałam arkusze ocen i świadectwa, które (jak się okazało) wychowawcy klas trzecich mieli wypisać ręcznie. Tak jakby nie można było wydrukować. I estetyczniej, i mniej pracy! Na dodatek trzeba było je oddać do poniedziałku – zarządzenie dyrekcji. Miały być też podbite pieczęcią szkoły przez wychowawcę (opowiadano mi, żebym uważała na orła, który lubi się przekręcać, i wtedy całe świadectwo do przepisania), pieczęcią dyrekcji przez tę samą ofiarę losu i podpisane przez dyrektora.

Jeden haczyk:

Wypisując świadectwo, a zwłaszcza świadectwo ukończenia szkoły, nie można się pomylić, bo inaczej trzeba całe przepisywać. Dlatego prócz kompletu dwudziestu siedmiu świadectw dostałam jeszcze dodatkowe pięć. W większości szkół problem ten jest załatwiany przy pomocy komputera, ale jej staroświeckość zażyczyła sobie ręcznie. I kiedy ja mam się uczyć do egzaminu?

Przez całą sobotę i niedzielę kaligrafowałam świadectwa. W przerwach, kiedy usychała mi ręka, uczyłam się do egzaminu. W nocy, zamiast spać, również uczyłam się do egzaminu. Rano w poniedziałek, gdy spojrzałam w lustro, to aż mnie cofnęło. Wyglądałam jak, nie przymierzając, narkoman na potężnym głodzie. Ponieważ egzamin był ustawiony na piątą, a poniedziałki miałam wolne, uznałam, że zdążę podbić te cholerne świadectwa, dojechać do domu, pouczyć się trochę, przebrać i dotrzeć na cholerny egzamin.

Guzik. Wredne ciało dyrekcyjne zamiast podpisywać podbite z wielkim trudem przeze mnie świadectwa (aż się spociłam i miałam posiniaczoną rękę, tak mocno przyciskałam tę cholerną pieczęć), kazało mi dziesięć przepisać. Bo gdzieś literka nie zaczynała się równo od kreseczki, kreskowanie na dwóch świadectwach było według dyrektorki krzywo, a orzeł gdzieniegdzie wyszedł za słabo, bo nie było widać jednej litery. Kazała mi przyjść ze świadectwami zepsutymi i poprawionymi, by mogła skontrolować moje postępy. Niech ją szlag trafi. Wyglądało na to, że z nauki nici, nawet nie zdążę do domu wrócić. Dzięki Bogu za telefony komórkowe. Jedyne nadzieje w Pawle. Poprosiłam go, by pojawił się w szkole z moimi ciuchami na egzamin, które już sobie wczoraj odprasowałam, tak około wpół do piątej. I żeby mnie odwiózł. A dyrektorka – założę się, że przyczepiła się celowo! – wiedziała przecież, że mam egzamin. Co za wredne babsko!

Około czwartej uporałam się z dodatkową robotą. Pocieszające było jedynie to, że inni wychowawcy wraz ze mną (przynajmniej do pewnego momentu) wypisywali świadectwa. Choć żaden z równie błahych powodów i nie w takiej ilości.

Pokój nauczycielski był o tej porze już pusty, siedziałam w nim sama.

Weszłam do gabinetu, dyrekcja podpisała siedem świadectw, pozostałe mi zwróciła, mówiąc:

– Do przepisania. – W tym momencie wrednie się uśmiechnęła.

– Przecież wszystko jest w porządku. – Nerwy mi już puściły. – Dlaczego mam przepisywać ponownie? – zaprotestowałam.

– Bo pani każe. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Może to pani uznać za polecenie służbowe. Założmy, że stwierdziłam, iż te świadectwa są przepisane niedbale. Nie trzeba było się spieszyć. Chyba nie pojedzie pani dzisiaj na egzamin. No, nie trzeba się załamywać, zawsze jest drugi termin. Praca jest ważniejsza. Zrozumiano?

O tak, jak najbardziej, mein Führer! Mścisz się za tamten tydzień. No, poczekaj. Wzięłam czyste świadectwa i wyszłam w bojowym nastroju. W korytarzu wpadłam na Pawła. Krótko wytłumaczyłam mu sytuację. I zapytałam:

– Czy mógłbyś jej przemówić do rozumu? Mnie po prostu odpadają już ręce. Dosłownie i w przenośni!

– Poczekaj – rzucił i wszedł do gabinetu. Po pięciu minutach wrócił z podpisanymi przez dyrekcję świadectwami.

– Jak tego dokonałeś?!

– Och, siła perswazji – zbagatelizował sprawę. Wręczył mi paczkę z ciuchami. – Wybrałem ci też ładną bieliznę. Będiesz się komfortowo czuła.

– Nie mówiąc już o tym, że grzebanie wśród moich majtek sprawiło ci radochę?

– To też – przyznał, uśmiechając się łobuzersko. – A teraz śmigaj, pogadamy w samochodzie.

Pobiegłam się przebrać do ubikacji. Uśmiechnęłam się w duchu. Miał dobry gust, wybrał najładniejszy i najdroższy komplet. Ale skoro sam za niego płacił, to mogę mu zrobić przyjemność i go nosić.

W samochodzie zażądałam szczegółowych wyjaśnień.

– Przebłysk geniuszu. Odbierałem miesiąc temu dom waszego kuratora oświaty i coś mnie tknęło. Poprosiłem go o numer komórki, tak na wszelki wypadek. Wiedziałem, że możesz mieć z babą problemy. Wyglądała mi na taką.

– I? – Byłam pełna podziwu dla jego przenikliwości.

– Po twoim telefonie zadzwoniłem do gościa i wyjaśniłem pokrótce sytuację. Spodziewałem się dalszych kłopotów, więc wstąpiłem do niego do biura. Napisał mi krótki liścik do baby, pytając w nim uprzejmie, czy chce kontroli, jeśli wpłynie skarga o mobbing. – Wyprzedził jakiegoś faceta w różowym maluchu. Zwróciłam uwagę, bo nie lubię różowego. – Przeczytała, spojrzała wściekłym wzrokiem i podpisała świadectwa.

– Pawełku, jesteś genialny! – zawyrokowałam, gdy zatrzymał się na parkingu. Obdarzyłam go szybkim całusem. – Resztę dostaniesz w domu –

obiecałam, wysiadając z samochodu.

– U ciebie czy u mnie? – zainteresował się, zamykając auto. I ruszył za mną do budynku.

– U ciebie – zdecydowałam i wybrałam szybko numer mamy, by poinformować ją, że nie wrócę na noc. Nie chciałam kolejnej awantury.

Nie muszę informować, że egzamin zdałam na pięć? Nie wiem, jakim cudem. Ale pochwalę się mojej kochanej szefowej. Na szczęście angielski miałam już po zakończeniu roku szkolnego i był on formalnością. Jeszcze tylko cztery dni i żegnaj na zawsze, lafiryndo. Pewne kontakty natomiast trzeba będzie utrzymać.

Jednym z nich był kontakt z Ašką. W środę byłam z nią umówiona na oglądanie zdjęć z Chorwacji. Te, które spodobają mi się najbardziej, przegra na płytę i wywołam je sobie. Poza tym zrobiłam parę zdjęć cudeniek architektonicznych i zamierzałam je wykorzystać na lekcjach, o ile będę jeszcze uczyć! Po ostatnich doświadczeniach wydaje mi się to wysoce problematyczne.

Po pracy skończyłam uzupełniać arkusze ocen. Szczególnie ogłupiająca wydawała mi się formuła: „Uczeń uzyskał w części humanistycznej z zakresu: języka polskiego X%, historii i wiedzy o społeczeństwie Y%; w części matematyczno-przyrodniczej z zakresu: matematyki Y%, przedmiotów przyrodniczych: biologii, chemii, fizyki, geografii Z%; w części z języka obcego nowożytnego z zakresu: języka angielskiego na poziomie podstawowym W%, języka angielskiego na poziomie rozszerzonym A%.” I tak dwadzieścia siedem razy. Oszaleć można. Wydrukowałam wszystkie możliwe listy, które uczniowie muszą podpisać, oraz listy tych list. Było ich chyba z siedem. Marnotrawstwo papieru!

No, odrobiłam pańszczyznę, wreszcie przyszedł czas na rozrywkę. Udałam się do Aški na zdjęcia, ploty i jakąś kawę. Czas nam mijał wyjątkowo szybko. Prócz kawy pojawiły się również łakocie. Aška była mistrzynią świata w pieczeniu ciasteczek. Wychodziły jej małe arcydzieła kulinarne, a na dodatek smakowały jak ambrozja. Nie umiałam się od nich oderwać. W końcu koło jedenastej zabrałyśmy się za przeglądanie zdjęć. Zachwycalam się przez pół godziny, aż nagle coś mnie uderzyło.

– Pokaż mi jeszcze raz to zdjęcie – poprosiłam, odkładając ciasteczko.

– Które? – spytała, przewijając do tyłu.

– To z Sobieskim, płaskorzeźbę z Dubrownika.

Z przyczyn oczywistych dla nich, dubrowniczanie mieli fioła na punkcie naszego władcy Jana III Sobieskiego. Przypomnę: król pokonał pod Wiedniem Kara Mustafę, który ściągał z miasta ogromny haracz, uniemożliwiając jego



odbudowę po trzęsieniu ziemi. Sobieski, nasz ówczesny król, doprowadził w ten sposób, nieświadomie oczywiście, do jego odbudowy i dalszego rozwoju. Kilka płaskorzeźb przedstawia tego właśnie władcę. Aśka na moją prośbę zrobiła im kilka zdjęć. Na jednej z płaskorzeźb król nosi na ręce pierścień. Coś mi przypominał...

– Mogłabyś powiększyć ten fragment i wyretuszować? – zupełnie zapomniałam o przepysznych ciasteczkach i robiłam się coraz bardziej podniecona.

– Jasne – mruknęła, po czym powiększyła żądany fragment. Aparat miała niezły, więc i zdjęcie nie traściło w powiększeniu.

Spojrzałam. Tak, to musi być to. Pieczęć Stowarzyszenia Iustitia Salvificat i jednocześnie pierścień. Ten sam pierścień, który otrzymała od narzeczonego Agneta, okrągły sygnet z trójkątnym kamieniem i inicjałami... władcy. Iohannes Sobieski. Jan III Sobieski. IS. Przodek Maksymiana musiał widocznie zasłużyć się w bitwie wiedeńskiej. Agneta pisała, że ocalił królowi życie i otrzymał pierścień jako znak wdzięczności. Ten sam pierścień był przekazywany w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie i w końcu posłużył za wzór pieczęci Stowarzyszenia. Jan Sobieski przekształcił się w Iustitia Salvificat. Jeśli potrzebowałam jakiegoś dowodu, że Maksymian był wplątany w morderstwa, to właśnie go znalazłam. Wizytówkę jego i jego kumpli. A znalazłam w miejscu najbardziej nieoczekiwanym. Za granicami naszego kraju, na południu.

Mój tok myślenia przerwała Asia.

– Coś tak zamilkła? – spytała i pomachała mi ręką przed oczami.

– A nic – ocknęłam się. – Właśnie rozwiązałam zagadkę historyczną, która zajmuje mnie od kilku miesięcy.

– Nie rozumiem – pokręciła głową. – Przecież my tylko oglądamy zdjęcia z wycieczki.

– No właśnie – pokiwałam głową. – Popatrz na to zdjęcie. Facet ma ubrany pierścień...

Krótko wprowadziłam moją koleżankę w historię pamiętnika, morderstw, pierścieni i ślubów. Pełną entuzjazmu przemowę zakończyłam końcowym wnioskiem:

– I właśnie przez przypadek, a raczej przez naszą dyrekcję, znalazłam kolejne ogniwo. Do tej pory tylko miałam przypuszczenia. Teraz jestem pewna. Aczkolwiek nie sądzę, by Maksymian przyznał się żonie do swojej działalności. Po pierwsze, bo kobiety w tych czasach się chroniło, a po drugie, ona by tego nie zrozumiała. Agneta była typową przedstawicielką swej epoki: patriotka, owszem, honor tak, ale tylko w ramach bieli i czerni. Brak szarości. A to, co wyprawiał jej mąż, to właśnie coś pomiędzy. Poza tym była taka młodziutka, liczyły się dla niej stroje, kawalerowie, bale i zabawy. Być może powiedział jej, gdy dorosła. Jeśli dorosła.

– Dużo o tym myślisz – podsumowała.

– Tak – westchnęłam. – Najbardziej mnie męczy kwestia, czy żyli razem szczęśliwie, mieli dzieci i tym podobne sprawy. Czy umieli przejść razem przez ten niełatwy przecież dla nas Polaków dziewiętnasty wiek. Przyzwyczaiłam się do nich i jestem ciekawa. Chciałabym natrafić jeszcze na jakieś informacje. Niestety Agneta nie była tak uprzejma, by podać nazwę majątku Maksymiana. Miałabym wtedy jakiś punkt zaczepienia.

– Szajbnięta historyczka – ciepło podsumowała mnie Aśka.

– Jestem ciekawa – zakończyłam wątek – czy jeśli podziękuję naszej dyrektorce za wysłanie mnie do Chorwacji, to się ucieszy? Przecież gdyby nie ona, to nie zrobiłybyśmy tego zdjęcia...

– Raczej odwrotnie – zachichotała. – Szlag by ją trafił!

W tym samym momencie spojrzałam na zegarek i zdębiałam. Była druga. I co teraz? Brak jakichkolwiek środków transportu. Gdyby było około jedenastej, zadzwoniłabym do mojego faceta. Ale o tej porze nie miałam sumienia. Trudno, za pasję trzeba płacić. Musiałam zadzwonić po taksówkę. Na szczęście miałam ze sobą kasę. Asia zgrała mi wybrane zdjęcia na płytę. Szybko włożyłam buty, bo taryfa podjechała. Dziesięć minut później byłam w domu.

Początek następnego dnia nie był przyjemny. Obudziłam się o szóstej i na dodatek wszystko mnie bolało z niewyspania. Panie Boże, będę się kładła spać o właściwej porze. Obiecuję! Po krótkiej chwili uczciwie dodałam: jeśli będę musiała następnego dnia iść do pracy! Na dodatek dzień nie zapowiadał się zbyt optymistycznie. Musiałam oddać wszystkie papiery i przesiedzieć swoje na konferencji podsumowującej. Dzięki Bogu, nie musiałam czytać żadnych sprawozdań. Dobrze, że choć tyle. Dyrektorka żegnała wszystkich odchodzących nauczycieli, dziękując im za współpracę. O mnie zapomniała, aż tylu ich było. Trzy osoby, licząc ze mną. Widocznie ze mną nie współpracowała. Nie, żeby mi zależało, ale tak sobie myślę, że to wydarzenie bardzo pięknie przedstawia jej sylwetkę. Ponieważ znałam już parę osób, a z niektórymi nawet się przyjaźniłam, miałam towarzystwo do pogaduch w czasie jej gędzenia. W naszym kącie chwilami bywało bardzo wesoło. Nie dziwię się już dzieciakom, że gadają, jak ktoś strasznie nudzi! Do domu wróciłam o ósmej i nie miałam ochoty już na nic. Żyłam piątkiem!

W końcu nadszedł. Piątek! Zakończenie roku szkolnego. Nareszcie!

Szybko pożegnałam się z moją klasą, rozdałam im cały plik papierów, wycygałam podpisy na listach i pognałam do sekretariatu, by to wszystko oddać. Później żegnałam się z koleżankami i kolegami z pracy, przychodziły delegacje dzieciaków z różnych klas. Popłakałam się, gdy żegnałam się z III c.

Po godzinie właśnie schodziłam obładowana kwiatami do samochodu Pawła, gdy na schodach prawie zderzyłam się z dyrektorką. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się nieszczercze i powiadomiła mnie, że ponieważ postawiłam jedynekę na koniec roku, mam cały następny tydzień spędzić, udzielając bezpłatnych konsultacji tej gnidzie, która mnie okradła. Poza tym na poniedziałek miałam przygotować dwie grupy testów egzaminacyjnych wraz z arkuszami odpowiedzi. No i pojawić się w sierpniu na poprawce – jako egzaminator.

Nie zdenerwowałam się. Byłam pewna, że na odchodnym będzie starała się wykręcić mi jakiś numer. Uśmiechnęłam się do niej radośnie.

– Pani dyrektor – zaczęłam, a kobieta się zjeżyła. – Uczeń przez cały semestr miał mnie gdzieś, na zajęcia nie przychodził, a jak już się łaskawie pojawił, to był nieprzygotowany. Nie zamierzam udzielać mu bezpłatnych korepetycji.

– Ale musi pani... – zaczęła i nie skończyła, bo weszłam jej w słowo.

– Jeśli chce przygotować się do poprawki, to mogę mu podać numery telefonów kilku moich koleżanek, które takowych korepetycji mogą mu udzielić. Oczywiście nie za darmo! Biorą trzydzieści złotych za godzinę. Po mniej więcej miesiącu intensywnej nauki być może tę poprawkę zda. Oczywiście będę musiała je ostrzec, że uczeń ma lepkie ręce, żeby pilnowały wszystkiego, co cenne.

Dyrekcja znów usiłowała dojść do słowa.

– To pani obowiązek...

– Leję na ten „obowiązek”, słyszy pani? Nie będę przygotowywała żadnych testów, nie pojawię się w sierpniu w pracy i na pewno mnie tu pani nie zastanie w przyszłym tygodniu. Moja umowa o pracę kończy się z dniem dzisiejszym i od jutra nie jestem już pani pracownikiem. W związku z tym może mnie pani pocałować w dupę – zasugerowałam uprzejmie. – Mogę nawet się wypiąć. A teraz żegnam i mam nadzieję, że już się nigdy nie spotkamy, zołzo.

Zostawiłam ją na schodach z otwartymi ustami. W tym samym momencie z dołu usłyszałam oklaski... moich uczniów z III c. Razem z nimi klaskał Paweł. Do diabła z zasadami! Uśmiechnięta podeszłam do niego, przytuliłam i mocno pocałowałam. Jego uścisk w chwilę potem stał się miazdzący i wszystko, co trzymałam, wypadło mi z rąk. Trwało to dłuższą chwilę, a gdy się od siebie oderwaliśmy, do mojego zamroczonego wciąż umysłu dochodziły gwizdy i ciąg dalszy oklasków. Z uśmiechem podałam mu część kwiatów, które pozbierałam z posadzki. Dyra coś wrzeszczała za mną na szczycie schodów, ale mnie to waliło. Pokazałam jej na pożegnanie środkowy palec i wyszłam z Pawłem na słońce.

Byłam wolna!

W poniedziałek odbył się ostatni egzamin w roku akademickim. Angielski przeszedł bezboleśnie. Napisaliśmy, co mieliśmy napisać, po czym całą bandą wylądowaliśmy w ogródku na ostatnie przed wakacjami szaleństwo. Od jutra wszystko miało się zmienić. Ja wyjeżdżałam do Lubiczy, Emilka na wczasy do Świnoujścia z Rafałem, Ewa z Rafałem zapinali na ostatni guzik ślubną uroczystość. Jedynie bliźniacy będą szaleć dalej. Nasza grupa w widoczny sposób dorastała. Nie cała, dodałam w myśli po zerknięciu na Wacka i Krzyśka. Jeśli chodzi o mnie, to musiałam się tylko zadeklarować pierwszego lipca. Choć wiedziałam, co robię, i tak odczuwałam dość mocny stres. Ciągłe napięcie w żołądku. I na dodatek moje ostatnie problemy z dawno zlikwidowanym ROR-em. Oczywiście przyczyna mojego złego humoru leżała w mężczyznach. Konkretnie: panach obsługujących infolinię w moim niesławnym byłym banku.

Naturalnie bliźniacy postanowili wyciągnąć ze mnie mój ostatni problem, w wypadku nieujawnienia grożąc „hiszpańską inkwizycją”, czyli łaskotkami.

– Pamiętacie, jak opowiadałam o likwidacji konta? No to właśnie dostałam nową kartę do tego zlikwidowanego rok temu ROR-u.

– Może nie będzie tak źle? – próbowała mnie pocieszyć Emilka.

– Taa. Jasne. Zadzwoiłam na infolinię. Dwadzieścia minut wysłuchiwania trurururu i gość stwierdził, że to wina systemu i mam się nie przejmować. A może ja nie chcę być już dłużej w ich systemie, spytałam.

– I co na to infolinia? – zainteresował się Rafał.

– Że na razie nie może poradzić, ale się postara. Tylko patrzeć, jak znów będą mi monity przychodzić przy takim staraniu... – Czy ktoś ma wirusa? – zapytałam, patrząc z nadzieją na Rafała.

– Mogę na ciebie kichnąć – zaoferowała się Emilka. – Nie wiem natomiast, na ile to będzie skuteczne...

– Komputerowego – westchnęłam. – Może jak im wpuszczę do sytemu, to w końcu uda mi się to konto szczęśliwie zamknąć!

Na razie postanowiłam zapomnieć o bankach i postarać się rozluźnić. A bliźniacy postanowili mi w tym pomóc. W typowy dla naszej grupy sposób tematyka rozmowy toczyła się dwubiegunowo. Temat pierwszy to oczywiście studia i Aśka Karpacka oraz jej wielki romans z synalkiem żoły. Temat drugi: związki.

Dołączyła do nas na chwilę Kasia z córeczką w wózku. Basia miała dwa miesiące i ku radości swojej mamy rozwijała się prawidłowo. Gwar rozmów i radosne przekrzykiwania bliźniaków wcale nie przeszkadzały jej w drzemce.

– Całe dni przesypia – chwaliła się Kasia. Tak jak w czasie ciąży sprawiała cały czas problemy, tak teraz mi to wszystko wynagradza – uśmiechnęła się czule do córeczki.

Żebym też takie dzieci miała, pomyślałam z zazdrością. Znając moje szczęście, już przy pierwszym będę wyglądać jak rozkładający się zombie.

– Andrzej usiłował do mnie wrócić – rzuciła bombę.

Zakrztusiłam się soczkiem.

– I pozwoliłaś mu? – zagaiła delikatnie Emilka.

– No co ty! – oburzyła się Kasia. – Nigdy w życiu.

Tu nastąpiło zbiorowe westchnienie ulgi.

– Przyczołgał się z powrotem, bo jego dziewczyna z nim zerwała. Skończyła mu się kasa i wrócił do kraju z podkulonym ogonem. Powiedziałam mu, żeby spadał, Mirek poprawił mu prawym sierpowym prosto w zęby i na tym się skończyło. Nie chcę, żeby facet miał cokolwiek wspólnego ze mną, a zwłaszcza już z małą. Finansowo sobie poradzę bez alimentów. Znając życie, i tak by ich nie płacił. Jeśli znajdę porządnego faceta, to może pozwolę mu adoptować Basię. Toksyczny tatuś nie jest jej do niczego potrzebny.

Cieszyłam się, że znalazła swego rodzaju happy end. Wyglądała na naprawdę szczęśliwą. Siedziałam więc z nimi i rozkoszowałam się tą atmosferą, bo byłam pewna, że przez najbliższe miesiące będzie mi tego brakować. Myślałam o tym, kiedy usłyszałam swoje imię. Ocknęłam się, by czegoś nie przegapić.

– Hm... – popatrzyłam na nich z niemym pytaniem w oczach.

– Spójrzcie, jaka nieprzytomna – powiedział jeden bliźniak.

– I rozmarzona – dodał drugi.

– A przecież nie ma w okolicy Pawła – zdziwił się pierwszy.  
– Ani w promieniu kilku kilometrów – zgodził się drugi.  
– A może to dlatego – wyciągnął wniosek Wacek (a może Krzysiek?).  
– I może mamy szansę – ucieszył się Krzysiek (a może Wacek?).  
– Na co? – postanowiłam natychmiast zareagować. Bliźniacy byli zbyt niebezpieczni, gdy popuszczali wodze fantazji.

– Na romans z tobą – oświadczyli wspólnie, wracając do wcześniej porzuconego tematu.

– Byłoby wesoło. Zamieniłabyś jednego nudziarza na dwóch...  
– Błaznów – uściśliłam. – Dzięki wielkie, ale wolę swojego nudziarza. Jak powiedział Aleksander II, „Żadnych marzeń, panowie, żadnych marzeń”.

– Też nudziarz – skwitował moją wypowiedź jeden z bliźniaków.  
Rozejrzałam się po mojej grupie. Em była spłakana ze śmiechu, Ewa śmiała się oparta o ramię Rafała, a Adaś i Kasia tylko kręcili głowami.

– Tak, à propos nudziarza – Emilka otarła resztki łez z kącików oczu. – To już zdecydowałaś?

Pomyślałam chwilę.

– W zasadzie tak – westchnęłam ciężko. – Przemyślałam sprawę i w świetle ostatnich wydarzeń wygląda na to, że decyzja została podjęta.

– Na korzyść czy niekorzyść rzeczzonego pana? – wypytywała dalej. Sto procent uwagi zgromadzonych koncentrowało się na mnie. – Bądź człowiekiem i uchyl rąbka tajemnicy.

– Nie mogę – pokręciłam głową. – Najpierw musi się dowiedzieć główny zainteresowany.

– To on jeszcze nie wie? – dziwiła się Ewa. – Myślałam, że jak zdecydujesz, to mu od razu powiesz.

Byłam uparta jak muł.

– Powiem mu pierwszego i ani dnia wcześniej. I tak mi jeszcze złość nie przeszła z powodu postawienia mnie pod ścianą.

Jak ja będę za nimi wszystkimi tęsknić! Nawet za bliźniakami, którzy właśnie opowiadali, jak zdobyli zaliczenie u Kredy.

– Weszliśmy, a on na nasz widok obcierał nerwowo ręce. Uśmiechnęliśmy się...

– ...bardzo grzecznie... – wszedł mu w słowo bliźniak siedzący koło mnie.

– I poprosiliśmy go o zaliczenie...

– Bardzo grzecznie.

– Chciałbym to zobaczyć – skomentował Rafał i uściśnął dłoń Ewy.

– Tak – dodała. – Zwłaszcza ich w wykonaniu „grzecznym”.

– No co? – obruszył się pierwszy. – My zawsze byliśmy bardzo grzeczni.

A on stwierdził, że nie ma podstaw, żeby dać nam zaliczenie. Powiedział, że mamy

zaliczyć mu cały semestr, bo ani razu nie byliśmy aktywni.

- To przypomnieliśmy mu, że przecież byliśmy.
- Najbardziej z całej grupy!
- Raczej spośród wszystkich grup – skomentował Adaś.
- Przypomnieliśmy mu, że zadawaliśmy mu różne pytania...
- Co dowodzi naszego wyjątkowego zainteresowania tematem zajęć!
- Jasne.

Pokiwałam tylko głową. W tym momencie współczułam Kredzie!

– Byłem wtedy z nimi – przejął pałeczkę Rafał. – Przypomnieli mu wszystkie swoje wątpliwości, między innymi te domy dla esesmanów, gdzie produkowano nowych Niemców z najbardziej aryjskimi Aryjkami. Musielibyście widzieć tego biedaka. Po całej liście wątpliwości bliźniaków na sto procent szukał drogi ewakuacyjnej, a policzki miał koloru dojrzałej papryki.

– Tak... Trzymał się dzielnie! – stwierdził Adaś. – Widząc, że nie da rady uciec, stanowczo zażądał od bliźniaków zaliczenia semestru! Tym razem z konkretami, a nie bzdurami, jak orzekł.

– No to my na to, że niestety mamy już wakacje zawalone – poinformował mnie bliźniak siedzący obok Ewy.

– Nie przewidujemy nauki – stwierdził drugi.

– Ani przez jeden dzień! – zgodził się ten pierwszy.

– I poinformowaliśmy go, że w związku z tym chcemy powtarzać semestr. – Uśmiechnął się łobuzersko pierwszy.

– Z następną grupą... – Trącił mnie łokciem ten obok mnie.

– Więc spędzimy razem następne pół roku! – podsumował bliźniak pierwszy.

– I będziemy się widywać znacznie częściej.

– Bo prowadzi tak urzekające zajęcia, że pomimo braku zaliczenia z tego semestru będziemy uczęszczać na następny – skończył drugi.

– Bo uwielbiamy prowadzącego – oświadczyli chórem.

Leżałam na ławie, skręcona w supełek ze śmiechu! Obok mnie leżała Em i śmiała się głośno, nie krępując się już wcale.

– I jak to się skończyło? – wykrztusiłam, gdy byłam już w stanie.

– Jak to: jak? – zdziwił się Wacus.

– Dostaliśmy, oczywiście, zaliczenie! – dopowiedział Krzyś (chyba). – On na chwilę zamilkł. Chyba sobie wyobraził dodatkowe godziny z nami – zachichotał złośliwie.

– To byłyby bardzo fajne godziny – uśmiechnął się Adaś.

– Ale dla nas, nie dla niego – sprostowali zgodnie bliźniacy.

Już nie mogłam się doczekać kolejnego roku. Ciekawe, co teraz wymyślą, bo możliwości to mają ogromne. Wiedzę też, mimo wszystko, mają dużą, choć starają się ją ukryć. Przeszkadza im w ich image'u!

Gdy się zegnaliśmy do czasu pierwszego ze ślubów, Em mnie objęła. Poklepała po plecach, szepnęła do ucha:

– Zadzwoń po wszystkim. – I poszła z Rafałem do ich samochodu.

Zerknęłam na zegarek. Była już pierwsza w nocy. Najwyższy czas położyć się spać.

Rano, po spakowaniu wszystkich ciuchów, kosmetyków, książek i tym podobnych niezbędnych sprzętów, zadzwoniłam do Pawła, by po mnie przyjechał. Pożegnałam się z rodzicami, obiecując, że w najgorszym razie wrócę w piątek za dwa tygodnie na ślub. Ode mnie pojechaliśmy do mojego faceta, po resztę jego rzeczy. Mieszkanie było już opróżnione. Wszystkie meble i ciężkie rzeczy wysłał w sobotę samochodem do przeprowadzek. Jak mi się pochwalił, znajdowały się one w jego świeżo odremontowanym mieszkaniu na strychu. Teraz miał zabrać tylko jakieś drobiazgi. I oddać klucze nowemu właścicielowi. Sprzedał je za poważną sumę. Miało trzy pokoje i przeszło generalny remont rok wcześniej. Cóż, kasa na pewno się przyda. Zwłaszcza teraz.

Wsiadłam do auta, zapięłam pasy i starałam się odprężyć. Czekало mnie parę godzin jazdy, a ja byłam tak zestresowana, że rozbolał mnie brzuch. Paweł rzucił na mnie okiem i zmarszczył brwi.

– Źle wyglądasz, jesteś chora?

– Patrz na jezdnię – zwróciłam mu uwagę. Posłusznie skupił się na drodze przed nami. – Mną się nie przejmuj, jestem tylko zestresowana.

– Z powodu? – zapytał.

– Jutra – oznajmiłam krótko. Popatrzyłam na niego z wyrzutem. – Wpędzasz mnie w chorobę.

– Nie jęcz. – Wydawał się totalnie niewrażliwy na moje pogarszające się samopoczucie. – Możesz zawsze powiedzieć mi dziś. Od razu poczujesz się lepiej – poradził.

– Wypchaj się – zaproponowałam uprzejmie i pokazałam mu język. – Powiedziałaś jutro, więc jutro. Najwyżej zarzygam ci tapicerkę, jak nie zwolnisz.

– Ani mi się waż – fuknął. – Właśnie ją wyczyściłem. Żebyś w luksusowych warunkach mogła pojechać.

Paweł jest jak pies sąsiada, który dużo warczy, ale mało gryzie. Wyraźnie zwolnił. Oczywiście musiał sobie pomarudzić, że wlokąc się w takim tempie, przyjedziemy o północy. Na szczęście udało mi się zasnąć i reszta podróży minęła bezboleśnie.

Nie podjechaliśmy pod miejsce przeznaczenia o północy, ale o trzeciej po południu; musiał znacznie przyspieszyć, gdy zasnęłam.

Paweł wjeżdżał akurat w bramę wjazdową, gdy się ocknęłam i zaczęłam chłonać widoki. Brama była świeżo pomalowana, park zadbane, rusztowania zaś zniknęły. Dwór miał obecnie kolor kremowy, jego kolumny jaśniały



w popołudniowym słońcu. Skomentowałam to jednym słowem:

– Wow!

Paweł uśmiechnął się zadowolony. Wziął moją walizkę i ruszył w kierunku dworu.

– Dziś jest jeszcze spokojnie. Jutro mamy otwarcie. Od drugiej zjeżdżają się goście. Na wszystkie pokoje mamy rezerwacje – paplał tak i prowadził mnie w stronę drzwi, w których stała jego matka.

– Cześć, Ewa – ledwie zdążyłam rzucić, gdy nagle znalazłam się w powietrzu.

Paweł rzucił moje walizki, porwał mnie na ręce i zabierał się do przenoszenia mnie przez próg jak jakąś cholerną wiktoriańską pannę młodą. Zaczęłam się wrywać.

– Puszczaj, baranie! – warknęłam i zintensyfikowałam moje wysiłki zmierzające do odzyskania pozycji pionowej, na własnych nogach.

Jedynym efektem było to, że Paweł zmienił moją pozycję w powietrzu na bardziej dla niego wygodną.

– Nie wierć się tak, bo cię puszcę i rozbijesz sobie któryś z pośladków... lub obydwą.

– Musisz z nas robić widowisko? – zaprotestowałam wściekle. – Po co to wszystko?

– Wnoszę cię tylko do twojego nowego domu.

– I po co to wszystko? – spytałam ponownie, a jego matka, śmiejąc się, odsunęła mu się z drogi.

– Jak to: po co? – zdziwił się. Na szczęście. Żeby nam się tu dobrze mieszkało!

– Jeszcze nie podjęłam decyzji – przypomniałam mu.

W tym momencie wszedł ze mną do holu. Zatkanęło mnie. W ciągu dwóch miesięcy pomieszczenie przeszło zasadniczą metamorfozę. Ściany były pomalowane na ładny jasnozielony kolor. Na lewo od wejścia, pod ścianą, była recepcja. Znajdowało się tu również kilka ładnie wkomponowanych w całość foteli i stolików. Poza tym pomieszczenie tonęło w zieleni.

Paweł, ku mojemu zdziwieniu, nie postawił mnie na podłodze, ale zaczął się pięć po schodach. Muszę stwierdzić, że odmalowane i pokryte dywanem robiły olbrzymie wrażenie. Z sufitu na pierwszym piętrze zwisał kandelabr. Zaczynałam się powoli czuć jak Scarlett O'Hara. Gdyby nie to, że byłam tak skołowana, byłoby mi jak w niebie. Na myśl mi przyszło tylko jedno. Skąd, na miłość boską, mieli na to wszystko kasę? Zapytałam o to Pawła.

– Z Unii – powiedział tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Wszedł na piętro i skierował się w korytarz po lewej stronie, otworzył pierwsze drzwi po lewej i poszedł w kierunku kolejnych schodów.

– Jak to: z Unii? – wypytywałam go.

– Z kilku funduszy – szedł po schodach ze mną na rękach, tłumaczył i nawet się nie zasapał! To niesprawiedliwe! – Dla przedsiębiorstw na rozwój firm, z ochrony zabytków. W większości były to pożyczki. Unia zwróciła nam część kosztów i te pieniądze ładowaliśmy dalej w budynek. Trzeba było tylko pilnować terminów i szukać możliwości. Są generalnie duże, ale trzeba wiedzieć, gdzie szukać. I oczywiście przebojowość oraz stanowczość mają w polskich urzędach duże znaczenie!

– Ile odzyskaliście? – zainteresowałam się, zaszokowana skalą, na którą działali.

– Jakieś siedemdziesiąt procent, więc mamy szansę na sukces. Kredyty powinniśmy pospłacać w ciągu pięciu lat. Na dodatek komisja z urzędu marszałkowskiego przyznała nam cztery gwiazdki.

Schody doprowadziły nas do małego holu na strychu. Światło dawały okna zamontowane w dachu. Z prawej odchodził korytarz z kilkoma drzwiami po prawej i lewej stronie. Z lewej były tylko jedne drzwi.

– To nasze mieszkanie – oświadczył, otwierając je, Paweł. I przeniósł mnie przez kolejny tego dnia próg.

W środku wreszcie stanęłam na nogach. Po porządnym powitalnym pocałunku rozejrzałam się dookoła. Znajdowałam się w dużym salonie z kominkiem. Naprzeciw, mniej więcej w połowie szerokości ściany, były dwie kolejne pary drzwi. Prowadzących, jak się domyśliłam, do sypialni i łazienki. Z mojej lewej strony znajdowały się jeszcze jedne, od trzeciej sypialni. Salon był ogromny i na wpół pusty. Mebli Pawła nie wystarczyło. W jednym tym pokoju zmieściłoby się całe jego byłe mieszkanie. Dzięki oknom w dachu, które wspomagały okrągłe okienka zamontowane pewnie przez przodków Pawła, było bardzo jasno. Choć blisko tych okienek sufit obniżał się tak, że trzeba było pochylić głowę.

Paweł otworzył drzwi po mojej lewej i znalazłam się w sypialni. Bardzo dużej. Zmieściło się tam olbrzymie łóżko, szeslong, toaletka, stolicek i dwa krzesła.

– To największa sypialnia, obok są drzwi do łazienki.

Weszłam do środka. Rogowa wanna z hydromasażem, kabina prysznicowa, umywalka, bidet i toaleta. Wszystko w ładnym niebieskim kolorze, tylko jeszcze niewykafelkowane. Z wanny trzeba będzie wychodzić na goły beton.

– Brakło czasu, wykafelkuje się po sezonie.

Spojrzałam na niego z pytaniem w oczach.

– Żeby gościom nie przeszkadzać w odpoczynku. Walenie nad głową nie jest mile widziane w czasie urlopu – wytłumaczył.

Wyszłam z łazienki. Poprowadził mnie w stronę kolejnego pomieszczenia

znajdującego się przy sypialni. Stało tam biurko, komputer i obrotowy fotel.

– Nasz gabinet – zakomunikował.

Weszłam do kolejnego pokoju. Tylko szafy, lustro i małe pufki na środku. Byłam w garderobie. Wróciłam z powrotem do salonu.

– Na razie umeblowałam sam. Jak ci się nie będzie coś podobać, to po prostu zmienisz. Masz dobry gust! Pozostałe sypialnie są jeszcze nieumeblowane. Może jedną będziemy chcieli za jakiś rok pomalować w zajęczki. – Cmoknął mnie w policzek i wyszedł po moje bagaże.

Ciężko opadłam na kanapkę i ze zdumioną miną rozglądałam się po pokoju. Spodziewałam się dużo, ale nie aż do tego stopnia! Czyżbym umarła i poszła do nieba? Spojrzałam z góry na park. Tak, na pewno byłam w niebie!

Rozpakowałam się dość szybko. Ciuchy poukładałam w przepastnych szafach garderoby. I po raz pierwszy w życiu nie musiałam nic upychać na siłę! Po rozpakowaniu się poszłam sprawdzić szefa kuchni, czyli zesłam na późny obiad do jadalni. Zesłam po reprezentacyjnych schodach i znalazłam się w holu. Następnie za Pawłem weszłam do salonu. Był to prostokątny pokój ciągnący się przez całą szerokość budynku. Naprzeciw wejścia znajdowały się dwie pary drzwi. Jedne prowadziły do sali restauracyjnej, drugie do biblioteki. Całość umeblowana była w stylu chippendale. Na ścianie wisiało lustro w grubych, srebrnych ramach, naprzeciw niego dwa obrazy przedstawiające sceny rodzajowe. Salon był bardzo jasny, ponieważ miał okna od frontu oraz od tyłu budynku. Te drugie wychodziły na taras.

Z salonu przeszłam do jadalni. W porównaniu z salonem nie była tak jasna. Wrażenie potęgowane było przez specjalne ścianki złożone z kratownic z roślinnością. Każdy stolik był dzięki nim jakby odgradzony od reszty, by goście czuli się komfortowo. Ławy służące do siedzenia przy stolikach były bardzo miękkie i wygodne. Z głośników sączyła się cicha muzyka.

Paweł posadził mnie przy jednym ze stolików i wręczył kartę dań.

– Chyba żartujesz? – spytałam. – Zjem cokolwiek.

– Chcę cię porzypieszczać – uśmiechnął się czule. – Mam ochotę dać ci gwiazdkę z nieba i sprawić, byś się przez chwilę poczuła jak ta Agneta, o której tyle mi opowiadałaś. Co prawda sprowadzenie Czartoryskich, by cię zabawiali, pozostaje chwilowo poza moim zasięgiem...

– To nie oni ją zabawiali, a ona ich – sprostowałam automatycznie. – A ty zasługujesz na to, by ci wałkiem przyłożyć.

– Może chcę odpokutować Usię...

– Nie wierzę – postanowiłam być sceptyczna. – Coś knujesz i ja się dowiem, co!

– Czy słyszałem Usia? – Przysiadł się do nas ojciec mojego kłopotu. – Co

znów zmalowała?

– Osobiście nic – zaczął tłumaczyć ojcu. – Julia znalazła jej zdjęcie, wiesz, te które rozdaje wszystkim, i lekko się zdenerwowała. Julia, znaczy się.

– Trochę? – Józek spojrzał na mnie z niedowierzaniem. – To znaczy jak trochę?

– Tak trochę, że gdybym szybko nie wytłumaczył sprawy, nie doczekałbyś wnuków.

– A, to dobrze – uspokoił się. – Dziewczyna ma charakter i będzie cię trzymać mocną ręką za jaja!

– Tato!

– A co? Chciałbyś się związać z jakimś lelum polelum? Synu – oświadczył uroczyście – wołałbym cię wydziedziczyć.

Paweł się skonfundował. Jedno jest pewne. Jeśli dojdzie do naszego ślubu, będę uwielbiać mojego teścia! I chyba z wzajemnością. Na marginesie, obiad był przepyszny. Po prostu niebo w gębie. Może wyjdę za mąż za kucharza?

Nie wyjdę. Kucharz jest kucharką, ma na imię Jola i w tym roku skończyła szkołę gastronomiczną. W Paryżu, by nie było wątpliwości. Siedziałyby tam dalej, gdyby nie zachorowała jej matka. Wróciła tu i przez trzy miesiące bezskutecznie szukała pracy, do czasu kiedy znalazła ogłoszenie rodziców Pawła. Eliminacje były proste – przyszli szefowie kuchni mieli coś ugotować. Wybór okazał się oczywisty. W tej sytuacji zadowolone były dwie osoby. Paweł z szefa kuchni i Jola z posady. Resztę personelu kuchennego i nie tylko miałam poznać następnego dnia. Miałam także przejąć obowiązki recepcjonistki. Tak się złożyło, że to rodzinny interes, a ponieważ rodzinny, wszyscy pomagają, jak tylko mogą. Ewentualna synowa też. Zwłaszcza że zna angielski!

Czekają mnie więc bardzo pracowite wakacje. O tym Paweł zapomniał wspomnieć przed przyjazdem. Ciekawe dlaczego?

Z pomieszczeń wspólnych została mi do zobaczenia już tylko biblioteka. Weszłam i od razu wiedziałam, że będzie to mój ulubiony pokój. W jednym z moich ukochanych filmów rysunkowych widziałam kiedyś pokój marzenie, była to biblioteka w *Pięknej i Bestii*. Biblioteka Pawła wyglądała podobnie, tyle że była jej miniaturą. Pokój ciemny i przytulny. Trzy ściany od sufitu aż do podłogi zajęte przez regały z książkami. Na środku stały fotele: obszerne, obite skórą, wprost zachęcające, by się w nie zagłębić i chwilę poczytać. Przy fotelach stały małe stoliczki, na które można było odłożyć książkę lub filiżankę z kawą. Całość przypominała angielski klub dla panów. W rogu pomieszczenia stał oryginalny piec kaflowy. Cudo!

Nagle zamarłam. Przy ścianie bez regałów, nad stolikiem z czasopismami i gazetami wisiał obraz. Portret przedstawiający rodzinę w strojach z okresu

Księstwa Warszawskiego. Przystojny mężczyzna w mundurze szwoleżerów stał za krzesłem kobiety, trzymał rękę na jej ramieniu. Ona – lekko uśmiechnięta, dotykała w intymnym geście ręki swojego męża. Drugą ręką obejmowała roczne dziecko, które miało jej jasne włosy i uderzająco niebieskie oczy swojego ojca. Rozkoszny bobas siedział na jej kolanach i ssał kciuk. Cudownie razem wyglądali. Wysoki brunet ze stalowym spojrzeniem, z niewielką blizną w kąciku ust, i ona, filigranowa, zielonooka, z włosami skręcającymi się w urocze loczki, miękko opadającymi na jej pierś. Musiała być niezłym łobuzem! To figlarne spojrzenie! Łezka zakręciła mi się w oku. Musieli być bardzo szczęśliwi. I musieli mieszkać tutaj, orzekłam po bliższym przyjrzeniu się obrazowi. Kobieta, dziewczyna nawet, powiedziałabym, zajmowała jedno z krzeseł obecnie stojących w salonie! Podeszłam bliżej. Nareszcie jacyś żywi ludzie, ci, którzy tu mieszkali, śmiali się i kochali. Moje rozważania przerwał Paweł.

– Znaleźliśmy go na strychu między rupieciami. Był bardzo zabrudzony, więc nie wiedzieliśmy, co się na nim znajduje, aż do chwili, gdy do nas wrócił.

– To wspaniały portret. Wiedziałam, że strychy kryją w sobie wiele możliwości.

– Tak, wiem. – Objął mnie od tyłu, z brodą przy mojej szyi. A ja, jak kobieta na portrecie, dotknęłam lekko jego ręki. Zmrużyłam oczy. Czy to...

Odsunęłam się od Pawła, bo w tym momencie zauważyłam coś jeszcze. Kobieta na portrecie miała pierścień. I ja znałam ten pierścień.

Nareszcie dowiedziałam się, jak wyglądała Agneta!

Spać poszłam późno. Byłam zbyt zajęta szkoleniem w recepcji, udzielonym mi przez matkę Pawła. Gdy weszłam do naszej sypialni, zastałam go zgarbionego nad księgami rachunkowymi i zajętego zapisywaniem wydatków z dnia. Spojrzałam na niego, był wyraźnie zmartwiony.

– Co jest?

– Wydatki liczymy w tysiącach. Nawet boję się pomyśleć, co będzie, jak nie wyjdzie.

Zaczął masować sobie skronie. Podeszłam do niego, odsunęłam jego dłonie i sama zaczęłam masaż. Po chwili zamruczał z ulgą.

– Co ma nie wyjść? – Postanowiłam być głosem rozsądku i pocieszyć go trochę. – Jak będziecie wszyscy ciężko pracować, nawet w naszym dziwnym kraju musi komuś coś wyjść. Zresztą wasi goście to przede wszystkim nasi sąsiedzi z za Odry.

– Myślisz?

Ten wzrok pełen nadziei.

– Jasne – pokiwałam głową.

– Z tobą wszystko musi wyjść. – I zabrał się do pokazywania, co mu jeszcze

ze mną wychodzi.

Z głowy mi wyleciało, że jutro pierwszy, że będę musiała coś postanowić. Liczył się tylko Paweł i moje dzisiejsze szokujące odkrycie. Leżąc w ciemności, analizowałam. Agneta mieszkała tutaj wraz z Maksymianem, miała dzieci, a przynajmniej jedno. Dowiedziałam się od Pawła, że obraz został namalowany w 1810 roku. Na dwa lata przed nieszczęsną wyprawą Napoleona na Rosję. Głowę wypełniały mi kolejne pytania. Czy brał udział w tej wyprawie, czy powrócił? Był bardzo przystojnym mężczyzną, nic dziwnego, że pisała takie hymny na jego cześć. Na dodatek charakter też miał niezły.

– Nigdy nie przypuszczałem, że będę zazdrosny o nieboszczyka – dobiegł mnie w ciemnościach głos Pawła.

– Co takiego?

– Od wieczora znajdujesz się gdzieś w przeszłości, w dziewiętnastym wieku. Stracona dla mnie. Z nimi.

– Głupoty gadasz – odezwałam się.

– Czyżby?

– No jasne. Przecież to tylko takie hobby. Po tym, jak znalazłeś dla mnie ten obraz, tyle myśli przechodzi mi przez głowę...

– Nie hobby – powiedział Paweł. – Pasja. Historia to twoja pasja i miłość. Zastanawiam się, czy jakiegokolwiek człowieka pokochasz tak bardzo jak ją.

– Historia to ludzie – zaprotestowałam. – Skoro kocham ludzkie historie, pasjonuję się ich życiem, to kocham także ich. A dziś jest dla mnie dzień szczególny. Znalazłam ich. Dzięki tobie. Bez ciebie byłoby to niemożliwe, a oni dalej tkwiliby na strychu, zapomniani. Nie zasługują na to. Nikt nie zasługuje.

Poczułam, że w ciemnościach mnie przytula.

– Masz rację, kochanie – wyszeptał mi do ucha – nikt nie zasługuje na zapomnienie.

– Wiesz, dziękuję ci.

– Za co? – zdziwił się.

– Za cel. Wiem już, co będę robić za rok, kiedy skończę studia.

– Co takiego?

– Chcę pracować w szkole. Pomimo upierdliwości, które znosiłam w tym roku, przekonałam się, że to wspaniała praca. I będę miała czas na to, by popołudniami ci tu pomagać, o ile tu będę – dodałam. – Ale jeszcze bardziej chcę opisać ich historię. Agnety i Maksymiana. Byśmy nie tylko my o nich pamiętali. Jak myślisz, uda mi się?

– Nie mam wątpliwości, kochanie. Nie mam wątpliwości.

Pierwszego lipca była piękna słoneczna pogoda. Obudziłam się spokojna

i pewna siebie. Czyżby to duch Agnety dodał mi odwagi? Kto wie. Zeszłam na dół. Panowało tam istne pandemonium. Ludzie w strojach z okresu napoleońskiego biegali tam i z powrotem. Pokojówki w długich, ciemnych sukniach, z małymi białymi fartuszkami i z czepeczkami na włosach ścierały kurze specjalnymi miotełkami. Nagle jedna z pokojówek potknęła się o brzeg sukni i wyłożyła się na drewnianym parkiecie jak długa. Wleciała matka Pawła, pytając, czy jeszcze dycha. Po tym, jak dziewczyna pozbierała się z podłogi i zapewniła, że nic się jej nie stało, Ewa pognęła dalej. Obok mnie przeleciało dwóch pracowników obsługi w surdutach. Przebrałam się w długą zieloną suknię i stanęłam za recepcją. Kucharka Jola obiecała, że zaraz pośle mi kelnera ze śniadaniem, bym przed nawalem gości zdążyła coś zjeść. Zabrałam się do przeglądania potrzebnych papierów i informacji z rezerwacjami.

Wieczorem, po umieszczeniu gości w pokojach, załatwieniu wszystkich ich prośb, udzielaniu różnorodnych informacji i bezustannym uśmiechaniu się, przekazałam wszystkie wiadomości mojej zmienniczce i w ramach odmłodzenia postanowiłam przejść się na cmentarz. Coś mi mówiło, że tam znajdę odpowiedź na moje historyczne wątpliwości.

Cmentarzyk okazał się uroczy. Stare mogiły były porośnięte trawą. Zniknęły chaszczki, a stare nagrobki były tak wyczyszczone, że możliwe stało się odczytanie napisów. Znalazłam nagrobki przodków Pawła: Piotra i Alicji z domu Lisieckiej, ich syna Damiana. I synów Damiana. I wreszcie grób Agnety i Maksymiana. Spojrzałam na daty śmierci. Spędzili ze sobą przeszło pięćdziesiąt lat.

– Czy ja cię zawsze muszę spotykać w jakimś ponurym miejscu? Albo strych, albo cmentarz! – dobiegł mnie radosny głos Pawła.

– Bo to są najpiękniejsze miejsca na świecie. Najbardziej interesujące.

– Szajbnięta historyczka – ciepło skwitował Paweł. – Chcesz się pohuścić?

– Na huśtawce dla dzieci? Nie, dziękuję. Już, na szczęście, skończyłam przedszkole.

Paweł uśmiechnął się tajemniczo.

– Mam coś lepszego.

I rzeczywiście. W ogrodzie na tyłach parku, przymocowana do gałęzi starego dębu, kołysała się na wietrze prawdziwa huśtawka. Na takiej mogła się huścić Agneta dwieście lat temu. Paweł usiadł na desce i wziął mnie na kolana. Lekko się rozbujaliśmy i obserwowaliśmy wspólnie zachód słońca.

– Super uczucie! – zawołałam do niego rozbawiona i rozgrzana.

Obróciłam się w jego stronę i popatrzyłam mu w oczy. Serce zaczęło mi walić. Miał bardzo poważną minę. Poprawił mnie na kolanach, tak że teraz siedziałam bokiem do niego, i wyciągnął coś z kieszeni. Pudełeczko. W środku pewnie znajdował się pierścionek. Spojrzał mi w oczy.

– Przekazujemy go z pokolenia na pokolenie. Nie wiem sam, ile ma lat.

Wczoraj, gdy dostałem go od matki, powiedziała mi tylko, że jest symbolem. Symbolem odwagi, honoru i sprawiedliwości. Oraz miłości. Miłości do kraju i ukochanej kobiety. – Otworzył pudełko, a mnie dech zaparło. – Podarował go mojemu przodkowi...

– ...władca, któremu ten uratował życie w bitwie – dokończyłam.

Paweł spojrzał na mnie zdziwiony.

– Skąd...

Przejechałam palcami po wyrytych w kamieniu inicjałach „IS”. Inicjałach Jana III Sobieskiego. Pierwszych literach skrótu Iustitia Salvificat. Zrozumienie przebiegło po jego twarzy.

– I co ty na to?

Podalam mu dłoń, by mógł mi włożyć pierścione. Spojrzałam w jego zielone oczy. Oczy Agnety. Uśmiechnęłam się.

– Też mam dla ciebie prezent. – Wsunęłam mu do ręki biały kawałek plastiku z wyróżniającymi się dwiema czerwonymi kreseczkami.

Zamrugął oczami, nie bardzo wiedząc, co właściwie trzyma w dłoni.

– Cóż, Pawełku, będzie nam potrzebny błyskawiczny kurs zmieniania pieluszek.

Nagle jego uścisk stał się miazdzący, a huśtawka gwałtownie się zatrzymała.

KONIEC

(tak mi się wydaje)



***W SERII Z BABECZKĄ UKAZAŁA SIĘ RÓWNIEŻ KSIĄŻKA:***

***„NIE ZMIENIŁ SIĘ TYLKO BLOND”***

***AGATY PRZYBYŁEK***



Nie  
zmienił  
się tylko  
blond

AGATA PRZYBYŁEK



*Mam 37 lat*, jestem farbowaną blondynką i zaczynam nowe życie. Czy to dobre zdanie, żeby rozpocząć nim książkę? Cóż, z ciężkim sercem, ale muszę wam wyznać, że zawsze miałam z tym problem. I oczywiście siedzę teraz i zastanawiam

się, czy gramatycznie wszystko jest OK, czy powinno zaczynać się takie dzieło zdaniem współrzędnie złożonym, równoważnikiem, czy też może zdaniem złożonym wielokrotnie. Psiakrew. Nie obchodzi mnie to, bo mam 37 lat, jestem farbowaną blondynką i rozpoczynam nowe życie. Może to nie najlepszy wiek, nie najlepszy kolor włosów, ale stan wręcz idealny.

I tu pojawia się następny problem. Powinam zdradzić czytelnikowi wszystko na początku książki czy też ujawniać informacje stopniowo? Budować napięcie powoli czy też walnąć czytającego pałą w łeb porządną informacją na samym wstępie? Musicie mi wierzyć, wcale to nie takie proste, na jakie wygląda...

No, ale cóż. Nie mam wyjścia, więc nad tym też nie będę się zastanawiać, bo szlag mnie trafia, kiedy zdenerwowana wyciągam z szafy zestaw walizek, który (dzięki Bogu) kupiłam na nasz wakacyjny wyjazd do Chorwacji (Łukaszek tak bardzo chciał zobaczyć dalmatyńskie wybrzeże), a który idealnie przyda się, aby w ciągu 24h spakować mnie, czwórkę dzieci, dwa psy (muszę dodać, że całkiem niesforne), jednego kota i x kociąt, i wynieść się stąd na drugi koniec Polski. Dlaczego? Dlatego, że prowadzenie przez męża rentownego sklepu z damską bielizną, i to w dodatku w samiusieńkim centrum miasta, wcale nie jest czymś, na co kochana, wspaniała, tolerująca zachcianki żonka powinna się zgadzać. Bo mąż może okazać się bawidamkiem, przez MOMENCIK zapomnieć o „...i że cię nie opuszczę” i iść w tango z biuściastą panią Adelką, która zawsze miała skłonność do frywolnych koronek, a nie do ciepłych, dwuczęściowych piżamek jak kochająca, gotująca obiady żonka. I tyle w tym temacie. (Nie będę płakać, nie będę płakać!)

Dlatego ja, szanowana oraz szanująca siebie pisarka, która zamiast kontrolować mężusia, przez 18 lat małżeństwa zajmowała się domem i dziećmi (dziećmi przez 9 miesięcy mniej), nie zamierzam łykać łez, robić awantur, lecz po honorowym strzeleniu go w nieogolony policzek, serii wyzwisk, kiedy to (z klasą!) opuszczał mieszkanie i wychodził na klatkę schodową (sąsiedzi wydawali się całkiem zainteresowani całą sytuacją, ale przecież nie robiłam tego pod publikę), i ostentacyjnym trzaśnięciu drzwiami, postanowiłam, że zachowam twarz i to ja wyniosę się z naszego, jakże to pięknie brzmi, NASZEGO, wspólnego do tej pory, gniazdka.

No dobrze. Gniazdko nie było znów takie do końca moje, a przynajmniej formalnie, bo bawidamek upierał się przed ślubem przy tej swojej intercyzie jak głupi, a mnie, wierzącej w to, że miłość jest na zawsze, romantycznie, było wszystko jedno. Finalnie, kilka dni przed ślubem zawarłam więc cyrograf z diabłem, podpisując ten piekielny dokument zupełnie zaślepiona dozgonną miłością, która, jak widać na załączonym obrazku, okazała się nie taka wcale dozgonna.

Jak tak teraz na to spojrzeć, to powinienam winić za to wszystko moją kochaną mamusię, która z uporem maniaczki szeptała mi wtedy, że przecież ich wielki dom

komuś trzeba zapisać i czarowała mnie tym swoim upierdliwym wdziękiem jak prawdziwa dobra wróżka. Wprowadziłam się więc do kochanego mężusia, a raczej jego mieszkania, które, podkreślam, jest JEGO, o czym nie zapomniał mi w odpowiednim czasie przypomnieć, i wiodłam szczęśliwe życie, o intercyzie zapominając. No bo niby skąd miałam wiedzieć, że przyjdzie mi kiedyś słono za tę naiwność zapłacić? No skąd?!

Tak. W skrócie to właśnie dlatego kolejne szafki opróżniane są przeze mnie w błyskawicznym tempie, żeby, kiedy ten cholerny bawidamek wróci, miał, choroba jasna, do kogo i czego, czyli wszechobecnej pustki. A niech mnie! Garnki, które sprezentował mi na osiemną rocznicę ślubu też zabiorę. Niech bawidamek posmakuje, co to jest przymieranie głodem, kiedy kochana żonka nie ugotuje obiadku. Niech biuściasta przywiezie swoje razem z koronkową piżamką, ot co!

Tylko zaraz, dokąd ja właściwie z całym tym barłogiem, czytaj: czworo dzieci, dwa psy, jeden kot, właściwie kotka, i x kociąt, się wyniosę?

Swoją drogą, dlaczego nie mogłam pomyśleć o tym, kiedy z nie lada opanowaniem wygrażałam się, że mój prawnik pozbawi go wszystkiego i nie musi się o nic martwić, bo do jutra mieszkanie zostanie zupełnie puste? Jak to dokąd? Zawsze dobrze, ale w domu najlepiej, nie ma jak rodzina, wal jak w dym i tak dalej... Chyba nie za bardzo mam wybór...

– Mamusiu... – wydusiłam po dwóch sygnałach, chlipiąc przy tym niemiłosiernie i niemalże dusząc się łzami.

– Iwonka, kochanie, co się stało?

– Bawidamek, to znaczy Grzegorz, który okazał się bawidamkiem, on teraz, z Adelą... Mówiłaś, tak, mówiłaś, że ten sklep to nie jest dobry pomysł... my teraz. Nie wiem, mamusiu...

– Córeczko, mówże jaśniej! W nerwach dostajesz straszego słowotoku. Henryk, Iwonka dzwoni, chodź, dam na głośnik!

– Mamusiu, bo on... wyrzucił mnie z domu. I dzieci. I psy. I naszą ciężarną Felę. Gdzie mamy się podziąć, pomyślałam... Mój Boże, jak nie wy, to chyba dworzec...

– Zabiję gnoja! Od samego początku mi się nie podobał, niech ja go... – tatuś.

– Iwonka, kochanie, oczywiście. Pakuj dzieciaki w pociąg i przyjeżdżajcie. Tata wyjedzie na dworzec. Tylko kiedy kochanie? – mamusia.

– Jutro. Będziemy nocnym... – rzuciłam bez zastanowienia. – Nie, wróc. Szkoła, dzieci mają szkołę. W weekend mamusiu, w weekend.

– Niech ja, choroba jasna, znajdę tę siekierę, już ja mu nogi... – tatuś.

– Ale jak to? – mamusia.

– Tak to mamusiu. Zostawił mnie. Kazał się wynosić – pociągnięcie nosem. – Sama rozumiesz, że w tej sytuacji...

– Iwonka, niczym się nie przejmuj. Ja tu wam górę przyszykuję, jakoś się zmieścicie. Przecież wiesz, że na nas zawsze możesz liczyć. Pakuj się córunia. Nie siedź tam i nie zadręczaj się... matko, chciałabym cię teraz przytulić. Jesteś na pewno taka samotna...

(Ja błagam, niech mama się tylko nie rozczula. To wcale do niej niepodobne. Potrzebuję teraz autorytetu! Niech się mama ogarnie wewnątrz, to ja tu jestem ta rozchwiana!!!)

– Mamusiu, ja wiem, że to problem... – dwa pociągnięcia nosem.

– Córcia, pakuj dzieciaki. I nie wyj no tam. Niech wiedzą, że mają silną matkę. Masz tam gdzie Antosia? Chciałam mu powiedzieć, że ta gra...

– W szkole. Dzieciaki w szkole... – zaszlochałam kolejny raz do słuchawki.

– No tak. W takim razie pakujcie się! Tatuś po was jutro wyjedzie. Tylko jak wy te zwierzaki pociągiem przewiezicie, córcia? Jakies opłaty, czy coś... jak trzeba pieniędzy, to my z ojcem...

– Przepraszam mamuś – pociągnięcie nosem – ale muszę kończyć, bo ktoś do drzwi dzwoni. Będziemy rano. Kocham was i dziękuję.

– Halina, znalazłem tę siekierę. Jadę tam, niech mnie kule biją, wsiadam w samochód i... – tatuś.

– Pa córunia, czekamy! Kochanie, odłóż tę siekierę... – i się rozłączyła.

Odkładając komórkę na blat i ocierając łzy (swoją drogą, tusz to już mi pewnie zupełnie spłynął, bo bawidamek głosił chwalebne hasło: oszczędzamy i musiałam ostatnio kupić jakiś podrzędny... jeden plus z tego będzie, znaczy, z całego tego rozvodu oczywiście), otworzyłam drzwi. I już sama nie wiem, kto gorzej wyglądał. Łukasz, z przerażoną miną, zapłakana Magda czy ja z rozmazanym tuszem do rzęs.

– Dzień dobry – wydusiła Magda, wchodząc za Łukaszem do środka. Plecak mojego pierworodnego, który w tym roku skończył 17 lat (pierworodny, nie plecak, tak gwoli wyjaśnienia), błyskawicznie znalazł się na drugim końcu korytarza. Naszego byłego, można powiedzieć, korytarza.

– Chodź mamo, musimy poważnie porozmawiać – powiedział pierworodny jakimś dziwnym tonem i już nie wiem, co było bardziej dziwne, ten jego jakiś taki zamglony głos czy ich wygląd.

Posłusznie poszłam za moją młodzieżą do kuchni, zamykając drzwi za gówniarstwem, które widać już przywykło do tego, że matka wszystko za nich robi. I tak jak bawidamek, nic nie uszanują...

– Siadaj, Magda. – Łukasz władczym ruchem odsunął jej krzesło, a ona ze spuszczoną głową posłusznie usiadła. – I ty mamo też lepiej siadaj.

Nic nie powiem, ale ja już krzesło musiałam odsunąć sobie sama!

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, usiadłam. Czyżby już o wszystkim wiedzieli? Ale skąd?! Czyżby matka zaraz zadzwoniła do Łukasza, żeby zapytać,

jak to znoszę i wypaplała wszystko tym swoim długim jęzorem? Biedna ta Madzia, chociaż rok od Łukaszka starsza, już ją nawet polubiłam. Taka sympatyczna... i zwykle staje po mojej stronie.

Zaraz! Może ja powinnam tu napisać, że stawała, bo jeśli ten związek i tak wisi na włosku... Pewnie boją się, że będą musieli się rozstać. No tak, przecież to drugi kraniec Polski, co ja im powiem? Wiedzą? Nie wiedzą? Tak mi głupio. Stanę na drodze ich miłości. Do końca życia będę się czuła winna, będę dręczona przez wyrzuty sumienia. Właściwie... Stop, stop, stop. Bawidamek stanie, nie ja. Ja tu jestem niewinna, żeby nie powiedzieć, że padłam ofiarą sklepiku w centrum i koronkowej bielizny Adeli. O jej biuście, w rozmiarze D, oczywiście nie wspominając!

– Chodzi o to... – zaczął Łukasz niepewnym tonem, ściskając Magdę za rękę.

– Synku – weszłam mu w słowo. Niech się pierworodny nie kłopotuje, ja zaraz mu wyjaśnię. – To wszystko da się jakoś załatwić. Mamy pieniądze, nic nie jest stracone. Ty jesteś młody, Magda młoda, świat przed wami. Trzeba będzie jakoś wam pomóc. Oczywiście, na początku będzie ciężko, ale przecież jesteśmy jak rodzina...

– Mamo, o czym ty... ty już wiesz? – Łukaszek zrobił nagle podejrzenie wielkie oczy.

Co wiem? Chyba wiem, że wiedzą.

– Łukasz – ścisnęłam go przez stół za rękę. – Zrobię wszystko dla waszego dobra! – zapewniłam go, zerkając na zdenerwowaną Magdę, której oczy mało co z gałek nie wyskoczyły.

– Mamo, ale jak to, ty tak po prostu? Przecież zabieg kosztuje. Zresztą my z Magdą jeszcze nie braliśmy pod uwagę tej opcji. To przecież może się nie udać, jest niebezpieczne. Trzeba by adresu poszukać, kogoś sprawdzonego i w ogóle.

Stop.

– Zaraz. Jaki zabieg? Magda jest chora? Ja myślałam, że wy o ojcu, o tym, że nas z domu wyrzucił. O przeprowadzce. Zaraz, zaraz. O czym rozmawiamy? – zaczęłam potrząsać głową jak nawiedzona.

– No jak to, o czym. O tym, że Magda jest w ciąży. Mieliśmy Ci razem powiedzieć, ale skoro już wiesz i zgadzasz się nam pomóc... Ja wiem, jestem nieletni, Magda co prawda już skończyła 18 lat, ale przecież nie masz nic przeciwko niej... Tylko jeszcze o aborcji nie rozmawialiśmy, ale skoro mówisz, że nam pomożesz. I jeszcze jedno...

Jakiej, choroba jasna, CIAŻY!?

– Słucham? – Gdybym miała coś w ustach, to chyba bym się tym zachłysnęła.

– Ojciec ją z domu wyrzucił. W tej sytuacji nie mamy wyjścia. Magda zostaje u nas. W tym stanie nie możemy jej zostawić samej. Cieszę się mam, że

nas rozumiesz – dodał, a na twarzy dziewczyny pojawiło się pytanie.

– Naturalnie, nie zostawilibyśmy, gdybyśmy sami nie musieli się stąd wynieść.

– Jak to wynieść? Mamo?!

– Łukasz, czy ty słuchasz, co ja do ciebie mówię? Ojciec wyrzucił nas z domu. Jedziemy do dziadków do Sosenek na jakiś czas. Myślałam, że wiecie, dlatego tak o tej pomocy...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

– Że ojciec zaliczył skok w bok z piękną Adelą. To właśnie chcę powiedzieć – wyrzuciłam to z siebie, nawiasem mówiąc, chyba trochę zbyt bezpośrednio. Ale co tam. Nie ma co się rozczulać. Prawda jest bolesna!

Przerwał mi moje wywody przeraźliwy szloch Magdy.

– Spokojnie Madziu. – Łukasz otoczył ją męskim ramieniem, a ona posłusznie oparła kręconą, rudą głowę o jego najlepszą koszulę, którą prasowałam cały ranek. – Pojedziesz z nami. Nie zostawię cię z tym wszystkim samej, to nasza wspólna sprawa. Prawda mamo?

Ba, że wspólna. Do tego tanga trzeba przecież dwojga! Już ja im dam wykład, na ten temat! Spuścić gówniarstwo z oczu na kilka chwil i katastrofa gotowa!

– Oczywiście, że pojedzie z nami – to moje słowa?! Bój się Boga! Moja świadomość weszła w jakiś nadzwyczajny stan czy co? Ziemia do Iwonki! Wracamy do normalności, natychmiast!

– Dziękuję pani bardzo, jest pani jak najlepsza na świecie druga matka... a gdzie tam, pani jest milion razy lepsza od mojej matki! – I już miałam na ramieniu jej zapłakaną, wdzięczną twarz, a za jej plecami dziękujący uśmiech pierworodnego.

A to się narobiło! Chyba powinnam zacząć moją książkę zdaniem: Mam 37 lat, jestem farbowaną blondynką, a od dziś także babcią i zaczynam nowe życie. Całkiem młodą babcią, dodam, dla lepszego samopoczucia. Lepszego dnia na zwierzenia moja młodzież sobie wybrać nie mogła, ale co tam. Będę najmłodszą babcią w okolicy! Ot co.

– Słuchaj mamuś... – ponownie wybrałam numer telefonu matki.

– Iwonka? Coś się stało?!

– Przygotuj jeden pokój więcej. Wiem, to kłopot, ale dasz radę? Może być dodatkowe łóżko w pokoju dla Łukasza – a co tam, pomyślałam, gorzej już być nie może, niech się młodzież sobą nacieszy! Mogę sobie pozwolić przecież na bycie nowoczesną matką. I tak już mi wszystko jedno...

– A co, z kolegą będzie?

– No, coś w tym rodzaju. – Tłumaczenie mojej matce przez telefon, że zostanie prababcią nie wydało mi się najstosowniejsze. Wyjaśnię im wszystko na



miejscu. A tymczasem wracam do walizek. Będzie czym zająć myśli. Właściwie... nie wiem, czy to możliwe, bo stoję przecież w obliczu tylu zmian, tylu... Nie! Nie będzie tu żadnego rozczulania się. To przecież zupełnie nie w moim stylu.

Niestety, nie udało mi się obyć bez rozczulania, kiedy moja komórka zabuczała kolejny raz, wyświetlając przy tym zdjęcie Grzegorza, a raczej jego wymalowanej przez dzieciaki twarzy podczas zeszłorocznych przygotowań do balu karnawałowego. Westchnęłam tylko, gdy pierwsza z łez spłynęła po mojej twarzy, wytyczając krętą strugę w moim niezbyt profesjonalnym makijażu, a raczej tym, co po nim zostało.

– Czego chcesz? – warknęłam do telefonu, gdy po raz trzeci ciszę w salonie przebił dźwięk wibracji spotykających się z twardym blatem stolika do kawy.

– Kiedy chcesz się wyprowadzić? – zapytał ot tak Grzegorz, a jego głos NADAL brzmiał zbyt seksownie i pociągająco. Pomimo mojej nienawiści u dołu mojego brzucha pojawiły się złowrogie motylki. No masz ci los. Teraz? Czy ON, BAWIDAMEK, musi działać na mnie w ten sposób nawet teraz, kiedy nasze życie legło w gruzach, a raczej, zaraz do tego dojdzie?

– Chciałam jechać do rodziców jeszcze dziś, ale dzieci powinny chodzić do szkoły chociaż do końca tego tygodnia. To, że jestem na ciebie wściekła, nie znaczy jeszcze, że stałam się nagle skrajnie nieodpowiedzialna. – Od razu po tych słowach zganiłam siebie w myślach za to, że staram się mu jeszcze tłumaczyć, na co wcale a wcale nie zasłużył.

– Masz rację, trzeba pomyśleć o dzieciakach. Nie myśl sobie, że one w tym wszystkim nie są dla mnie ważne...

– No chyba sobie żartujesz! – parsknęłam do telefonu, pomimo ciekających po policzkach łez. – Teraz masz zamiar myśleć o dzieciach? Trzeba było to zrobić, zanim wpakowałeś swoją dupę do łóżka biuściastej pani Adeli z miseczką w rozmiarze D! Nie zgrywaj teraz dobrego ojca, bo na wyrzuty sumienia to jest już raczej za późno!

– Nie będę z tobą rozmawiał w ten sposób.

– I świetnie! Bo ja nie mam ochoty rozmawiać z tobą w sposób jakikolwiek!

– Dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, że przez najbliższy czas pomieszkam u Adeli. A ty ogarnij się jakoś i nie rób z siebie pośmiewiska. – No dobre sobie! Ja czy on robi z siebie pośmiewisko?! – Daj znać, jak już wyjedziecie.

– Daruj sobie. Może jeszcze życzysz nam miłej podróży i udanego nowego startu? – rzuciłam do słuchawki zachrypniętym głosem i niemalże zaczęłam dławić się łzami.

## **Spis treści**

**1**

**2**

**3**

**4**

**5**

**6**

**7**

**8**

**9**

**10**

**11**

**12**

**13**

**14**

**15**

**16**

**17**

**Polecamy również**

